



Nowy król  
thrillera  
szpiegowskiego.  
„Mail on Sunday”



# MARTWE LWY

MICK  
HERRON

Z pewnością jedna z najlepszych serii szpiegowskich  
ostatnich dwudziestu lat. „Metro”

MICK  
HERRON

**MARTWE  
LWY**

przekład

ALKA KONIECZKA

 **Insignis**

Tytuł oryginału  
*Dead Lions*

© Mick Herron, 2013

First published in Great Britain in 2013 by Soho Press, Inc.

First published in 2015 by John Murray (Publishers)  
An Hachette UK Company

John Murray (Publishers), Carmelite House,  
50 Victoria Embankment, London EC4Y 0DZ

[johnmurray.co.uk](http://johnmurray.co.uk)

Przekład  
Alka Konieczka

Redakcja  
Dominika Rychel

Korekta  
Marcin Piątek, Pracownia 12a

Skład  
Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej  
Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2021  
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji 978-83-66873-40-7



Insignis Media  
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków  
tel. +48 (12) 636 2519  
[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [www.insignis.pl](http://www.insignis.pl)  
[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)  
[@insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media)  
[@insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media)

Dla MSJ

**MARTWE LWY**

W Swindon doszło do zwarcia, stanęła więc cała południowo-zachodnia sieć połączeń kolejowych. Na stacji Paddington z monitorów zniknęły czasy odjazdów; ogłoszono, że wszystkie pociągi są opóźnione; unieruchomione składy utknęły przy peronach; w hali pechowi podróżni gromadzili się wokół walizek, podczas gdy bardziej doświadczeni zmierzali do pubów lub dzwonili do domów, przedstawiając alibi nie do obalenia, po czym wracali do swoich kochanek w mieście. Tymczasem trzydzieści sześć minut drogi od Londynu ekspresowy pociąg do Worcester zatrzymał się na pustym odcinku torów z widokiem na Tamizę. Światła z barek rozlały się po powierzchni rzeki, oświetlając parę kanadyjek, które zniknęły z pola widzenia tuż po tym, gdy dostrzegł je Dickie Bow: dwie filigranowe łódki, stworzone do dużej prędkości, pruły wodę w chłodny marcowy wieczór.

W pociągu pasażerowie mamrotali pod nosem, spoglądali na zegarki, telefonowali. Starając wczuć się w rolę, Dickie Bow wydał z siebie pełen poirytowania dźwięk. Nie miał zegarka ani też do kogo zadzwonić. Nie wiedział, dokąd zmierza, nie posiadał biletu.

Trzy siedzenia dalej agent grzebał w aktówce.

Zatrzeszczał głośnik.

„Mówi kierownik pociągu. Z przykrością informuję, że ze względu na awarię infrastruktury w okolicy Swindon został wstrzymany ruch kolejowy. Obecnie znajdujemy się...”

Trzask na linii. Głos zanikł, choć z sąsiednich wagonów nadal dobiegały jego stłumione dźwięki. Po chwili znów rozległ się komunikat:

„...zawrócimy do Reading, gdzie autobusy komunikacji zastępczej...”

Na te słowa zareagowano zbiorowym jękiem oburzenia, posypało się sporo przekleństw, jednak – co najbardziej zaimponowało Dickiemu Bowowi – także niezwłoczną gotowością. Komunikat jeszcze nie dobiegł końca, a już wkładano płaszcze i chowano laptopy; zamykano torby i opuszczano miejsca. Pociąg ruszył w drugą stronę, rzeka popłynęła w odwrotnym kierunku i znów na horyzoncie pojawił się dworzec w Reading.

Gdy pasażerowie wylali się na zatłoczone perony, zapanował chaos, po czym podróżni uświadomili sobie, że nie wiedzą, dokąd pójść. Nie wiedział tego też Dickie Bow, ale jego obchodził tylko agent, który od razu zniknął w morzu ciał. Jednak Dickie był na tyle zaprawiony w bojach, że nie zaczął panikować. Wracały do niego wszystkie wspomnienia. Jakby nigdy nie wyszedł z zoo szpiegów.

Lecz teraz chętnie poszukałby kawałka wolnego muru i wypalił przy nim papierosa. Tutaj było to niemożliwe, co nie powstrzymało głodu nikotynowego, który szarpał go od środka, ani nie złagodziło niespodziewanego ukłucia w udo, ostrego jak żądło osy, tak realistycznego, że aż zaparło mu dech w piersiach. Złapał się za to

miejsce, jego dłoń najpierw otarła się o róg zapomnianej aktówki, a później o nieprzyjemnie śliską i mokrą powierzchnię parasola. Śmiercionośna broń, pomyślał. Pracownicy biurowi noszą śmiercionośną broń.

Tłum poniósł go do przodu, nie pytając o zdanie, i nagle wszystko było w porządku, bo Dickie znowu go dostrzegł. Agent, w kapeluszu osłaniającym łusą głowę, z aktówką wciśniętą pod pachę, stał przy ruchomych schodach prowadzących do przejścia nad torami. Tak więc Dickie, zagoniony na schody przez zmęczonych pasażerów, wyminął ich i na górnym poziomie ukradkiem przesunął się do kąta. Główne wyjście z dworca było po drugiej stronie przejścia. Założył, że wszyscy wybiorą tę właśnie trasę, gdy tylko padną komunikaty o autobusach.

Zamknął oczy. Ten dzień nie był zwyczajny. Na ogół o tej porze, tuż po szóstej trzydzięci, wszystkie ostre krawędzie były zaokrąglone; byłby na nogach już od dwunastej, po pięciu godzinach niespokojnej drzemki. Czarna kawa i papieros wypalony w biurze. Pysznic, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Później wyjście do pubu Star, gdzie guinness lub whisky popite piwem albo poprawiłyby jego samopoczucie, albo uświadomiłyby mu, że lepiej unikać pokarmów stałych. Czasy ostrego balowania już się skończyły. Kiedyś bywało, że tracił nad sobą kontrolę: pijany, mylił zakonnice z kurwami, policjantów z przyjaciółmi; gdy był trzeźwy, nawiązywał kontakt wzrokowy z byłymi żonami, nie rozpoznawał ich, a w ich oczach widać było tylko ulgę. Złe czasy.

Jednak nawet wtedy nie zdarzyło się, by moskiewski szpieg najwyższej klasy przemknął obok i nie dostrzegł, z kim ma do czynienia.

Dickie uświadomił sobie, co się dzieje: przez megafony poinformowano o zorganizowaniu komunikacji zastępczej, więc wszyscy starali się przejść nad torami. Stał przy ekranie na tyle długo, by agent go minął, po czym Dickie dał się ponieść tłumowi, oddalony od agenta o trzy ciepłe ciała. Nie powinien trzymać się tak blisko, jednak choreografia tłumu pozostawała nieprzewidywalna.

A ten tłum nie był zadowolony. Przeciskał się przez bramki biletowe po drugiej stronie, zawracał głowy pracownikom dworca, którzy uspokajali, dyskutowali, pokazywali drogę do wyjścia. Na zewnątrz było mokro i ciemno i nie było autobusów. Na podjeździe pęczniał tłum. Ściśnięty w jego objęciach Dickie Bow patrzył uważnie na agenta, który stał spokojnie i czekał.

Podróż z przeszkodami, pomyślał Dickie. W tej pracy trzeba podejmować ryzyko – zapomniał, że już nie wykonywał takiej pracy – i ten agent skalkulowałby je przed wyjściem z pociągu; popłynąłby z prądem, nie robił problemów, szedłby dalej swoją drogą, korzystając z danych mu narzędzi. Dokąd miał się udać, tego Dickie nie wiedział. Pociąg zmierzał do Worcester, ale zatrzymywał się na wielu stacjach. Agent mógł wsiąść na dowolnej z nich. Dickie wiedział tylko tyle, że wysiądzie razem z nim.

Teraz pojawiły się autobusy, trzy, wyjeżdżały zza zakrętu. Tłum sprężył się, parł do przodu, agent pozeglował przez zgromadzenie jak lodołamacz torujący drogę przez Arktykę, a Dickie przemknął korytarzem, jaki powstał po jego przejściu. Ktoś wykrzykiwał instrukcje, ale nie miał do tego głosu. Na długo przed końcem został

zagłuszony mamrotaniem ludzi, którzy nie słyszeli, co mówił.

Agent jednak usłyszał. Kierował się do trzeciego autobusu, więc Dickie chyłkiem szedł jego śladami i też wsiadł. Nikt nie pytał o bilet. Dickie po prostu przebiegł dalej i udał się na tył, skąd miał dobry widok na agenta, zajmującego miejsce dwa rzędy wcześniej. Dickie usiadł wygodnie i zamknął oczy. Podczas każdej operacji następował chwilowy spokój. Gdy do tego dochodziło, należało zamknąć oczy i zebrać myśli. Był daleko od domu, miał przy sobie jakieś szesnaście funtów. Miał ochotę się napić, ale nie zamierzał się z tym spieszyć. Plusy były takie: był tutaj i teraz; nie dostrzegł wcześniej, jak bardzo za tym tęsknił: życiem w pełni, a nie prześlizgiwaniem się po nim.

A to właśnie robił, gdy dostrzegł agenta. I to w pubie Star. Gdyby był cywilem, jego szczęka opadłaby na stół: Co jest, do cholery? Zawodowiec, choć od dawna w stanie spoczynku, spojrział na zegar, dopił guinnessa, złożył gazetę i wyszedł. Pokręcił się przy zakładach sportowych, mieszczących się dwa lokale dalej, przypominając sobie, kiedy ostatnio widział tę twarz i w jakim towarzystwie. Agent był niezłym zawodnikiem. Wtedy wziął butelkę, wlał jej zawartość prosto do szeroko rozwartych ust Dickiego; miał zdecydowanie milczącą rolę. To nie ten gość poraził Dickiego prądem w kręgosłup... Dziesięć minut później agent wyszedł, a Dickie podążył w ślad za nim: Dickie był w stanie wyśledzić fretkę w lesie, a co dopiero pozostałości dawnych duchów. Powrót do przeszłości. Wspomnienia z zoo szpiegów.

(Berlina, skoro nalegasz. Zoo szpiegów to Berlin w czasach, gdy otwarto klatki i przerażone bandziory wybiegały jak żuki z przewróconej na bok kłody. Co najmniej dwa razy dziennie jakiś spocony, potencjalny agent stał pod drzwiami, twierdząc, że w kartonowej aktówce ma istne skarby: plany obronne, zasięgi pocisków rakietowych, toksyczne tajemnice... A jednak, mimo tak dużej aktywności, nieszczęście wisiało w powietrzu w miejscu świeżo rozwalonego muru berlińskiego; wszyscy mieli zniszczoną przeszłość, ale w przypadku Dickiego to samo spotkało też jego przyszłość. „Dzięki, stary. Obawiam się, że nie mamy nic odpowiedniego do twoich, no, umiejętności... Jaka emerytura?” Więc oczywiście wrócił do Londynu).

Kierowca coś krzyknął, ale Dickie nie usłyszał. Drzwi zamknęły się z sykiem, dwa razy naciśnięto klakson: pożegnanie autobusów, które jeszcze nie odjechały. Dickie rozmasował udo w miejscu dźgnięcia krawędzią walizki albo szpicem parasola; myślał o losie i dziwnych miejscach, w które ów los zabierał. Jak na przykład z ulicy Soho do metra i z powrotem na ulicę; na stację Paddington, do pociągu, a teraz do tego autobusu. Nadal nie wiedział, czy los mu sprzyja, czy wprost przeciwnie.

Gdy zgasły światła, autobus na chwilę zmienił się w podróżujący cień. Później pasażerowie zapalili lampki nad swoimi głowami, rozbłyły błękitne światła z ich laptopów, a dłonie zaciśnięte na iPhone'ach stały się upiornie blade. Dickie wygrzebał telefon z kieszeni, ale nie miał żadnych wiadomości. Nigdy ich nie dostawał. Przewinął listę kontaktów i uderzyło go, że jest tak krótka. Dwa rzędy przed nim agent zwinął gazetę w rulon, wcisnął go między kolana i zawiesił na nim kapelusz. Być może zasnął.



Autobus wyjechał z Reading. Za oknem rozpościerał się ciemny wiejski krajobraz. W pewnej odległości sekwencja wznoszących się czerwonych świateł znaczyła maszt w Didcot, ale chłodnie kominowe nie były widoczne.

W dłoni Dickiego telefon komórkowy był granatem. Dickie pocierał kciukiem klawisze i wyczuł drobną wypustkę na środkowym przycisku, dzięki któremu można było w ciemności obsługiwać klawiaturę. Jednak nikt nie wspomniał jego słów. Dickie był reliktem przeszłości. Świat poszedł do przodu, zresztą, jakie przesłanie miałyby po sobie pozostawić Dickie? Że ujrzał twarz z przeszłości i za nią podążył? Kogo by to obeszło? Świat poszedł do przodu. Zostawił go w tyle.

Odrzucenie przychodziło teraz łatwiej. Dickie słyszał czasem szepty w kuluarach w Soho, a teraz nawet beużytecznym pracownikom dawano szanse. Służby, podobnie jak wszyscy inni, były sparaliżowane zasadami i przepisami: zwolnij beużytecznych, a podadzą cię do sądu za dyskryminację. Tak więc służby przenosiły tych beużytecznych do jakiejś zapomnianej przez Boga przybudówki i zrzucały na nich papierkową robotę; był to rodzaj administracyjnego nękania mającego na celu zmuszenie ich do oddania legitymacji. Nazywano ich kulawymi końmi. Nieudacznikami. Ofiarami losu. Nazywano ich kulawymi końmi i należeli do Jacksona Lamba, którego Dickie spotkał w zoo szpiegów.

Na jego komórce wyświetliło się powiadomienie, ale nie wiadomość; jedynie ostrzeżenie, że bateria jest na wyczerpaniu.

Dickie wiedział, jak to jest. Nie miał nic do powiedzenia. Uwaga słabła i skupiała się na czymś innym. Słyszał było szum laptopów i szepty do telefonów, ale Dickie nie miał prawa głosu. Nie miał pola do manewru, z wyjątkiem lekkiego wyprostowania palców. Drobną wypustką na środkowym przycisku klawiatury skrzypiała pod jego kciukiem: skrzyp, skrzyp.

Trzeba było dostarczyć ważną wiadomość, ale Dickie nie wiedział, jak ona ma brzmieć ani do kogo powinna być wysłana. Przez kilka klarownych chwil był świadomy tego, że jest częścią ciepłego, wilgotnego społeczeństwa, że oddycha tym samym powietrzem, słyszy tę samą melodię. Nie słyszał już jednak tej melodii i nie mógł jej sobie przypomnieć. Wszystko wyblakło – poza tym, co było za oknem. Krajobraz nadal rozwijał czarny fałd za fałdem, upstrzony punkcikami światła jak cekinami na apaszce. A później światła rozmywały się i bladły, a ciemność zawinęła się po raz ostatni i pozostał już tylko autobus wiozący przez noc śmiertelny ładunek w kierunku Oxfordu, gdzie dostarczy o jedną duszę mniej, niż zabrał tam w deszczu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

**Czarne łabędzie**

Teraz, gdy wreszcie zakończono roboty drogowe, Aldersgate Street położona w londyńskiej dzielnicy Finsbury jest cichsza; co prawda nie wybrałbyś się tu na piknik, ale nie przypomina już miejsca, w którym doszło do śmiertelnego wypadku drogowego. Rytm okolicy został ustabilizowany i choć poziom hałasu pozostaje wysoki, jest mniej pneumatyczny i miewa nawet urywki muzyki ulicznej – śpiew samochodów, pogwizdywanie na taksówki – a tutejsi mieszkańcy przyglądają się swobodnemu ruchowi ze zadziwieniem. Wcześniej rozsądnym rozwiązaniem było spakowanie lunchu, jeśli zamierzało się przejechać tę ulicę autobusem. Dziś można przez pół godziny próbować ją przejść.

Być może to ten przypadek, gdy miejska dżungla upomina się o swoje, a jeśli dobrze się przyjrzeć, to w każdej dżungli znajdzie się dzikie zwierzęta. Późnym rankiem dostrzeżono lisa idącego ostrożnie z White Lion Court do Barbican Centre, a na rabatach kwiatowych i przy stawach można znaleźć zarówno ptaki, jak i szczury. Tam, gdzie rośliny zwisają nad stojącą wodą, ukrywają się żaby. Po zmroku – nietoperze. Nie byłoby więc szczególnym zaskoczeniem, gdyby na naszych oczach z jednej z wież Barbican zeskoczył kot i zamarł po zetknięciu z brukiem; rozejrzał się we wszystkich kierunkach równocześnie, nie poruszając głową, jak to koty potrafią. To kot syjamski. Jasny, z krótką sierścią, skośnymi oczami, drobny i cichy; zdolny, jak wszyscy przedstawiciele jego gatunku, przemknąć się przez ledwo otwarte drzwi i okna, które uznano za zamknięte. Zamiera tylko przez moment, po czym rusza.

Ten kot porusza się jak plotka. Kładką dla pieszych, później w dół schodami na stację i wychodzi na ulicę. Mniej odważny kot mógłby zatrzymać się przed przejściem przez drogę podporządkowaną, ale nie nasz; ufając swojemu instynktowi, słuchowi i zręczności, przechodzi na chodnik po drugiej stronie, zanim kierowca ciężarówki skończy hamować. Po czym kot znika – albo tak się tylko wydaje. Kierowca przygląda się ze złością, ale widzi jedynie czarne drzwi w zakurzonej wnęce między kioskiem a chińską restauracją; stara warstwa czarnej farby ochlapana jest błotem, na stopniu stoi jedna żółknięca butelka mleka. I nie ma śladu naszego kota.

Który, oczywiście, poszedł na tył. Nikt nie wchodzi do Slough House głównym wejściem; jego więźniowie wpuszczają się zapuszczonymi przejściami na brudne podwórko, otoczone zawilgoconymi murami, wchodzi drzwiami, które w większość poranków, gdy wypaczy je wilgoć, zimno albo upał, wymagają solidnego kopniaka. Jednak łapy naszego kota są zbyt delikatne na taką przemoc i kot w mgnieniu oka przemyka drzwiami i biegnie po schodach do dwóch biur.

Tutaj, na pierwszym piętrze – parter należy do innych właścicieli; do New Empire Chinese i do kiosku, bez względu na to, jak nazwano go w tym roku – pracuje Roderick Ho, w biurze, które kojarzy się z dżunglą przez elektroniczne rupiecie: nieużywane klawiatury gnieżdżą się w kątach, a kable w jaskrawych kolorach falują

z monitorów pozbawionych obudów jak pętle jelit. Na stalowych półkach leżą dokumentacje oprogramowania, długie kable i pudełka po butach, które prawie na pewno skrywają metalowe elementy o dziwnych kształtach, a obok biurka Ho chwieje się kartonowa wieża zbudowana z tradycyjnych klocków komputerowych geeków: pustych pudełek po pizzy. Mnóstwo rupieci.

Ale kiedy nasz kot wyjrzy zza drzwi, zobaczy jedynie Ho. Biuro należy tylko do niego i Ho to odpowiada, ponieważ nie lubi większości ludzi, choć to, że inni ludzie także go nie lubią, nie przyszło mu nigdy do głowy. I mimo że Louisa Guy otwarcie spekulowała, że Ho mieści się gdzieś w spektrum autyzmu, Min Harper zawsze odpowiadał, że zajmuje też wysokie miejsce w przechowalni git. Nie jest więc niespodzianką, że gdyby Ho dostrzegł obecność naszego kota, jego reakcją byłoby: rzucenie w zwierzę puszką po coli i rozczarowanie, gdyby spudłował. A kolejną rzeczą, której Roderick Ho o sobie nie wie, jest fakt, że trafia lepiej, gdy jego cel się nie rusza. Rzadko pudłuje przy wrzucaniu puszek do kosza na śmieci znajdującego się w połowie biura, ale miewa problem z trafieniem w punkt, który znajduje się bliżej, lecz pozostaje w ruchu.

Tak więc nasz kot, cały i zdrowy, wycofuje się, by obejrzeć sąsiednie biuro. Tu widzi dwójkę nieznaną od niedawna na zesłaniu w Slough House; dwie twarze, jedna biała, druga czarna; jedna kobieca, druga męska; są tak nowe, że nie nadano im jeszcze imion, ale obie wyrażają zaskoczenie widokiem gościa. Czy kot jest stałym bywalcem? Czy to kolejny kulawy koń? A może to test? Zakłopotani, wymieniają spojrzenia i gdy przez moment łączy ich konsternacja, kot wymyka się i wbiega po schodach na następne piętro, gdzie znajdują się dwa kolejne biura.

Pierwsze z nich zajmują Min Harper i Louisa Guy i gdyby Min Harper i Louisa Guy zauważyli kota, nie obesłoby się bez straszego obciachu. Louisa padłaby na kolana, wzięła kota na ręce i przycisnęła do swoich całkiem imponujących piersi – i tutaj wchodzimy w obszar, na którego temat Min ma zdecydowaną opinię – piersi, których nie można nazwać ani zbyt małymi, ani za dużymi, ale takimi akurat. Sam Min zaś, gdyby zdołał na wystarczająco długą chwilę oderwać myśli od cycków Louisy, po męsku zauważyłby tylko ogólne zaniedbanie kota; przechyliłby głowę, by mogli spojrzeć sobie w oczy, i zrozumieliby wzajemnie swoje kocie cechy – nie te puszyste i miękkie, ale nocną zwinność i spacerowanie w ciemnościach; drapieżne skłonności, którymi podszyte są działania kota za dnia.

Zarówno Min, jak i Louisa mówiliby, że trzeba poszukać mleka, ale żadne z nich by się tym nie zajęło, choć zarówno uprzejmość, jak i dostarczenie mleka nie pozostają poza ich zasięgiem. A nasz kot, całkiem zresztą słusznie, ulżyłby sobie na wycieraczkę przed wyjściem z ich pokoju.

By wejść do gabinetu Rivera Cartwrighta. I choć nasz kot przeszedłby ten próg tak dyskretnie jak wszystkie inne, tu nie byłby wystarczająco dyskretny. River Cartwright, młody, jasnowłosy, blade, z małym pieprzykiem nad górną wargą, natychmiast przerwałby pracę – nad dokumentami czy przy komputerze; robiłby coś wymagającego raczej myślenia niż działania, co być może wyjaśnia ilość frustracji zatruwającej tutejsze powietrze – i patrzyłby naszemu kotu w oczy, aż ten odwróciłby

wzrok, czując się niekomfortowo przez tak jawne ocenianie. Cartwright nie pomyślałby o przyniesieniu mleka; byłby zbyt zajęty mapowaniem aktywności kota, obliczaniem, przez ile drzwi musiał się prześlizgnąć, by tu dotrzeć; zastanawianiem się, co w ogóle przyciągnęło go do Slough House; jakie motywy kryją się w jego oczach. Jednak gdy zastanawiałby się nad tym, nasz kot by się wycofał i poszedł na ostatnie piętro w poszukiwaniu mniej surowej oceny.

I myśląc o tym, znalazłby ostatnią parę pokoi – bardziej przyjazne miejsce do przechadzek, bo tu właśnie pracuje Catherine Standish, a Catherine Standish wie, jak obchodzić się z kotem. Catherine Standish ignoruje koty. Koty są albo dodatkiem albo zamiennikiem, a Catherine Standish nic z nimi nie łączy. Posiadanie jednego kota dzieli jeden mały krok od posiadania dwóch kotów, a bycie samotną kobietą tuż przed pięćdziesiątką i właścicielką dwóch kotów jest równoznaczne z ogłoszeniem, że życie się skończyło. Catherine Standish miała w swoim życiu sporo strasznych chwil, ale przetrwała je wszystkie i nie miała zamiaru teraz się poddawać. Tak więc nasz kot może się tu swobodnie rozgościć, jednak bez względu na to, ile czułości będzie w stanie udawać, jak nieśmiało będzie owijać swoje wątłe ciało wokół łydek Catherine, nie dostanie smakołyków; kawałki sardynki nie zostaną osączone z oleju za pomocą chusteczki higienicznej i położone u jego stóp; zawartość kubeczka ze śmietaną nie trafi na spodek. A ponieważ żaden szanujący się kot nie zniesie braku uwielbienia, nasz osobnik wyjdzie i wolnym krokiem przejdzie do pomieszczenia obok...

...docierając w końcu do nory Jacksona Lamba, gdzie sufit ma skosy, a roleta zasłania okno, więc jedyne światło, jakie tam dociera, pochodzi z lampy ustawionej na stercie książek telefonicznych. Powietrze przesycone jest zapachem prosto z psich marzeń na jawie: jedzenie na wynos, nielegalne papierosy, wczorajsze pierdy i zwietrzałe piwo, jednak nie będzie czasu na katalogowanie tych aromatów, ponieważ Jackson Lamb potrafi poruszać się zaskakująco szybko jak na mężczyznę o tak potężnych gabarytach albo potrafi się tak ruszać, gdy ma na to ochotę, i zaufaj mi: kiedy pierdolony kocur wchodzi do jego biura, Jacksona nachodzi ta ochota. W mgnieniu oka złapałby naszego kota za gardło; podciągnąłby roletę, otworzył okno i wyrzucił zwierzę na ulicę, gdzie bez wątpienia kot wylądowałby na czterech łapach, co potwierdzają zarówno nauka, jak i pogłoski, ale i bez wątpienia tuż przed jadącym pojazdem, bo, jak zaznaczono wcześniej, taka była nowa rzeczywistość na Aldersgate Street. Stłumione uderzenie i wyraźny pisk hamulców być może byłyby słyszalne wyżej, ale Lamb zdążyłby już zamknąć okno, rozsiąść się w fotelu i zamknąć oczy; serdelkowe palce spłółyby na swoim wydatnym brzuchu.

Całe więc szczęście dla naszego kota, że nie istnieje, bo zakończyłby swój żywot w sposób tragiczny. I miał podwójne szczęście, jak to często się zdarza, bo tego konkretnego ranka stało się coś niemal niewyobrażalnego i teraz Jackson Lamb nie przysypia przy biurku ani nie grasuje w aneksie kuchennym, wygrzebując jedzenie swoich podwładnych; ani nie wędruje w tę i w tę po schodach cichym krokiem, jakim się na zawołanie potrafi poruszać. Nie wali w podłogę, czyli w sufit Rivera Cartwrighta, by z przyjemnością odmierzać czas, jakiego potrzebuje Cartwright, by tu

przybiec, ani nie ignoruje Catherine Standish, gdy ta zdaje kolejny bezsensowny raport, o którego zleceniu zapomniał. Po prostu: nie ma go tam.

I nikt w Slough House nie ma bladego pojęcia, gdzie jest.

A Jackson Lamb był w Oxfordzie i miał całkiem nową teorię, taką, którą chciał przedstawić garniturkom w Regent's Park. Nowa teoria Lamba brzmiała tak: zamiast wysłać szpiegów żółtodziobów na drogie szkolenia z opierania się torturom w kryjówkach przy granicy z Walią, powinni wysłać ich na dworzec kolejowy w Oxfordzie, by przyglądali się pracownikom kolei w akcji. Bo niezależnie od szkolenia, jakie przeszli, ci ludzie byli wysoce wykwalifikowani w nieudzielaniu informacji.

– Pan tu pracuje, prawda?

– Słucham?

– Czy pracował pan w poprzedni wtorek wieczorem?

– Proszę pana, numer infolinii jest podany na wszystkich plakatach. Jeśli chce pan złożyć skargę...

– Nie chcę składać skargi – powiedział Lamb. – Chcę się tylko dowiedzieć, czy pracował pan w ostatni wtorek wieczorem.

– A do czego panu ta wiedza?

Już trzy razy Lamb nie uzyskał odpowiedzi. Przy czwartej próbie rozmawiał z niewysokim mężczyzną z włosami zaczesanymi do tyłu i siwym wąsem, który to wąs co jakiś czas drgał mimowolnie. Facet wyglądał jak łasica w mundurze. Lamb złapałby go za nogi i złamał na pół jak patyk, ale w pobliżu znajdował się policjant.

– Założmy, że to istotna kwestia.

Oczywiście miał przy sobie legitymację na fałszywe nazwisko, ale nie trzeba być wędkarzem, by wiedzieć, że nie wrzuca się kamieni do stawu przed zarzuceniem wędki. Gdyby ktokolwiek zadzwonił pod numer podany na legitymacji, w Regent's Park rozbrzmiałby alarm. A Lamb nie chciał, by urzędasy pytały, co on takiego wyprawia, tak jak nie było najmniejszych szans, by puścił na ten temat parę z ust.

– Bardzo istotna. – Postukał w kłapę marynarki.

Z wewnętrznej kieszeni wystawał portfel, a z portfela wysuwał się banknot dwudziestofuntowy.

– Aha.

– Rozumiem, że to było potwierdzenie.

– Proszę zrozumieć, że musimy być ostrożni. Gdy ludzie zadają pytania na temat dużych węzłów komunikacyjnych.

Dobrze wiedzieć, pomyślał Jackson Lamb, że jeśli terroryści zaatakowałyby ten konkretny węzeł komunikacyjny, trafiliby na linię obrony nie do pokonania. Chyba że pomachałby banknotami.

– W zeszyły wtorek – powiedział. – Był jakiś problem.

Mężczyzna pokręcił głową.

– To nie u nas był problem, proszę pana. Tutaj wszystko było w porządku.

– Wszystko było w porządku, tylko pociągi nie jeździły.

– Tutaj pociągi jeździły, proszę pana. Problemy były gdzie indziej.

– Jasne. – Minęło trochę czasu, odkąd Lamb przetrwał tak długą rozmowę bez przeklinania. Kulawe konie byłyby zszokowane. Z wyjątkiem nowicjuszy, którzy sądziliby, że to test. – Jednak bez względu na to, gdzie był problem, przywieziono tu autobusami ludzi z Reading. Ponieważ nie kursowały pociągi.

Łasica ściągnął brwi, ale widział już koniec tego wątku przesłuchania, więc na ostatniej prostej przyspieszył.

– Tak jest, proszę pana. Zastępcza komunikacja autobusowa.

– Skąd wyjechała?

– W tym konkretnym przypadku, proszę pana, sądzę, że wyjechała z Reading.

Oczywiście, że tak. Jackson Lamb westchnął i sięgnął po papierosa.

– Proszę pana, tutaj nie wolno palić.

Lamb włożył papierosa za ucho.

– Kiedy odjeżdża następny pociąg do Reading?

– Za pięć minut, proszę pana.

Lamb wyburczał słowa podziękowania i skierował się w stronę barierek.

– Proszę pana?

Odwrócił się. Ze wzrokiem utkwionym w kłapie marynarki Lamba łasica wykonał szeleszczący gest, pocierając palcem o kciuk.

– Co?

– Sądziłem, że da mi pan...

– Tip?

– Tak.

– Okej. Mam coś dobrego. – Lamb postukał palcem w swój nos. – Jeśli chcesz złożyć zażalenie, na plakacie jest numer infolinii.

Po czym udał się na peron i zaczekał na pociąg.

Tymczasem przy Aldersgate Street dwójka nowych kulawych koni w biurze na pierwszym piętrze taksowała się nawzajem. Zaczęli miesiąc wcześniej w ciągu dwóch tygodni; oboje wydaleny z Regent's Park, serca i moralnego fundamentu tajnych służb. Slough House, choć oficjalnie się tak nie nazywał – nie miał oficjalnej nazwy – był otwarcie uznawany za śmietnisko: wygnanie tutaj było na ogół tymczasowe, ponieważ zesłańcy przeważnie szybko odchodzili. Taki był zresztą cel przeniesienia ich tutaj: zapalenie im nad głową znaku z napisem „wyjście”. Kulawe konie, tak ich nazywano. Slough House – *slow horse*. Gra słów oparta na żarcie, którego źródło właściwie już zapomniano.

Tych dwoje – teraz już z nazwiskami, nazywali się kolejno: Marcus Longridge i Shirley Dander – znało się z widzenia w poprzednich wcielaniach, jednak w Regent's Park wydziały prowadzono silną ręką, a ci z Operacji i Łączności należeli do różnych gatunków i obracali się w różnych kręgach. Więc teraz, jak to nowicjusze, byli podejrzliwi zarówno wobec siebie nawzajem, jak i względem bywalców Slough House o bardziej ugruntowanej pozycji. Mimo to: świat tajnych służb był stosunkowo mały, a plotki często zdołały okrążyć go dwukrotnie, nim opadł pył po wybuchu. Tak więc Marcus Longridge (po czterdziestce, czarny, urodzony w południowym Londynie, rodzice pochodzący z Karaibów) wiedział, co wypchnęło Shirley Dander

z Łączności w Regent's Park, a Dander, która miała dwadzieścia kilka lat i nieco śródziemnomorski wygląd (szkocka prababka, pobliski obóz jeniecki, a w nim internowany Włoch na dziennej przepustce), słyszała, jak szeptano o sesjach terapeutycznych Longridge'a spowodowanych jego wybuchem, ale żadne z nich nie rozmawiało na ten temat z drugim. W ogóle mało ze sobą rozmawiali. Ich dni wypełnione były drobiazgami współdzielenia biura i stopniowym traceniem nadziei.

To Marcus wykonał pierwszy ruch i zrobił to za pomocą jednego słowa: „No”.

Był późny poranek. Pogoda w Londynie miała atak schizofrenii: raz wychodziło słońce, podkreślając brud na szybach, a potem nagła ulewa, która niewiele zdziałała w kwestii ich umycia.

– No i co?

– No i jesteśmy tutaj.

Shirley Dander czekała, aż jej komputer się zresetuje. Znowu. Miała uruchomiony program do rozpoznawania twarzy – porównywała migawki uchwycone przez monitoring na uroczystościach z okazji wycofania wojsk z portretami pamięciowymi podejrzanych dżihadystów; to znaczy dżihadystów, których istnienie podejrzewano; dżihadystów, którzy mieli kryptonimy i tak dalej, ale przecież ich istnienie mogło zostać wywołane domysłami niekompetentnych pracowników tajnych służb. Choć programu nie aktualizowano od dwóch lat i tak był bardziej na czasie niż komputer Dander, który miał za złe, że wymagano od niego wykonania określonych zadań, i tego ranka dał temu wyraz już trzykrotnie.

Nie podnosząc wzroku, odpowiedziała:

– Próbujesz mnie podrywać?

– Nie ośmieliłbym się.

– Bo to nie byłoby mądre.

– Słyszałem.

– To w porządku.

Na tym się skończyło na niespełna minutę. Shirley niemal czuła tykanie swojego zegarka; czuła przez blat biurka, jak jej komputer walczy o powrót do życia. Na dole słychać było dwie pary stóp. Harper i Guy. Zastanawiała się, dokąd się wybierali.

– No to zakładając, że to nie podryw: czy możemy porozmawiać?

– O czym?

– O czymkolwiek.

Wlepiła w niego wzrok.

Marcus Longridge wzruszył ramionami.

– Czy ci się to podoba, czy nie, dzielimy biuro. Byłoby fajnie, gdybyśmy mówili sobie coś więcej niż: „Zamknij drzwi”.

– Nigdy nie kazałam ci zamykać drzwi.

– Albo coś w tym stylu.

– Właściwie to wolę, gdy są otwarte. Pokój mniej kojarzy mi się z celą.

– Fajnie – powiedział Marcus. – Widzisz, rozpoczęliśmy dyskusję. Długo siedziałas w więzieniu?

– Nie jestem w nastroju, okej?



Wzruszył ramionami.

– Okej. Ale zostało jeszcze ponad sześć godzin pracy. I dwadzieścia lat do emerytury. Możemy spędzić ten czas w ciszy, jeśli tak wolisz, ale jedno z nas zwariuje, a drugie oszaleje. – Odwrócił się z powrotem do komputera.

Na dole tylne drzwi zamknięto z hukiem. Monitor Shirley wrócił do życia z błękitnym blaskiem, zastanowił się i znów wyłączył. Po tym, jak podjęto próbę rozmowy, jej brak był głośny niczym alarm pożarowy. Zegarek na jej nadgarstku tykał miarowo. Nie mogła nic z tym zrobić; trzeba było powiedzieć to głośno.

– Mów za siebie.

– W jakiej sprawie? – zapytał.

– Dwudziestu lat do emerytury.

– Jasne.

– W moim przypadku to raczej czterdzieści.

Marcus skinął głową. Jego mina na to nie wskazywała, ale poczuł triumf.

Wiedział, kiedy coś się zaczyna.

W Reading Jackson Lamb namierzył kierownika dworca autobusowego, na którego potrzeby przyjął czepialski, profesorski ton. Nietrudno było uwierzyć, że Lamb pracował na uczelni – ramiona oprószone łupieżem; zielony sweter z dekoltem w szpic poplamiony jedzeniem na wynos, które nie trafiło do ust; wystrzępione mankiety koszuli wystające z rękawów płaszczka. Miał nadwagę, prawdopodobnie od przesiadywania w bibliotekach, a rzadkie włosy w odcieniu brudnego blondu zaczesywał do tyłu. Zarost na policzkach świadczył o lenistwie – o tym, że nie był na czasie. Mówiono, że przypomina Timothy’ego Spalla, tyle że z brzydszymi zębami.

Kierownik dworca skierował Jacksona Lamba do firmy, która odpowiadała za autobusy zastępcze, i dziesięć minut później Lamb był znów czepliwym profesorem; tym razem z żalobą w tle.

– Mój brat – powiedział.

– Ojej. Ojej. Tak mi przykro. – W odpowiedzi na to Lamb machnął ręką. – Nie, to straszne. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Nie rozmawialiśmy ze sobą od lat.

– Cóż, to jeszcze gorzej, nieprawdaż?

Lamb, który nie miał zdania w tej kwestii, zgodził się.

– Tak. Tak.

Oczy zaszczyły mu łzami, gdy wyobraził sobie zmyślony epizod z dzieciństwa, w którym dwaj bracia cieszą się chwilą absolutnej braterskiej lojalności, nie przeczuwając, że następne lata ich rozdzielią; że jako dojrzały mężczyźni nie będą ze sobą rozmawiać; że życie jednego z nich zakończy się w autobusie w ciemnym Oxfordshire, gdzie umrze na...

– Zawał serca, nieprawdaż?

Lamb nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, więc tylko skinął głową.

Kierownik dworca autobusowego ze smutkiem pokręcił głową. Problem dla firmy. I niezbyt dobra reklama, gdy pasażer umiera w pojeździe; z drugiej jednak strony odpowiedzialność za tę śmierć nie spoczywa na firmie. Poza tym zmarły nie miał przy

sobie ważnego biletu.

– Tak się zastanawiałem...

– Tak?

– W którym autobusie się to stało? Jest tutaj?

W zajezdni stały cztery autobusy; kolejne dwa pod wiatą, i tak się zdarzyło, że kierownik dworca dokładnie wiedział, który z nich przypadkowo odegrał podwójną rolę i był także karawanem. Stał mniej niż dziesięć metrów od nich.

– Chciałbym tylko posiedzieć tam przez chwilę – rzekł Lamb. – Na jego miejscu. Rozumie pan?

– Nie jestem pewien, co...

– Nie chodzi o to, że tak naprawdę wierzę w koncepcję siły życiowej – wyjaśnił Lamb z drzeniem w głosie. – Ale nie jestem pewien, że w nią nie wierzę, rozumie mnie pan?

– Oczywiście. Oczywiście.

– Gdybym więc na chwilę mógł usiąść w miejscu, w którym on... odszedł, być może... – Nie był w stanie mówić dalej, więc odwrócił wzrok w kierunku ceglanego muru okalającego zajezdnię i ponad budynek biurowy naprzeciwko. Para bernikli kanadyjskich leciała w stronę rzeki; ich płaczliwe krzyki podkreślały smutek Lamba.

Albo tak się przynajmniej wydawało kierownikowi dworca.

– Ten – powiedział. – To ten autobus.

Lamb przerwał skanowanie nieba i zareagował wyraźną niewinną wdzięcznością.

Shirley Dander bezmyślnie postukała w niechętny do współpracy monitor ołówkiem, po czym go odłożyła. Gdy uderzył w biurko, Shirley wydała dźwięk przypominający pyknięcie.

– ...co?

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że byś się nie odważył? – spytała.

– Nie nadążam.

– Gdy spytałam cię, czy mnie podrywasz. Powiedziałaś, że byś się nie odważył.

– Słyszałem tę historię – odpowiedział Marcus Longridge.

Tyle wiem, pomyślała. Wszyscy ją słyszeli. Shirley Dander miała sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, brązowe oczy, oliwkową skórę i pełne usta, które nieczęsto rozciągały się w uśmiechu. Szeroka w ramionach, szeroka w biodrach, lubiła ubierać się na czarno: czarne dzinsy, czarne bluzki, czarne sportowe buty. Pewnego razu podczas przesłuchania zasugerowano, że jest równie seksowna co słupek drogowy, a komentarz ten wygłosił człowiek, który znany był ze swojej seksualnej nieporadności. W dniu, w którym zesłano ją do Slough House, ogoliła głowę i co tydzień odświeżała tę fryzurę.

Bez wątpienia była źródłem obsesji: konkretnie u Czwartego Biurka z działu Łączności w Regent's Park – facet przykleił się do niej z taką gorliwością, że nie zwrócił uwagi na to, że Shirley pozostaje w związku. Nabrał zwyczaju zostawiania jej liścików na biurku i dzwonienia o różnych porach do mieszkania jej kochanka. Biorąc pod uwagę jego zawód, nie miał problemu z robieniem tego w taki sposób, by nie dało się go namierzyć. Biorąc pod uwagę jej zawód, nie miała problemu z namierzeniem

go.

Oczywiście istniały procedury na taką okoliczność; procedura składania skarg, która wymagała szczegółowego opisanie „nieodpowiednich zachowań” i udowodnienia „obraźliwych postaw”; wytyczne, które nie miały większego znaczenia w przypadku pracowników wysyłanych na przynajmniej ośmiodziesięciodniowy trening bojowy w ramach stażu. Po nocy, w trakcie której dzwonił do niej sześć razy, podszedł do Shirley w stołówce i zapytał, czy dobrze spała, a ona posłała go na ziemię jednym mocnym ciosem.

Być może uszłoby to jej na sucho, gdyby zaraz nie postawiła go na nogi, po czym posłała na ziemię drugim ciosem.

„Problemy” – brzmiał werdykt działu HR. Oczywiście było, że Shirley Dander miała problemy.

Przez jej myśli przebił się głos Marcusa:

– Wszyscy o tym słyszeli. Ktoś powiedział mi, że aż podskoczył.

– Tylko za pierwszym razem.

– Miałaś szczęście, że cię nie wypieprzyli.

– Tak sądzisz?

– Racja. Ale załatwić to w biurze? Goście wylatywali za mniejsze przewinienia.

– Goście być może tak – odparła. – Ale zwolnienie dziewczyny za przywalenie zbokowi, który ją nękał, jest żenujące. Zwłaszcza jeśli ta „dziewczyna” chce wnieść oskarżenie. – Cudzysłów przy słowie „dziewczyna” nie byłby lepiej słyszalny, nawet gdyby powiedziała: „Cytuję”. – Poza tym miałam przewagę.

– Jaką przewagę?

Odepchnęła się od biurka dwiema stopami, nogi krzesła zatrzeszczały na podłodze.

– O co ci chodzi?

– O nic.

– Bo wydajesz się strasznie ciekawski jak na kogoś, kto tylko chce pogadać.

– No cóż – powiedział. – Jak chcesz rozmawiać, jeśli nie jesteś ciekawa?

Przyjrzała mu się. Nie wyglądał źle jak na swój wiek: miał opadającą lewą powiekę, która nadawała mu czujny wygląd, jakby bezustannie mierzył wzrokiem świat. Włosy Marcusa były dłuższe niż jej, ale nieznacznie; miał starannie przystrzyżoną brodę i wąsa; przywiązywał wagę do stroju. Dziś oznaczało to wyprasowane dżinsy, białą koszulę bez kołnierzyka i szarą marynarkę; czarno-fioletowy szal marki Nicole Farhi wisiał na wieszaku. Dostrzegła to wszystko nie dlatego, że ją obchodził, ale dlatego, że wszystko było informacją. Nie nosił obrączki, ale to nic nie znaczyło. Poza tym wszyscy byli albo rozwiedzeni, albo nieszczęśliwi.

– Okej – odpowiedziała. – Ale jeśli coś kombinujesz, prawdopodobnie dowiesz się z pierwszej ręki, jak mocno potrafię wałnąć.

Uniósł ręce na znak nie do końca udawanego poddania.

– Ej, ja tu tylko próbuję nawiązać kontakty zawodowe. Wiesz. W końcu jesteśmy tu nowi.

– Ale pozostali nie trzymają się razem. Może z wyjątkiem Harpera i Guya.

– Nie muszą – powiedział Marcus. – Mają prawo stałego pobytu. – Jego palce szybko zatańczyły na klawiaturze, którą zaraz odepchnął i ustawił krzesło bokiem. – Co o nich myślisz?

– Jako o grupie?

– Albo o każdym po kolei. To nie musi być wykład. Od kogo zaczniemy? – zapytał Marcus Longridge. – Zaczniemy od Lamba.

Jackson Lamb usiadł na tylnym siedzeniu autobusu, na którym umarł mężczyzna, i wyglądał na popękany betonowy podjazd i drewnianą bramę, za którą położone było centrum Reading. Jako że Lamb od dawna mieszkał w Londynie, nie był w stanie kontemplować tego widoku bez wzdrygnięcia się.

Jednak w tym momencie skupiał się na odgrywaniu roli polegającej na siedzeniu w ciszy i wspomnianiu mężczyzny, którego nazwał swoim bratem, a który w rzeczywistości nazywał się Dickie Bow<sup>\*</sup>: było to nazwisko zbyt głupkowane jak na kryptonim, ale zbyt urocze, by było prawdziwe. Dickie i Lamb przebywali w Berlinie w tym samym okresie, ale po takim czasie Lamb miał problem z przypomnieniem sobie twarzy Dickiego. Wizerunek, jaki mu się jawił, był podłużny i szpiczasty jak u szczura, ale tym właśnie był Dickie Bow: ulicznym szczurem; doświadczonym w przedostawaniu się przez dziury, które były na niego za małe. To była kluczowa umiejętność dla jego przetrwania. Ostatecznie jednak chyba mu nie pomogła.

(„Atak serca” – głosił raport z sekcji zwłok. Nie było to szczególnie zaskakujące w przypadku mężczyzny, który tyle pił, tyle palił i jadł tyle smażonych potraw co Dickie Bow. Lamb czuł się niekomfortowo podczas lektury, bo jego nawyki można było opisać tymi samymi słowami).

Lamb wyciągnął dłoń i przesunął palcem wzdłuż oparcia siedzenia znajdującego się przed nim. Jego powierzchnia była na ogół gładka; jeden z całą pewnością stary ślad po przypaleniu; słabo widoczne szlaczki w rogu sugerowały raczej przypadkowe skrobanie niż wydrapywanie wiadomości przez umierającego... Minęły lata, odkąd Bow pracował dla tajnych służb, ale nawet wówczas był jednym z członków tej wielkiej armii, której nigdy nie dopuszczono zbyt głęboko. Popularna mądrość głosiła, że takim szczurom zawsze można było ufać, ponieważ jeśli któryś z nich wziął kasę od tych drugich, następnego dnia pukał do drzwi i oczekiwał, że odpalisz mu taką samą kwotę.

Nie istniał żaden kod braterstwa. Jeśli Dickie Bow zmarłby we własnym łóżku, Lamb przeszedłby pięć stadiów bez mrugnięcia okiem: wyparcie, złość, negocjacje, obojętność, śniadanie. Jednak Bow zmarł na tylnym siedzeniu autobusu w trasie, bez biletu w kieszeni. Pomijając alkohol, fajki i smażeninę, premier nie mógł wyjaśnić, dlaczego Bow był w terenie, gdy powinien być na swojej zmianie w sklepie erotycznym w Soho.

Wstając, Lamb przesunął dłonią wzdłuż górnej półki, ale nic nie znalazł. Nawet gdyby mu się udało, nie byłoby to coś, co zostawił Dickie Bow, bo od jego śmierci minęło już sześć dni. Lamb usiadł ponownie i przyglądał się gumowej uszczelce przy podstawie okna, szukając zadrapań – było to może absurdalne, ale moskiewskie

zasady oznaczały, że zakładasz, iż twoje wiadomości zostały odczytane. Gdy trzeba było zostawić wiadomość, zostawiałeś ją w inny sposób. Choć w tym przypadku paznokieć wbity w gumową uszczelkę nie był jedną z nich.

Z przodu autobusu rozległo się niepewne, uprzejme kasłanie.

– Ja, och...

Lamb spojrzał na niego z rozpaczą.

– Nie chciałem pana poganiać. Ale czy potrzebuje pan jeszcze dużo czasu?

– Minutę – odpowiedział Lamb.

W zasadzie nie potrzebował nawet tyle. Nawet gdy mówił, przesuwał dłoń wzdłuż oparcia siedzenia, wciskał ją między dwie poduszki, gdzie natrafił na grudkę starej gumy do żucia, stwardniałej do postaci narośli na tkaninie; resztki pokruszonego herbatnika; spinacz; monetę zbyt drobną, by warto ją było wkładać do kieszeni; i krawędź czegoś twardszego, co wymknęło mu się z ręki, musiał więc zagłębić się bardziej, a mankiet jego płaszczka podjeżdżał do góry, gdy wpychał rękę. I znów to znalazł. Zacisnął dłoń na gładkiej plastikowej obudowie. Wyciągając skarb, Lamb zadrapał sobie nadgarstek na tyle mocno, by pociekła krew, ale wcale tego nie zauważył. Całą uwagę skupił na nagrodzie: starym, dużym, tanim telefonie komórkowym.

– Lamb, no cóż. Lamb jest dokładnie taki, jak się wydaje.

– Czyli?

– Tłusty dupek.

– Z długą historią.

– Stary, tłusty dupek. Najgorszy typ. Siedzi na górze i sra na nas wszystkich. Jakby przyjemność sprawiało mu zarządzanie wydziałem składającym się z...

– Nieudaczników.

– Nazywasz mnie nieudacznikiem?

– Oboje nimi jesteśmy, nieprawdaż?

Praca odeszła na drugi plan. Marcus Longridge, który właśnie nazwał Shirley Dander nieudacznikiem, uśmiechnął się do niej szeroko. Zawahała się, oceniając, w co się pakuje. Nikomu nie ufaj, postanowiła, gdy po raz pierwszy przekroczyła próg tego biura. Fryzura na jeża była częścią tego postanowienia. Nikomu nie ufaj. I oto była bliska otwarcia się przed Marcusem tylko dlatego, że to z nim dzieliła biuro. I dlaczego on się uśmiechał? Czy wydawało mu się, że jest przyjacielski? Oddychaj głęboko, powiedziała do siebie – ale w głowie. Niech tego nie widzi.

To było *clou* Łączności: dowiedz się, ile możesz, ale nie daj nic od siebie.

– Przysięgli jeszcze nie zdecydowali – powiedziała. – Co o nim myślisz? Tak naprawdę?

– No cóż, dostał własny wydział.

– Też mi wydział. To bardziej instytucja charytatywna. – Uderzyła dłonią swój komputer. – Na przykład to powinno znaleźć się w muzeum. Mamy łapać przestępców za pomocą takiego gówna? Mielibyśmy szanse, gdybyśmy przeprowadzali ankiety na Oxford Street. Przepraszam, proszę pana, czy jest pan terrorystą?

– Proszę pana albo proszę pani – poprawił ją Marcus. Po czym dodał: – Nikt nie oczekuje od nas, że będziemy łapali przestępców; mamy się tu nudzić, a potem przejść do firmy ochroniarskiej. Sprawa jednak wygląda tak, że bez względu na to, dlaczego my tu jesteśmy, Lamb nie ponosi kary. A jeśli tak jest, to kara mu się podoba.

– To co chcesz powiedzieć?

– Że on wie, gdzie pogrzebano niektóre ciała. Pewnie sam kilka pochował – odpowiedział.

– Czy to metafora?

– Byłem kiepski z angielskiego. Metafora nic dla mnie nie znaczy.

– Czyli uważasz, że jest do czegoś przydatny?

– No cóż, ma nadwagę, pije, pali i wątpię, by ćwiczył coś innego niż podnoszenie słuchawki i zamawianie curry. Ale tak, skoro o tym mówisz, to owszem, uważam, że jest przydatny.

– Może kiedyś był – odpowiedziała Shirley. – Ale nie ma sensu być przydatnym, jeśli jesteś zbyt powolny, by robić to dobrze.

Jednak Marcus miał inne zdanie. Bycie przydatnym było stanem umysłu. Lamb mógł zmęczyć cię samym stanem obok ciebie, a ty nie zdałbyś sobie sprawy, że stanowi zagrożenie, do momentu jego odejścia, gdy zacząłbyś się zastanawiać, kto zgasił światło. To tylko opinia Marcusa, oczywiście. Zdarzało się, że się mylił.

– Przypuszczam – powiedział – że jeśli zostaniemy tu wystarczająco długo, może się tego dowiemy.

Wychodząc z autobusu, Lamb potarł oko palcem, dzięki czemu wyglądał, jakby był pogrążony w żałobie, a w każdym razie, jakby coś mu się stało w oko. Kierownik dworca czuł się niezręcznie, nieswojo w obliczu smutku obcego człowieka, w przeciwnym razie zauważyłby, że Lamb wciskał rękę w oparcie fotela, i zastanowiłby się, czy poruszyć ten temat.

Aby zapobiec próbie rozmowy na ten temat, Lamb zapytał:

– Czy kierowca jest w pobliżu?

– Co, ten, który prowadził autobus, gdy...?

Gdy mój brat się przekreślił, tak. Ale Lamb tylko pokiwał głową i ponownie potarł oko.

Kierowca nie za bardzo miał ochotę rozmawiać z Lambem o niechętnym do współpracy pasażerze; dobrzy pasażerowie to tacy, którzy odchodzą po skończonym kursie i którzy się niczym nie wyróżniają. Gdy jednak kierownik dworca po raz ostatni przeprosił i udał się do swojego biura, a Lamb po raz drugi tego ranka pokazał, że posiada banknot dwudziestofuntowy, kierowcy rozwiązał się język.

– Cóż mogę powiedzieć? Przykro mi z powodu pańskiej straty.

Choć wydawał się całkiem zadowolony z możliwości zarobku.

– Czy z kimś rozmawiał? Zauważył pan? – spytał Lamb.

– Mamy głównie patrzeć na drogę.

– Zanim ruszyliście.

– Cóż mogę powiedzieć? – powtórzył kierowca. – Panie, to był pieprzony cyrk.

Parę tysięcy ludzi zdanych na siebie, staraliśmy się ich przewieźć. Więc nie, nie zauważyłem, przykro mi. Był po prostu kolejnym klientem, póki... – Zdając sobie sprawę, że zabrnął w rozmowie w ślepią uliczkę, zakończył: – No wie pan...

– Póki nie dojechał pan do Oxfordu ze sztywniakiem na tylnym siedzeniu – odpowiedział usłużnie Lamb.

– Na pewno umarł spokojną śmiercią – odparł kierowca. – Prawie nie przekraczałem limitu prędkości.

Lamb odwrócił się i spojrzął na autobus. Firmowe malowanie w kolorach czerwieni i niebieskiego, dolna połowa pojazdu była ochlapana błotem. Zwyczajny autobus, do którego wsiadł Dickie Bow i z którego nigdy nie wysiadł.

– Czy podczas tego kursu zdarzyło się coś niezwykłego? – zapytał. Kierowca wlepił w niego wzrok. – Poza nieboszczykiem.

– Przykro mi. Po prostu, wie pan: zabrać ich z dworca, wysadzić w Oxfordzie. Nie pierwszy raz to robiłem.

– A co się stało, gdy pan tam dojechał? W Oxfordzie?

– Większość szybko się zmyła. Czekał już na nich pociąg, którym mieli przejechać resztę trasy. Wówczas mieli już godzinę opóźnienia. I lało. Więc nie kręcili się w pobliżu.

– Ale ktoś odkrył ciało. – Kierowca spojrzął na niego dziwnie i Lamb domyślił się, z jakiego powodu. – Richarda. – W końcu byli braćmi, nieprawdaż? – Dickiego. Ktoś zdał sobie sprawę, że on nie żyje.

– Z tyłu autobusu było sporo ludzi, ale zdążyli już sobie pójść. Jeden z nich, lekarz, został, ale pozostali wyszli, chcąc zdążyć na pociąg. – Zamilkł. – Wyglądał dość pogodnie, tak myślę. Pański brat.

– W taki sposób chciałby odejść – zapewnił go Lamb. – Lubił autobusy. I co pan wtedy zrobił, zadzwonił po karetkę?

– Nikt nie mógł już mu pomóc, ale tak. Utknąłem tu na resztę wieczoru. Bez obrazy. Musiałem złożyć zeznania, ale o tym pan wie, prawda? Skoro jest pan jego bratem.

– Dokładnie – powiedział Lamb. – Bo jestem jego bratem. Coś jeszcze się wydarzyło?

– Panie, dzień jak co dzień. Po tym, jak go, no wie pan, zabrali, posprzątałem w autobusie i w ogóle, wróciłem tutaj.

– Sprzątał pan w autobusie?

– Nie żebym go czyścił czy coś. Po prostu sprawdziłem, czy na siedzeniach nic nie zostało, rozumiesz pan? Portfel i takie tam.

– I znalazł pan coś?

– Nie, tego wieczoru nie. Ach tak, tylko kapelusz.

– Kapelusz?

– Na półce nad siedzeniami. Niedaleko miejsca pańskiego brata.

– Co to był za kapelusz?

– Czarny.

– Czarny, ale jaki? Melonik? Fedora? Jaki?

Kierowca wzruszył ramionami.

– Zwykły kapelusz. Z rondem, no wie pan.

– A gdzie jest teraz?

– W biurze rzeczy znalezionych. Chyba że ktoś go odebrał. To był zwykły kapelusz. Ludzie ciągle zostawiają kapelusze w autobusach.

Nie, nie zostawiają, gdy leje, uznał Lamb.

Po chwili zastanowienia uświadomił sobie, że to nieprawda. Kiedy padało, więcej osób nosiło kapelusze, więc więcej osób zostawiało je w autobusach. To logiczne. Kwestia statystyki.

Ale ze statystyką jest taka sprawa, argumentował dalej Lamb, że jak facet idzie na spacer z psem, to średnio mają po trzy nogi.

– A gdzie jest biuro rzeczy znalezionych? – Wskazał ręką na bliżej nieokreśloną część budynku dworca. – Tam?

– Nie, kolego. W Oxfordzie, co nie?

– No tak, kurwa, oczywiście, pomyślał Lamb.

– A co z Ho?

– Ho jest gamoniem.

– Wiadomość z ostatniej chwili? Wszyscy goście, którzy znajdują się na internecie, są gamoniami.

– Jego gamoniowość sięga głębiej. Wiesz, jakie były jego pierwsze słowa skierowane do mnie?

– Jakie?

– Pierwsze słowa, rozumiesz? Wiesz, ja nawet jeszcze nie zdjąłem płaszcza – rozkręcał się Marcus. – To mój pierwszy dzień tutaj, myślę, że zostałem zesłany do szpiegowskiego odpowiednika Wyspy Diabelskiej, i zastanawiam się, co się zaraz wydarzy, a Ho bierze swój kubek do kawy, jest na nim zdjęcie Clinta Eastwooda, i mówi: „To mój kubek, jasne? I nie lubię, gdy ktoś używa mojego kubka”.

Shirley powiedziała:

– Okej, to kiepsko.

– Jest bardziej niż upierdliwy. Mogę się założyć, że zaznacza, która skarpetka jest lewa, a która prawa.

– A co z Guy?

– Sypia z Harperem.

– Harper?

– Sypia z Guy.

– Nie twierdzą, że nie masz racji, ale to w zasadzie nie jest opis postaci.

Wzruszył ramionami.

– Sypiają ze sobą od niedawna, więc w tej chwili to ich jedyna cecha charakterystyczna.

– To na pewno oni wychodzili wcześniej – stwierdziła Shirley. – Zastanawiam się, dokąd poszli.

– Jeśli chodzi o Park, nadal jesteśmy tu *personae non gratae*.



To było dziwne stwierdzenie z ust Mina Harpera, jeśli wziąć pod uwagę to, że byli w parku, ale Louisa Guy rozumiała, co miała na myśli.

– Wiesz? – powiedziała. – Nie jestem całkiem pewna, czy to jest powodem.

Byli w parku St James', a nie Regent's Park. Szli w stronę pałacu, a kobieta w różowym welurowym dresie zbliżała się w ich stronę po ścieżce w tempie około trzech kilometrów na godzinę. Przy jej nogach człapał mały kudłaty pies z dopasowaną kolorystycznie wstążką na szyi. Poczekali, aż przebiegnie, zanim wrócili do rozmowy.

– Wyjaśnisz?

Louisa wyjaśniła. Chodziło o Leonarda Bradleya. Do niedawna Bradley był przewodniczącym komisji, który skutecznie kontrolował wydatki kontrwywiadu. Wszystkie operacje zaplanowane przez Ingrid Tearney, Pierwsze Biurko w Regent's Park, musiały być zatwierdzone przez komisję, jeśli nie chciała mieć „problemów z budżetem”, a tak nazywano teraz wydanie wszystkich pieniędzy. Tyle że Bradley – sir Leonard, jeśli jeszcze nie odebrano mu tytułu – został ostatnio przyłapany z paluszkami w kasie: „Dziupła” w Shropshire, z kompletem personelu, który miał dbać o agentów cierpiących na stres związany z pracą dla kontrwywiadu, okazała się rezydencją przy plaży na Malediwach, choć trzeba oddać sprawiedliwość: faktycznie, miała odpowiedni personel. A efektem tych drobnych przewinień Bradleya...

– Skąd to wszystko wiesz? – przerwał Harper. – Sądziłem, że po prostu przeszedł na emeryturę.

– Och, to urocze. Ale w tej branży musisz wiedzieć, co się dzieje.

– Nic nie mów. Catherine.

Skinęła głową.

– Babskie pogaduszki? Krótka pogawędka w damskiej toalecie?

Ton jego głosu był swobodny, ale było w nim napięcie. Z czegoś go wykluczono.

– Catherine raczej nie ma w zwyczaju organizować konferencji prasowych – rzekła. – Gdy poinformowałam ją, że nas wezwano, powiedziała mi, co się działo. Nazwała to audytem.

– Skąd ona o tym wie?

Louisa odparła:

– Ma kontakty. Jedną z Królowych.

Królowe Bazy Danych były osobami, do których należało się udać, gdy potrzebne były informacje, i z tego powodu były przydatne jako przyjaciółki, a jeszcze bardziej przydatne jako kontakty.

– To czym jest audyt?

Efektem drobnych przewinień Bradleya było coś nazwanego audytem, choć bardziej precyzyjnym terminem byłoby „dochodzenie”. Nowy przewodniczący komisji, Roger Barrowby, korzystał z okazji do oczyszczenia zespołu: w jego ramach przeprowadzono szczegółowe rozmowy z wszystkimi pracownikami, obejmujące finanse, działania, emocje, aspekty psychologiczne, aktywność seksualną i zdrowie; wszystko po to, by mieć pewność, że są czysti jak łąza. Nikt nie chciał kolejnych kłopotliwych sytuacji.

– Niezły tupet – powiedział Min. – Bo wiesz, to Bradley kradł ciasteczka. Wszystkie kłopoty to sprawa komitetu, nie Regent’s Park.

– Witamy na świecie, chłopcze – wyjaśniła Louisa.

Jednak była jasna strona tej sytuacji.

– Mogę się założyć, że Taverner jest wściekła – zadumał się.

Jednak nie było czasu na rozmyślanie, jak czuje się Taverner, bo oto nadszedł James Webb, który wezwał ich na to spotkanie na świeżym powietrzu.

Webb był garniturkiem. Wprowadzie dziś garnitur na sobie nie miał – był ubrany w płowe materiałowe spodnie, ciemnoniebieski golf i czarny płaszcz przeciwdeszczowy – nie mógł jednak nikogo oszukać: był urzędasem i gdybyś Jamesa rozciął, krwawiłby prążkami. Dzisiejszy strój uważał pewnie za element przygotowania szpiega: ubranie, które wkłada się na spacer w parku. Jednak sprawiał wrażenie, jakby wpadł do swojego krawca przy Jermyn Street, wyjaśnił, że idzie na spacer w parku i chce się odpowiednio ubrać. Nieformalne ubranie pasowało do niego tak samo dobrze jak bieganie do kobiety w rózku.

Jednak on był z Regent’s Park, a oni ze Slough House. Już sam fakt, że ich wezwał, wywołał opad szczęki. Gdy kiwał głową, oni też kiwali, i poszli w jego ślady.

– Jakies problemy z wyjściem?

Równie dobrze mógł spytać, czy były korki.

– Tylne drzwi się zacinają – powiedziała Louisa. – Trzeba równocześnie w nie kopnąć i nacisnąć na klamkę. Gdy sobie z tym poradziliśmy, reszta była bułką z masłem.

– Chodziło mi o Lamba – zauważył Webb.

– Lamba nie było na miejscu – odparł Min. – Czy on nie powinien o tym wiedzieć?

– Och, i tak się w końcu o tym dowie. Nic wielkiego, naprawdę. Muszę was oddelegować. Nie na długo. Trzy tygodnie mniej więcej.

Muszę was oddelegować. Jakby był jakąś szychą. W Regent’s Park, gdy Ingrid Tearney przebywała w Waszyngtonie, czyli mniej więcej przez połowę czasu, Lady Di Taverner znalazła się w trudnej sytuacji: była jednym z kilku Drugich Biurek, ale na górze list większości osób, gdy krążyły plotki o zamachu stanu. Jeśli chodzi o Jamesa Webba, to jego biurko nie miało numeru. Był generalnie HR-owcem, jak słyszeli Min i Louisa, i miał powiązania z Riverem Cartwrightem, których szczegóły nie były żadnemu z nich znane – poza tym, że byli razem na szkoleniu, Webb wyrolował Rivera i z tego powodu River został kulawym koniem.

Być może Webb wywnioskował coś z milczenia Mina i Louisy, bo zaznaczył:

– Będziecie więc raportować do mnie.

– Jakie zadania?

– Niańczenie. Może trochę weryfikacji.

– Weryfikacji?

Weryfikacja była w dużej mierze zadaniem urzędowym, co pozostawiało domeną kulawych koni, ale wymagało zasobów, którymi nie dysponował Slough House. A poza tym na ogół przypadają odpowiedniemu wydziałowi Regent’s Park,

zajmującym się trupami w szafie, a psy – wewnętrzny gang do spraw bezpieczeństwa tajnych służb – w razie potrzeby zapewniały wsparcie.

Ale Webb sądził, że Min nie rozumie terminologii.

– Tak. Sprawdzanie osób, potwierdzanie tożsamości, oczyszczanie lokalizacji. Takie rzeczy.

– Ach, weryfikacja – rzucił Min. – Wydawało mi się, że powiedziałaś masturbacja. Zastanawiałem się, czy robi się gorąco.

– Nic skomplikowanego – odparł Webb. – Gdyby było inaczej, nie kazałbym tego robić takiemu mądrali. Ale jeśli nie jesteś na to gotowy, szepnij tylko słówko. – Zatrzymał się, a Min i Louisa zrobili o jeden krok za dużo, zanim to zauważyli. Odwrócili się w stronę Spidera. – A wtedy możecie spierdalać z powrotem do Slough House. I tych jakże ważnych zadań, które zlecono wam w tym tygodniu – zakończył.

Min mówił szybciej, niż myślał, ale Louisa zdołała odezwać się pierwsza:

– Nic nie mamy – powiedziała. – Damy radę.

Spiorunowała Mina wzrokiem.

– Jasne – potwierdził. – Brzmi ekstra.

– Ekstra?

– Chodzi mu o to, że to zadanie w sam raz dla nas – rzekła Louisa. – Jesteśmy tylko trochę... zaskoczeni wyborem miejsca spotkania.

Webb rozejrzał się, jakby dopiero teraz zobaczył, że są na zewnątrz: woda, drzewa, ptaki. Ruch uliczny, świadomy bliskości pałacu Buckingham, grzecznie szumiał po tej stronie ogrodzenia.

– Tak – odpowiedział. – Miło jest wyjść na zewnątrz.

– Zwłaszcza gdy w domu źle się dzieje. – Nie mógł się powstrzymać Min.

Louisa pokręciła głową: mam pracować z kimś takim?

Ale Webb zacisnął usta.

– To prawda, że w tej chwili w Regent's Park jest lekki obłęd.

Tak, musisz gimnastykować się przed liczykrupami, pomyślał Min. Spotkania przy dystrybutorze wody muszą być superzabawne.

– Każda organizacja potrzebuje wstrząsu od czasu do czasu – powiedział Webb. – Zobaczymy, na czym stoimy, gdy opadnie pył.

I w tym samym momencie Min i Louisa uświadomili sobie, że Webb miał zamiar wyjść z tego wstrząsu i zasiąść za biurkiem z przypisanym numerem.

– Na razie jednak musimy łątać dziury. Nasz dział jest zajęty, jak sobie możecie wyobrazić, weryfikowaniem personelu Regent's Park. I właśnie dlatego jesteśmy zmuszeni do, ech...

– Outsourcingu?

– Można to tak nazwać.

– Opowiedz nam o tym niańczeniu – zaproponowała Louisa.

– Spodziewamy się gości – odrzekł Webb.

– Jakiego rodzaju?

– Rosyjskiego.

– To miło. A oni nie są teraz naszymi przyjaciółmi?

Webb zaśmiał się uprzejmie.

– A jaka okazja?

– Rozmowy o rozmowach.

– Broń, ropa czy kasa? – zapytał Min.

– Cynizm jest przereklamowaną cechą, nie sądzisz? – Webb ruszył przed siebie, a oni poszli za nim, jedno z jednej strony, drugie z drugiej. – Rząd raczej czuje wiatr zmian ze Wschodu. Nic nagłego, ale musicie przygotować się na przyszłość. Wyciągnięcie ręki do tych, którzy pewnego dnia mogą być, hm, wpływowi, to zawsze dobry pomysł.

– Czyli ropa – powiedział Min.

– Kto jest tym gościem? – spytała Louisa.

– Nazywa się Paszkin.

– Jak ten poeta?

– Prawie jak poeta, owszem. Arkady Paszkin. Sto lat temu byłby watażką. Dwadzieścia lat temu należałby do mafii. – Webb zamilkł. – No cóż, dwadzieścia lat temu prawdopodobnie należał do mafii. Obecnie jednak jest głównie miliarderem.

– I chcesz, żebyśmy go sprawdzili?

– Boże, nie. Gość jest właścicielem rafinerii. Mógłby mieć cały pierdolony cmentarz w szafie, a rząd by to zignorował. Ale przywiezie ze sobą ludzi, odbędą się rozmowy na najwyższym szczeblu i wszystko musi przebiec gładko. Jeśli tak nie będzie, no cóż, Regent's Park z pewnością będzie musiał znaleźć kozły ofiarne.

– I to będziemy my.

– To będziecie wy – uśmiechnął się przelotnie, co być może miało załagodzić sytuację, ale nie przekonało ani Mina, ani Louisy. – Macie z tym jakiś problem?

– Sądzę, że sobie poradzimy – odrzekł Min.

– Mam taką nadzieję. – Webb znów się zatrzymał. Do Mina zaczęły wracać wspomnienia z czasów, gdy jego dwaj synowie byli mali i szedł z nimi na spacer. Dotarcie gdziekolwiek było wyzwaniem: wszystko, co napotkali po drodze, wzbudzało ich zainteresowanie: gałązka, gumka recepturka, paragon, i skutkowało pięciominutowym opóźnieniem. – Zatem... – kontynuował Webb, zbyt swobodnie – jak się sprawy mają na waszym podwórku?

Naszym podwórku, chciał spapugować Min. Jasne.

– Stara bieda – odpowiedziała Louisa.

– A Cartwright?

– Bez zmian.

– Jestem zaskoczony, że się nie poddaje. Bez urazy. Zawsze miał o sobie wysokie mniemanie. Z pewnością źle znosi tę pracę. Z daleka od akcji.

W jego słowach słychać było słabo skrywaną satysfakcję.

Min uznał, że nie jest fanem Spidera. Nie był też właściwie szczególnym fanem Rivera Cartwrighta, teraz jednak istniała granica, której nie było tam wcześniej, i można było ją prosto określić: Cartwright był kulawym koniem, tak samo jak Min, tak samo jak Louisa. Kiedyś nie oznaczało to nic więcej ponad to, że do wysmarowania ich smołą użyto tego samego pędzla. Teraz jednak, choć niekoniecznie

trzymali się blisko, nie dopierdalali się do siebie w obecności innych. A już na pewno nie w obecności garniturków z Regent's Park.

– Przekażę pańskie pozdrowienia – powiedział. – Wiem, że czule wspomina wasze ostatnie spotkanie.

Na którym River przywalił Webbowi tak, że ten stracił przytomność.

Louisa spytała:

– Czy Lamb wie, że pan nas, ekhm, oddelegowuje?

– Wkrótce się dowie. Czy jest ryzyko, że narobi zamętu?

– No cóż – odpowiedziała Louisa. – Jestem pewna, że nawet jeśli go to zdenerwuje, zachowa to dla siebie.

– Tak – dodał Min. – Przecież zna pan Lamba. To urodzony dyplomata.

– Chryste – powiedział Lamb. – Tylko nie on.

Na dworcu w Oxfordzie, po kolejnej półgodzinie oczekiwania na pociąg, Lamb szukał kogoś, kto powie mu, gdzie znajduje się biuro rzeczy znalezionych, a pierwszą twarzą, którą ujrzał, była twarz łasicy: nadal niespokojna, nadal niepomocna i zdecydowanie niezadowolona, gdy znów dostrzegła Jacksona Lamba.

Miał zamiar go po prostu minąć, ale Lamb już nie za bardzo mógł udawać kolejnego przechodnia. Złapał go za łokieć okryty mundurem.

– Możemy na słówko?

Łasica spojrział na dłoń Lamba, później na jego twarz, a później, powoli, ostentacyjnie, na funkcjonariusza policji kolejowej, który stał kilka metrów dalej i pokazywał ładnej blondynce, jak czytać mapę. Lamb poluzował uścisk.

– Jeśli to cię zainteresuje – powiedział – nadal mam te dwadzieścia funtów. – Mógł dodać: wbrew oczekiwaniom kierowcy autobusu z Reading. – Nie ma więc powodów, byśmy nie załatwili tego polubownie.

Uśmiechnął się, by pokazać, co oznacza „polubownie”, jednak odsłonięte zęby z żółtymi przebarwieniami mogły też zostać zinterpretowane jako „złe zamiary”.

Prawdopodobnie zadziałała więc wzmianka o kasie, a nie przyjazne zabieganie o względy.

– O co chodzi tym razem? – zapytał łasica.

– Rzeczy znalezione. Gdzie je znajdę?

– W biurze rzeczy znalezionych.

– Wspaniale nam idzie – powiedział Lamb. – A gdzie ono się znajduje?

Łasica zacisnął usta i spojrział wymownie na miejsce, w którym w kieszeni wewnętrznej znajdował się portfel Lamba. Oczywiście było, że same obietnice już nie zadziałają.

Policjant skończył lekcję geografii i spojrział w ich stronę.

Lamb skinął do niego, a policjant odpowiedział tym samym. Zapytał łasicę:

– Od jak dawna tu pracujesz?

– Od osiemnastu lat – odpowiedział łasica. Ton jego głosu sugerował, że jest z tego dumny.

– Cóż, jeśli chcesz pracować tu dziewiętnaście lat i jeden dzień, bądź uprzejmy. Ponieważ przez ostatnie dziewiętnaście lat, a nawet dłużej, zajmowałem się

zbieraniem informacji, które ludzie woleliby przede mną ukryć, więc wydobycie odrobiny informacji z gnojka w mundurze nie powinno być aż takim wyzwaniem. Nie sądzisz?

Łasica rozejrzała się za policjantem, który spokojnym krokiem szedł teraz w stronę budki z kawą.

– Oj, serio? – rzucił Lamb. – Myślisz, że uda mu się tu podejść, zanim złamię ci nos?

W wyglądzie Lamba nie było nic, co sugerowałoby, by był się w stanie poruszać, ale coś w jego postawie podpowiadało, że niemądrze byłoby odrzucić propozycję. Jackson Lamb przyglądał się, jak łasica z mozołem kalkuluje ryzyko i z trudem stara się wyciągnąć wnioski, i wtedy gwałtownie ziewnął. Gdy lwy ziewają, nie znaczy to, że są zmęczone. Ziewanie oznacza, że się budzą.

– Peron drugi – powiedział łasica.

– Prowadź – nakazał Lamb. – Szukam kapelusza.

W St James's Park Webb podał im różową tekturową teczkę, której klapka zaklejona była etykietką, i odszedł. Louisa i Min kierowali się teraz w stronę City, ale szli najpierw wokół jeziora, na wypadek gdyby prosta trasa okazała się drogą zbyt krótką.

– Gdyby jeszcze raz powołał się na rząd, roześmiałabym się mu w twarz – powiedziała Louisa.

– Hmm. Co? Ach, tak. Dobrze.

Sprawił wrażenie, jakby był setki mil stąd.

– Kółko się kręci – zauważyła. – Ale chomik padł.

Min potwierdził jej słowa, chrząkając w odpowiedzi.

Wzięła go pod rękę, bo mogli przecież udawać, że to przykrywka. Na skale pośrodku jeziora pelikan prostował skrzydła. Jakby składany parasol z rączką ćwiczył aerobik.

– Szykowałeś się na konfrontację, prawda?

– To znaczy?

– Myślałam, że rzucisz się na niego z pięściami.

Uśmiechnął się zmieszany.

– Tak. Cóż. Strasznie mnie wkurwił.

Louisa stłumiła uśmiech. Min zmienił się w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a ona była świadoma, że jest przyczyną tej zmiany. Jednak wiedziała też, że każda kobieta miałaby taki sam wpływ: Min znów uprawiał seks, a to zawsze sprawia, że krok staje się bardziej sprężysty. Życie Mina, podobnie jak jej, legło w gruzach parę lat temu: w przypadku Mina kluczowym momentem było zostawienie dysku z tajnymi danymi w pociągu metra. Jego małżeństwo było koszmarem dla obu stron. Louisa tymczasem nawaliła podczas śledzenia podejrzanego, w efekcie czego doszło do strzelaniny na ulicy. Ale kilka miesięcy temu oboje na tyle otrząsnęli się z odrętwienia (każde ze swojego), by zacząć romans, i w tym samym czasie Slough House na krótki moment odżył. Od tamtego momentu sprawy wróciły do normalnego rytmu, ale optymizm nie całkiem wyginął. Podejrzewali, że Jackson Lamb ma teraz solidnego haka na Dianę Taverner, na tyle mocnego, że jeśli nawet nie była marionetką w jego rękach, to

pozostawała mu dłużna.

A dług oznaczał władzę.

Louisa powiedziała:

– Webb to ten gość, którego River posłał na deski, prawda?

– Zgadza się.

– Jestem zaskoczona, że udało mu się z tego podnieść.

– Uważasz, że River jest aż tak silny? – spytał Min.

– A ty nie?

– Nie bardzo.

Parsknęła lekko.

– Co?

– Chodzi o ciebie. Ten ruch ramieniem, gdy to powiedziałaś. – Wykonała ten ruch z wyraźną przesadą. – Jakbyś mówił: „Ale nie tak silny jak ja”.

– Nie zrobiłem tak.

– Owszem, zrobiłeś – powtórzyła. – O tak. Jakbyś występował w Mistrzostwach Świata Strongman albo czymś podobnym.

– Nie zrobiłem. I chodziło mi o to, że jasne, River potrafi się o siebie zatroszczyć. Ale raczej nie będzie w stanie pozbyć się pupilka Lady Di, nie sądzisz?

– To zależy od tego, co ten pupilek mu zrobił.

Okrążyli jezioro. Po trawie, na stopach zbyt dużych w stosunku do nóg, stąpały dwa irytujące ptaki, których żadne z nich nie było w stanie zidentyfikować, a w niewielkiej odległości sunął czarny łabędź. Wyglądał na zdenerwowanego.

– Nie przeszkadza ci to?

– Niańczenie. Nic szczególnie ekscytującego.

– Dzięki niej możemy wyjść z biura.

– O ile nas w nim nie zatrzyma. Będzie dużo papierkowej roboty. Ciekawe, co powie Lamb.

Min zatrzymał się, więc Louisa, nadal trzymająca go pod ramię, także stanęła. Razem obserwowali, jak łabędź patroluje pofalowany brzeg jeziora i bez ostrzeżenia uderza w coś pod powierzchnią wody, a jego szyja na chwilę staje się słupem czarnego światła pod wodą.

– Czarne łabędzie. Czytałam o nich wczoraj – powiedziała Louisa.

– Co, były w menu na wynos? To trochę chore.

– Zachowuj się. W którymś numerze „Sunday Timesa”. Jest takie wyrażenie „czarny łabędź”. – wyjaśniła. – Oznacza całkowicie niespodziewane wydarzenie, które ma dużą siłę rażenia. Ale takie, które po fakcie, z perspektywy czasowej, wydaje się już przewidywalne.

– Hmm.

Szli dalej. Po chwili Louisa zapytała:

– O czym wtedy myślałeś? Gdy tak odpłynąłeś?

– Pomyślałem, że gdy ostatnim razem zostaliśmy wciągnięci w operację Regent's Park, ktoś chciał nas załatwić – odpowiedział.

Czarny łabędź raz jeszcze schował głowę w wodzie.

Shirley Dander podniosła swój kubek z kawą na wynos, odkryła, że napój wystygł, ale i tak się napiła. Po czym zapytała:

– Standish?

– Lady Catherine. – Marcus wykonał prawą dłonią gest naśladujący picie z butelki. – Lubi sobie wypić.

To nie brzmiało wiarygodnie. Catherine Standish była dość spięta, a ponieważ ubierała się raczej staromodnie, przypominała Alicję z Krainy Czarów, ale rozczarowaną i w średnim wieku. Jednak Marcus wydawał się pewny swego.

– Teraz jest trzeźwa. Pewnie od lat. Ale jeśli potrafię rozpoznać pijaka, a spotkałem ich całkiem sporo, to sądzę, że w czasach jej chwały załatwiłaby mnie tak, że przegrałbym pojedynek z nią i spadł pod stół. Ty również. Po kolei.

– Zupełnie jakbyś mówił o bokserze.

– Twoja naprawdę zaawansowana alkoholiczka podchodzi do alkoholu jak do bójki w barze. Rozumiesz, tylko jedno z nas ustoi na własnych nogach. A alkoholik zawsze będzie uważał, że to on wygra. A w tym przypadku: ona.

– Ale teraz już nie pije.

– Wszystkim im tak się wydaje.

– Cartwright? Sparaliżował King's Cross.

– Wiem, widziałam ten filmik.

Filmik pokazujący fatalne w skutkach ćwiczenie oceny sytuacji, które spowodowało panikę w czasie godziny szczytu na jednej z głównych stacji kolejowych w Londynie, był od czasu do czasu wykorzystywany w celach szkoleniowych ku niezadowoleniu Cartwrighta.

– Jego dziadek jest jakąś legendą. David Cartwright? To musiało być, zanim zaczęłam.

– Tak, to dziadek Cartwrighta – potwierdził Marcus. – To było, zanim ktokolwiek z nas tu pracował. Ale był szpiegiem w mrocznych czasach. Nadal żyje, pamiętaj o tym.

– To dobrze – odparła Shirley. – Inaczej przewracałby się w grobie. Wiedząc, że Cartwright jest kulawym koniem i w ogóle.

Marcus Longridge odsunął się od biurka i wyciągnął ramiona. Mógłby blokować wejścia, pomyślała Shirley. Pewnie to robił, gdy jeszcze służył w Operacjach: brał udział w obławach; jakiś rok wcześniej zamknął aktywną komórkę terrorystyczną. W każdym razie taka krążyła historia, ale musiało być coś jeszcze, w przeciwnym razie nie byłoby go tutaj.

Wpatrywał się w nią. Jego oczy były ciemniejsze niż skóra – takie spostrzeżenie wpadło jej do głowy.

– Co?

– Jaki miałaś argument?

– Argument?

– Przez który nie mogli cię zwolnić.

– Rozumiem, o czym mówisz. – Gdzieś nad ich głowami słychać było krzesło szurające po podłodze, potem kroki skierowane do okna. – Powiedziałam im, że



jestem lesbijką – odparła w końcu.

– Serio?

– Nie było sposobu, by wywalili lesbę, która powaliła ciosem jakiegoś dupka obmacującego ją na stołówce.

– To dlatego obciąłaś włosy?

– Nie – odrzekła. – Obciąłam włosy, bo miałam na to ochotę.

– Jesteśmy po tej samej stronie?

– Nie jestem po niczyjej stronie, tylko po swojej.

Skinął głową.

– Rób, jak uważasz.

– Tak też zrobię.

Odwróciła się z powrotem w stronę wygaszonego ekranu. Gdy przesunęła myszkę, monitor z niezadowoleniem wyświetlił obraz dwóch twarzy w tak oczywisty sposób niepasujących do siebie, że program musiał sobie robić z niej jaja.

– A tak naprawdę jesteś lesbijką? Czy tylko tak im powiedziałaś?

Shirley nie udzieliła odpowiedzi.

Na ławce na dworcu w Oxfordzie siedział Jackson Lamb; płaszcz zwisał po obu stronach jego ciała, rozpięty guzik od koszuli pozwalał zobaczyć fragment owłosionego brzucha. Podrapał się tam z roztargnieniem, zaczął walczyć z guzikiem, po czym poddał się i zakrył wałek czarną fedorą, na której skupił swój wzrok, jakby kapelusz skrywał tajemnicę Świętego Graala.

Czarny kapelusz. Pozostawiony w autobusie. Tym autobusie, w którym zmarł Dickie Bow.

Co samo w sobie nie znaczyło wiele, jednak Jackson Lamb był pogrążony w myślach.

Gdy autobus dotarł do Oxfordu, mocno padało, a pierwszą rzeczą, którą robisz po wyjściu z autobusu na deszcz, jest włożenie kapelusza, o ile takowy posiadasz. A jeśli go nie masz, to od razu po niego wracasz. Chyba że nie chciałeś zwracać na siebie uwagi; że chciałeś pozostać częścią tłumu zmierzającego na perony, wsiadającego do pociągu, odjeżdżającego z tego miejsca jak najszybciej...

W Lamba ostentacyjnie wpatrywała się kobieta, która była zdecydowanie zbyt atrakcyjna, by robić to ze zwykłego zainteresowania. Jednak – jak zdał sobie sprawę Lamb – nie wpatrywała się w niego, lecz w papierosa, którego, jak teraz dostrzegł, trzymał między dwoma palcami lewej ręki, tej, którą stukał w kapelusz. Jego prawa dłoń szukała już zapalniczki, a ten ruch nie różnił się za bardzo od drapania się po jajach. Uśmiechnął się krzywo do kobiety, najlepiej jak potrafił, rozszerzając jedno nozdrze, na co ona odpowiedziała rozszerzeniem obu nozdrzy i odwróceniem głowy. A on i tak zatknął papierosa za ucho.

Gmerająca dłoń zakończyła poszukiwania zapalniczki i zamiast niej wyciągnęła komórkę, którą Lamb znalazł w autobusie.

Był to stary telefon, czarno-szara nokia, mająca mniej więcej tyle samo funkcji co otwieracz do butelek. Zrobienie nią zdjęcia było tak samo prawdopodobne jak wysłanie e-maila zszywaczem. Ale gdy Lamb nacisnął guzik, ekran z piskiem ożył

i Lamb był w stanie przejrzeć listę kontaktów. Pięć numerów: Shop, Digs i Star, które brzmiały jak miejscówki Bowa, i dwa prawdziwe imiona: Dave i Lisa, do których Lamb zadzwonił. Na komórce Dave'a od razu włączyła się poczta głosowa. Pod numerem stacjonarnym Lisy nic się nie włączyło, otworzyła się tylko brama do szumiącej próżni, w której nigdy nie zostanie odebrany żaden telefon. Lamb wszedł do wiadomości i znalazł tylko informację od operatora sieci, która głosiła, że Bow ma 82 pensy na koncie przedpłaconym. Lamb zastanawiał się, jaki ułamek ziemskich dóbr Bowa stanowiły te 82 pensy. Może mógł wysłać Lisie czek. Przeszedł do wysłanych wiadomości. Tu też było pusto.

Ale Dickie Bow wyjął komórkę na krótką chwilę przed śmiercią i wcisnął ją między poduszki siedzenia, jakby chciał mieć pewność, że znajdzie ją tylko ktoś, kto będzie jej szukał. Ktoś, komu miał przekazać wiadomość.

Niewysłaną wiadomość, jak się okazało.

Nadjechał pociąg, ale Lamb został na ławce. Niezbyt wiele osób wysiadło, niewiele wsiadło. Gdy pociąg odjeżdżał, Lamb zobaczył, że ta atrakcyjna młoda kobieta rzuca mu przez okno gniewne spojrzenie, więc w odpowiedzi puścił cichego bąka: zwycięstwo było prywatne, ale dawało satysfakcję. Później znów obejrzał telefon. Robocze. Był folder „robocze” w wiadomościach. Otworzył go i znalazł jedną zachowaną wiadomość zawierającą jedno zachowane słowo, które patrzyło na niego z maleńkiego ekranu.

Obok stóp Jacksona Lamba gołąb drapał w podłoże, naśladując ptaki, którym takie działanie mogło przynieść efekty. Lamb go nie zauważył. Był pochłonięty jednym słowem, które wklepano do telefonu, ale którego nigdy nie przekazano dalej; zamkniętym na zawsze w tym czarno-szarym pudełku, razem z niewykorzystanym połączeniem o wartości 82 pensów. Jakby ostatnie słowo umierającego zostało wdmuchnięte do butelki, zakorkowane i wypuszczone, gdy został już spełniony przykry obowiązek uprzątnięcia ciała: tutaj, na peronie kolejowym Oxfordshire, gdy późnomarcowe słońce starało się dać o sobie znać, a tłusty gołąb pałętał się pod nogami.

– „Cykady” – powiedział głośno Lamb. A później powtórzył: – „Cykady”. – Po czym dodał: – Ja pierdołę.

---

\* *Dicky bow* – z ang. slang. mucha (element garderoby) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Shirley Dander i Marcus Longridge wrócili do swoich zadań; po ich rozmowie atmosfera zmieniła się tylko odrobinę. W Slough House dźwięki łatwo przenikały przez ściany. Gdyby Roderick Ho był zainteresowany, mógłby oprzeć głowę o ścianę oddzielającą ich biura, by lepiej słyszeć tę dwójkę, ale teraz dobiegał go tylko znajomy szum ludzi budujących relacje – zresztą i tak był zajęty uaktualnianiem swojego statusu online: dodawał na Facebooku posty opisujące jego weekend w Chamonix, wrzucał na Twittera link do ostatniej składanki tanecznej... W tych działaniach Ho nazywał się Roddy Hunt; kawałki muzyczne były kradzione z mało znanych stron, które później niszczył; jego fotki były przerobionymi fotosami młodego Montgomery'ego Clifta. Ho nadal był zdziwiony, że da się zbudować człowieka z linków i zrzutów ekranu i puścić go w świat niczym papierową łódkę, a ona będzie płynąć przed siebie. Wszystkie detale budujące człowieka mogły być prawdziwe. Jediną fałszywką był człowiek... Zbudowanie atrapy wzorca pracy dla jego ID użytkownika było najbardziej genialną rzeczą, jaką Ho zrobił w tym roku. Każdy, kto monitorowałby jego czas pracy na komputerze, zobaczyłby, że Ho cały czas jest podpięty do sieci wywiadu i opracowuje archiwum operacji.

Ho nie był więc zainteresowany paplaniem Shirley i Marcusa. Z kolei biuro położone nad nimi było puste, bo Harper i Guy jeszcze nie wrócili. Gdyby było inaczej, prawdopodobnie jedno z nich uklękłoby na podłodze, przyłożyło ucho do podłogi i zrelacjonowało drugiemu rozmowę słowo po słowie. A gdyby był tam River Cartwright, tam, a nie w pokoju nad biurem Ho, być może zrobiłby to samo: takie lekarstwo na nudę.

Do nudy River powinien już być przyzwyczajony, jednak problem nawracał jak ukąszenie komara sprzed tygodnia, które nie dawało mu spokoju. Choć gdyby to porównanie miało być prawdziwe, pomyślał teraz River, musiałyby założyć rękawice bokserskie: wtedy nie mógłby się drapać, jedynie pocierał bez efektu.

Jeszcze kilka miesięcy temu nie był sam w tym biurze. Teraz pokój należał tylko do niego, choć zostało w nim drugie biurko, wyposażone w komputer, który był nowszy, szybszy i mniej wyeksploatowany niż komputer Rivera. Mógł go skonfiskować, ale w służbach komputery były przypisane do użytkowników, więc musiałyby wysłać podanie do działu IT, by przydzielili mu komputer; zadanie na pół godziny, które mogło zająć osiem miesięcy. I choć mógł skrócić ten proces, prosząc Ho o interwencję, wymagałoby to poproszenia Ho, a on nie był aż tak zdesperowany.

Wystukał paznokciami nieregularny rytm i wpatrywał się w sufit. Dokładnie taki bezsensowny hałas sprawiłby, że Jackson Lamb odpowiedziałby grzmotnięciem, które oznaczałoby zarówno: „Cisza!”, jak i: „Chodź tutaj!”. Fakt, że nie było nic do roboty, nie powstrzymywał Lamba od wymyślania zadań. W zeszłym tygodniu wysłał Rivera do zbierania kartonów po żarciu na wynos. River wyjmował je z koszy, rynsztoków,

zabierał z dachów aut; prawdziwe skarby, nadgryzione przez szczury albo lisy, znajdował też na rabatach kwiatowych w Barbicanie. Po czym Lamb kazał mu porównać je z tymi z jego własnej kolekcji – owocem sześciu miesięcy popołudniowych posiłków. Nabrał przekonania, że Sam Yu, właściciel położonego po sąsiedzku New Empire, daje mu jedzenie w mniejszych opakowaniach niż wszystkim innym, więc „gromadził dowody”. Z Lambem nigdy nie było wiadomo: może mówił serio, może robił sobie jaja. W każdym razie to River musiał grzebać w śmieciach.

Parę miesięcy temu, przez chwilę, wyglądało na to, że sprawy ulegną zmianie. Po latach koczowania na górze i radosnego srania na tych, którzy byli pod nim, Lamb zaczął wykazywać zainteresowanie; a przynajmniej sprawiało mu radość dokręcanie śruby Lady Di Taverner w Regent's Park. Jednak pleśń znów narosła: Lamba znudziła ekscytacja, uznał, że woli wygodę jednakowych dni, więc River nadal był na swoim miejscu, a Slough House nadal był Slough House. A praca była taką samą czarną robotą jak zawsze.

Dzisiejszy dzień tylko to potwierdzał. Dziś River pisał na komputerze. Wczoraj obsługiwał skaner; dziś skaner nie działał, więc River pisał na komputerze, wklepując do bazy danych informacje o zgonach z epoki przedcyfrowej. Wszyscy denaci mieli mniej niż sześć miesięcy i zmarli, gdy nadal obowiązywała reglamentacja żywności; byli idealnymi kandydatami do kradzieży tożsamości. W tamtym okresie załatwiano się to, spisując nazwiska z nagrobków – trochę mniej niewinna forma kalkowania. Później zgłaszano zagubienie aktów urodzenia i wnioskowano o wydanie kopii; następnie wystarczyło tylko odrysować życie, jakie mogło mieć to dziecko, i towarzyszącą temu dokumentację: numer ubezpieczenia, konto bankowe, prawo jazdy... Można było sfalszować wszystkie detale definiujące człowieka. Prawdziwy był tylko człowiek. Ale każdy, kto tego dokonał, obecnie mógł już pobierać emeryturę. Każdy szpieg w stanie spoczynku używający nazwisk, które odnalazł River, równie dobrze mógł się nazwać Rip Van Winkle\*. Była to więc stworzona na siłę robota dla kulawych koni, zapychanie dziur w podręcznikach do historii, nic więcej. A gdzie był Jackson Lamb?

Siedzenie na tyłku nie odpowie na to pytanie. River wstał, choć nie podjął tej decyzji świadomie, i popłynął z prądem: wyszedł z biura, wszedł po schodach. Na najwyższym piętrze zawsze było ciemno. Nawet kiedy drzwi do gabinetu Lamba były otwarte, rolety w oknach pozostawały zaciągnięte, a biuro Catherine, położone na tyłach budynku, skrywało się w cieniu pobliskiego biurowca. Catherine wolała lampki od lamp sufitowych – była to jedyna jej cecha wspólna z Lambem – a te nie tyle rozświetlały mrok, co go podkreślały, rzucając bliźniacze plamy żółtego światła między obszary pochłonięte przez mrok. Jej monitor skrzył się szarą poświatą, a gdy River wszedł do pomieszczenia, w jego blasku wyglądała jak z baśni: gromadząca mądrość blada dama.

River siadł gwałtownie na krześle obok sterty różnokolorowych teczek. Choć reszta świata wolała dane cyfrowe, Lamb upierał się przy wydrukach. Kiedyś bawił się pomysłem stworzenia nagrody dla pracownika miesiąca, opierającej się tylko na ciężarze wyprodukowanych dokumentów. River nie wątpił, że gdyby Lamb miał

wagę i wystarczającą wytrwałość, doprowadziły do jej powstania.

– Niech zgodnę – powiedziała Catherine. – Wykonałeś już swoje zadania i chcesz, żeby ci zlecił kolejne.

– Ha, ha. Gdzie go pognało, Catherine?

– Nie mówi mi tego. – Sprawiała wrażenie, jakby rozbawiło ją, że River sądzi, iż Lamb mógłby jej mówić. – Robi, co chce. Nie pyta mnie o pozwolenie.

– Ale jesteś najbliżej. – Jej mina nie zmieniła się ani trochę. – To znaczy geograficznie. Odbierasz jego telefony. Prowadzisz jego kalendarz.

– Jego kalendarz jest pusty, River. Lamb głównie patrzy w sufit i pierdzi.

– Fascynujący obraz.

– I pali. A to biuro rządowe.

– Moglibyśmy dokonać obywatelskiego zatrzymania.

– Może lepiej poćwiczymy na kimś drobniejszym.

– Nie wiem, jak jesteś w stanie to znieść.

– Och, dziękuję Bogu. – W oczach Rivera rozbłysnął strach. – Żartuję. Nawet świętego popchnąby do samobójstwa. I szczerze mówiąc, nieważne, co robi, cieszę się, że nie ma go tutaj.

– Nie ma go w Regent's Park – powiedział River. Gdy Lamb był w Park, dbał o to, by wszyscy byli tego świadomi. Prawdopodobnie z nadzieją, że ktoś się złamie i zapyta, czy może pójść z nim. – Ale coś się dzieje. Zachowuje się dziwnie. Nawet jak na niego.

Dziwność Lamba mogłaby uchodzić za normalność w przypadku innych ludzi. Dzwonił jego telefon, Lamb go odbierał. Kazał Ho odblokować przeglądarkę, co oznacza, że sprawdzał coś w internecie. W zasadzie to sprawiał wrażenie, jakby miał jakąś pracę do wykonania.

– I nie pisał ani słowa – stwierdził River.

– Nic a nic.

– Czyli nie masz pojęcia, co wyciągnęło go na ulicę.

– Och, tego nie powiedziałam – odrzekła Catherine.

River przyglądał się jej, staroświeckiej postaci, której blada kolorystyka sugerowała, że żyje w zamkniętych pomieszczeniach. Ubrania zakrywały ją od nadgarstków po kostki. Nosila kapelusze, na litość boską. Strzelał, że jest koło pięćdziesiątki, i do czasu zeszłorocznych wydarzeń nie poświęcał jej wiele uwagi: w siedzącej w kącie kobiecie w jej wieku nie było niczego, co mogłoby zainteresować takiego sztywniaka jak on. Ale gdy zaczął się ten burdel, ona nie spanikowała. Nawet wycelowała broń w Spidera Webba – podobnie jak River. To wspólne doświadczenie sprawiło, że stali się członkami elitarnego klubu.

Czekała na jego odpowiedź.

– Powiesz coś? – zapytał.

– Do kogo zwraca się Lamb, gdy czegoś potrzebuje?

– Do Ho – odpowiedział River.

– Dokładnie. A wiesz, jak tu wszystko słychać.

– Słyszałaś ich rozmowę?

- Nie – odparła Catherine. – I to właśnie było interesujące.
- Interesujące, ponieważ Lamb nie miał w zwyczaju modulować głosu.
- Więc o cokolwiek chodzi, nie jest przeznaczone dla takich jak my.
- Ale Roddy wie.

Interesujące było też, że Catherine nazwała Ho Roddy. Nikt nie nazywał Ho w żaden sposób. Nie pozostawał osobą, która angażowała się w rozmowy nie o pracy, ponieważ o ile nie byłeś podłączony do internetu szerokopasmowego, nie byłeś również wart uwagi Ho.

Z drugiej jednak strony obecnie posiadał informacje, które River też chciałby mieć.

- W porządku, w takim razie chodźmy pogadać z Roddym, dobrze? – powiedział.

- Fajny – ocenił Min.
- Tylko na tyle cię stać?
- W takim razie: spektakularny. Lepiej?
- O wiele.

Byli na siedemdziesiątym siódmym piętrze jednego z najnowszych budynków w City; wielka szara igła, która unosiła się na wysokość osiemdziesięciu pięter w londyńskie niebo. I pokój, w którym się znajdowali, robił wrażenie, był ogromny, długi na ojej metrów i szeroki na wow metrów, z oknami sięgającymi podłogi, wychodzącymi na północną i zachodnią część stolicy, i szeroki horyzont za nimi, gdzie kończyło się miasto, a zaczynał nieboskłon. Mogłabym tu siedzieć całymi dniami, pomyślała Louisa: nie jeżdżąc, nie pijąc, po prostu podziwiając widoki, przy każdej pogodzie, w każdym świetle. Słowo „spektakularny” nie oddawało mu sprawiedliwości.

Nawet jazda windą była ekscytująca: cichsza, bardziej płynna i szybsza niż wszystkie, którymi jechała wcześniej.

Min powiedział:

- Fajna, nie sądzisz?
- Winda?
- Recepcja. Plastikowi gliniarze.

Ochroniarze, którzy obejrzeni ich legitymacje, wyglądali na zdziwionych i zazdrosnych, jak uznał Min. Louisa pomyślała, że ich spojrzenie bardziej przypominało to, jak dzieciaki z rodzin żyjących z zasiłków patrzyły na te ze szkół prywatnych: odwieczna nienawiść biedaków do bogaczy. Ponieważ Louisa sama pochodziła z biednej rodziny, delectowała się ironią tej sytuacji.

Przyłożyła dłoń do szyby. Później oparła o szkło także czoło. W ten sposób miała wrażenie bezpiecznego zawrotu głowy; w brzuchu czuła motylki, choć jej mózg cieszył się widokiem. Min stał obok, z rękami w kieszeniach.

- Byłeś kiedyś wyżej? – zapytała.
- Przyjrzał się jej dokładnie.
- No-o. A samolot?
- Tak, ale nie o to chodzi. Najwyższy budynek.
- Empire State.

– Byłam, widziałam.

– Dwie wieże?

Pokręciła głową.

– Już ich nie było, gdy pojechałam do Nowego Jorku.

– U mnie tak samo.

Przez chwilę milczeli, przyglądając się, jak żyje Londyn pod nimi, mając podobne myśli: o poranku w innym mieście, gdy ludzie stali na większej wysokości, cieszyli się podobnymi widokami z innych okien, nie mając świadomości, że już nigdy nie postawią nogi na ziemi; że nic ich życia została przecięta nożem do kartonu.

Teraz Min wskazał coś palcem, a ona, popatrzawszy w tym kierunku, ujrzała w oddali punkcik. Samolot. Nie jeden z samolotów liniowych startujących z Heathrow, ale małą, głośną maszynę, lecącą własną trasą.

Min powiedział:

– Jestem ciekaw, jak bardzo mogą się zbliżyć.

– Myślisz, że to ma znaczenie? – spytała Louisa. – Ten miniszczyt? Jest na tyle ważny, by odbyła się... powtórka?

Nie sprecyzowała, o powtórkę czego chodzi. Po chwili Min odpowiedział:

– Nie, chyba nie.

W przeciwnym razie nie powierzono by im tej sprawy. Bez względu na audyt w Regent's Park.

– Ale trzeba to zrobić porządnie.

– Przyjrzeć się ze wszystkich stron – zgodziła się.

– W przeciwnym razie wypadniemy źle, nawet jeśli nic złego się nie przytrafi.

– Myślisz, że to rodzaj testu?

– Jakiego testu?

– Dla nas – odpowiedziała. – Sprawdzenie, czy się nadajemy.

– A jeśli go zdamy, wracamy do Regent's Park?

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko jedno.

Dokładnie tyle osób wróciło ze Slough House do Regent's Park: zero. Obydwoje o tym wiedzieli. Ale tak jak każdy inny kulawy koń przed nimi, Min i Louisa skrywali nadzieje, że ich historia zakończy się inaczej.

W końcu odwróciła się i przyjrzała pomieszczeniu. Nadal liczyło ojej metrów długości i wow metrów szerokości, zajmowało około połowy piętra; drugie biuro, obecnie również niezajęte, miało okna wychodzące na południe i wschód. Było też wspólne lobby z szybkimi windami; trzecia winda, towarowa, znajdowała się za klatką schodową, która sprawiała wrażenie, jakby schody prowadzące w dół nigdy się nie kończyły. Mijała dziesiątki pięter ekskluzywnych biur, z których tylko część była zajęta – lista, którą dostali w teczce Webba, zawierała banki, firmy inwestycyjne, sprzedawców jachtów, handlarzy diamentami, firmę z sektora zbrojeniowego. Dolna część wieży mieściła hotel, jego wielkie otwarcie zaplanowano na następny miesiąc. Czytała, że był całkowicie zabukowany na najbliższe pięć lat. Spider Webb musiał poprosić kogoś o przysługę albo otworzyć tajne akta, żeby załatwić ten apartament na

spotkanie za kilka tygodni. W każdej części miasta taka przestrzeń zasługiwała na szacunek. Położona na tej wysokości, wywoływała podziw. Pomijając kuchnię i łazienki, znajdowało się tu jedno pomieszczenie zaprojektowane na potrzeby biznesowe; w samym środku stał piękny mahoniowy owalny stół, przy którym mogło zasiąść szesnaście osób. Louisa bardzo pragnęłaby go mieć, gdyby nie fakt, że był większy niż całe jej mieszkanie. Ale stół, podobnie jak widok z okna, pasował do osób zamożnych. Nie powinno mieć to wpływu na jej motywację, jednak miało. Byli tutaj, we dwoje, i mieli zapewniać bezpieczeństwo jakiemuś wybrancowi losu, którego drobne w kieszeniach były warte tyle, ile ich roczne pensje, razem wzięte, pomnożone przez dwa.

Olać to, pomyślała. To nieistotne. Nie mogła się jednak powstrzymać od komentarza:

- Niezła pokazówka jak na dyskretne spotkanie.
- No cóż – odpowiedział Min. – Nie sądzę, aby ktoś ich podglądał przez okna.
- Jak myślisz, jak oni je myją?
- Na jakimś podnośniku? Lepiej to sprawdźmy.

To był dopiero początek. Potrzebowali planu wizyty; informacji o miejscu pobytu Rosjanina, trasie, którą dojedzie z hotelu na spotkanie. Kto odpowiada za catering. Kim są kierowcy. Będą musieli dokładnie przejrzeć notatki Webba i kopać głębiej, bo Webb był równie godny zaufania co wąż. Będą też potrzebować gości, którzy sprawdzą, czy nie ma podsłuchów, i może technika, który spowoduje zakłócenia, choć wątpiła, by podsłuch paraboliczny był możliwy. Najbliższy wieżowiec w porównaniu z tym wyglądał dość karłowato.

Min dotknął jej ramienia.

– Nic nam nie będzie. To nadęty ruski oligarcha, i tyle. Przyjedzie tutaj. Kupi nasze kluby piłkarskie. Niańczenie, jak powiedział Webb.

Wiedziała o tym. Ruscy oligarchowie nie byli jednak najpopularniejszym gatunkiem na Ziemi i zawsze istniała możliwość, że coś pójdzie źle. A pod nią bardzo blady błysk możliwości, że wszystko pójdzie jak należy. Znowu przyszło jej do głowy, że to może być test. A razem z tą myślą jeszcze straszniejszy pomysł: a co, jeśli pozytywny wynik sprawi, że tylko jedna osoba dostanie bilet; biurko w Regent's Park dla jednej osoby, ale dla drugiej już nie? Gdyby miało być dla niej, czy przyjęłaby propozycję? A gdyby zaproponowano je Minowi, czy zgodziłby się? Być może. Nie powinna mieć do niego żalu. Może by miała.

Zsunęła jego dłoń ze swojego ramienia.

- I co tam?
- Nic. Jesteśmy w pracy, to wszystko.
- Jasne. Przepraszam – odpowiedział Min. Ale w jego głosie nie było ani krztyny złośliwości.

Poszedł w stronę drzwi, za którymi mieściły się windy, drugie biuro, klatka schodowa. Louisa ruszyła jego śladem, po czym skręciła do kuchni. Była nieskazitelna, nieużywana, błyszcząca i w pełni wyposażona, także w lodówkę wielkości tych w restauracjach, ale zupełnie pustą. Do ściany przymocowano swoją



czerwoną gaśnicę, a obok, za szybą, koc gaśniczy i małą siekierę. Otworzyła puste szafki i zamknęła je z powrotem. Wróciła do dużego pomieszczenia i jego okien, przez które mogła teraz zobaczyć helikopter ratunkowy, wyglądający, jakby zawisł nad centralnym Londynem, choć z punktu widzenia osób nim przewożonych pewnie kołysał się jak napalony rozwodnik. Znów pomyślała o czarnych łabędziach i o wielkich, nieprawdopodobnych wydarzeniach, które w ten sposób określano. Dopiero po fakcie wiadomo było, że miało się z czymś takim do czynienia. Helikopter nadal unosił się w powietrzu, gdy udała się na poszukiwanie Mina.

Ho nie lubił, gdy ktoś naruszał jego przestrzeń. Zwłaszcza gdy robił to River Cartwright, jeden z tych, którzy ignorowali Rodericka Ho, chyba że potrzebowali czegoś, co dać im mógł tylko taki człowiek jak Roderick Ho. Na przykład kompetencje technologiczne. Kompetencje generalnie były obce Cartwrightowi. Przez pewien czas Ho używał kadru z monitoringu z King's Cross podczas słynnego chaosu jako swojego wygaszacza ekranu, póki Louisa Guy nie zasugerowała, że River może połamać mu kości, jeśli się o tym dowie.

Ale z Riverem była Catherine Standish i choć Ho niekoniecznie ją lubił, nie potrafił wskazać powodu, dla którego miałby jej nie lubić. Ponieważ dzięki temu należała do kategorii wyjątkowej, postanowił sprawdzić, czego od niego chcą, i dopiero wtedy powiedzieć, że jest zajęty.

River zrobił sobie miejsce na blacie wolnego biurka i przysiadł na rogu. Catherine wysunęła krzesło i usiadła.

– Jak się dziś miewasz, Roddy?

Zmrużył podejrzliwie oczy. Już go tak kiedyś nazwała. Zwrócił się do Rivera:

– Nie ruszaj moich rzeczy.

– Nic nie ruszałem.

– Moje rzeczy są na tamtym biurku, właśnie je przesunąłeś. Wszystko mam tam poukładane. Jeśli mi to poprzestawiasz, nie będę w stanie nic znaleźć.

River otworzył usta, by wysunąć szereg argumentów, ale napotkał wzrok Catherine. Zmienił nastawienie.

– Przepraszam.

Catherine powiedziała:

– Roddy, zastanawiamy się, czy mógłbyś zrobić nam przysługę.

– Jaką przysługę?

– Z dziedziny, w której jesteś fachowcem.

– Jeśli potrzebne jest wam łącze szerokopasmowe – odparł Ho – rozważcie wykupienie takiej opcji.

– To jakby poprosić chirurga plastycznego o zajęcie się wrastającym paznokciem – stwierdziła Catherine.

– Tak – zgodził się River. – Albo zatrudnienie architekta do umycia okien. – Ho spojrział na niego podejrzliwie. – Albo pogromcy lwów do nakarmienia kotka – dodał River.

Spojrzenie, którym obdarzyła go Catherine, wskazywało, że jego słowa nie służą sprawie.

- Wczoraj, w biurze Lamba... – zaczęła, ale Ho stanowczo jej przerwał:
  - Nie ma mowy.
  - Nie skończyłam.
  - Nie musisz. Chcesz wiedzieć, czego chciał Lamb, prawda?
  - Tylko wskazówkę.
  - Wykończyłby mnie. A wie, jak to zrobić. Robił to już wcześniej.
  - On chce, żebyś tak myślał – powiedział River.
  - Mówisz, że tego nie zrobił?
  - Mówię, że nie wolno mu zabijać pracowników. BHP.
  - Tak, jasne. Ale nie mówię o prawdziwym zabijaniu. – Ho odwrócił się w stronę Catherine. – Wykańczałby mnie każdego dnia. Wiesz, jaki on jest.
  - Wcale nie musi o tym wiedzieć – odrzekła.
  - On zawsze o wszystkim wie.
  - Roddy... – zaczął River.
  - Nie nazywaj mnie tak.
  - Nieważne. Parę miesięcy temu zrobiliśmy coś dobrego. Prawda?
  - Być może – odpowiedział Ho z podejrzliwością w głosie. – I co z tego?
  - To była praca zespołowa.
  - To była w pewnym sensie praca zespołowa – przyznał Ho.
  - No i...
  - Taka, w której ja miałem wszystkie pomysły. A ty się nabiegałeś, z tego, co pamiętam.
- River ugryzł się w język i dalej przekonywał:
- Każdy z nas zajmuje się tym, w czym jest dobry. Chodzi mi o to, że wtedy, przez pewien czas, Slough House działał jak należy. Rozumiesz? Pracowaliśmy zespołowo i to zadziałało.
  - Czyli teraz mamy to powtórzyć – powiedział Ho.
  - Tak, tak byłoby najlepiej.
  - Tylko tym razem zamiast biegać, będziesz tu siedział. A ja znów wykonam całą robotę. – Odwrócił się w stronę Catherine. – A później Lamb się o tym dowie i mnie wykończy.
  - Okej, to może inaczej – tłumaczył River. – Ty nic nam nie powiesz, a my i tak się o tym dowiemy i powiemy mu, że ty sypnąłeś. I wtedy cię załatwi.
  - River... – powiedziała Catherine.
  - No, serio. Lamb nigdy nie wyłącza komputera, a wszyscy znamy jego hasło. Hasło Lamba brzmiało: „Hasło”.
  - Jeśli zamierzałeś to zrobić, już byś to zrobił. Nie zwracałbyś mi głowy – odrzekł Ho.
  - Skądże, dopiero teraz na to wpadłem. – Popatrzył na Catherine. – Co jest przeciwieństwem pracy zespołowej?
  - Tak się nie stanie – odpowiedziała. – Roddy, on żartuje.
  - Nie brzmi, jakby żartował.
  - Ale żartuje – popatrzyła na River. – Prawda?

River poddał się.

– Nieważne.

– Nie musisz nam mówić niczego, czego nie chcesz powiedzieć. – Catherine przekonywała Ho.

Jak na technikę przesłuchiwania, ta była wyjątkowo łagodna, pomyślał River.

Ho zagryzł wargę i spojrzał na swój monitor. Był ustawiony pod takim kątem, że River nie mógł go zobaczyć, ale w odbiciu w okularach Ho mógł rozpoznać cienkie, ażurowe linie oplatające ekran pajęczyną i zielone światła migoczące na czarnym tle. Ho mógł próbować ominąć firewalla MoD albo grać sam z sobą w statki, jednak bez względu na to, co robił, wydawało się, że w tym momencie rozważa coś zupełnie innego.

– W porządku – odpowiedział w końcu.

– No proszę – rzucił River. – To nie było aż tak trudne, nieprawdaż?

– Nie mówiłem do ciebie. Jej powiem.

– Do kurwy nędzy, Ho, sama mi to przekaże, jak tylko...

– A kim jest „ona”? – spytała Catherine. – Nie ma jej z wami?

Mężczyzn przez chwilę połączyło tak wcześniej mało prawdopodobne, zaskakujące braterstwo.

– Nieważne – powiedziała. Wskazała palcem na Rivera. – Wynocha. Bez dyskusji.

Diskusja była, przytoczył kilka argumentów, ale tylko w swoich myślach.

Po powrocie na górę zajął do gabinetu Harpera i Guy, ale ci jeszcze nie wrócili.

– Spotkanie – odpowiedział Harper na pytanie Rivera, co mogło oznaczać, że poszli na spotkanie albo że korzystali z nieobecności Lamba, by zrobić to, co robili ostatnimi czasy: spacerowali w parku, szli do kina, uprawiali seks w samochodzie Louisy. Ale Regent’s Park... Raczej nie poszli do Regent’s Park, prawda? Myśl o tym sparaliżowała go, ale tylko na chwilę. Nie wydawała się prawdopodobna.

W swoim gabinecie poświęcił pięć minut na ponowne zapoznawanie się z bazą danych zmarłych osób i kolejne dziesięć na wyglądanie przez okno zza wytartych złoconych liter: „W.W. Henderson. Kancelaria notarialno-prawna”. Na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy stały trzy osoby i gdy River się im przyglądał, nadjechał autobus i zabrał je wszystkie. Natychmiast pojawił się ktoś nowy i zaczął czekać na następny kurs. River zastanawiał się, jak by ten ktoś zareagował, gdyby wiedział, że obserwuje go agent tajnych służb. Zastanawiał się także, jak by ów oczekujący na przystanku zareagował na myśl, że prawie na pewno jego praca była bardziej interesująca niż Rivera.

Powędrował z powrotem do komputera, gdzie wpisywał przez jakiś czas wymyślone nazwiska i daty do bazy danych, pomyślał przez moment, po czym je wymazał.

Catherine zapukała i weszła.

– Jesteś zajęty? – spytała. – To może poczekać.

– Ha, ha, kurwa, ha.

Usiadła.

– Lamb chciał teczki pracowników wywiadu.

– Ho nie ma do nich dostępu.

– Bardzo zabawne. Teczka dotyczyła okazjonalnego współpracownika z lat osiemdziesiątych. Gość nazywał się Dickie Bow.

– Żartujesz, prawda?

– Naprawdę nazywał się Bough, ale jego rodzice byli na tyle głupi, że dali mu na imię Richard. Zakładam, że nigdy o nim nie słyszałeś.

– Daj mi chwilę – powiedział River.

Oparł się, skupiając swoją uwagę na S.D. – Starym Draniu, który to epitet nadała mu matka Rivera. W dużej mierze wychował go S.D., który swoje długie życie poświęcił służbom specjalnym i który dużą część swojej długiej emerytury spędził, opowiadając w odcinkach najlepsze historie swojemu wnukowi. River Cartwright został agentem, ponieważ jest nim jego dziadek. Nie był – jest. W przypadku niektórych profesji nigdy nie porzucasz swojego zawodu, nawet lata po tym, jak skończysz pracę. David Cartwright był legendą kontrwywiadu, ale sposób, w jaki o tym opowiadał, sprawiał, że to samo można było rzec o najpośledniejszym łapówkarzu. Mogłeś zmienić strony, sprzedać czyjeś tajemnice, zaproponować spisanie swoich wspomnień temu, kto najwięcej zapłaci, ale gdy zostałeś szpiegiem, pozostawałeś nim już na zawsze i wszystko inne było tylko przykrywką. Tak więc ten sympatyczny staruszek, który w śmiesznym kapeluszu przekopywał rabaty kwiatowe, pozostał strategiem, który pomógł opracować kurs tajnych służb na czas zimnej wojny, a River dorastał, poznając tego szczegóły.

A to miało znaczenie. To S.D. wpoił Riverowi, zanim ten skończył dziesięć lat. Szczegóły mają znaczenie. River zamrugał raz, później drugi, ale nic mu się nie przypomniało. Dickie Bow? Absurdalne nazwisko, ale River nigdy wcześniej go nie słyszał.

– Wybacz – powiedział. – Z niczym mi się nie kojarzy.

– W zeszłym tygodniu znaleziono jego ciało – odparła.

– W podejrzanych okolicznościach?

– W autobusie.

Założył ręce za głowę.

– Oddaję ci głos.

– Bow jechał pociągiem do Worcester, który odwołano w Reading z powodu problemów z sygnalizacją. Pasażerów przewożono autobusem do Oxfordu, gdzie już kursowały pociągi. W Oxfordzie wysiedli wszyscy poza Bowem. Stało się tak, ponieważ zmarł po drodze.

– Z przyczyn naturalnych?

– Tak głosi raport z sekcji zwłok. Bowa od jakiegoś czasu nie było na naszej liście płac. Nie jest więc oczywistym kandydatem na ofiarę morderstwa, nawet jeśli kiedyś zrobił coś ważnego.

– A jesteś pewna, że tak nie było.

– Wiesz, jak wyglądają akta naszych pracowników. Utajnione dane są ocenzone, a utajnione jest wszystko, co zawiera więcej informacji niż rutynowe pierdoły. Aleteczka Bowa jest otwartą księgą z wyjątkiem jakiegoś incydentu

związanego z piciem pod sam koniec. Wykonał mnóstwo drobnych prac. Płacono mu za informacje, głównie plotki. Pracował w klubie nocnym, więc sporo słyszał.

– I używał tych informacji do szantażu?

– Oczywiście.

– Więc nie da się wykluczyć zemsty.

– Ale to było dawno temu. I jak mówiłam: śmierć z przyczyn naturalnych.

– W takim razie dlaczego Lamb jest zainteresowany? – dumał River.

– Nie mam pojęcia. Może razem pracowali. – Zamilkła. – W notatce jest napisane, że miał talent do pracy na ulicy. Nie oznacza to tego, co mi się wydaje, nieprawdą?

– Na szczęście nie. Oznacza to, że był dobry w śledzeniu ludzi. Chodzeniu za nimi.

– No cóż. Może Lamb dowiedział się o jego śmierci i zrobił się sentymentalny.

– Jasne, no ale serio.

Catherine kontynuowała:

– Bow nie miał biletu na przejazd. I powinien być w tym czasie w pracy. Zastanawiam się, dokąd jechał.

– Pierwszy raz usłyszałem o nim dwie minuty temu, wątpię, by moje przypuszczenia były cokolwiek warte.

– Moje też nie. Ale przez tę sprawę Lamb ruszył dupę, więc coś musi w niej być.

Zamilkła. Riverowi wydawało się, że spogląda w głąb siebie, jakby szukała czegoś, co zostawiła w zakamarkach umysłu. I po raz pierwszy zauważył, że jej włosy nie są zupełnie siwe, że we właściwym świetle mogą nawet wyglądać na blond. Ale nos miała długi i chudy, nosiła kapelusze – wszystko to razem składało się na obraz szarości, i tak też ją postrzegano, gdy nie było jej w pobliżu, a po jakimś czasie patrzyłeś na nią w taki sposób, nawet gdy była obok. Było w niej coś wiedźmowatego, co w odpowiednich okolicznościach mogło nawet wydawać się seksowne.

Aby zdjąć zakłęcie, powiedział:

– Ciekawe, co to takiego.

– Spodziewajmy się najgorszego – odparła Catherine.

– Może powinniśmy go zapytać.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – zaproponowała.

To nie był dobry pomysł.

Kilka godzin później River usłyszał, jak Lamb ciężko wchodzi po schodach niczym zaspany niedźwiedź. Odczekał chwilę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w monitor.

„Może powinniśmy go zapytać”. Ta propozycja wydawała się łatwa, gdy Lamba nie było, a zupełnie inna, gdy znajdował się w budynku. Jednak alternatywą było siedzenie i wpatrywanie się w zwały niestrawnych informacji, a poza tym, jeśli River by się wycofał, Catherine uznałaby go za tchórza.

Czekała na klatce schodowej, jej uniesione brwi zdawały się pytać: „Jesteś tego pewien?”.

Cóż, nie był.

Drzwi do gabinetu Lamba stały otworem. Catherine zapukała w nie, weszli do

środku.

Lamb próbował uruchomić swój komputer; nadal miał na sobie płaszcz, a z kącika ust zwisał niezapalony papieros. Popatrzył na nich, jakby byli świadkami Jehowy.

– Co to jest, interwencja?

– Zastanawialiśmy się, co się dzieje – powiedział River.

Lamb popatrzył na Rivera ze zdziwieniem, po czym wyszarpnął papierosa z ust i wpatrywał się w niego. Następnie włożył go z powrotem do ust i znów przyglądał się Riverowi.

– He?

– My...

– Tak, zrozumiałem. Pomyślałem: co jest, kurwa. – Popatrzył na Catherine. – Ty jesteś alkoholiczką, więc każdego dnia zastanawiasz się, co się dzieje. A jaką on ma wymówkę?

– Dickie Bow – powiedziała Catherine.

Nie widać było, by docinek Lamba ją dotknął, ale pracowała tu już od dawna. Była osobistą asystentką Charlesa Partnera, gdy ten zarządzał MI5; pełniła tę funkcję aż do momentu, gdy znalazła jego ciało w wannie, choć jej karierę zakłóciło, no właśnie, pijaństwo. Gdzieś po drodze podłapała umiejętność ukrywania emocji.

– Był w Berlinie w tym samym czasie co ty. I zmarł w zeszłym tygodniu w autobusie niedaleko Oxfordu. Tam właśnie byłeś, prawda? Pojechałeś jego śladami?

Lamb pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co się stało? Ktoś przyjechał i z powrotem przyszył ci jaja? Mówiłem, żebyś nie otwierała drzwi nieznanym.

– Nie lubimy wypadać z obiegu.

– Zawsze jesteście poza obiegiem. Obieg jest oddalony od was o wiele kilometrów. Najbliżej obiegu będziecie, gdy zrobią na jego temat film dokumentalny i puszczą go na kanale historycznym. Myślałem, że jesteście tego świadomi. O Boże, kolejny.

Za nimi stanął Marcus Longridge z szarą teczką w dłoni.

– Mam to przekazać...

Lamb powiedział:

– Zapomniałem, jak się nazywasz.

– Longridge – odrzekł Marcus.

– Nie chcę znać jego nazwiska. Chciałem coś udowodnić. – Lamb wyjął z bałaganu na swoim biurku brudny kubek i rzucił nim w Catherine. River złapał go, zanim trafił ją w głowę. – No cóż, cieszę się, że sobie pogawędziliśmy – oświadczył Lamb. – A teraz odpieprzcie się. Cartwright, podaj go Standish. Standish, napełnij go herbatą. A ty, znów zapomniałem, jak się nazywasz, idź do knajpy obok i kup mi lunch. Powiedz Samowi, że chcę to, co zawsze we wtorek.

– Dziś jest poniedziałek.

– Wiem, że jest poniedziałek. Gdybym chciał to, co zwykle w poniedziałek, nie musiałbym tego zaznaczać, prawda? – Zamrugał. – Nadal tu jesteście?

Catherine wytrzymała jego wzrok nieco dłużej. River uświadomił sobie, że to rozgrywka między ich dwojgiem. Jego równie dobrze mogłoby tu nie być. Przez moment sądził, że to Lamb może pierwszy odwrócić wzrok, ale tak się nie stało: zamiast tego Catherine wzruszyła ramionami, wyglądało, jakby wraz z tym ruchem coś opuściło jej ciało; po czym się odwróciła. Wzięła teczkę, którą trzymał Longridge, i poszła do swojego gabinetu. Pozostali pomaszzerowali na dół.

Tak więc poszło świetnie, pomyślał.

Ale po niecałych dwudziestu minutach siedzenia za biurkiem River usłyszał okropny hałas dochodzący z góry; dźwięk, który usłyszysz, gdy zrzucisz monitor z biurka na tyle wysokiego, że ekran się roztrzaska po zetknięciu z podłożem. Po nim nastąpił rozproszony stukot odłamków plastiku i szkła rozsypujących się po całej dostępnej przestrzeni. Nie tylko River podskoczył na ten dźwięk.

I wszyscy w budynku usłyszeli przekleństwo, które rozległo się tuż po nim:

– Do kurwy nędzy!

Po czym Slough House na chwilę zamilkł.

Nagranie było ziarniste, czarno-białe, zacinało się; widać było na nim pociąg na peronie późnym wieczorem. Padał deszcz: peron był zadaszony, ale woda ściekała z krzywo ułożonych rynien. Mijały sekundy i nic się nie działo. Po czym nastąpił gwałtowny napływ ludzi, jakby poza kadrem otwarto bramę, wypuszczając tłum zniecierpliwionych pasażerów. Zacinanie się było spowodowane tym, że w filmie przeskakiwały klatki. Nagle dłonie wysuwały się z kieszeni, parasolki składały bez ostrzeżenia. Większość min zdradzała irytację, niepokój, pragnienie znalezienia się w innym miejscu. River, który dobrze zapamiętywał twarze, żadnej nie rozpoznał.

Byli w gabinecie Ho, ponieważ Ho miał najlepszy sprzęt. Po tym, jak Lamb zrzucił swój komputer, próbując włożyć do niego CD – moment jak z komedii slapstickowej, który River tak bardzo chciałby zobaczyć, że oddałby za to miesięczną pensję – gotował się w swoim biurze przez pół godziny, po czym zakradł się na dół, jakby od samego początku taki miał plan. Catherine Standish podążyła za nim chwilę później. Być może pozostałości zażenowania powstrzymały Lamba od protestów, gdy pozostałe kulawe konie poszły jego śladem, jednak River w to wątpił. Jackson Lamb miałby ogromny problem ze zdefiniowaniem zażenowania. A gdy podał Ho płytę, a ten ją uruchomił, było jasne, że chce, aby wszyscy obejrzel materiał. Pytania zostaną zadane później.

Film nie miał dźwięku; nic nie wskazywało na to, gdzie go nagrano. Gdy peron opustoszał, pociąg ruszył i wówczas też nie było żadnych wskazówek; skład po prostu szarpnął, ruszył i zniknął z pola widzenia. Na ekranie pozostał pusty peron i tory kolejowe, na które padał ulewny deszcz. Po czterech albo pięciu sekundach, które w rzeczywistości mogły trwać piętnaście lub dwadzieścia, ekran stał się czarny. Cała sekwencja trwała nie dłużej niż trzy minuty.

– I jeszcze raz – powiedział Lamb.

Ho postukał w klawiaturę i obejrzel nagranie ponownie.

Tym razem, gdy dobiegło końca, Lamb zapytał:

– No i?

- Nagranie z monitoringu – stwierdził Min Harper.
- Genialnie. Czy ktoś ma do powiedzenia coś inteligentnego?

Marcus Longridge zaczął:

– Ten pociąg jedzie na zachód. Wyjeżdżają z Paddington w kierunku Walii i Somerset. I Cotswolds. Skąd to nagranie, z Oxfordu?

– Tak. Ale nadal nie pamiętam, jak się nazywasz.

– Zrobię mu identyfikator – powiedział River. – A póki co, o co chodzi z tym łysym gościem?

– Którym łysym gościem?

– Po mniej więcej półtorej minuty nagrania. Większość ludzi wpycha się do pociągu, a on idzie do dalszej części peronu, poza kadrem. Prawdopodobnie wsiada gdzieś dalej.

– Dlaczego on? – spytał Lamb.

– Leje jak z cebra. Skoro wszyscy wsiadają do pociągu w części peronu ujętej w kadrze, sugeruje to, że dalsza część peronu nie jest zadaszona. Wszyscy starają się nie zmoknąć. Ale nie on. I nie ma parasola.

– Ani kapelusza – dodał Lamb.

– Takiego, jaki znalazłeś.

Lamb zamilkł na sekundę, po czym potwierdził:

– Tak, takiego.

– Skoro to Oxford – rzekła Catherine – to jest ten tłum, który właśnie wysiadł z autobusu, gdzie zmarł Dickie Bow. Zgadza się?

Lamb popatrzył na Ho i stwierdził:

– Pracowita z ciebie mróweczka. Ogłosiłeś publicznie coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? Moją dokumentację dentystyczną? Konto w banku?

Ho nadal cierpiał z powodu degradacji do roli animatora.

– To byłoby jak pójście do chirurga plastycznego, żeby zajął się wrastającymi paznokciami.

– Mam nadzieję, że nie sądzisz, że cię obrażam – powiedział uprzejmie Lamb.

– Ja...

– Jak to nastąpi, będziesz sobie doskonale zdawał z tego sprawę, ty skośnooka pizdo. – Odwrócił się do pozostałych. – W porządku – oznajmił. – Cartwright się nie myli. A nieczęsto mogę to powiedzieć. Nasz łysy przyjaciel, nazwijmy go pan B, wsiadł do pociągu w Oxfordzie w ubiegły wtorek wieczorem. Pociąg jechał do Worcester, ale po drodze zatrzymywał się na kilku stacjach. Gdzie wysiadł pan B?

– Mamy zgadywać? – zapytał Min.

– Tak. Bo jestem naprawdę zainteresowany bezsensownymi spekulacjami.

– Dostałeś to nagranie z Oxfordu? – zapytał River.

– Dobra robota.

– Prawdopodobnie na pozostałych stacjach też był monitoring? – wtrąciła Louisa.

Lamb klasnął w dłoń.

– Fantastycznie – oznajmił. – Czuję się, jakbym miał małe elfy, które za mnie myślą. Czyli skoro udało nam się już ustalić te fakty, co nawet idiocie zajęłoby dwa



razy mniej czasu, zajmijmy się ważniejszymi sprawami, czyli poleceniem jednemu z was, by załatwił te nagrania i udzielił odpowiedzi na moje pytanie.

– Ja mogę to zrobić – zadeklarował River.

Lamb go zignorował.

– Harper – powiedział. – To może być coś dla ciebie. Nie musisz nic nosić, więc nie musisz się martwić, że to zgubisz. – Min zerknął na Louise. – Wow – rzekł Lamb. Popatrzył na Ho. – Zauważyłeś to?

– Co zauważyłem?

– Harper właśnie zerknął na swoją dziewczynę. Ciekawe, co to znaczy. – Rozsiadł się w fotelu należącym do Ho i splótł palce pod brodą w piramidkę. – Zamierzasz powiedzieć, że nie możesz.

– Przydzielono nam zadanie – oświadczył Harper.

– Nam?

– Louisie i...

– Mów o niej Guy. Nie jesteśmy w dyskotecce.

Każde z nich niezależnie od drugiego zdecydowało, że nie należy teraz marnować czasu i pytać, dlaczego mówienie do siebie po imieniu czyni z tego miejsca dyskotekę.

– A poza tym... – kontynuował Lamb – zadanie?

Odpowiedział Min.

– Oddelegowano nas. Webb powiedział, że w tej chwili będziesz już o tym wiedział.

– Webb? Słynny Spider? Czy on nie jest odpowiedzialny za liczenie spinaczy?

– Zajmuje się też innymi sprawami – rzuciła Louisa.

– Jak, na przykład, delegowaniem moich pracowników? Przydzielaniem im „zadania”? A co to za zadanie tak dokładnie? I proszę, nie mówcie, że nie wolno wam podawać szczegółów.

– Śledzenie przybywającego z wizytą Rosjanina.

– Wydawało mi się, że takie sprawy przydzielają profesjonalistom – powiedział Lamb. – No wiecie, ludziom, którzy wiedzą, co robią. Chyba że, nic nie mówcie, to spuścizna po sir Leonardzie, tak? Co za cyrk. Jeśli tak bardzo martwi ich, że namieszał w dokumentach, dlaczego nie powstrzymali go wiele lat temu?

– Bo nie wiedzieliśmy, że to robi? – zasugerowała Catherine.

– Podobno jesteśmy pierdolonym kontrwywiadem – podkreślił Lamb. – Okej, zostaliście oddelegowani. Ja nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia, tak? – Wilczy uśmiech, który towarzyszył temu zapytaniu, niósł w sobie obietnicę szczęśliwszych dni, takich, gdy Lamb będzie miał coś do powiedzenia i oznajmi to głośno i wyraźnie. – Czyli mam do dyspozycji tę ekipę.

– Ja to zrobię – powtórzył River.

– Na litość boską, to MI5, nie plac zabaw dla dzieci. Decyzje operacyjne nie są podejmowane na podstawie tego, kto pierwszy znajdzie zadanie i je sobie zaklepie. To ja decyduję. – Lamb odliczał ich od prawej strony – Trań, trań, misia, bela... – Przy „bela” jego palec wylądował na Riverze. Cofnął się do Shirley. – Misia, zadanie dla

ciebie.

– Ja byłem bela! – powiedział River.

– A ja nie podejmuję decyzji operacyjnych w oparciu o wyliczanki dla dzieci. Jasne? – Nacisnął guzik „wysuń” i kieszeń na CD wysunęła się. Rzucił płytę w kierunku Shirley, ale wyfrunęła przez otwarte drzwi. – Ciamajda. Podnieś ją i obejrzyj raz jeszcze. A później znajdź pana B.

– Teraz?

– Nie, w wolnym czasie. Oczywiście, że teraz. – Rozejrzał się. – Mógłbym przysiąc, że reszta z was miała pracę do zrobienia.

Catherine spojrzała z dezaprobatą na Rivera i wyszła. Inni poszli za nią, z wyraźną ulgą, więc zostali tylko Ho i River.

– Mogłem się spodziewać, że Cartwright będzie chciał pociągnąć tę dyskusję. Ale nie pojmuję, dlaczego ty tu nadal jesteś – Lamb zwrócił się do Ho.

– To mój pokój – wyjaśnił Ho.

Lamb czekał.

Ho westchnął i wyszedł.

River powiedział:

– Cały czas miałeś zamiar to zrobić, nieprawdaż?

– Co zrobić?

– No całe to gówno o przygotowaniu kawy i przyniesieniu ci lunchu. Nakręcałeś nas. Potrzebujesz nas. Ktoś musi się za ciebie nachodzić.

– A skoro mowa o chodzeniu i nogach – mówił Jackson i siedząc, wyciągnął nogi tak, że ustawił je równolegle do podłogi, po czym pierdnął – to też cały czas zamierzałem zrobić. – Położył stopy z powrotem na ziemi. – Co nie wpływa w żaden sposób na skuteczność mojego działania.

Bez względu na to, co ktokolwiek kiedykolwiek myślał o zachowaniu Lamba, nikt nigdy nie oskarżył go o to, że jego pierdnięcia nie są autentyczne.

– W każdym razie – kontynuował, niewzruszony swoim toksycznym podarunkiem – gdyby nie Standish, wszyscy szlibyśmy okrężnymi drogami. „Nie lubimy być poza obiegami”, na litość boską. Nie potrafię obwiniać tak starej jędry. No chyba że kiszenie się w alkoholu przez tyle lat ją zakonserwowało. Co myślisz?

– Myślę, że to trochę dziwne: twoja pewność, że Bow został zamordowany, skoro sekcja zwłok wykazała atak serca.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie, ale przymknę na to oko. I zadam ci kolejne. – Lamb założył prawą nogę na lewą. – Jeśli chciałbyś kogoś otruć tak, żeby nikt się nie dowiedział, czego byś użył?

– Nie wiem zbyt wiele o truciznach.

– Alleluja. Wreszcie coś, w czym nie jesteś ekspertem. – Lamb znał taką magiczną sztuczkę: był w stanie wyciągnąć papierosa praktycznie znikąd, wkładając na ułamek sekundy rękę do najbliższej kieszeni. Po drugiej stronie znalazł jednorazową zapalniczkę. River zaprotestowałaby, ale dym mógł tylko poprawić atmosferę. Nie było prawdopodobne, by Lamb nie był tego świadomy. – Longridge nie przyniósł mi jeszcze lunchu. Mam nadzieję, że ten żałosny drań nie zapomniał.

– Czyli wiesz, jak się nazywa.

Gdy tylko to powiedział, pożałował tego.

– Chryste, Cartwright – rzucił Lamb. – Który z nas robi więcej obciachu? – Zaciągnął się głęboko papierosem, aż jego długa na ponad centymetr końcówka załśniła na pomarańczowo. – Jutro będę później – oznajmił. – Mam coś do zrobienia. Wiesz, jak jest... – Cienka zasłona dymu tytoniowego zmieniła jego oczy w wąskie szparki. – Nie złam sobie karku, gdy będziesz schodzić po schodach.

– Wchodzić po schodach – poprawił go River. – To biuro Ho, pamiętasz?

– Cartwright?

River zatrzymał się w drzwiach.

– Nie chcesz wiedzieć, jak zginął Dickie Bow?

– Naprawdę masz zamiar mi powiedzieć?

– To oczywiste, jak się nad tym zastanowisz – rzekł Lamb. – Ktoś, kto zabił Dickiego, użył do tego celu niewykrywalnej trucizny.

---

\* Rip van Winkle – bohater klasycznego opowiadania Washingtona Irvinga o tym samym tytule. Uśpiony przez duchy w czasach kolonialnych Rip budzi się dwadzieścia lat później w niepodległych Stanach Zjednoczonych.

Niewykrywalna trucizna, pomyślał River Cartwright. Słodki Jezu!

W metrze usiadła obok niego atrakcyjna brunetka; gdy siadała, spódnica podsunęła się jej do góry. Niemal od razu zaczęli rozmawiać, a gdy wysiedli na tej samej stacji, przy ruchomych schodach z wahaniem wymienili numery telefonów. Potem poszło jak z płatka: wino, pizza, łóżko, wakacje; pierwsze mieszkanie, pierwsza rocznica, pierwsze dziecko. Pięćdziesiąt lat później wspominali swoje cudowne życie. A później zmarli. River potarł oczy kłykiem. Siedzenie naprzeciwko niego się zwolniło, kobieta przesiadła się na nie i złapała za rękę mężczyznę siedzącego obok.

Z London Bridge River pojechał do Tonbridge, gdzie mieszkał jego dziadek, który zachowywał się tak, jakby to miasto było terytorium przyłączonym po trwającej całe życie walce. S.D. mógł przejść się do sklepu; odebrać gazetę, mleko, zakupy spożywcze; mrugnąć do rzeźnika, piekarza i kobiety na poczcie i żadnemu z nich nawet nie przysłoby do głowy, że przez jego ręce przeszły życia setek osób; że podejmował decyzje i wydawał polecenia, które czasem zmieniały bieg wydarzeń, a innymi razy – i to miało według niego większe znaczenie – dbał o to, by nic się nie zmieniło. Powszechnie sądzono, że zajmował jakąś posadę w Ministerstwie Transportu. Dobrodusznie brał na siebie winę za wszystkie braki w lokalnej komunikacji autobusowej.

Ależ ogromne rzeczy musiały się wydarzyć, myślał czasem River, by mieć pewność, że nic się nie zmieni.

Po posiłku usiedli ze szklaneczkami whisky w gabinecie.

W kominku palił się ogień. Po latach fotel staruszka przybrał taki kształt, że dopasował się do niego niczym hamak. Drugi fotel dopiero przyzwyczajał się do sylwetki wnuka. Z tego, co było wiadomo Riverowi, nikt inny w nim nie siadał.

– Coś cię trapi – usłyszał.

– Ale nie dlatego przyjechałem się z tobą zobaczyć. – Jego słowa zostały zignorowane jako nieistotne, zupełnie słusznie. – Chodzi o Lamba.

– Jackson Lamb. Co z nim?

– Chyba oszalał.

River widział, że S.D. spodobała się ta myśl. Podobnie jak wszystko, co dawało okazję do psychologicznej speleologii. A zwłaszcza lubił, gdy River mocno odbijał piłeczkę.

– I to spostrzeżenie oparte jest na twojej wnikliwej wiedzy medycznej.

– Popada w paranoję.

– Gdyby tylko w nią popadł, nie przetrwałby tak długo. Ale mówisz, że przeszedł samego siebie. W jaki sposób objawia się ta konkretna paranoja?

– Chyba wydaje mu się, że mamy w okolicy zabójców z KGB.

S.D. powiedział:

– No cóż, z jednej strony KGB już nie istnieje. A zimna wojna się zakończyła. Wygraliśmy, jeśli prowadzisz punktację.

– Wiem. Guglowałem.

– Ale z drugiej strony prezydent Rosji zarządzał kiedyś KGB, które teraz, przy okazji, nazywa się FSB, i choć może skrót się zmienił, to nadal zachowują się tak samo. A jeśli chodzi o niewykrywalne trucizny, to właśnie z nich słynęło „Specjalne Biuro” KGB. Było fabryką trucizny. W latach trzydziestych jeden matoł, Majrowski, Majranowski, jakoś tak, całą swoją karierę poświęcił wymyślaniu niewykrywalnych trucizn. Stał się w tym tak dobry, że musieli go zabić.

River popatrzył na swoją szklankę. Whisky pił tylko z dziadkiem. Być może dlatego stało się to rytuałem.

– Czyli mówisz, że to jest możliwe.

– Mówię, że zawsze, gdy Jackson Lamb martwi się, że na naszym podwórku prowadzona jest moskiewska operacja w dawnym stylu, słucham uważnie. Czy nazwisko Litwinienko z czymś ci się kojarzy?

– Nie ze śmiercią spowodowaną trucizną nie do wykrycia.

– Słusznie. Ponieważ to była fałszywa flaga, operacja mająca zmylić przeciwnika. Myślisz, że nie byłoby w stanie sprawić, że wyglądałoby to jak wypadek, gdyby tego chcieli? – To była ulubiona sztuczka S.D.: obrócić twój argument przeciwko tobie. Kolejną było niedawanie szansy na przegrupowanie. – Kim jest ofiara?

– Nazywał się Bough. Richard Bough.

– Dobry Boże. Dickie Bow nadal żył?

– Znałeś go?

– Słyszałem o nim. Przy okazji Berlina. – S.D. odstawił drinka i przyjął pozę mędrca: łokcie na podłokietnikach, czubki palców przyciśnięte do siebie tak, jakby trzymał w dłoniach niewidzialną piłkę. – W jaki sposób zginął? – A gdy River opowiedział mu o szczegółach, oznajmił: – Jego kariera nie była zbyt błyskotliwa. – Jakby powolność Dickiego Bowa predestynowała go do śmierci w autobusie. – Nigdy nie grał w pierwszej lidze.

– W Premier League – zasugerował River.

Dziadek machnięciem ręki odgonił to współczesne paskudztwo.

– Był jednym z gości pracujących na ulicy. Wydaje mi się, że interesował się nocnymi klubami. Albo w jakimś pracował. W każdym razie przynosił różne ciekawostki. Który z drugoligowych urzędników zdradzał żonę czy chłopaka. Wiesz, takie sprawy.

– I wszystko to trafiało do akt.

– Znasz to stare porzekadło o prawie i parówkach\*, że nigdy nie chcesz zobaczyć, jak się je robi? To samo się tyczy pracy wywiadu. – Upuścił niewidzialną piłeczkę, wziął do ręki szklankę i zamyślony zakręcił nią tak, że bursztynowa ciecz obmyła jej brzegi. – A później zniknął. To była przepustka do sławy Dickiego Bowa. Zachowywał się dziwacznie, czym uruchomił alarmy od Berlina do... Battersea. Wybacz, aliteracja. Kiepski nawyk. Od Berlina po Whitehall, bo choć Dicky był tylko

płatką, to ostatnią rzeczą, jakiej każdy wówczas pragnął, było, żeby brytyjski agent pojawił się w sowieckiej telewizji i gadał Bóg wie co.

– Kiedy to było? – zapytał River.

– Wrzesień osiemdziesiątego dziewiątego.

– Aha.

– Masz cholerną rację: aha. Wszyscy, którzy byli w grze, a przynajmniej wszyscy pracujący w Berlinie, wiedzieli, że coś się zaraz wydarzy, i choć nikt nie powiedział tego głośno, bo bał się rzucić klątwę, to wszyscy patrzyli na mur, gdy o tym myśleli. I nikt, absolutnie nikt nie chciał, żeby cokolwiek wypaczyło bieg historii. – Jego kręcenie szklanką stało się nerwowe, nieco whisky się wylało. Staruszek odstawił szklankę na stolik obok niego, przyłożył dłoń do ust i zlizął krople alkoholu.

– Kiedy mówisz: nikt...

– Oczywiście nie mówię, że w ogóle nikt. Chodzi mi o nikogo po naszej stronie. – Przyjrzał się swojej dłoni, jakby zapomniał, do czego służy, po czym pozwolił jej opaść swobodnie na kolana. – A nie trzeba było wiele. Dickie Bow mógł być po prostu tym ziarnkiem piasku na torach, które wykolei lokomotywę. Jak możesz sobie więc wyobrazić, bardzo nam zależało na odzyskaniu Dickiego.

– I to wam się najwyraźniej udało.

– O tak, znaleźliśmy go bez problemów. A raczej: pojawił się. Wrócił do miasta pewnym krokiem, gdy my byliśmy już gotowi oznaczyć czarną flagą wszystkie operacje, przy których kiedykolwiek węszył. I cóż, powiedziałem: pewnym krokiem, a prawda była taka, że ledwo był w stanie iść.

– Był torturowany?

S.D. parsknął.

– Był pijany jak bela. Choć z jego opowieści wynikało, że nie pił z własnej woli. Mówił, że ktoś go trzymał i wlewał mu coś do gardła. Myślał, że chcą go utopić. Oczywiście, dlaczego nie? Wlewając alkohol do gardła takiemu gościowi jak Dickie Bow, po prostu nabierali większego tempa.

– A kim byli „oni” w tym scenariuszu? Niemcami z NRD?

– Och, nic tak prowincjalnego. Nie, Dickie Bow twierdził, że uprowadzili go prawdziwi szpiedzy. Tacy z Moskwy. I na dodatek nie jacyś szeregowi żołnierze.

Zamilkł, by móc napawać się tą chwilą. River czasem zastanawiał się, jak staruszek to wytrzymywał: te codzienne rundki – do rzeźnika, piekarza, pani na poczie – i nie poddawał się pokusie odegrania dla tej bandy przedstawienia. Bo jeśli obecnie cokolwiek sprawiało S.D. przyjemność, była to publiczność.

– Nie – powiedział staruszek. – Dickie Bow twierdził, że uprowadził go sam Aleksander Popow.

Zrobiłoby to może większe wrażenie na Riverze, gdyby owo nazwisko z czymkolwiek mu się kojarzyło.

Świętego doprowadziły do samobójstwa, pomyślała Catherine Standish.

Dobry Boże. Jestem jak moja matka.

Takiego określenia użyła wcześniej, mówiąc o Jacksonie Lambie: że świętego doprowadziły do samobójstwa. Nie spodziewała się, że takie wyrażenie padnie

kiedyś z jej ust, ale tak się właśnie stało – człowiek zmieniał się w swoją matkę, no chyba że zmieniał się w ojca. Tak przynajmniej się działo, gdy pozwalałaś, by życie cię wygładziło, by zestrugało te wszystkie krawędzie, które sprawiały, że się wyróżniałaś.

Catherine miała kiedyś krawędzie, ale przez wiele lat żyła życiem, którego granice były niejasne, gdzie rano nie była pewna, co działo się poprzedniej nocy. Wskazówkami były ślady seksu i wymiocin, sińce na ramionach i udach. Poczucie, jakby ktoś ją przeżuł i wypluł. Jej relacja z alkoholem była najtrwalsza w życiu, ale tak jak w przypadku każdego agresywnego partnera po jakimś czasie pokazała, jaki naprawdę ma na nią wpływ. Tak więc teraz ostre kandy Catherine zostały wygładzone, a ona siedziała sama w kuchni w swoim mieszkaniu w północnym Londynie, parzyła kubek herbaty miętowej i myślała o łysych mężczyznach.

W jej życiu nie było łysych mężczyzn. W jej życiu nie było mężczyzn, a przynajmniej nie takich, którzy by się liczyli: w pracy byli wprawdzie mężczyźni, i choć polubiła Rivera Cartwrighta, w jej życiu nie było prawdziwych mężczyzn, a w przypadku Jacksona Lamba ta prawda była podwójnie prawdziwa. Niemniej jednak myślała o łysych mężczyznach, w szczególności o jednym, który szybko zerknął na kamerę, po czym wybiegł w ulewny deszcz padający na peron kolejowy, zamiast wsiąść do pociągu w zadaszonym odcinku peronu. I o kapeluszu, którego nie miał, bo zostawił go dwie minuty wcześniej w autobusie.

I myślała o tym, a robiła to bardzo często, jak łatwo byłoby wymknąć się po butelkę wina i wypić małą lampkę tylko po to, by udowodnić sobie, że tego nie potrzebuje. Jeden kieliszek, a resztę wylać do zlewu. Chablis. Dobrze schłodzone. Albo w temperaturze pokojowej, jeśli sklep monopolowy nie trzymał go w lodówce; a gdyby nie mieli chablis, sauvignon blanc też by się nadało, albo chardonnay, albo mocny lager, albo dwulitrowa butelka cydru.

Głęboki oddech. „Mam na imię Catherine i jestem alkoholiczką”. Niebieska *Wielka Księga Anonimowych Alkoholików* stała w salonie między słownikiem a wierszami zebranymi Sylvii Plath i nie było niczego, co by uspokoiło Catherine, aż ta fala odpłynie, choć pod ręką miała miętową herbatę. Fala – to też po matce. Jej określenie na uderzenie gorąca. Matka często mówiła szyfrem. Co było dość zabawne, jeśli wziąć pod uwagę pracę Catherine.

Co by teraz pomyślała sobie o niej matka, gdyby nadal żyła? Gdyby mogła zobaczyć Slough House, łuszczącą się farbę, jeszcze bardziej zniszczonych lokatorów... Catherine nie musiała pytać, bo odpowiedź matki byłaby zupełnie wyraźna: matka rzuciłaby okiem na zniszczone meble, łuszczące się ściany, zakurzone żarówki, pajęczyny zwisające z kątów i uznała, że to miejsce odpowiednie dla jej córki, dalekie od ambicji. W życiu lepiej nisko zawieszać poprzeczkę. Lepiej nie zadzierać nosa.

A w dłuższej perspektywie lepiej nie myśleć o tym, co zostawiłaś za sobą.

Tak więc Catherine wzięła kubek z miętową herbatą i zabrała go do salonu i, jak setki razy wcześniej, nie poszła kupić alkoholu. Nie przeglądała też niebieskiej książki – ani choleralnej Sylvii Plath – zamiast tego siedziała i myślała o łysych

mężczyznach i ich działaniach na zalanych deszczem peronach kolejowych. I starała się nie myśleć o swojej matce ani o spiłowywaniu krawędzi życia aż do chwili, gdy wyraźnie można było zobaczyć, co zaraz się wydarzy.

Ponieważ bez względu na to, co miało się zaraz wydarzyć, najlepiej było zakładać najgorsze.

Z siedemdziesiątego siódmego piętra do tego, pomyślała Louisa Guy. Cholera jasna!

Artykuł na całą rozkładówkę w „Beautiful Homes” poinformował ją ostatnio, że odrobina wyobraźni i niewielka ilość gotówki mogły przekształcić nawet najmniejszą kłitkę w kompaktowe, efektywnie zaaranżowane wymarzone mieszkanie. Niestety ta „niewielka ilość” była na tyle duża, że gdyby Louisa kiedykolwiek ją zdobyła, po prostu przeprowadziłaby się do większego lokum.

Jak zawsze motywem dzisiejszego wieczoru było wilgotne pranie. Suszarka do ubrań, zaprojektowana tak, by można ją było złożyć, jeśli się jej nie używało, była nieustannie używana, a nawet gdy nie była, brakowało miejsca, by ją schować. Stała więc obok półki z książkami, ozdobiona bielizną, której kolekcja przeszła znaczącą metamorfozę, odkąd w życiu Louisy pojawił się Min Harper. Poza tym na drucianych wieszakach wisiały bluzki – wisiały we wszystkich miejscach, gdzie dało się te wieszaki zahaczyć, a nadal wilgotny sweter odzyskiwał swój kształt na stole, z którego zwisały ciężko rękawy. A Louisa przysiadła na krześle w kuchni, z laptopem na kolanach.

Wyguglowanie daty miniszczytu należało do podstawowych sposobów zbierania informacji, ale było też pierwszym przystankiem na trasie. Dzięki niemu odnalazła Międzynarodowe Sympozjum Zaawansowanych Procesów Metalurgicznych w London School of Economics, konferencję z zakresu studiów azjatyckich w School of Oriental and African Studies. Rozpoczęła się sprzedaż biletów na koncert Abby, której członkowie mieli wystąpić wspólnie po latach, i zakładano, że bilety sprzedadzą się w ciągu dwóch minut; w centralnym Londynie dzień zapowiadał się na jeszcze bardziej szalony niż zwykle: pikietą Stop the City miała przemarszerować przez Oxford Street, spodziewano się ćwierci miliona demonstrantów. Ruch uliczny, metro i normalne życie z pewnością zostaną na ten czas wstrzymane.

Jednak żadne z tych wydarzeń nie było w oczywisty sposób powiązane z wizytą Rosjan. Stanowiły tło, a tło było istotne; po ostatnim razie, gdy kulawe konie zostały wplątane w sprawy Regent’s Park, Louisa nie zamierzała polegać na informacjach, które dostarczył Webb. Ale ciężko jej było się skoncentrować. Przypomniała sobie ogromną przestrzeń w The Needle. Rzadko była w tak dużych przestrzeniach, które nie były otwarte, i ta myśl nieuchronnie prowadziła ją do domu, wynajętej kawalerki po złej stronie rzeki.

A teraz dwie, a czasem trzy noce w tygodniu spędzał tu też Min, i choć ciągle należało to do zjawisk pozytywnych, nie było pozbawione wad. Min nie był bałaganiarzem, ale zajmował miejsce. Lubił być świeży i czysty przed pójściem do łóżka, co oznaczało dzielenie się cennymi centymetrami półki w łazience; rano potrzebował czystej koszuli, więc musiał też mieć miejsce w szafie. Pojawiły się płyty DVD, książki, CD, co oznaczało więcej przedmiotów w przestrzeni, która się nie



powiększała. No i oczywiście był też sam Min. Który nie zagarniał przestrzeni celowo, ale nie musiał tego robić – już sama jego obecność sprawiała, że mieszkanie wydawało się ciasniejsze. Bycie blisko niego było przyjemne, ale jeszcze przyjemniej byłoby, gdyby byli blisko w miejscu na tyle dużym, by być nieco dalej od siebie.

Gdzieś w budynku drzwi zamknęły się z trzaskiem. Podmuch wiatru, który dzięki temu powstał, gwizdał w korytarzach i szeptał pod drzwiami aż do chwili, gdy z wieszaka na podłogę spadła bluzka, wydając przy tym dźwięk jak przy zsuwaniu się śniegu z dachu. Louisa przyglądała się jej przez chwilę lub dwie, jakby sytuacja mogła ulec poprawie bez jej interwencji, a gdy do tego nie doszło, zamknęła oczy i myślami przeniosła się w inne miejsce – gdy jednak otworzyła je ponownie, nic się w kwestii bluzki nie zmieniło.

Narażona na przeciagi wynajmowana kawalerka. Z jedną dodatkową straszną cechą: że pomimo wszystkich swoich wad i tak była o kilka poziomów lepsza od kawalerki Mina ze współdzieloną łazienką.

Jeśli mieli znaleźć jakieś ładne wspólne mieszkanie, będą potrzebowali pieniędzy.

Jedenasta trzydzieści. Jeszcze sześć i pół godziny.

Cholera jasna.

Gdyby poproszono go o nakreślenie oczekiwań wobec prywatnej firmy ochroniarskiej, Cal Fenton poszedłby na całość. Byłyby szkolenia z walki wręcz, pasy taktyczne, kamizelki kuloodporne, paralizatory. I jazda samochodem: palenie gumy przy ruszaniu i ostre wchodzenie w zakręty. Miałby jedną z tych słuchawek z mikrofonem, absolutnie koniecznych w pełnym adrenaliny świecie konsultantów do spraw bezpieczeństwa, gdzie nigdy nie wiadomo, co przyniesie następna sekunda. Taki właśnie obraz miał w głowie Cal Fenton. Niebezpieczeństwo. Podniecenie. Stresująca konieczność polegania na własnej sile fizycznej.

Tymczasem miał za mały mundur, bo poprzedni pracownik na tym stanowisku był karłem, i gumową latarkę ze słabą baterią. A zamiast siedzieć obok kierowcy w opancerzonej limuzynie, musiał co noc robić obchód kilkunastu korytarzy, zgłaszając się co sześćdziesiąt minut o pełnej godzinie, nie po to, żeby zapewnić kierownictwo, że budynek nadal stoi na swoim miejscu, ale raczej by udowodnić, że on sam nie śpi i że zarabia na swoją wypłatę. Która była tak nieznacznie powyżej płacy minimalnej, że gdybyś podzielił różnicę, dostałbyś niecałego funta w drobnych. Ale robota była robotą, jak zawsze mawiała jego matka, choć Cal Fenton, obdarzony mądrością wynikającą z życia dziewiętnaście lat na tej planecie, odnalazł lukę w tej argumentacji: czasem robota była tylko wrzodem na dupie. Zwłaszcza gdy wybijała jedenasta trzydzieści jeden, a do końca pracy i trzaśnięcia drzwiami pozostawało jeszcze sześć godzin i dwadzieścia dziewięć minut.

A skoro o drzwiach mowa...

Cal był na parterze i szedł korytarzem po wschodniej stronie budynku, a drzwi na drugim końcu korytarza były otwarte. Nie na oścież, ale też nie zamknięte... Albo ktoś otworzył je po ostatnim obchodzie Cala, albo Cal nie zamknął ich po tym, jak wypalił papierosa.

Cal i tylko Cal, bo na nocnej zmianie był tylko jeden pracownik.

Popchnął drzwi delikatnie. Otworzyły się ze skrzypieniem. Na zewnątrz był pusty parking ogrodzony drucianą siatką, za którą wyboista droga znikła w cieniu Westway. Budynek po drugiej stronie mieścił kiedyś w sobie pub i być może miał nadzieję kiedyś znów być pubem, jednak w tej chwili musiał się zadowolić rolą szkaradztwa. Z zabitych deskami okien odklejały się plakaty informujące o występach lokalnych didżejów. Cal rozglądał się przez chwilę, po czym zamknął drzwi. Stał w ciszy, będąc świadom bicia własnego serca. Na zewnątrz jednak nie było nikogo i w środku, poza nim, również nikogo nie było. Jedenasta trzydzieści cztery. Odszedł od drzwi i sprawdził biuro.

Biuro. Siedziba firmy. Mogłeś używać takich słów, jeśli nie miałeś kontaktu z rzeczywistością.

Ponieważ biuro było w istocie tylko odrobinę lepsze od pojemnika na szczotki, a „siedziba firmy” pretensjonalną nazwą dla magazynu: ceglane ściany bez okien na parterze, później drewno na piętrze, jakby w połowie budowy zabrakło im cegieł. Budynek był nowszy niż to, co wcześniej stało w tym miejscu, ale na tym kończyły się komplementy. Podobnie jak dawny i przyszły pub po drugiej stronie, całe to miejsce w zasadzie odliczało dni do momentu, gdy ceny w tej okolicy zaczną rosnąć, ale to było do przewidzenia. DataLok oszczędzało na wszystkim, więc dostawałeś mniej, niż gały widziały. Zwłaszcza jeśli patrzyłeś na katalog firmy.

Cal wymachiwał latarką duże, łagodne okręgi. Nikogo nie było w biurze. A już na pewno nie psa stróżującego, który, jak głosiła tabliczka na głównej bramie, patrolował teren 24/7. Jednak tabliczka ta kosztowała 4,99 funta, co było znacząco niższą kwotą niż koszt utrzymania psa stróżującego przez całą dobę.

I wtedy Cal usłyszał coś w północnym korytarzu. Szurnięcie, jakby ktoś przesunął piętą po płytkach.

Telefon Cala zadzwonił głośno i wyraźnie. Lab-dab, lab-dab, lab-dab. Jak zawsze, tylko dwa razy głośniej i cztery razy szybciej.

Dwadzieścia cztery minuty do następnego telefonicznego meldunku. Ale oczywiście mógł zadzwonić wcześniej ze względu na to, że był totalnie posrany.

A oto jak przebiegłaby taka rozmowa:

– Wydaje mi się, że coś słyszałem.

– Wydaje ci się, że coś słyszałeś.

– Tak, na korytarzu. Jakby ktoś tu był. Ale nie sprawdziłem. No i tak, drzwi były otwarte, ale być może zostawiłem je otwarte wcześniej, gdy wymknąłem się na fajkę. Czy chcecie przysłać posiłki?

(Cały zastęp wyszkolony do walki wręcz, z pasami taktycznymi i kamizelkami kuloodpornymi).

Ale nawet robota przypominająca wrzód na dupie była lepsza niż brak roboty, a Cal naprawdę nie chciał stracić płatnej pracy tylko dlatego, że do budynku weszła wiewiórka. Zwążył w dłoni latarkę. Wydawała się wystarczająco ciężka, jak pałka, więc w pewnym stopniu się uspokoił i wyszedł z biura w stronę północnego korytarza, na którego końcu znajdowała się klatka schodowa.

Korytarze biegiły przy zewnętrznych krawędziach budynku. Biuro na dole było

miejszem, w którym pracownicy ochrony – on i zbliżający się do siedemdziesiątki były gliniarz o imieniu Brian – trzymali swoje rzeczy; na górze mieściło się pomieszczenie techniczne, gdzie przetwarzano przychodzące informacje. A cała reszta budynku była labiryntem magazynów: poza numerami przymocowanymi nad wszystkimi drzwiami skubane wyglądały tak samo. I tak też samo brzmiały: ciągły szum. Te dźwięki wydawały informacje czekające na to, by ich użyć.

Kiedyś usłyszał, że coś takiego mówił jeden z techników.

Był w połowie długości korytarza, gdy zgasły światła.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Co za bzdury!

To było niepodobne do staruszka. River pomyślał, że trzeba zrzucić to na fakt, że S.D. wypijał już trzecią szklaneczkę, i powiedział:

– Nie, od lat opowiadasz mi te wszystkie szpiegowskie historie, ale nigdy nie wspomniałeś mi o Aleksandrze Popowie.

Staruszek odpowiedział mu karzącym spojrzeniem.

– Nie opowiadałem historii, Riverze. Uczyłem cię. Takie przynajmniej miałem zamiary.

Gdyby S.D. kiedykolwiek się dowiedział, że stał się starym plotkarzem, w głębi jego duszy coś by umarło.

– O to mi właśnie chodziło – odpowiedział River. – Jednak Popow nigdy nie stanowił części mojej edukacji. Zgaduję, że był z Centrum Moskiewskiego, tak? Jednym z ich tajemniczych czarnoksiężników pociągających za sznurki?

– „Nie zwracaj uwagi na człowieka za zasłoną”<sup>\*\*</sup> – zacytował S.D. – W zasadzie to całkiem dobre. Ale nie. On był straszakiem. Zasłoną dymną, niczym więcej. Gdyby informacja była twardą walutą, wówczas najlepszym, co mieliśmy na Popowa, byłby rewers. Nikt nigdy nie tknął go palcem, a stało się tak dlatego, że on nigdy nie istniał.

– Jak więc... – zaczął River i ugryzł się w język. „Zadawanie pytań jest dobre”. Jedną z pierwszych lekcji. „Jeśli czegoś nie wiesz, pytaj. Ale zanim zapytasz, spróbuj sam rozwiązać ten problem”. Powiedział: – Czyli zasłona dymna była celowa. Został wymyślony po to, byśmy szukali kogoś, kto nie istniał.

S.D. pokiwał głową z aprobatą.

– Był wymyślonym asem wywiadu, odpowiadającym za swoją wymyśloną sieć. Jego zadaniem było spowodować, żebyśmy się pogubili. Robiliśmy coś podobnego w czasie wojny. Operacja „Mincemeat”. Jedną z lekcji, które z niej wyciągnęliśmy, było, że możesz dowiedzieć się bardzo wiele z tego, w co każą ci wierzyć. Wiesz, jak działają służby, Riverze. Chłopcy i dziewczęta z Background wolą legendy od prawdy. Prawda idzie prostą trasą. A oni lubią zaglądać za zakręty.

River przywykł do rozplątywania supłów w wypowiedziach dziadka.

– Nawet jeśli szczegóły, które ci wmawiano, były fałszywe, nie znaczyło to, że nic nie dało się z nich wywnioskować.

– Skoro Centrum Moskiewskie mówiło: „Patrzcie tutaj”, rozsądek nakazywał patrzeć w przeciwnym kierunku – zgodził się S.D. Po czym tonem, który wskazywał

na to, że odkrył długo skrywany sekret, dodał: – Wszystko było grą, nieprawdą? I tego się trzymali, nawet gdy wszystko, co mieli, było już grabione przez innych.

W kominku rozległ się trzask i staruszek skierował nań swoją uwagę.

River przyglądał mu się z czułością i pomyślał to, co często myślał, gdy skupiali się na takich tematach: że żałuje, że nie żył w tamtych czasach. Że nie odegrał żadnej roli. To pragnienie trzymało go w Slough House, poddanego tresurze Jacksona Lamba.

– Mielicie wtedy teczkę Aleksandra Popowa – powiedział. – Nawet jeśli pełna była bajeczek. Co w niej było?

– Boże, River – odparł S.D. – Od wielu lat o niej nie myślałem. Daj mi chwilę. – Znów spojrzął w ogień, jakby spodziewał się, że dostrzeże coś w płomieniach. – To był patchwork. Jak narzuta uszyta przez starszą kobietę. Zналиśmy jego miejsce urodzenia. A raczej to, co kazali nam uważać za miejsce urodzenia... Ale nie owijajmy znów w bawełnę. Historia była taka, że pochodził z jednego z miast zamkniętych. Wiesz coś o nich?

Niewiele.

– Wojskowe stacje badawcze, obsługiwane przez cywilów. Jego miasto było położone w Gruzji. Nie miało nazwy, tylko numer. ZT/53235 czy jakoś tak. Liczba ludności: trzydzieści, może trzydzieści trzy tysiące. Śmietankę stanowili pracownicy naukowcy, wspierani przez sektor usług i wojsko, które miało sprawować nad nimi kontrolę. Jak większość tego typu miejsc, powstało ono po wojnie, gdy sowiecki program nuklearny był w rozkwicie. O to chodziło w tym mieście. Wiesz, ono nie powstawało... naturalnie. Zbudowano je w określonym celu. Do produkcji plutonu.

– ZT/53235? – zapytał River, który lubił ćwiczyć pamięć.

Dziadek spojrzął na niego.

– Albo jakoś tak. – Odwrócił się z powrotem w stronę ognia. – Wszystkie te miasta miały takie nazwy.

Wyprostował się i wstał.

– Dziadku?

– Chodzi o to, że... w porządku. Już nic. – Sięgnął do koszyka z drewnem stojącego obok kominka i z wiązki na rozpałkę wyciągnął długą, suchą gałązkę. – No dalej – mamrotał. – Muszę cię stąd wyciągnąć.

S.D. zbliżył gałązkę do ognia.

Zobaczył robala, uświadomił sobie River. Stonogę pędzącą na oślep po polanie znajdującym się na samym czubku płonącej piramidy. Mimo wysokiej temperatury ręka jego dziadka nie zadrżała, gdy nachylił się, ustawiając końcówkę gałązki tak, że podczas następnego okrążenia robaka znajdzie się ona na jego drodze, a mające zaraz umrzeć stworzenie prawdopodobnie rzuci się na nią z wdzięcznością jak na linę zrzuconą z helikoptera. Jak powiedzieć w robalim języku *deus ex machina*? Jednak robal nie mówił ani po łacinie, ani w żadnym innym języku i zignorował zaproponowaną mu drogę ucieczki, kierując się na wierzch kłody, gdzie przez moment łapał równowagę, po czym stanął w płomieniach. Dziadek Rivera tego nie skomentował. Po prostu wrzucił gałązkę do ognia i z powrotem rozsiadł się w fotelu.

River miał zamiar coś powiedzieć, jednak zamiast się odezwać, odchrząknął.

– To było w czasach Charlesa – rzekł staruszek. – A jego pod koniec to dość mocno denerwowało. Mówił o marnowaniu czasu na gry i zabawy, gdy nadal toczy się wojna, jakby ktoś tego nie zauważał. – Przy tych słowach głos S.D. zmienił się, jakby poddał się nieszkodliwemu nawykowi naśladowania kogoś, kogo słuchacz nigdy nie poznał.

Charles Partner dawno – dawno temu – był Pierwszym Biurkiem w kontrwywiadzie.

– I to był ten mężczyzna, który rzekomo porwał Dickiego Bowa.

– Owszem. Choć trzeba oddać Dickiemu sprawiedliwość: kiedy wymyślił tę historyjkę, nie było jeszcze w pełni udowodnione, że Popow nie istnieje. Z pewnością wydawał się wówczas wystarczająco dobrym alibi na to, co porabiał Dickie. Prawdopodobnie chlał i się kurwił. Gdy zorientował się, że jego nieobecność była źródłem problemów, wymyślił historię. O porwaniu.

– A czy powiedział, czego chciał Popow? Bo wiesz, uprowadzenie agenta...

– Mówił wszystkim, którzy słuchali, i całkiem sporej liczbie osób, które nie chciały słuchać, że był torturowany. Ponieważ jednak tortury te przybrały formę zmuszania go do picia alkoholu, miał problem z wzbudzaniem współczucia. A skoro o tym mowa...

Jednak River pokręcił głową. Jeszcze trochę, a zostanie tu do rana. A musi wkrótce wracać do domu.

Ku jego zdziwieniu dziadek ponownie napełnił swoją szklanekę. Po czym powiedział:

– To miasto zamknięte. To, z którego podobno pochodził. – River czekał. – Zniknęło z mapy w pięćdziesiątym piątym. Albo zniknęłoby, gdyby było na mapie. – S.D. popatrzył na wnuka. – Miasta zamknięte oficjalnie nie istniały, więc nie wymagały wielkiej administracji. Nie trzeba było poprawiać fotografii czy zmieniać stron w encyklopedii.

– Co się stało?

– Jakiś wypadek w fabryce plutonu. Sądzymy, że nie wszyscy zginęli. Oczywiście nie było żadnych oficjalnych danych, ponieważ oficjalnie nigdy do zdarzenia nie doszło.

– Trzydzieści tysięcy ludzi? – spytał River.

– Tak jak powiedziałem: trochę ludzi przeżyło.

– Chcieli, żebyście uwierzyli, że jednym z nich był Popow – powiedział River.

W głowie układał historię rodem z komiksu: mściciel unoszący się z płomieni. Tylko co tam było do pomszczenia po wypadku przemysłowym?

– Być może chcieli – odparł dziadek. – Ale zabrakło im czasu. Nasza sieć wypełniła się, gdy runął mur. Gdyby Popow istniał naprawdę, któraś z większych ryb by go wydała. Mielibyśmy całą biografie, słowo po słowie. Posiadaliśmy jednak tylko strzępy, jakby niedokończonego stracha na wróble. Jakiś gad rzucił jego nazwisko podczas zdawania raportu, ale wówczas było to już przyznaniem się do ignorancji, bo nikt już w niego nie wierzył.

Gdy skończył, S.D. odwrócił się od ognia. Światło bijące z kominka podkreślało zmarszczki na jego twarzy, zmieniając go w starego wodza plemienia, a River poczuł bolesne ukłucie w sercu, gdy uświadomił sobie, że nie będzie już wielu takich wieczorów; że powinien istnieć jakiś sposób, by uzupełnić ich zapas. Ale nie istniał i nigdy nie będzie istniał. Uświadomienie sobie tego to jedna kwestia. Zupełnie inną było życie z tą świadomością.

River starał się, by nie zdradzić swoich myśli.

– W jaki sposób rzucił jego nazwiskiem? – zapytał.

– Istniało jakieś zaszyfrowane hasło. Nie pamiętam go. – Starzec spojrzał znów na swoją szklanke. – Czasami zastanawiam się, ile zapomniałem. Nie wydaje mi się jednak, żeby to miało teraz jakieś znaczenie.

Przyznanie się do słabości na ogół nie stanowiło elementu ich rozmowy. River odstawił szklanke.

– Robi się późno.

– Mam nadzieję, że nie zaczniesz mnie teraz pocieszać?

– Nie zrobię tego, nie mając kamizelki kuloodpornej.

– Uważaj na siebie, Riverze.

River zamilkł.

– Dlaczego to powiedziałeś?

– Nie świeci latarnia na końcu drogi – odrzekł jego dziadek. – Między moim domem a dworcem jest ciemno.

Co, jak się okazało, było prawdą. Choć River nie wierzył, że ta właśnie myśl była najważniejsza w głowie dziadka.

Cal Fenton cieszył się, że w pobliżu nie było nikogo, kto usłyszałby, gdy krzyczy jak dziewczyna w ciemnościach:

– Jezu Chryste!

Choć najbardziej martwił się tym, że ktoś jednak może być w pobliżu.

To nie była awaria generatora. Serwery szumiały; wszystkie informacje były bezpieczne, utulone w elektronicznych kokonach. Lampy były podpięte pod inny obwód; problemem mógł więc być po prostu brak prądu, jednak nawet gdy umysł Cala sięgał po taką odpowiedź, jego jelita uświadamiały sobie, że jeśli byłaby to awaria sieci, to prądu nie zabrakłoby w dwie minuty po tym, jak zauważył, że drzwi są otwarte, i usłyszał odgłos szurania.

Korytarz przed nim był pusty, wyjąwszy cienie, które były większe i bardziej zmienne niż zazwyczaj. Schody prowadziły w jeszcze większą ciemność. Gdy Cal się w nią wpatrywał, jego oddech przyspieszył, a dłoń mocniej zacisnęła się na latarce. Nie potrafił ocenić, jak długo tam stał: piętnaście sekund, dwie minuty. Bez względu na to, ile czasu upłynęło, czas ten dobiegł końca, gdy Cal dostał czkawki; była to nieoczekiwana, pochodząca z głębi trzewi czkawka, która przybrała formę pisku – ostatnim, czego pragnął Cal, było stanięcie twarzą w twarz z intruzem, który ją usłyszał. Odwrócił się. Korytarz za nim także był pusty. By go pokonać, Cal zaczął truchtać i bieg ten był równie niezamierzony jak jego wcześniejszy paraliż; czyli w ten oto sposób Cal reagował na sytuacje kryzysowe – robił wszystko, co

nakazywało mu ciało. Stój bez ruchu. Pomachaj latarką. Biegnij.

„Niebezpieczeństwo. Podniecenie. Stresująca konieczność polegania na własnej sile fizycznej...”

Wrócił do biura, pstryknął włącznikiem światła, ale nic się nie wydarzyło. Telefon wisiał na ścianie naprzeciwko. Cal przełożył latarkę z prawej ręki do lewej i sięgnął po niego, a słuchawka dopasowała się do jego dłoni swoim gładkim plastikowym kształtem przypominającym butelkę na mleko dla dzieci. Jednak poczucie ulgi trwało tylko chwilę. Nie dobiegł go żaden dźwięk, nawet szum zerwanego połączenia przypominający odległy szepot morza. Stał, jego latarka nie była skierowana w żadne konkretne miejsce. Drzwi, potencjalny hałas, światła; teraz telefon. Biorąc pod uwagę wszystkie te zdarzenia razem, nie było szans, by był sam w budynku.

Ostrożnie odłożył słuchawkę. Na drzwiach wisiał jego płaszcz, a w kieszeni miał komórkę. Jednak, jak się okazało, komórki tam nie było.

Gdy tylko Cal to odkrył, sprawdził kieszenie raz jeszcze, trochę szybciej, po czym przeszukał je po raz kolejny, tym razem wolniej.

Przez cały ten czas w jego głowie ścigały się myśli. Na jednym biegu odtwarzał swoje działania w drodze do pracy, na wypadek gdyby w ten sposób miał przypomnieć sobie, gdzie zostawił telefon. Na drugim przywoływał wszystko, co wie, na temat budynku. Zrzut informacji, jak mówili technicy. Zrzucanie, jak się dowiedział, było czymś, co robiło się z niemal nieskończoną ilością cyfrowych informacji, z których nikt nigdy nie będzie ponownie korzystał, z wyjątkiem mało prawdopodobnych okoliczności, w których występują prawnicy. Gdyby nie one, przechowywane tu archiwa cyfrowe dawno już zostałyby wymazane; choć słowo „wymazane” nie było tym, które usłyszał; tym słowem było „uwolnione”, a gdy je usłyszał, obraz, który pojawił się przed nim, przedstawiał informacje uwolnione z klatki jak stadko gołębi wznoszących się w powietrze przy wtórze oklasków...

Telefonu nigdzie nie było. Ktoś włamał się do budynku podczas zmiany Cala; załatwił światła, odciął telefon, ukradł jego komórkę. Mało prawdopodobne było, by ten ktoś po zrobieniu tego wszystkiego dyskretnie się ulotnił.

Światło jego latarki zamigotało, jakby miało być następną rzeczą, która zniknie. Calowi zaschło w gardle, a serce waliło mu młotem. Musiał wyjść z biura i obejść korytarze; pójść na górę i sprawdzić ten nieoświetlony labirynt, w którym przechowywana była cała ta wiedza, i musiał to zrobić przy akompaniamencie okropnego chóru, który powtarzał w jego głowie, że czasami warto zabić dla informacji.

Z korytarza, w którym ukryły się cienie, dobiegło go delikatne skrzypnięcie buta z gumową podeszwą na linoleum.

A jeśli warto zabijać dla informacji, pomyślał Cal Fenton, to na ogół ktoś musi zginąć.

Spokojny wieczór w domu, pomyślał Min Harper.

Cholera jasna!

Nalał sobie drinka i obejrzał swoje włosy.

Nie trwało to długo.

Później usiadł na sofie, która była też jego łóżkiem, choć gdyby brać pod uwagę nudne szczegóły techniczne, nie należała do niego; była elementem wyposażenia pokoju. Miał on kształt litery L, gdzie podstawę stanowił aneks kuchenny (zlew; mikrofalówka na lodówce; czajnik elektryczny na półce), a najdłuższa ściana chełpiła się dwoma oknami, które wychodziły na budynki naprzeciwko. Odkąd Min się tutaj wprowadził, znów zaczął palić; nie robił tego publicznie, ale wieczorami wychylał się z okna i wypalał papierosa. W jednym z domów naprzeciwko pewien chłopak robił to samo, więc machali do siebie. Chłopak wyglądał, jakby miał jakieś trzynaście lat, czyli był w wieku najstarszego syna Mina. I choć myśl, że Lucas mógłby palić, sprawiała, że Min czuł ukłucie w lewym płucu, palenie tego dzieciaka nie wywoływało w nim żadnych uczuć. Przypuszczał, że gdyby nadal mieszkał w domu, zadziałoby poczucie odpowiedzialności i zamieniłby słówko z rodzicami smarkacza. Ale przecież gdyby mieszkał w domu, nie wychylałby się z okna, żeby zapalić, więc nie doszłoby do tej sytuacji. Gdy się nad tym zastanawiał, dopił drinka, więc zrobił kolejnego i wychylił się z okna, żeby zapalić. Wieczór był chłodny, zbierało się na deszcz. Dzieciaka nie było.

Gdy skończył, wrócił na kanapę. Nie była szczególnie wygodna, ale i łóżko, którym się stawała po rozłożeniu, także nie było wygodne, więc przynajmniej wykazywała się konsekwencją. A fakt, że była nierówna i wąska, był zaledwie jednym z powodów, dla którego nie nabrał nawyku zapraszania tutaj Louisy; poza tym była jeszcze kwestia zapachów potraw, które utrzymywały się przez całą noc; zniszczona podłoga w łazience w dalszej części korytarza i psychol z zaburzeniami osobowości w pokoju poniżej... Min powinien się przeprowadzić; odzyskać znów równowagę w życiu. Minęło już kilka lat, odkąd wszystko runęło; proces ten zaczął się, kiedy zostawił dysk z tajnymi danymi w metrze, a gdy obudził się następnego dnia, zawartość tego dysku omawiana była w Radio 4. W ciągu miesiąca trafił do Slough House. Jego życie rodzinne legło w gruzach niewiele później. Gdyby małżeństwo Mina było mocne – jak czasami pouczał sam siebie – przetrwałoby to zawodowe upokorzenie, jednak prawda ta – jak zrozumiał później – dotyczyła bardziej konkretnego elementu. Gdyby on sam był silny, sprawiłby, że jego małżeństwo by przetrwało. Ale na ten moment jego małżeństwo już definitywnie należało do przeszłości, zwłaszcza teraz, ze względu na obecność Louisy. Był raczej pewien, że Clare nie tolerowałaby takiego rozwoju wydarzeń; nie powiedział jej o nim, ale nie był przekonany, że ona nic nie wie. Kobiety były urodzonymi szpiegami i były w stanie wyczuć zdradę, zanim do niej doszło.

Jego szklanka znów była pusta. Gdy sięgnął, by ją napełnić, nagle zobaczył przeblysk przyszłości, w której nic się nie zmieniło; przyszłości, w której nadal mieszkał w tym niszczącym duszę pokoju i nigdy nie zwolniono go z wieńczącego koniec kariery Slough House. I wiedział, że nie może pozwolić, by tak się stało. Odpokutował za porażki z przeszłości; chyba każdemu wolno popełnić jeden błąd? Podano mu gałązkę oliwną z Regent's Park w postaci tego szczytu od Spidera; jedyne, co musiał zrobić, to chwycić ją i dać się wyciągnąć na brzeg. Jeśli to miał być test, miał zamiar go zdać. Niczego nie oceniać po pozorach, taką mantrę musiał



zastosować. Założy, że wszystko ma ukryte znaczenie, i musi szukać tak długo, aż je odkryje.

I nikomu nie ufać. To było najważniejsze. Nikomu nie ufać.

Oczywiście z wyjątkiem Louisy. Miał do Louisy całkowite zaufanie. Co niekoniecznie oznaczało, że należy jej o wszystkim mówić.

Gdy River wyszedł, w domu zrobiło się na tyle cicho, by David Cartwright mógł odtworzyć ich rozmowę.

Jasna cholera.

Powiedział: „ZT/53235”, a River był na tyle bystry, by tę nazwę miasta powtórzyć. I nie była to nazwa, którą zapomni, ponieważ River zawsze potrafił pamiętać numery telefonów, rejestracje samochodów, statystyki meczów miesiące po tym, jak je przeczytał. Cartwright lubił myśleć, że było to darem, który chłopak miał po nim; a z pewnością darem, do którego pielęgnowania zachęcał Rivera. Tak więc, prędzej czy później, zacznie zastanawiać się, jak to się stało, że dziadek idealnie zapamiętał tę konkretną nazwę kod, skoro odegrał przedstawienie i udawał, że nie pamięta wszystkich szczegółów.

Jednak nie dało się zestarzeć, nie przywykając do tego, że istnieją sprawy, których nie jesteś w stanie zmienić. Tak więc David Cartwright schował tę sprawę do szuflady w swojej pamięci i postanowił, że nie pozwoli, by go dręczyła.

Ogień przygasał. Ta stonoga: spieszyła się, ewidentnie przerażona, a w ostatniej chwili rzuciła się w ogień, jakby śmierć była lepsza niż czekanie na śmierć. A przecież to była stonoga. Fakt, że istoty ludzkie znajdujące się w podobnym potrzasku doszły do podobnych wniosków, był faktem udokumentowanym, nad którym David Cartwright nie miał zamiaru się rozwodzić. Jego pamięć pełna była zamkniętych szuflad.

Na przykład Aleksander Popow. Jeśli David nigdy wcześniej nie wspominał o nim swojemu wnukowi, stało się to z wymienionego przez niego powodu: dlatego że przez ponad dziesięć lat nie poświęcił tej istocie ani jednej chwili. I to także wynikało z podanego powodu: Popow był legendą, nie istniał naprawdę. Jeśli chodzi o Dickiego Bowa, z całą pewnością był pijakiem, którego okres przydatności dla wywiadu dobiegł końca. Jego opowieści o porwaniu były próbą załatwienia sobie emerytury przez konającego. To, że zmarł w autobusie, nie mając ważnego biletu na przejazd, nie wydało się Cartwrightowi zaskakującym zakończeniem. Wprost przeciwnie, było prawdopodobne od samego początku.

Jednak Jackson Lamb zdawał się myśleć inaczej, a problem z tym typem nie polegał na tym, że przez całe życie kombinował tylko, jak uprzykrzyć życie swoim kulawym koniom. Problem polegał na tym – jak w przypadku większości takich gości – że gdy w swojej głowie zaczął ciągnąć za nitkę, nie przestawał, póki nie spruł całego gobelinu. A David Cartwright naoglądał się w swoim życiu tylu gobelinów, że ciężko było stwierdzić, gdzie jeden się kończył, a drugi zaczynał.

Znów wziął do ręki szklanekę, ale gdy zorientował się, że jest pusta, odstawił ją. Gdyby wypił jeszcze jednego drinka, padłby jak mucha na godzinę, a później nie zmrużył oczu do samego rana. Jeśli czegoś mu brakowało z młodości, to tej

beztroskiej zdolności do zapominania o świecie – jak z wiadrem wrzucanym do studni, które później wyciąga się powoli, już napełnione. Był to jeden z tych darów, których posiadania nie byłeś świadomy, póki go nie utraciłeś.

Ale poza tym, że starszek przyzwyczał się do tego, że istnieją sprawy, których nie mógł zmienić, nauczył się też tego, że pewne sprawy zmieniają się, nawet jeśli o tym nie wiesz.

Aleksander Popow był legendą, pomyślał Cartwright. Aleksander Popow nie istniał naprawdę.

Zastanawiał się, czy to nadal prawda.

Wpatrywał się jeszcze przez chwilę w wygasający ogień. Ale tak jak wszystko, co umierało, tak i ogień nie ujawnił niczego, czego on wcześniej nie wiedział.

---

\* Cytat przypisywany Ottonowi von Bismarckowi.

\*\* S.D. nawiązuje do filmu *Czarnoksiężnik z krainy Oz*.

The Wentworth Academy of English Language miała dwie lokalizacje. Główna siedziba, jak przedstawiono ją w błyszczącej broszurze, była ładnym wiejskim budynkiem, który podświadomie wydawał się znajomy każdemu, kto oglądał BBC w niedzielne wieczory: czteropiętrowy, zdobiony blankami gmach mieszczący trzydzieści sześć pokoi, otoczony rozległym trawnikiem, z oczkiem wodnym z karpiami, kortami tenisowymi, boiskiem do krykieta i parkiem z jeleniami. Drugą lokalizacją, której jedyną przewagą nad pierwszą było to, że właśnie tutaj mieściła się akademia, były dwa biura na trzecim piętrze nad sklepem z artykułami papierniczymi przy High Holborn i każda ulotka dotycząca tego miejsca musiałaby się przyznać do zacieków na suficie, rozbitych szyb i farelki, która nastawiona na maksimum przypalała tynk i śpiącego Rosjanina.

Farelka była włączona, gdy Lamb stanął w drzwiach. Bez słowa przyjrzał się otoczeniu: regały na książki pełne dziesiątek egzemplarzy tej samej broszury; trzy oprawione w ramki dyplomy zawieszane na ścianie nad kominkiem; rozbite okna wychodzące na ceglany mur; dwa telefony na biurku, na którym bezwładnie leżał śpiący Rosjanin – oba z okrągłą tarczą, jeden czarny, drugi kremowy. Były ledwo widoczne pod stertami czegoś, co można by z uprzejmości nazwać dokumentami, ale bardziej rozsądnie byłoby określić je jako śmieci. Paragony i ulotki z lokalnych pizzerii, korporacji taksówkarskich i broszura dla kogoś, kto był nowy w mieście i potrzebował silnej ręki. Pod biurko wepchnięto składane łóżko polowe i brudną poduszkę, jednak nie schowano ich całkowicie.

Gdy tylko Lamb upewnił się, że facet nie udaje, zmiotł stertę ulotek na podłogę.

Trach!

Wyskoczył z fotela jak człowiek, który doskonale wie, czym są koszmary. Nikołaj Katinski, tak się nazywał. Podskakując, chwycił coś z biurka, ale było to tylko etui na okulary; drobny rekwizyt, który miał zakotwiczyć go w budzącej się rzeczywistości. Nie zdążył stanąć na nogach, a już opadł z powrotem na fotel, który niebezpiecznie zatrzeszczał. Odłożył etui i przez chwilę kaszłał. W końcu zapytał:

– A ty kim jesteś?

– Przyszedłem po pieniądze – powiedział Lamb.

Stosunkowo bezpiecznie można było zakładać, że Katinski był komuś winien pieniądze i że w każdej chwili może zjawić się ktoś, kto zechce je odebrać.

Katinski w zamyśleniu pokiwał głową. Był łysy, a raczej prawie łysy – jego uszy zdobiło gęste pasmo białych włosów – i sprawiał wrażenie, jakby tłumiał energię, dławił w sobie emocje; takie same wrażenie odniósł Lamb, gdy oglądał go na nagraniu sprzed osiemnastu lat wykonanym przez lustro weneckie w jednym z luksusowych apartamentów w Regent's Park. Żarcik. Położone pod ziemią, były miejscem, w którym odbywały się najbardziej tajne zebrania kontrwywiadu; te,

których istnieniu należało później zaprzeczać. Ale od tamtego czasu mężczyzna wyraźnie zmalął, jakby przeszedł na ostrą dietę, ale nie wymienił garderoby. Skórę miał naprężoną przy linii szczęki, cała reszta ciała sprawiała wrażenie obwisłej. Gdy przestał kiwać głową, zapytał:

– Pieniądze Jamala? Czy Demetrio?

Lamb rzucił w myślach monetą i odpowiedział:

– Demetrio.

– Tak myślałem. Powiedz temu greckiemu skurwielowi, że może spierdalać.

Umawialiśmy się na pierwszego.

Lamb odszukał swoje papierosy.

– Może nie wspomnę mu tego o spierdalaniu – odparł. Wchodząc do pokoju, zahaczył stopą o krzesło i zrzucił na podłogę spoczywające na nim brzemie w postaci kapelusza, rękawiczek i „Guardianów”. Siadając na nim, rozpiął guziki płaszcza i zaczął szukać zapalniczki. – Ktoś uwierzył, że to szkoła?

– O, teraz rozmawiamy?

– Muszę tu zostać na tyle długo, by Demetrio był przekonany, że omawialiśmy kwestie finansowe.

– Jest na zewnątrz?

– W samochodzie. Tak między nami, może zgodzić się na spłatę pierwszego dnia miesiąca. – Odnalazł zapalniczkę i jej użył. – Nie jesteś na dzisiejszej liście. Byliśmy po prostu w okolicy.

Sam był zaskoczony, jak łatwo do tego wrócił: na poczekaniu wymyślał historyjki. Za dziesięć minut obecne życie Katinskiego będzie rozciągnięte między nimi jak posiłek na wynos. A gdy Lamb wyjmie z niego kości, będzie mógł zabrać się za mięso.

Przesłuchanie Katinskiego nie było tak naprawdę poważne. Katinski tkwił wśród zmiecionych śmieci; wywołany rozpadem Związku Radzieckiego *exodus* drobnych szpiegów, którzy byli zdeterminowani, by resztki zdobytej wiedzy przekuć w bardziej konkretną walutę. Zdecydowanie nie byli pierwszoligowymi kandydatami. Ale wszystkich należało rozpatrzeć i wypchnąć z drugiej strony, niektórych nawet odesłać, by udowodnić, że nie ma czegoś takiego jak jazda na gapę.

Tym, którym pozwolono zostać, dano niewielką sumę pieniędzy i ważny przez trzy lata paszport, który przysparzał im mnóstwa stresu za każdym razem, gdy zbliżała się data przedłużenia jego ważności. Jak kiedyś skomentował Charles Partner, mentor Lamba, dobrze było mieć pod ręką zapas zastępowalnych Rosjan na liście płac. Poza wszystkim nie wiadomo było, kiedy koło znów się zakręci, a sytuacja wróci do punktu wyjścia. „Punkt wyjścia” był określeniem, którego nigdy nie podawano w wątpliwość. Zimna wojna była naturalnym stanem rzeczy.

W każdym razie Katinski miał szczęście. I popatrzcie teraz na niego: dawniej pośledni szpieg, dziś prowadzi własną „szkołę”... Końcówka lat sześćdziesiątych, zakładał Lamb. Jego ręce drżały pod warstwą różnych rękawów: tweedowa marynarka kupiona w sklepie charytatywnym, dziurawy szary sweter z dekoltem w szpic, niechlujna biała koszula bez kołnierzyka. I było w nim coś jeszcze, nawet

jeśli pominąć ubrania z drugiej ręki, poplamione ściany, koszmary adres. Coś było nie tak, jak z mlekiem w tym czasie między datą przydatności do spożycia a momentem, w którym już jest skwaśniałe.

– Mamy więcej pracy, niż się wydaje – odpowiedział na pytanie Lamba o szkołę. – Dostajemy mnóstwo zapytań. Duży ruch na stronie internetowej. Uczniowie z zagranicy. Zdziwiłbyś się.

– Zdziwiłbyś się, jak mało rzeczy mnie dziwi. Kim są „my”?

– Liczba mnoga jest użyteczna – Katinski uśmiechnął się nieznacznie, ukazując szare zęby. – W szkole mamy w tej chwili komplet uczniów, ale z radością możemy zaoferować miejsca w naszym programie pomocniczym. Nauka zdalna.

Lamb przesunął kciukiem wzdłuż stosu papierów na najbliższej półce, po czym zsunął ze sterty kartkę leżącą na samej górze. Dyplom. „Kurs zaawansowany” – było na niej napisane – „w dziedzinie”, po czym następowały trzy wykropkowane rzędy. Certyfikat komisji – obiecywało małe logo w kształcie rozetki, bez wchodzenia w szczegóły na temat komisji czy certyfikatu.

Katinski powiedział:

– Oczywiście zdarzają się nam niezadowoleni uczniowie. Ale bierzesz pod uwagę źródło, prawda? Następnego dnia dostajemy list od takiego sukinsyna, który nie potrafi nawet napisać sukinsyn bez błędu, taki jest głupi. Mam się przejmować jego opinią?

– Pomyślałbym, że uczenie sukinsynów ortografii wchodzi w zakres twoich obowiązków – stwierdził Lamb.

– Pod warunkiem że płacą na czas – powiedział Katinski. – Czy Demetrio nie będzie się zastanawiał, gdzie się podziewasz?

– Będzie czytał gazetę. Dłubał w nosie. Znasz Demetrio.

– Nie tak dobrze jak ty.

– Chyba nie.

– Co jest o tyle dziwne, że to ja go wymyśliłem. Czy skończyłeś już grać w swoje gierki, Jacksonie Lambie? A jeśli tak, to czy możesz mi powiedzieć, czego chcesz?

Dużo wcześniej jasnoblękitne niebo zostało pocięte smugami kondensacyjnymi, a Shirley Dander znajdowała się na głębokiej, niecywilizowanej wsi; owce, pola i niedający się zignorować zapach gówna. Co jakiś czas pojawiały się rzędy położonych przy drodze zagród; przed jedną z nich przechadzał się paw, na litość boską. Shirley przyglądała się, jak przechodzi przez ulicę i znika za żywopłotem. Kury, owszem, ale paw? Jakby to był film Richarda Curtisa.

Oczywiście w niczym jej to nie pomogło, ale przynajmniej wiedziała, dokąd jedzie. Pan B – łysy mężczyzna od Jacksona Lamba – wysiadł z opóźnionego pociągu do Worcester na stacji Moreton-in-Marsh, która okazała się większa, niż sugerowała to jej nazwa. Był tam dość długi pasaż handlowy, w każdym razie były w nim outlety, do których Shirley chętnie by zajrzała. Tyle że zamknięte. Było trochę po siódmej. Shirley nie spała całą noc. Na dworcu dostrzegła parking i postój taksówek, aktualnie pusty. Shirley usiadła pod daszkiem i obserwowała budzący się poranny ruch: dojeżdżających do miasta podwieźli małżonkowie w dresach, którzy za kółkami

swoich samochodów z napędem na cztery koła wyglądali na zmęczonych; ci odważniejsi przyjechali na rowerach, które przypinali do pobliskiego stojaka lub składali w skomplikowane czworoboki. Niektórzy frajerzy przyszli nawet pieszo. Podjechała taksówka i zwymiotowała ważną blondynkę. Shirley patrzyła, jak blondynka uśmiecha się, płaci, daje napiwek, uśmiecha się i odchodzi, po czym sama wsiadła na tylne siedzenie, zanim kierowca się zorientował.

– Spóźniła się pani na pociąg?

– Zupełnie nie – odpowiedziała. – Czy pracuje pan tylko rano, czy na wieczorne zmiany też? – A ponieważ jego szeroka, wiejska twarz zaczęła przybierać cierpiętniczy wyraz, Shirley pstryknęła palcami, uwalniając dziesięciofuntowy banknot z jego kryjówki w pasku zegarka; sztuczkę tę pokazywała kelnerom, gdy warci byli zachodu. – Na przykład w zeszłym tygodniu. Czy woził pan pasażerów w zeszłym tygodniu wieczorami?

– Problemy z chłopakiem, co? – zapytał.

– Czy wyglądam, jakby chłopacy sprawiali mi problemy?

Wyciągnął dłoń, a ona położyła na niej banknot.

Po czym, gdy kolejna taksówka podjechała, by zająć ich miejsce, odjechał spod małego schludnego dworca i zrobił Shirley Dander krótką wycieczkę po wiosce, w trakcie której ona ciągnęła go za język w kwestii lokalnych usług taksówkarskich.

Ogromna, naprawdę ogromna kobieta minęła ich ciężkim krokiem: musiała mieć nie więcej niż dwadzieścia parę lat, ale każdego roku musiała tyć przynajmniej sześć kilogramów. Zwróciła uwagę Louisy. Był to prawdopodobnie wpływ grawitacji. „Jak to jest?”. Siedzieli na kamiennym postumencie otaczającym kolumnę, z kawami na wynos w dłoni. Otaczał ich nieprzerwany strumień ludzi: zmierzających na stację Liverpool Street albo z niej wychodzących, znikających za tym czy tamtym zakrętem, wchodzących do sklepów czy biurów.

– Nie chodzi mi tylko o wysiłek związany z ruchem – ciągnęła. – Ale o wszystko. Jak zdobyć faceta, gdy ma się taką figurę?

– Wiesz, co mówią – odpowiedział Min. – Każda z dziurką znajdzie kogoś z rurką. – Wskazał głową na odpowiednie części ciała.

– Nie byłabym tego taka pewna. Znam kilka raczej samotnych kobiet.

– No cóż, jeśli zamierzasz mieć wymagania...

Żadna z mijających ich osób nie wykazała zainteresowania. Ktoś w końcu to robi, prędzej czy później – Spider umówił spotkanie.

„Jest ich dwóch” – powiedział wtedy. „Kirył i Piotr, tak mają na imię”.

„To Rosjanie?” – zapytał Min.

„Jak ich rozpoznamy?” – dodała pośpiesznie Louisa.

„Och, poznacie ich” – zapewnił Webb. „Paszkin przyjeżdża tutaj dopiero za parę tygodni. Możecie omówić jego plan podróży z tymi dwoma. Powiedziano im, że pracujecie dla Ministerstwa Energetyki, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie. Dopilnujcie, żeby nie skakali po meblach, ale nie ubierajcie ich w białe koszule. Prowokowanie goryli nigdy nie jest dobrym pomysłem”.

„Goryli?” – spytał Min.

„Są raczej duzi” – przyznał Webb. „To bandziory, co sobie myślałeś? Że obstawą będzie dwóch Mini-Ja?”

„Jakim cudem oni już tu są?” – chciała wiedzieć Louisa.

Jednak Webb nie znał szczegółów.

„Jest bogaty. Nie »jestem bogaty, jeżdżę rolls-royce'em«, tylko »jestem bogaty, latam na Księżyc«. Jeśli chce, by ktoś na kilka tygodni wcześniej poprawiał mu poduszki, ma do tego prawo”.

„Goryle” – to słowo Min zapamiętał, ale i bez tego przyszedłoby mu do głowy, ponieważ podeszli do nich niczym para srebrnogrzbitych. Obaj mieli szerokie ramiona i szli w sposób, który sugerował, że obcierają ich garnitury. Jeden z nich, który później okazał się Piotrem, miał krótko przyszyżone siwe włosy, przypominające powierzchnię piłki tenisowej. Kirył był ciemniejszy i bardziej zarośnięty.

– To na pewno oni – powiedziała Louisa.

Naprawdę? Tak sądzisz? Min nie był na tyle głupi, by powiedzieć to głośno, więc wstał, wciągnął brzuch i czekał.

Ci dwaj podeszli do nich i ten, który potem okazał się Piotrem, zaczął:

– Wy od pana Webba? – Miał niski głos i niezaprzeczalnie wschodnioeuropejski akcent, ale mówił płynnie.

Przedstawili się i usiedli. Louisa pokazała sprzedawcy z pobliskiej budki, że chce zamówić kawę. Mogło być przyjemnie; cztery osoby rozmawiające o interesach w stolicy, późnym rankiem; zaraz dostaną kawę, a później może także kanapki. Nie byłbyś w stanie rzucić tu kamieniem i nie trafić w kogoś, kto zmierzał na takie spotkanie; jednak trudniej byłoby, myślał z nadzieją Min, wycelować tym kamieniem tak, żeby wycelować akurat w kogoś, kto ma przy sobie broń.

– Pan Paszkin przyjeżdża tu za dwa tygodnie? – spytała Louisa.

– Przyleci – zgodził się Piotr. – Jest teraz w Moskwie.

Kirył wciąż sprawiał wrażenie dość małomównego.

– No cóż, może powinniśmy omówić podstawowe zasady, zanim tu dotrze. Choćby po to, żeby wiedzieć, na czym stoimy. – Piotr spojrzął na nią z powagą. – Jesteśmy zawodowcami – oznajmił. – Wasz teren, jasne. Nie ma problemu. Powiedzcie nam, jakie macie zasady. Będziemy trzymać się ich tak mocno, jak się da.

Min zastanawiał się przez krótką chwilę, czy kiedykolwiek mówił w jakimś obcym języku na tyle dobrze, by w tak uprzejmy sposób kazać komuś spierdalać, po czym rzekł:

– No tak, cóż, jeśli nie jesteście pewni, czy dobrze rozumiecie którąś z zasad, dajcie nam znać. Poprosimy kogoś o przetłumaczenie.

Louisa uniosła brwi, jakby to był odpowiednik kopnięcia go w goleń, i odezwała się:

– Podstawowe kwestie. Tak jak powiedziałaś, jesteśmy na naszym terenie. I naprawdę nie możemy sobie pozwolić, byście kręcili się tu z bronią. Jestem pewna, że to rozumiecie.

Piotr był wcieleniem uprzejmości.

– Z bronią?

– Tak, taką jak ta, którą teraz masz przy sobie.

Piotr powiedział coś do Kiryła po rosyjsku, jak założył Min. Kirył coś odpowiedział. Po czym Piotr rzekł:

– Nie. Naprawdę nie mamy broni. Dlaczego mielibyśmy ją mieć?

– To o was się boimy. Londyn działa teraz o wiele sprawniej niż kiedyś. Wystarczy jeden telefon i odpowiemy ogniem.

– Och, odpowiecie ogniem. Londyn z tego słynie.

No proszę, pomyślał Min. Jeden agent mniej.

– Ale zapewniam was – ciągnął Piotr – że nikt nie weźmie nas za terrorystów.

– Cóż, jeśli tak się stanie – powiedziała Louisa – to pan Harper i ja będziemy musieli posprzątać ten bałagan. Dla was to żaden problem. Będziecie martwi. Tylko całe to gówno spadnie na nas.

Spojrzenie, jakim obdarzył ją Piotr, było poważne, granatowe i całkowicie pozbawione humoru. Później niebo się przejaśniło i pokazał duże białe zęby, które były bardziej amerykańskie niż rosyjskie.

– Tego byśmy nie chcieli, prawda? – zagrział.

Odwrócił się do Kiryła i głądził przez chwilę. Min naliczył trzy długie zdania. Kirył też się zaśmiał, wydając przy tym odgłos jak torba pełna szklanych kulek. Gdy skończył, wyjął nieoznakowaną paczkę papierosów: grubych, bez filtra, zabójczych. Ostrzeżenie o ich szkodliwości byłoby jak napisy w filmie porno. Zupełnie bez sensu. Min pokręcił głową i dopił kawę. Nie było ciepło, ale słonecznie i czuł się rześko, gdy rano jechał do pracy rowerem. Jazda rowerem była nowością dla Mina; czymś, co miało zastąpić palenie. Zapalenie jednego z papierosów Kiryła w towarzystwie Louisy byłoby równoznaczne z wyznaniem jej, że nie ma wobec niej długofalowych planów.

– Czyli doszliśmy do porozumienia – uznała Louisa.

Piotr wzruszył potężnymi ramionami, który to gest nie tylko był odpowiedzią na stwierdzenie Louisy, ale też komentował otoczenie, niebo nad nimi, cały pieprzony Londyn.

– Bez broni – powiedział.

– Możemy w takim razie przejść do interesów?

Skinął łaskawie głową.

Nikt nie robił notatek. Rozmawiali o datach i miejscach: kiedy Paszkin ma przyjechać, jakim środkiem transportu będzie się poruszał. („Samochodem” – powiedział wówczas Kirył. Było to jedyne słowo po angielsku, na jakie wpadł. „Samochód”). Rozmawiali o The Needle, gdzie miało się odbyć spotkanie.

– Widzieliście je, rzecz jasna – rzekła Louisa.

– Oczywiście.

W zasadzie budynek znajdował się za Louisą. Jego wierzchołek można było dostrzec z miejsca, w którym siedzieli.

– Jest... fajne.

– Tak, jest.

Wokół oczu Piotra pojawiły się zmarszczki, gdy się uśmiechał.



Jezu, pomyślał Min. On ją podrywa.

– Gdzie się zatrzymaliście? – spytał Min.

Piotr uprzejmie odwrócił się w jego stronę.

– Słucham?

– Gdzie się zatrzymaliście?

– W Ambassadorze. Przy Hyde Parku.

– Już? – Piotr sprawiał wrażenie zdziwionego. – Chodzi mi o to – ciągnął Min – że rozumiem, że wasz szef chce, żebyście się tam zatrzymali. Jestem jednak zaskoczony, że kazał się wam zameldować tam na dwa tygodnie przed jego przybyciem.

Kirył przyglądał mu się z niewyraźnym zainteresowaniem. On rozumie każde moje słowo, pomyślał Min.

Louisa powiedziała:

– Dobrze mieć takiego szefa. Nie wyobrażam sobie, żeby nasz tak zrobił.

– Jest w porządku – oznajmił Piotr. – Ale nie, nie zameldowaliśmy się tam jeszcze. – Skinął głową w stronę Mina. – Źle zrozumiałem. Myślałem, że pytasz, gdzie się później zatrzymamy. Gdy przyjedzie pan Paszkin.

Oczywiście, że źle zrozumiałeś, pomyślał Min.

– Czyli... gdzie mieszkacie?

– Przy Piccadilly. Przy Shaftesbury Avenue. Zaraz, jak on się nazywa?

Rzucił nieco kanciastych wyrażení do Kiryła, który chrząknął coś w odpowiedzi.

– The Excelsior – odpowiedział. – Excalibur? Coś w tym stylu. Wybacz, nie mam pamięci do nazw. – Jego skrucza skierowana była wyłącznie do Louisy. – Może zadzwonię do ciebie później. Potwierdź nazwę hotelu.

– Dobry pomysł – odparła. – Nie chcielibyśmy, żebyście się zgubili. – Wyłowiła z torebki wizytówkę i mu ją podała.

Wydawało się, że na tym koniec, bo Rosjanie wstali i wyciągnęli ręce na pożegnanie. Piotr trzymał dłoń Louisy, gdy mówił:

– To może być coś wspaniałego. Kontrakt na dostawę ropy między naszymi krajami. Dobry dla nas, dobry dla was.

– I wspaniale wpłynie na środowisko – dodał Min.

Piotr zaśmiał się, nie puszczając dłoni Louisy.

– Ty – powiedział. – Lubię cię. Jesteś zabawny.

Louisa uwolniła dłoń.

– Podajcie nam nazwę swojego hotelu.

– Oczywiście. Możemy stąd wziąć taksówkę?

– Tam.

Kirył uklonił się Minowi z wielką powagą i oddalił się wraz z Piotrem.

Ludzie idący w ich stronę, jak zauważył Min, omijali ich łukiem. Louisa coś powiedziała, ale on nie zrozumiał co.

– Weź to. – Zdjął marynarkę i rzucił ją Louisie.

– Min?

– Później! – zawołał, ale prawdopodobnie go nie usłyszała, był już dwadzieścia

metrów dalej.

Kosztowało ją to kolejną dyszkę, ale tego ranka przed siódmą piętnaście Shirley Dander zdobyła numery telefonów wszystkich taksówkarzy pracujących przy dworcu; przed siódmą trzydzieści trzech z nich zdążyło ją już mocno zirytować; a przed siódmą czterdzieści rozmawiała z czwartym, który pracował wieczorem w zeszły czwartek, wtedy gdy jadące na zachód pociągi były opóźnione. I tak, wiozł łysego gościa, i nie, tamten nie był stałym klientem. I co to było, jakaś afera?

To okazja, powiedziała Shirley. Postawi mu śniadanie.

Nadal była nakręcona wczorajszym nalotem na DataLok, gdzie przechowywano nagrania z monitoringu na pokładzie pociągów. Obezwładnienie dzieciaka z ochrony nie okazało się skomplikowane i były szanse, że strażnik z porannej zmiany już go uwolnił – chłopaczek sądził, że Shirley zamierza go zabić. Znalezienie właściwych plików zajęło jej więcej czasu, ale system nie był zamkniętą księgą, nie po tym, jak przez cztery lata pracowała w dziale Łączności Regent's Park, i załadowała wszystko i jeszcze więcej na stronę, którą wczoraj stworzyła i którą już zdjęła. Później wróciła do domu, obudziła swojego kochanka i dopuściła się czegoś, co było niemalże gwałtem. Kochanek nie bez powodu później padł, ale Shirley wciągnęła kreskę kokainy, po czym zaczęła przekopywać się przez dane, w ciągu kilku minut odszyfrowała system katalogowania: data, godzina, numer pociągu, trasa, wagon. Nagrywano sekwencje co siedem sekund, oceniła, choć mógł to być wpływ kokainy. Ta myśl sprawiła, że wzięła drugą działkę: jeśli miała pracować nad tym całą noc, potrzebowała sobie pomóc, jak tylko się dało.

Zajęło jej to dwie godziny.

A raczej dwie godziny realnego czasu. Bo wtedy Shirley operowała już w swojej strefie czasowej. Kokaina, owszem, miała wpływ, ale działała też adrenalina po włamaniu. Każdy przeskok na ekranie, który następował co siedem sekund, był echem bicia jej serca. Dostrzegła wielu łysych mężczyzn – łysina była obecnie w równej mierze trendem modowym, jak i męską tragedią – jednak nie miała wątpliwości, gdy znalazła tego jedyne go pana B. Siedział sobie, nieświadomy faktu, że na końcu wagonu jest kamera, a jednak był przy tym tak ustawiony do kamery, że równie dobrze mógłby mówić „marmolada”... Siedział sam, patrzył przed siebie, nie uśmiechając się. Ani nawet nie mrugając. Choć pewnie mrugał, poprawiła się nafaszerowana kokainą Shirley Dander, mrugał w czasie tych sześciu z siedmiu sekund, których nie pokazywano na nagraniu. Niemniej jednak wyglądało to dziwnie, całe jego otoczenie było beczką śmiechu złożoną z urywanych ruchów, gdy pozostali pasażerowie wyczarowywali najróżniejsze kształty z gazet, wyciągali znikąd chusteczki, jakby byli na konwencji magików – jedynie pan B pozostawał nieruchomy jak głaz: jak wycięta z kartonu sylwetka, która nie odchyłała się nawet wraz z ruchem pociągu. A przynajmniej taki był do momentu, gdy dotarł do Moreton-in-Marsh w Cotswolds. Miejsowość ta, obok innych atrakcji, mogła pochwalić się uroczą małą kafejką, otwartą od wczesnych godzin porannych.

Kenny Muldoon okazał się prawdziwym fanem śniadań: kielbaski, bekon, jajko, fasola, pomidory, wiadro herbaty. Tyle tostów, że wystarczyłoby ich do

wytapetowania stodoły. Shirley nie miała apetytu, w jej żyłach nadal pulsowała surowa energia. Jednak ostatni raz wzięła kokainę łądnych parę godzin temu i miała zasadę, której nigdy nie łamała, czyli nigdy nie nosiła przy sobie narkotyków, więc wiedziała, że wkrótce będzie miała spadek formy, a czeka ją jeszcze długa jazda...

Ale teraz jeszcze skubała kawałek tostu, wypijała jednym haustem całą filiżankę herbaty i nalała sobie następną. Po czym powiedziała:

- Czyli zabrał pan z dworca łysego dżentelmena w zeszły wtorek, tak?
- Nie wiem, czy z niego był taki dżentelmen. Wyglądał raczej na łobuza.
- Nie będziemy się sprzeczać o takie szczegóły. Dokąd go pan zawiózł?
- Czy to jakieś romantyczne nieporozumienie? – Kenny Muldoon obracał słowem „nieporozumienie” w ustach tak, jakby był to ostatni kawałek kiełbaski. – Sponsor uciekł bez płacenia?

Shirley Dander wyrwała widelec z ręki niczego nie podejrzewającego Kenny’ego i wbiła go w jego dłoń, po czym mocno nacisnęła na widelec. Czowała, jak jego ząbki przebijają skórę i chrząstki; patrzyła, jak krew wytryskuje z rany niczym keczup na resztki jego dużego angielskiego śniadania.

– He, he – dodał Kenny.

Shirley mrugnęła, widelec tkwił w dłoni Kenny’ego.

– Coś w tym stylu – powiedziała. – Pamięta pan, dokąd jechał?

Opadająca powieka Kenny’ego Muldoona była jedyną odpowiedzią, na jaką w tym momencie mogła liczyć. Taksówkarze, pomyślała Shirley. Można by wsadzić ich do tego samego pudła, w którym trzymano wszystkich bankierów z Londynu, i nikt nie protestowałby, gdyby zrzucić ich z klifu. Za paskiem jej zegarka dawno już nie tkwiły żadne skarby. Kolejną dychę wyciągnęła więc z kieszeni.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że życie na wsi tyle kosztuje.

– Wy, ludzie z miasta, gównie wiecie – zapewnił ją. Odłożył nóż, wziął pieniądze, wsunął je do kieszeni. Znów wziął do ręki nóż. – Oczywiście, że pamiętam – oznajmił, jakby wszystko, co wydarzyło się od momentu, gdy zadała pytanie, do chwili, gdy udzielił odpowiedzi, nie miało miejsca. – Jak mógłbym zapomnieć, skoro narobił tyle rabanu.

– Jakiego rabanu?

– Nie wiedział, dokąd jechać, tak? Najpierw powiedział, że chce jechać do Bourton-on-the-Water. Byliśmy w połowie drogi, gdy zaczął wrzeszczeć, jakby ktoś go porwał. Prawie wjechałem do rowu, no nie? A to ostatnie, co chcesz zrobić w takiej ulewie.

Ton jego głosu zdradzał wyraźnie, że ten incydent nadal go mierzi.

– Z czym miał problem?

– Okazuje się, że wcale nie chodzi mu o Bourton-on-the-Water, no nie? Okazuje się, że chodzi mu o Upshott. I próbuje mi wmówić, że to właśnie powiedział na początku, a ja jestem idiotą, który się przesłyszał. Jak pani myśli, od dawna pracuję jako taksówkarz?

Shirley miała to gdzieś.

– Od piętnastu lat?

– Raczej dwudziestu czterech. I nie zdarza mi się, żebym się przesłyszał, to pani powiem za darmo.

Czy w takim przypadku nie powinien wydać jej reszty?

– I co pan zrobił?

– A co mogłem zrobić? Zawróciłem i zawiozłem go do Upshott. Kazał mi wyzerować licznik, bo powiedział, że nie będzie płacił za przejazd do miejsca, do którego nigdy nie chciał jechać. – Kenny Muldoon potrząsnął głową, myśląc o cholernej niesprawiedliwości świata, w którym zdarzają się takie oburzające sytuacje. – Możesz też odgadnąć wysokość napiwku.

Wygięła kciuk i palec w kształt cyfry zero, a on pokiwał posępnie głową.

– A co jest w Upshott?

– W Upshott? Prawie nic. Sto domów i pub.

– Czyli nie ma tam stacji kolejowej?

Muldoon spojrział na nią, jakby urwała się z księżycą. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, sama zaczynała mieć wrażenie, że tak jest.

– Prawie niczego tam nie ma – stwierdził – ale właśnie tam go zostawiłem. Zerowy napiwek przy kursie za dwanaście funtów. Czasami zastanawiam się, po co w ogóle wykonuję tę robotę.

Nadział na widelec ostatni kawałek kiełbasy, nabrał nim resztkę żółtka i włożył kąsek do ust. Sądząc po jego minie, właśnie odnalazł jakieś drobne radości w roli, jaką wymyśliło dla niego życie.

– I wtedy widział go pan po raz ostatni?

– Odjechałem – powiedział Kenny Muldoon – i nie oglądałem się za siebie.

W Londynie punkt widzenia na kodeks drogowy zależy od punktu siedzenia: dla kierowców to zasady, dla taksówkarzy – wskazówki, dla rowerzystów – drobna niedogodność. Min skręcił w City Road bez zatrzymywania się i jadąca na południe ciężarówka minęła go w odległości przynajmniej metra, jednak i tak kierowca zatrąbił. Min zignorował go, precyzyjnie się przez stado rozgadanych turystów na przejściu, sprawiając, że rozbiegli się po bezpiecznej przestrzeni chodnika ze swoimi czerwonymi plecakami i całą resztą...

Jego rower był przypięty łańcuchem do stojaka przy Broadgate Square, a teraz, w kasku i bez marynarki, Min był najbardziej w swoim życiu bliski bycia w przebraniu. Nawet jeśli Rosjanie wyglądali przez tylne okno taksówki, nie nakryliby go. Był po prostu kolejnym wariatem na dwóch kółkach.

„Dlaczego to robisz?”

Nie ufam im.

„Nie powinieneś im ufać. To część gry”.

Dziwne było to, że głos zdrowego rozsądku przypominał głos Louisy.

Taksówka jechała w stronę ronda na Old Street. Z ronda można było odjechać w różnych kierunkach i taksówka mogła zniknąć w dowolnym z nich, ale w tej chwili zatrzymała się na światłach przed przejściem dla pieszych sto metrów przed Minem, gdzie właśnie zmieniały się światła. Min pedałowal szybciej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu, a potem jeszcze szybciej, zmienił pas, by wyprzedzić

zwalniający autobus, i uderzył w niego lewym łokciem, gdy sięgnął go podmuch powietrza z autobusu, i przez moment wydawało się, że grawitacja na niego nie działa... Autobus z wściekłością nań zatrąbił i oto zbliżał się do świateł, już zostały za nim, a taksówka zatrzymywała się przy krawężniku, a ten cholerny autobus nabierał prędkości i Min nie miał wyboru, musiał ostro zahamować, inaczej zostałby zgnieciony przodem pierwszego pojazdu lub tyłem drugiego.

Zostawił ślady opon na asfalcie. Zęby miał zaciśnięte tak mocno, że nie rozpoznawał ich kształtu.

„To dlatego, że tak na mnie patrzył, prawda?”

Nie bądź głupi. To dlatego, że nie chciał, żebyśmy wiedzieli, gdzie się zatrzymali.

„Czyli planujesz jechać do ich lokum na rowerze?”

Autobus go wyminął. Min pociągnął rower wokół zaparkowanej taksówki, tak jak szarpałby nieposłusznego konia, i wykrzyknął jakieś przekleństwa przez okno do kierowcy, po czym znów zaczął pedałowac. Nogi miał jak z waty, a rower wydawał się narzędziem tortur, póki z niesłyszalnym kliknięciem znów stali się jednością, mężczyzna i rower, Min i rower. Wpłynął na rondo na Old Street, przy którym na pierwszym zjeździe były kolejne światła. Za nimi, cztery auta przed Minem, jechała czarna taksówka i Min był niemal pewien, że dwie głowy naradzające się na tylnym siedzeniu należały do Piotra i Kiryła – jego nogi poruszały się szybciej, ziemia usuwała się spod kół, a przed nim był długi odcinek Old Street, czterysta metrów, przed przejściem dla pieszych – nigdy wcześniej nie zauważył, ile przeszkód dla swobodnego ruchu ulicznego zaśmiecało miasto, i byłby teraz zadowolony z ich istnienia, gdyby taksówka nie przejechała na żółtym świetle i nie odpłynęła w kierunku Clerkenwell.

„Oczywiście, od zachowywania się jak idiota gorsze jest tylko zachowywanie się jak idiota i nieosiągnięcie przy tym celu...”

Min nawet nie zwolnił. Zahaczył o czyjąś torbę, gdy przeciął strumień pieszych, i za nim rozsypały się zakupy, chaos jabłek, słoików i opakowań makaronu. Ktoś krzyknął. Taksówka znajdowała się teraz przed nim, być może to nie była nawet ta konkretna taksówka, a Louisa w jego głowie szykowała się do kolejnego ataku słownego: „A co dokładnie udowodnisz, gdy dasz się zabić?”. Serce Mina stanęło, gdy z lewej zobaczył jadącą prosto na niego dużą białą furgonetkę.

Rosjanin otworzył szufladę i znalazł w niej bletkę i paczkę tytoniu, z wytłoczonym ozdobną brązową czcionką napisem.

Zwinął odrobinę tytoniu w cienkiego papierosa i zapytał Lamba:

– Jesteś tu po to, by mnie zabić?

– W ogóle o tym nie myślałem – odpowiedział Lamb. – Zaslugujesz na to, by cie zabić?

Katinski zastanowił się.

– Ostatnio niekoniecznie – odparł w końcu. Po czym dodał: – Przy Brewer Street jest sklep. Można tam dostać rosyjski tytoń. Polskie gumy do żucia. Litewską tabakę. – Odpalił zapalke i zbliżył jej płomień do swojego ciasno zwiniętego walca, powodując mały pożar, który niezwłocznie ugasił. – W każdym dowolnym momencie

połowę jego klientów stanowili szpiedzy. Wiele razy przekazywano mi twój opis. – Zgaszoną zapałkę włożył z powrotem do pudełka. – Czego więc od mnie chcesz, Jacksonie Lambie?

– Pogadać o dawnych czasach, Nicky.

– Nie ma dawnych czasów. Nie jesteś na bieżąco? Ścieżkę wspomnień wybetonowano i postawiono na niej centrum handlowe.

– Możesz zabrać gościa z Rosji – zauważył Lamb – ale nadal będzie mu się wydawało, że jest jakimś pieprzonym poetą tragicznym.

– Wydaje ci się, że to zabawne – powiedział Katinski. – Teraz, gdziekolwiek spojrzysz, masz centra handlowe, a w każdym z nich sklepik z ciastkami i knajpa serwująca burgery. Powiem ci więc, co jest naprawdę zabawne; naprawdę zabawne jest to, że nadal wydaje ci się, że Amerykanie pokonali komunistyczną Rosję. – Splunął do kosza na śmieci. Nie wiadomo było, czy to ciąg dalszy komentarza, czy konieczność związana z paleniem papierosów. – Czyli chcesz mnie zabrać na ścieżkę wspomnień – ciągnął. – To będzie wymuszony spacer, rozumiano?

– Mam wrażenie, że najtrudniejsze będzie zmuszenie cię do stulenia mordy – powiedział Lamb.

Począł, aż Katinski zamknie drzwi na klucz, po czym zszedł za nim po schodach i wyszedł na ulicę. Katinski minął sześć pubów, aż znalazł taki, który zyskał jego aprobatę. Już w środku zatrzymał się, by ocenić sytuację, po czym skierował się w stronę kąta, co albo znaczyło, że był tu nowy, albo miał nadzieję, że Lamb tak pomyśli. Chciał się napić czerwonego wina. Lamb był zaskoczony, o ile w ogóle można go było zaskoczyć tym, co pijali inni ludzie. Sam przy barze zamówił dla siebie dużą szkocką, ponieważ chciał zrobić wrażenie, jakby był trochę pijakiem, i także dlatego, że chciał wypić dużą szkocką. Ścieżka wspomnień biegła w dwóch kierunkach. Zasłużył na drinka. Ponieważ jego whisky podano jako pierwszą, wypił ją dwoma łykami, gdy barman nalewał wino, po czym zamówił drugą i zaniósł drinki do stolika.

– Cykady – powiedział, stawiając wino przed Katinskim.

Reakcja Katinskiego była opóźniona. Podniósł kieliszek, zakręcił nim, jakby było w nim wino, którym można się delektować, a nie czerwony stołowy sikacz, napił się. Po czym zapytał:

– Co?

– „Cykady”. Słowo, którego użyłeś podczas przesłuchania. W Regent’s Park.

– Tak?

– Tak. Oglądałem nagranie.

Katinski wzruszył ramionami.

– No i? Myślisz, że pamiętam wszystko, co powiedziałem podczas przesłuchania prawie dwadzieścia lat temu? Przez większość życia próbuję zapomnieć, Jacksonie Lambie. A to, to jest zamierzchnia przeszłość. Niedźwiedź śpi. Po co trącać go patykiem?

– Racja. Kiedy musisz wyrobić nowy paszport?

Katinski popatrzył na niego zmęczonym wzrokiem.

– Ach. Nie wystarczy, że wyssałeś ze mnie wszystkie soki. Musisz wrócić i zmielić kości na pył. – Próbując się nawodnić, wypił więcej wina. To był duży łyk, łyk pijaka, po którym trzeba otrzeć brodę. – Byłeś kiedyś przesłuchiwany, Jacksonie Lambie? – Pytanie było głupie, Lamb nawet nie odpowiedział. – Jako wróg? Tak właśnie zostałem potraktowany. Chcieli wiedzieć o wszystkim, co w życiu słyszałem i co robiłem, i po jakiś czasie nie wiem, czy szukają powodów, by mnie wyrzucić, czy powodów, by mnie zatrzymać. Tak jak mówiłem. Wysysają wszystkie soki.

– Czy próbujesz mi powiedzieć, że zmyślałeś?

– Nie, próbuję ci powiedzieć, że każdy skrawek informacji, jaki kiedykolwiek posiadałem, wszystko, co uważałem za przydatne, wszystko, co wiedziałem, że takie nie jest, i wszystkie te rzeczy, o których nie wiedziałem, czy mogą się przydać, czy nie, wszystko przekazałem. Do ostatniej kropli. Jeśli obejrzałeś nagranie, wiesz tyle samo co ja. A może nawet więcej, ponieważ, możesz mi wierzyć, zapomniałem więcej, niż kiedykolwiek wiedziałem.

– Także cykady?

Katinski odpowiedział:

– Nie, może cykady akurat nie.

Nie było możliwości, by w tamtym momencie zmierzyć odległość między Minem a końcem jego życia. Tymczasem furgonetka ostro zahamowała, by w niego nie wjechać, a wypchnięte powietrze owiało Mina, który zniknął, zostawiając za sobą chaos. W ślad za nim zatrąbił klakson, ale co z tego. Zderzenia ze śmiercią na ulicach miasta zdarzały się często i za parę minut wszyscy już zapomną o tej sytuacji.

W tym momencie prędkość była celem samym w sobie. Nogi Mina z łatwością pedałowaly, dłonie stopiły się z kierownicą, a droga uciekała pod kołami, dar życia krążył w jego żyłach jak kieliszek tequili. Dźwięk, który niespodziewanie z siebie wywarczał, coś pomiędzy śmiechem a krzykiem, nie przypominał ludzkiego głosu. Przechodnie gapili się na niego. Niewielu miało szczęście zobaczyć rowerzystę poruszającego się z taką prędkością.

Przed nim znajdowało się skrzyżowanie z Clerkenwell Road i kolejne światła, a wśród stojących przed nimi aut były przynajmniej trzy czarne taksówki. Min, teraz już nieśmiertelny, przestał pedałowac i na luzie podjechał w stronę stojących samochodów.

„No to ich dogoniłeś. Chyba. Co teraz?”

Kirył rozumiał każde nasze słowo.

„Oczywiście, że tak. I co z tego?”

Jadąc ścieżką rowerową, zrównał się z pierwszą z taksówek i zaryzykował spojrzenie w bok. Samotna pasażerka rozmawiała przez telefon. Druga taksówka była odbiciem lustrzanym pierwszej; mężczyzna trzymał telefon przy drugim uchu. Może rozmawiali ze sobą. Min był teraz prawie na początku kolejki, zatrzymał się przy autobusie, być może tym samym, z którym starł się wcześniej; od ostatniej czarnej taksówki, niecierpliwie czekającej przy światłach, dzieliły go tylko dwa auta. Przez chwilę świat wirowało. Później wzrok Mina się wyostrzył i Min widział tyły ich głów: Piotr i Kirył patrzyli przed siebie, w najmniejszym stopniu niezainteresowani

wymęczonymi rowerzystami.

No to ich dogonił. Co teraz?

Odpowiedź nadeszła niemal od razu: zmieniły się światła i taksówka odjechała. Min ledwie zdążył zapamiętać pierwszą połowę rejestracji, SLR6, a samochód przejechał przez skrzyżowanie i sunął Clerkenwell Road. A razem z taksówką zniknęło poczucie, które Min miał wcześniej, że mógłby tak jechać bez końca; uleciało ono z niego jak jeden z tych chińskich lampionów, które podpalasz, wypuszczasz i patrzysz, jak spalają się w nicłość. Każdy oddech obcierał go jak zapalka trąca o szorstką powierzchnię – czuł posmak krwi, co nigdy nie jest dobrym znakiem. Gdy przejechał przez skrzyżowanie, czarnej taksówki już nie było, mogła znajdować się już daleko stąd... Kiedy uświadomił sobie, że wyprzedza go pieszy, Min zatrzymał się, pokazał środkowy palec kierowcy samochodu za nim, jak to mają w zwyczaju rowerzyści, i wyciągnął telefon z kieszeni spodni. Gdy wybierał numer, trzęsły mu się ręce. Rower upadł na chodnik.

– Tak?

– Znasz dobrze kogoś w Troc?

– U mnie wszystko w porządku, Min, dzięki, że pytasz. A jak twój poranek?

– Jezu, Catherine...

– Nie wiem, czy dobrze, ale robiłam kurs łączności z jednym z pracowników biurowych w mrocznych czasach. Czego chcesz?

– Mam taksówkę jadącą Clerkenwell Road. Rejestracja zaczyna się od...

– Taksówkę?

– Zobacz po prostu, czy mogą to sprawdzić, dobrze, Cath? – wypluł początkowe symbole, które zapamiętał: SLR6.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Min wsunął telefon z powrotem do kieszeni, po czym pochylił się i bardzo schludnie zwymiotował do rynsztoku.

Tym razem Katinski opróżnił kieliszek. Lamb spojrział na swoją szklankę i zobaczył, że też jest pusta. Odchrząknął i poszedł z powrotem do baru, gdzie dwie stare kobiety, które wyglądały, jakby włożyły na siebie całą zawartość swoich szaf, naradzały się potajemnie, a mężczyzna z kucykiem i w kurtce śmieciarza zwierzał się kufłowi piwa. Przyniesiono napoje. Ledwo podał Katinskiemu wino, a Rosjanin znów zaczął:

– W Regent's Park dano mi do zrozumienia, że jestem niepotrzebny. Jakby urządzono wyprzedaż, a ty zdążyłbyś już kupić wszystko, czego możesz kiedykolwiek potrzebować. Powiedz nam coś nowego, mówiono mi. Powiedz nam coś nowego. Albo cię wyrzucimy. A ja nie chcę zostać wyrzucony, Jacksonie Lambie. – Pstryknął palcami w odpowiedzi na jakiś impuls, który pojawił się w jego głowie. – W tamtym czasie agenci KGB nie byli zbyt popularni. W sumie to zdradzę ci pewną tajemnicę. Nigdy nie byliśmy popularni. Chodzi tylko o to, że nie mieliśmy już pozycji, w której nie miało to dla nas większego znaczenia.

– Wiesz co? – powiedział Lamb. – Nadal nikt cię nie lubi.

Katinski zignorował go.

– Ale miałem tylko drobne informacje. Plotki z biura, o tyle interesujące, że tym



biurem było Centrum Moskiewskie, jednak nie było tam nic, co nie zostało wcześniej zapakowane na prezent sto razy przez facetów, którzy zapomnieli więcej, niż ja kiedykolwiek wiedziałem. – Nachylił się w jego stronę konspiracyjnie. – Zajmowałem się szyframi. Ale o tym już wiesz.

– Czytałem twoje CV. Nigdy nie robiłeś nic ekscytującego.

Rosjanin wzruszył ramionami.

– Pocieszam się świadomością, że przeżyłem swoich kolegów, którzy odnosili dużo większe sukcesy.

– Zanudziłeś ich na śmierć? – Lamb pochylił się. – Nicky, nie chcę słuchać historii twojego życia. Interesuje mnie tylko to, co wiesz o cykadach, a czego wówczas nie powiedziałeś. A gdybyś miał w planach przeciągnąć to przez całą noc, to informuję cię, że to ostatni raz, jak stawiam. Rozumiemy się?

Na twarzy Nikołaja Katinskiego pojawiło się zdziwienie. Zaczął kaszleć. Nie w taki zdrowy sposób, znany Lambowi, gdy próbujesz oczyścić płuca, lecz kaszłał tak, jakby coś wewnątrz niego próbowało się uwolnić. Słabszy człowiek być może zaoferowałby szklankę wody, wezwanie karetki, ale Lamb zadowolił się pić drinka do momentu, gdy Katinski opanował drżenie.

Kiedy uznał, że może już uzyskać odpowiedź, Lamb zapytał:

– Często ci się to zdarza?

– Jest gorzej przy wilgotnym powietrzu – wyrzucił Katinski. – Czasami...

– Nie, chodzi mi o to, że jeśli to ma się powtórzyć, to wyjdę na fajkę. – By zobrazować swoje zamiary, potrząsnął zapalniczką. – A jeśli uznam, że ta pokazówka była po to, by uniknąć odpowiedzi na pytania, wyciągnę cię ze sobą i zrobię z niej użytek.

Katinski wpatrywał się w niego bez słowa przez dwanaście długich sekund, po czym przeniósł wzrok na blat stolika. Gdy znów się odezwał, mówił pewnym głosem:

– „Cykady” to słowo, które podsłuchałem, Jacksonie Lambie. Wraz z nazwiskiem. Chyba ci znanym. Aleksander Popow. Wówczas nic dla mnie nie znaczyło, ale wymawiano je tonem przypominającym... jak go określić? Chyba tonem pełnym podziwu, Jacksonie Lambie. Tonem pełnym podziwu.

– Gdzie to miało miejsce?

– W toalecie. W sraczu, jeśli wolisz tę nazwę. Ja z pewnością korzystałem z niego w takim celu. To był zwykły dzień roboczy, z wyjątkiem tego, że krótko po tym runął mur, więc żaden dzień nie był zwyczajny. Wiele razy słyszałem, że upadek muru nastąpił nagle, że nikt nie był przygotowany, ale ty i ja wiemy, że tak nie było. Mówi się, że zwierzęta wyczuwają nadchodzące trzęsienie ziemi i to samo dotyczy szpiegów, tak? Nie wiem, jakie było życie w Regent’s Park, ale w Centrum Moskiewskim przypominało to czekanie na wynik badań medycznych.

– Słodki Jezu – odpowiedział Jackson Lamb. – Byłeś w sraczu.

– Miałem skurcze żołądka, więc udałem się do toalety, gdzie poddałem się atakowi biegunki. I oto byłem w kabinie, gdy weszło dwóch mężczyzn, którzy korzystali z pisuarów. Gdy to robili, wymienili parę słów. Jeden powiedział: „Myślisz, że to nadal ma jakieś znaczenie?”. A jego towarzysz odrzekł: „Aleksander Popow

uważa, że tak”. Ten pierwszy powiedział: „Oczywiście, że tak uważa. Cykady to jego dziecko”. – Katinski zamilkł, po czym dodał: – Nie powiedział dosłownie „jego dziecko”. Ale to najbliższe temu, co mówili.

– I tyle? – spytał Lamb.

– Wysikali się i wyszli. Zostałem tam jeszcze chwilę, bardziej martwiąc się o stan mojego żołądka niż o znaczenie ich słów.

– Kim byli ci mężczyźni? – spytał Lamb.

Katinski wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym, gdybym wiedział.

– I odbyli tę rozmowę, nie sprawdzwszy, czy nikt ich nie podsłuchuje?

– Na to wygląda. Bo byłem tam, a oni i tak ze sobą rozmawiali.

– Wygodnie.

– Skoro tak twierdzisz. Ale dla mnie to nic nie znaczyło. W ogóle o tym nie myślałem do chwili, gdy wygrzebywałem z zakamarków umysłu zeznania w pokoju pod Regent’s Park – zmarszczył czoło. – Nawet nie wiedziałem, czym są cykady. Myślałem, że to rodzaj ryb.

– A nie takie śmieszne owady.

– Śmieszne owady, owszem. Mające jedną szczególnie śmieszna cechę.

– Na litość boską – powiedział Lamb i brzmiał przy tym na naprawdę urażonego. – Myślisz, że nie wiem?

– Zakopują się pod ziemią na długi czas – ciągnął Katinski. – W niektórych przypadkach nawet na siedemnaście lat. Po czym wyskakują i śpiewają.

– Gdyby to był prawdziwy szyfr – rzekł Lamb – oznaczałby jedno.

– Ale nie był prawdziwy, tak?

– Nie. Byłeś frajerem. Kolejnym strachem na wróble, karmiącym nas kłamstwami o Aleksandrze Popowie, który nie istniał. Żebyśmy gonili swój własny ogon, próbując znaleźć sieć uspionych szpiegów, która także nie istniała.

– Dlaczego więc mnie trzymaliście, Jacksonie Lambie? Dlaczego mnie nie wyrzuciliście?

Lamb wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie uważano, że jesteś na tyle tani, że warto zaryzykować. Na wszelki wypadek.

– Na wypadek gdyby okazało się, że to, co podsłuchałem, było prawdą. – Katinski dochodził do siebie po ataku kaszlu. Przerwy między zdaniem były coraz krótsze, a on zaczął związać kolejnego cienkiego papierosa. Ułożył go na stole tak ostrożnie, jakby był świętą relikwią, i do niego skierował swoją kolejną wypowiedź. – A co to by znaczyło? Że wasz zły duch też jest prawdziwy, a nawet nie tylko prawdziwy, ale też ma swoją sieć. Tyle lat po upadku muru. I to tutaj, w starym, dobrym królestwie.

– Dzięki – powiedział Lamb. – Teraz, gdy to wyartykułowałeś, wiem, że to na pewno bzdury.

– Oczywiście. – Katinski uklonił się. – Na pewno. To bez precedensu.

– Zabawne.

– Tylko że cały świat wie, że precedens był. Czy to dlatego zapukałeś do moich

drzwi, Jacksonie Lambie? Czytałeś w zeszłym roku gazety i zacząłeś się martwić, że to się powtórzy? – Był teraz z siebie zadowolony. – Będzie to wyglądało jak zaniedbanie, prawda? Pozwolenie na to, by nie jedno, ale dwa gniazda komunistycznych szpiegów ułożyły się wygodnie do snu na Zachodzie na tyle lat.

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek przejmowałby się polityką – powiedział Lamb. – Ten pies zdechł dawno temu.

– Z całą pewnością. Dziś rajem robotników rządzą gangsterzy i kapitaliści. Podobnie jak na Zachodzie.

– Tęsknisz za starymi dobrymi czasami, Nicky? Zawsze możemy cię odesłać.

– Nie ja, Jacksonie Lambie. Rozglądam się po waszym zielonym, przyjemnym kraju i po prostu kocham to, co z nim zrobiliście. Ale jesteś tutaj ponieważ zacząłeś zadawać sobie pytanie: „A co, jeśli...?”, nieprawdaż? Co, jeśli cykady jednak istnieją? Przed kim byłyby odpowiedzialne? Nie przed interesem narodu sowieckiego, który je tu wysłał, bo ten już nie istnieje. – Unosząc pusty kieliszek do światła, przechylił go tak, że ledwie zauważalny czerwony osad wyglądał jak blizna. – Wyobraź to sobie. Zakopany pod ziemią przez wiele lat. Czeka na sygnał, by zaśpiewać swój hymn. Czyj hymn?

– Aleksander Popow był strachem na wróble – powiedział Lamb. – Kapelusz, płaszcz, dwa stare patyki, nic więcej.

– Mówi się, że największą sztuczką diabła jest to, że ludzie przestali w niego wierzyć – powiedział Katinski. – Ale wszyscy agenci wierzą w diabła, nieprawdaż? W głębi duszy, w najciemniejsze noce, wszyscy agenci wierzą w diabła.

Zaśmiał się, co przerodziło się w kolejny atak kaszlu. Lamb przez minutę patrzył, jak Rosjanin się krztusi, po czym pokręcił głową i rzucił na stół pięć funtów.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że mi pomogłeś, Nicky – powiedział. – Ale ogólnie to myślę, że powinniśmy byli cię wyrzucić.

Gdy przy wyjściu odwrócił się w stronę stolika, ciałem Katinskiego nadal wstrząsały spazmy. Ale pięcioletni banknot zniknął.

Wcześniej Kenny Muldoon w swoim aucie obserwował, jak Shirley Dander wsiada za kółko swojego samochodu, zakłada okulary przeciwsłoneczne i z rykiem silnika odjeżdża z parkingu przy dworcu w Moreton-in-Marsh. Powinna być ostrożna, pomyślał. Tutejsi mieszkańcy nie dbali o nierozważnych kierowców, a nie było nikogo bardziej tutejszego niż tutejszy policjant. Ale to nie był jego problem. Poklepał się po kieszeni na piersi, w której schował pieniądze, które od niej dostał, następnie poklepał się po brzuchu, do którego wpakował śniadanie, za które ona zapłaciła. Niezły poranek w robocie. A przecież jeszcze się nie skończył.

Ze schowka wyjął kawałek papieru, na którym nabazgrano numer telefonu. Mamrocząc go na głos, wstukał numer w telefonie.

Ruszał pociąg; z ludźmi dojeżdżającymi do miasta, wypchany po brzegi.

Zadzwoił telefon.

Na moście stała kobieta, trzymając dziecko. Pomagała dziecku pomachać dłonią do odjeżdżającego pociągu; trzymała je za łokieć, ruszała rączką to w lewo, to w prawo.

Zadzwoił telefon.

Para młodych ludzi w jaskrawych kurtkach, z plecakami, patrzyła na rozkład przy wejściu na peron. Wyglądali, jakby się kłócili. Jedno z nich pokazało na odjeżdżający pociąg, chcąc chyba coś udowodnić.

Odebrano telefon.

Muldoon mówił:

– Tu Muldoon. Z taksówki. Dostałem ten numer. – I po chwili: – Tak. Ale to była kobieta – dodał. – Tak. To właśnie jej powiedziałem – potwierdził. – To kiedy dostanę moje pieniądze? – zapytał.

Zakończył rozmowę, rzucił telefon na tylne siedzenie, a następnie zgniótł kawałek papieru i rzucił go pod nogi. Po czym również wyjechał z parkingu. Po jakimś czasie młoda para w jaskrawych kurtkach wyszła na peron, by czekać na następny pociąg.

Roderick Ho był wkurzony.

Roddy Ho czuł się zdradzony.

Roderick Ho zastanawiał się, co to wszystko znaczy, skoro nie można było zaufać swoim kolegom czy koleżankom. Jeśli twoja koleżanka cię okłamała, przedstawiła swój fałszywy obraz, nie była tym, kim twierdziła, że jest...

Słabszy facet mógłby się rozplakać.

Ponieważ włożyłeś całego pierdolonego siebie w tę relację i co odkryłeś? Uświadomiłeś sobie, że nawiązałeś kontakt z taką gorącą blondynką, która lubiła hip-hop, filmy akcji i jazdę na snowboardzie, która dotarła do piątego poziomu w *Armageddon Posse* i chodziła na wieczorowy kurs z historii dwudziestego wieku, po czym – odkrył to tylko dzięki temu, że wspomniała nazwę modelu samochodu, i przez to, że miała dekodery SkyPlus, dwa konkretne fakty, które umożliwiły mu odnalezienie jej cielesnej tożsamości, a nie internetowej osobowości – okazało się, że jeśli lubi jazdę na snowboardzie, to powinna jeździć ostrożnie, ponieważ niewiele firm zaoferuje ubezpieczenie pięćdziesięcioletniej kobiecie na wypadzie na snowboard, gdyż pięćdziesiąt cztery lata to taki wiek, gdy kości się łamią i musisz się raczej martwić, by nie złapać przeziębienia, które może zmienić się w coś poważnego. Chryste Panie. Nie potrzebowała nawet wieczorowych kursów z historii dwudziestego wieku – wystarczyło, że wróciła do tego okresu w myślach. Roddy Ho nie miał pojęcia, czy jego własna matka ma już pięćdziesiąt cztery lata. Suka.

W każdym razie. Było, minęło. Zmiany, których dokonał w ustawieniach swojego konta pocztowego, sprawiły, że wszystkie dalsze próby kontaktu ze strony Panny Oddział Geriatryczny zostaną zablokowane. Gdyby zastanawiała się, co takiego zrobiła, że zdenerwowała Rodericka Ho – a raczej Roddy'ego Hunta, znanego DJ-a ze zdjęciem Montgomery'ego Clifta, z którym sądziła, że się umawia – wystarczyłoby, żeby dobrze przyjrzała się sobie w lustrze, i tyle. Potrzebowała wieczorowych kursów z trzymania się prawdy w reklamie. Ho nie obrażał się o byle co – był wyluzowanym kolesiem – więc odczuwał zarazem smutek i obrzydzenie, gdy poprawiał jej scoring kredytowy. Miał tylko nadzieję, że ona wyciągnie z tego nauczki i będzie się w przyszłości trzymać swojej strony luki pokoleniowej.

A gdyby popołudnie nie było wystarczająco stresujące, przyszła jeszcze Catherine Standish, z podarunkami.

– Roddy – powiedziała i postawiła na jego biurku puszkę red bulla.

Pokiwał głową podejrzliwie i przesunął puszkę o kilka centymetrów w lewo. Każda rzecz miała swoje miejsce.

Catherine usiadła przy drugim biurku. Przyniosła też kubek z kawą i teraz kołysała go w dłoniach.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Przychodzisz tu tylko wtedy, gdy czegoś chcesz – odparł.  
Jej twarz na moment przybrała wyraz, którego nie rozpoznał.

– To nie do końca prawda.

Wzruszył ramionami.

– Bez znaczenia. I tak jestem zajęty. Poza tym...

– Poza tym co?

– Lamb mówi, że nie mogę ci już pomagać.

(Tak naprawdę Lamb powiedział: „Jeśli jeszcze raz przyłapię cię, jak robisz jakieś fuchy, sprzedam cię do wsparcia IT. Do działu kserokopiarek”).

– Lamb nie musi o wszystkim wiedzieć – stwierdziła Catherine.

– Mówiłaś mu o tym?

Nie odpowiedziała. Ho uznał to za niepodważalny dowód na to, że ma rację, otworzył puszkę z red bullem i wziął dużego łyka.

Catherine przyglądała mu się i piła kawę.

Ho pomyślał: znów to samo. Kolejna starsza kobieta i jej plany. Aby oddać sprawiedliwość: umiejętności Ho interesowały ją bardziej niż jego ciało, ale ostatecznie wszystko sprowadzało się do tego, by go wykorzystać. Dobrze, że był dla niej kimś więcej niż po prostu przeciwnikiem. Spojrzał na swój monitor. Z powrotem na Catherine. Nadal mu się przyglądała. Znów odwrócił się w stronę monitora. Patrzył na niego z uwagą przez pół minuty, co trwało dłużej, niż się wydawało. Gdy znów zaryzykował zerknięcie w jej stronę, nadal go obserwowała.

– Co?

– Jak ci idzie z archiwum? – spytała.

Archiwum było internetowym zasobem służb; „narzędziem do powiązania aktualnych wydarzeń z historycznymi precedensami”, tak więc strategiczne niezwykle ważnym, tak przynajmniej zdecydował kilka lat temu tymczasowy minister. Jak to często bywało w administracji państwowej, raz wydane rozporządzenie ciężko było cofnąć, a genialna poranna myśl ministra przetrwała jego karierę o kilka administracji. A ponieważ w Regent's Park rzadko trafiało się zupełnie bezsensowne zadanie, którego nie dałoby się zlecić kulawemu koniowi, zadanie utrzymania archiwum i powiększania go dawno temu trafiło na biurko Rodericka Ho.

– W porządku.

Trzymając kubek w jednej dłoni, Catherine wytarła usta chusteczką trzymaną w drugiej.

Wszystko było nie tak. To było jego biuro, jego przestrzeń – jej zawartość ułożono tak, by wszystko pasowało do przydzielonych miejsc, choć dla niewtajemniczonych mogło się to wydawać chaosem. Zapasowe przewody i myszki, wiotkie koperty od płyt CD i grube instrukcje do dawno nieaktualnych już systemów operacyjnych. No i dodatkowy problem w postaci pudełek po pizzy, puszek po napojach energetycznych i ten elektryczny szum, który nęka powietrze w pobliżu komputerów. Ta przestrzeń należała do niego. I nie w porządku było, że Catherine Standish mogła sobie tak po prostu wejść i zachowywać się tak, jakby to miejsce należało też do niej.

I nie wyglądało wcale, by miała zamiar wkrótce stąd wyjść.

– Pewnie zajmuje ci to mnóstwo czasu – powiedziała. Miała na myśli prace przy archiwum.

– Niemal cały czas – odrzekł Ho. – To mój priorytet.

– W takim razie ta lista fałszywych zadań, którą sobie skleciłeś, musi być bardzo przydatna – Catherine ciągnęła. – No wiesz, ta, która pokazuje każdemu, kto sprawdza twoją pracę, jak ciężko harujesz.

Ho zakrztusił się red bullem.

Louisa stwierdziła:

– Mogłeś zginąć.

– Ja tylko jechałem na rowerze. Tysiące ludzi robią to każdego dnia. Większość z nich nie ginie.

– Większość z nich nie goni za samochodem.

– Wydaje mi się, że mogą to robić – rzekł Min.

– I dokąd cię to zaprowadziło?

Dwa i pół kilometra, pomyślał, co było całkiem dobrym osiągnięciem na ulicach Londynu.

– Poprosiłem koleśki z Troc, by przejęły ich na Clerkenwell Road. Namierzyli...

– Ty poprosiłeś koleśki...

– Tak, tak. Catherine poprosiła gości z Troc, by ich od tego miejsca przejęły. – Troc to Trocadero, jak nazywano siedzibę monitoringu stolicy. – Śledzili taksówkę, gdy jechała na zachód, i te zbiry nie wysiadły przy żadnym hotelu Excelsior, Excalibur czy Expialidocious, czy gdzie tam, ale pojechali prosto Edgware Road. Tam się zatrzymali. Przy hotelu w West Endzie? Raczej przy jakiejś zapchlonej dziurze.

Louisa powiedziała:

– Wydawałoby się, że Webb powinien mieć to rozkminione. To znaczy wiedzieć, gdzie się te zbiry zatrzymały. Od jak dawna są w kraju? I tak sobie zwiedzają, spuszczone ze smyczy?

Min pomyślał, że być może jego wkład w założenie im z powrotem smyczy zostanie dostrzeżony. A przynajmniej za odkrycie, gdzie znajduje się ich kojec.

– Przecież nam powiedział – oznajmił. – Ludzie w Regent's Park są zajęci pokazywaniem zawartości kieszeni księgowym. Nie mają czasu na, no, działanie.

– To żadna błahostka. Tu chodzi o bezpieczeństwo. Ci ludzie mają broń... To znaczy, Jezu, zgadzamy się, żeby uzbrojeni kręcili się po stolicy? W jaki sposób przeszli z nimi przez odprawę celną?

– Pewnie nie przeszli – powiedział Min. – Nie mam pewności, ale sądzę, że w niektórych częściach Londynu da się zdobyć nielegalną broń.

– Dzięki.

– Nie w dobrych dzielnicach. Ale w wielu miejscach we wschodnim Londynie. I północnym. I części zachodniego.

– Skończyłeś już?

– I oczywiście wszędzie na południe od Tamizy. A co ważniejsze, Louiso, oni się z nami bawili. Przez cały ten czas, gdy siedzieliśmy i omawialiśmy szczegóły, gdy odpowiadali: „Tak, proszę pani”, „Nie, proszę pani” na wszystkie twoje propozycje,

myśleli po prostu: „Pierdol się”. Nie możemy im ani trochę ufać. Powiedzą dokładnie to, co chcemy usłyszeć, i zrobią dokładnie to, co chcą zrobić. A Webb jasno dał nam do zrozumienia, że jeśli coś pójdzie nie tak, wina będzie po naszej stronie.

– Tak, zauważyłam.

– No i...

– No i musimy zadbać o to, żeby wszystko poszło dobrze.

Siedzieli na kamiennej balustradzie otaczającej jedną z grządek kwiatowych na tarasie Barbicanu, który wychodził na Aldersgate Street. Niżej słychać było szum ruchu ulicznego, a gdzieś za nimi grała muzyka; coś klasycznego. Po drugiej stronie przez jedno z okien Slough House widać było Catherine siedzącą za dodatkowym biurkiem w biurze Rodericka Ho. Tył głowy Ho był nieruchomą czarną plamą. Jak para spiskowców, w którą trudno byłoby uwierzyć.

Louisa dotknęła dłoni Mina leżącej na jej kolanie.

– Okej, czyli okłamali nas w kwestii mieszkania w ładnym hotelu, bo nie chcą, żebyśmy myśleli, że są kafarami do wynajęcia, choć nimi są i przecież mimo wszystko tak o nich będziemy myśleć. A może Paszkin zapłacił im za dobry hotel, a oni zachowują różnicę w cenie dla siebie. W każdym razie wydaje mi się, że nie powinniśmy się tym za bardzo przejmować. Martwi mnie brak wsparcia informacyjnego. Audyt czy nie audyt, w Regent’s Park powinni wiedzieć, gdzie się zatrzymali.

– Ale przynajmniej my już wiemy.

– Przynajmniej my już wiemy.

– Dzięki mnie.

– Tak, tak. Dzięki tobie.

– Uznam w takim razie, że pogłaskałaś mnie po głowie.

– Głask, głask – powiedziała Louisa.

– Myślisz, że pozbędą się broni?

– Myślę, że prawdopodobnie mieli ze sobą broń, bo gdyby jej nie mieli, zastanawialibyśmy się, gdzie ją schowali. Więc tak, na razie z niej zrezygnują. Ale gdy ich szef przybędzie, będą nosić broń. To właśnie robią zbiry.

– Jesteś w tym dobra.

– Używałam mózgu. Ty w tym czasie prawie zostałeś rozjechany na Old Street, gdy udawałeś Lance’a Armstronga.

– Chodzi o rower, tak? – spytał Min, ale Louisa nie zareagowała.

Tymczasem w Slough House Catherine nadal mówiła do Ho. W kolejnym pomieszczeniu Marcus Longridge siedział przy komputerze. Min nie był w stanie odczytać wyrazu jego twarzy. Marcus zajmował się szyframi. Nikt nie był całkowicie pewien, dlaczego trafił na zesłanie, i nikt nie znał Marcusa na tyle dobrze, by go o to zapytać. Z drugiej strony nikt się tym nie interesował, więc nie stanowiło to poważnego problemu.

– Ten, który z nami rozmawiał. Piotr. Myślisz, że mnie podrywał? – spytała Louisa.

– Chciałabyś. W taksówce obejmował Kiryła. Całowali się.



- Jasne.
  - Serio. Z języczkiem i w ogóle.
  - Musisz zrobić przegląd swojego gejrada.
  - Wiesz co? – spytała. – To nie mój gejrada potrzebuje przeglądu.
- Spojrzała na niego z ukosa w sposób, który znał coraz lepiej.
- Ach – odpowiedział. – Oczywiście. Zrozumiałem.
  - Wieczorem u mnie?

Min wstał. Muzyka umilkła albo przycichła. Wyciągnął dłoń, Louisa podała mu swoją.

- Jasna sprawa – odparł Min.

Catherine odstawiła kubek, ale nie przestała mówić:

– Nie zrozum mnie źle, Roddy, fajna sztuczka, ale nie sądzisz, że powinienes to zaprogramować tak, by pokazywało odwiedzenie kilku stron niezwiązanych z pracą? Nikt nie siedzi przy komputerze przez cały dzień, ani na chwilę nie odrywając się od pracy.

Ho uświadomił sobie, że ma otwarte usta, więc je zamknął. Po czym otworzył je ponownie, by napełnić je red bullem.

- Być może – ciągnęła Catherine – zastanawiasz się, skąd o tym wiem.

Nie zastanawiał się jednak. Już zdecydował, że to z pewnością czary.

Ponieważ Catherine Standish wiedziała, którą stroną do góry położyć klawiaturę, i prawdopodobnie miała certyfikat potwierdzający szybkość pisania na komputerze, ale wszystko, co wykraczało poza przeglądanie stron podróżniczych, było jej zapewne tak odległe jak chodzenie na randki z... no, randkowanie w ogóle. Nawet gdyby zakradła się w nocy i zalogowała na jego konto, nie znalazłaby napisanego przez niego programu. Gdyby nie fakt, że Roddy wiedział, gdzie go ukrył, sam nie byłby w stanie go odnaleźć.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Catherine zerknęła na swój zegarek.

– Spóźniłeś się o jakieś trzydzieści sekund, żeby zabrzmiało to przekonująco. Co w pewnym sensie potwierdza, że mam rację.

Tym razem Ho naprawdę nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

- Roddy – powiedziała. – Nie rozumiesz ludzi, prawda?

– Nie rozumiem?

- Nie wiesz, co nimi kieruje.

ParSKnął. Dokładnie wiedział, co kieruje ludźmi. Rzucił w myślach monetą i wypadł Min Harper. Weźmy więc Mina Harpera. Co nim kierowało? Trzymaj swoją czapkę, paniusiu, bo Roddy Ho mógł pokazać ci historię służby Harpera, podać wysokość jego pensji, hipoteki na domu rodzinnym, czynsz wynajmowanej kawalerki, wysokość zadłużenia na kartach kredytowych, stałe zlecenia, ważne numery telefonów rodziny i przyjaciół, liczbę punktów zebranych na karcie lojalnościowej supermarketu i strony internetowe dodane do zakładek. Może ci powiedzieć, że Harper przegląda często Amazona, ale rzadko coś kupuje, i że regularnie wysyła e-maile do bloga na stronie „Guardiana” poświęconego relacjom z meczów krykieta.

I miał zacząć jej to wszystko przekazywać, ale ona zaczęła mówić pierwsza:

– Roddy – wskazała na stojący przed nim komputer – wszyscy doceniamy to, że potrafisz tak ogarnąć ten sprzęt, by robił, co mu każesz. I wiem, że ostatecznie, na co masz ochotę, to zajmować się procesowaniem danych, którymi mógłby się zajmować praktykant po dwudziestominutowym szkoleniu. I z całą pewnością zdajemy sobie sprawę, że w GCHQ jest cały ciąg pomieszczeń, w których kontroluje się internetową aktywność Piątki, na wypadek gdyby ktoś odwiedzał jakieś niegrzeczne miejsca. Nadążasz?

Ho nie był w stanie się powstrzymać i skinął głową.

– Mając to wszystko na uwadze, zadałam sobie pytanie: co bym zrobiła, gdybym miała twoje umiejętności i, nazwijmy to, skłonność do wędrowania po ciemnej stronie internetu? I uznałam, że napisałabym program, który przekona każdego, kto obserwuje moją aktywność, że robię dokładnie to, co powinnam robić, dzięki czemu przez cały boży dzień mogłabym robić dokładnie to, na co mam ochotę.

Ho poczuł płyn ściekający po jego palcach, spojrzął na nie i zorientował się, że zmiażdżył dłonią jeszcze nie całkiem pustą puszkę red bulla.

– I równocześnie wyobraziłam sobie, że mam taki, no, kompulsywny typ osobowości, i nie przyszłoby mi do głowy, by zbudować w tym systemie jakiś drobny zastój. Coś, co przekona, że za komputerem siedzi istota ludzka, a nie, wybaczyć, Roddy, robot. I o to właśnie mi chodziło, gdy mówiłam, że nie rozumiesz, co kieruje ludźmi. – I teraz Catherine oparła się o fotel i splótła dłonie na kolanach. – No. Czy w którymś momencie się pomyliłam?

– Tak.

– Nie, czy naprawdę się pomyliłam. Nie chodzi o to, że chciałbyś, żebym nie miała racji.

– Przewierciłaś przez sufit kabel światłowodowy, tak? – zapytał po chwili.

– Roddy, nie rozróżniłabym światłowodu od żadnego innego kabla.

Roderick Ho nie miał nic do powiedzenia w obliczu tak rażącej ignorancji.

Catherine wstała i zabrała swój kubek z kawą.

– Cóż – zakończyła. – Cieszę się, że porozmawialiśmy.

– Masz zamiar powiedzieć o tym Lambowi?

Albo psom, pomyślał. Ci z pewnością mieliby coś do powiedzenia o szeregowym agencie mieszającym w sieci tajnych służb.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała. – Lamb nie musi o wszystkim wiedzieć, pamiętasz o tym?

W milczeniu kiwnął głową.

– Choć spodziewam się, że w przyszłości będziesz nieco bardziej elastyczny w kwestii niesienia pomocy przy zbieraniu informacji. Nie tylko mnie.

– Ale Lamb...

– Mmm?

– Nic.

– Tak właśnie myślałam. – Catherine zatrzymała się przy drzwiach. – O, i jeszcze jedno. Jeśli kiedykolwiek wpadniesz na pomysł, by wykorzystać swoje internetowe

sztuczki do utrudniania mi życia, rzucę twoje bijące serce na pożarcie głodnemu psu. Zrozumiano?

– Okej.

– Miłego popołudnia, Roddy.

Wyszła.

Roderick Ho był wkurzony, zdradzony, ale też – w pewnym sensie – pod wrażeniem.

Pewnego ciemnego dnia poprzedniej zimy Jackson Lamb umówił się na spotkanie z Dianą Taverner przy kanale niedaleko Angel; zgodziła się na to spotkanie, bo Lamb trzymał ją za jaja. Lady Di miała aspiracje, by zostać Pierwszym Biurkiem w Regent's Park, obecnie pozycję tę zajmowała Ingrid Tearney, a metody, do których się uciekała, by zadbać o swoje interesy, wywołały sytuację, która mogła wkrótce stać się problematyczna. Zaangażowanie Lamba w żaden sposób nie polepszyło sytuacji, ale w świecie szpiegów – podobnie jak w świecie polityki, handlu i sportu – fakt, że coś zostało niewiarygodnie wprost spieprzone, nie sprawiał, że wprowadzono jakiegokolwiek zmiany: biurka w Regent's Park były ustawiona jak dawniej, a rozżalenie Lady Di spowodowane faktem, że zamknięto przed nią drogę na szczyt hierarchii, nie zmalało w zauważalny sposób. A Lamb nadal miał na nią haki, dzięki którym mogła zostać dwukrotnie ukrzyżowana: raz przez media, za pomocą tuszu i pikseli, drugi raz przez Ingrid Tearney z użyciem drewna i gwoździ.

W tej sytuacji Lady Di nie opierała się za bardzo, gdy Lamb zaproponował dyskretną pogawędkę „tam, gdzie zawsze”. Spóźniła się, ale ta manifestacja władzy w najmniejszym stopniu nie obchodziła Lamba, bo sam spóźnił się jeszcze bardziej. Gdy nadchodził od strony Angel, widział, jak Diana siedzi na ławce i spogląda na kanał. Po drugiej stronie zacumowało kilka barek; jedna miała na dachu stojak na rowery; druga zamknięte okiennice i drzwi zabezpieczone łańcuchem. Prawdopodobnie Lady Di zastanawiała się, czy zamontowała monitoring w którejś z nich, bo o tym właśnie myślałby on sam, będąc na jej miejscu. Jednak Lamb był raczej pewien, że sama niczego nie zamontowała, częściowo dlatego, że miał wątpliwości, czy chciałaby, aby ich rozmowa była nagrywana; a głównie dlatego, że w okienku czasowym, w którym musiałyby to zrobić, Lamb siedział na tej właśnie ławce i zauważyłby to.

Jak każdy szpieg miał swoje ulubione miejsca. Jak każdy szpieg najczęściej ich unikał; odwiedzał je nieregularnie, porzucał, jeśli w pobliżu kręciło zbyt wiele osób lub jeśli było ich za mało. Ale jak każdy szpieg potrzebował miejsca, w którym mógł spokojnie pomyśleć, czyli miejsca, w którym nikt się go nie spodziewał. Ten odcinek kanału spełniał owe wymagania. Był osłonięty tylnymi ścianami wysokich domów, zazwyczaj kręcili się tu rowerzyści albo biegacze; w porze lunchu spacerowali pracownicy z pobliskich sklepów i biur i zajadali kanapki. Czasami przepływały z mozołem wąskie łodzie kanałowe, zmierzające w stronę długiego tunelu pod Islington, gdzie nie było ścieżki holowniczej. Dla kogoś, kto nie miał zielonego pojęcia o szpiegach, było to oczywiste miejsce, w którym mógł usiąść szpieg i myśleć o szpiegowskich sprawach.

Lamb zadzwonił więc stamtąd do Lady Di, przekazał jej swoje zaproszenie i siedział tam, gdy popołudnie ciemniało, przypominając pracownika biurowego, którego właśnie zwolniono, prawdopodobnie ze względu na higienę. Wypalił siedem papierosów, jeden po drugim, rozmyślając o raporcie Shirley Dander na temat jej wyprawy do Cotswolds, a gdy zapalił ósmego, dreszcze przeszły go od stóp do głów i zakaszał tak samo jak Rosjanin. Musiał wrzucić do kanału nadal pokąźnego peta i skupić się na tym, by zapanować nad ciałem. Gdy atak minął, Lamb czuł się, jakby przebiegł ze dwa kilometry. Oblał się lepkiem potem, miał mętny wzrok. Ktoś naprawdę powinien coś z tym zrobić, pomyślał, po czym wstał z ławki i odszedł, by Lady Di mogła się tu pojawić pierwsza.

A teraz zignorowała jego nadejście, ledwo go zauważając, gdy siadał obok. Włosy miała dłuższe niż podczas ich poprzedniego spotkania, bardziej kręcone, choć może było to efektem jej pracy. Otulona była ciemnym płaszczem przeciwdeszczowym, którego kolor pasował do jej rajstop, a gdy w końcu przemówiła, usłyszał:

- Jeśli ta ławka zostawi ślady na moim płaszczu, prześlę ci rachunek z pralni.
- Możesz oddawać płaszcze do prania?
- Czysty płaszcz, proste zęby, umyte włosy. Cieszę się, że to dla ciebie nowość.
- Byłem ostatnio zajęty. Być może trochę się zapuściłem.
- Trochę. – Odwróciła się twarzą w jego stronę. – Czego chciałeś od Nikołaja

Katinskiego?

- Widzę, że nie tylko ja byłem zajęty.

– Jeśli dręczysz naszych byłych ludzi, mają w zwyczaju ucinać kontakt. A ja w tej chwili mam dość komplikacji.

- Ze względu na wasze wewnętrzne problemy.

– Ze względu na to, że nie powinienes wpychać nosa w nie swoje sprawy. Czego od niego chciałeś?

- A co ci powiedział?

– Opowiedział o swoim przesłuchaniu – odparła Diana Taverner. – Że chciałeś, żeby omówił to, co zeznał Dentystom.

Lamb odchrząknął.

- O co ci naprawdę chodziło?

– Chciałem, żeby przypomnieli mi, co powiedział Dentystom – odparł Lamb.

- Nie mogłeś po prostu obejrzeć nagrania?

– To nie to samo, prawda? – Jego niedawny atak kaszlu znalazł się już w tej komfortowej przestrzeni umysłu, gdzie wydaje się, że mógł się przytrafić komuś innemu, więc Lamb zapalił następnego papierosa. Po namyśle pomachał paczką mniej więcej w kierunku Taverner, ale ona pokręciła głową. – Zawsze jest szansa, że teraz przypomni sobie coś innego.

- O co ci chodzi, Jacksonie?

Lamb był chodzącym niewiniątkiem, wykonującym nonszalanckie gesty: co? on? Nawet nie musiał nic mówić. Wystarczyło, że ledwie zauważalnie pomachał papierosem.

- Katinski był płytkim źródłem – powiedziała Taverner. – Zajmował się szyframi,

nie posiadał informacji, których nie pozyskaliśmy wcześniej z innych, lepiej poinformowanych źródeł. Trzymaliśmy go tylko na wypadek, gdybyśmy potrzebowali kogoś na wymianę. Poważnie mówisz, że się nim zainteresowałaś?

– Czyli go sprawdziłaś?

– Doszły mnie słuchy, że odkopujesz jakieś zera z mrocznych czasów, więc oczywiście go sprawdziłam. Chodzi o to, że wspomniał o Aleksandrze Popowie, tak? Jezuu, Jackson, czy nudzi ci się aż tak bardzo, że postanowiłaś zbadać legendy? Bez względu na to, jaką operację Moskwa planowała wówczas przeprowadzić, teraz znaczy ona tyle samo co kasety magnetofonowe. Wygraliśmy tę wojnę i jesteśmy zbyt zajęci przegrywaniem kolejnej, by organizować rewanz. Wracaj do Slough House i dziękuj za to, że nie jesteś już na linii ognia.

– W przeciwieństwie do ciebie, tak?

– Myślisz, że bycie Drugim Biurkiem jest takie proste? Okej, może to nie jest życie za murem. Spróbuj jednak wykonywać moją pracę, mając związane ręce, a dowiesz się, czym jest stres, gwarantuję ci.

Wpatrywała się w niego, by podkreślić, że mówi poważnie, ale on z łatwością wytrzymał jej spojrzenie i nie przejął się, że zobaczyła, jak na jego ustach pojawia się uśmiech. Lamb pracował zarówno w terenie, jak i za biurkiem i wiedział, co z tej dwójki powoduje, że najmniejszy hałas w nocy sprawia, że budzisz się bez tchu. Jednak nie spotkał jeszcze garniturka, który nie byłby przekonany, że jest samurajem.

Taverner odwróciła wzrok. Dwoje biegaczy dyszących na ścieżce po drugiej stronie rozdzieliło się, by przepuścić kobietę z wózkiem. Gdy tylko para pobiegła dalej, a wózek zbliżał się do zbrocza prowadzącego na most, ponownie się odezwała:

– Tearney jest na ścieżce wojennej.

– Bycie na ścieżce wojennej jest opisem obowiązków Tearney – skomentował Lamb. – Gdyby nie wymachiwała mieczem, ludzie w rządzie myśleliby, że nie nadaje się do tej pracy.

– Może się nie nadaje.

Lamb przeczesał pięcioma tłustymi palcami włosy, które potrzebowały mycia.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz walnąć politycznej gadki. Bo mnie, i nie mogę tego wystarczająco mocno podkreślić, gównu obchodzi, kto komu wbija nóż w plecy w Regent's Park.

Jednak Taverner musiała to z siebie wyrzucić i nie miała zamiaru pozwolić, by jej przerywano.

– Leonard Bradley był nie tylko jej powiernikiem, ale też wtyczką w Westminster. Teraz nie ma wśród ludzi w rządzie, jak to nazwałaś, żadnych sojuszników, a wiesz, jaka bywa nerwowa. Nie chce więc żadnych zawirowań czy ucinania kontaktów. W zasadzie to nie chce, żeby cokolwiek się działo bez względu na to, czy dobrego, czy złego. Przynieś jej na tacy głowę następnego bin Laden, a ona zacznie się martwić, skąd wzięłaś tacę, na wypadek gdyby ktoś wliczył ją w koszty.

– W takim razie to się jej spodoba.

– Co się jej spodoba?

– Planuję operację. – Taverner czekała na puentę. – Zaniemówiłaś z zachwyty?

– Nie, nie wierzę własnym uszom. Nic do ciebie nie dotarło?

– Nie bardzo. Czekałem, kiedy skończysz. – Wrzucił peta do wody, kaczką zmieniła swoją trasę, by się mu przyjrzeć. – Popow był legendą, Katinski jest zerem, a Dickie pracował na pół etatu jako szpieg. A teraz jest nieboszczykiem na pełen etat, a w telefonie, który miał przy sobie w chwili śmierci, był niewysłany SMS. Jedno słowo. „Cykady”. To samo słowo, które Katinski usłyszał w związku z akcją wymyśloną przez nieistniejącego Aleksandra Popowa. Powiedz mi, że nie warto tego sprawdzić.

– Wiadomość zza grobu? Żartujesz sobie?

– Skądże.

Taverner pokręciła głową.

– Wiesz, nie sądziłam, że z całej waszej ekipy to ty pierwszy się złamiesz.

– Musisz cały czas uważać, prawda?

– Lamb, nie ma szans, aby Tearney poparła operację Slough House. Nie w sytuacji, gdy budżet Regent's Park jest zablokowany. Ani w żadnej innej.

– W takim razie dobrze, że mam ciebie, prawda? – zapytał Lamb. – A ty nie jesteś w stanie mi niczego odmówić.

Slough House w kwietniowe popołudnie: na ulicach obietnica wiosny, przerywana sporadycznymi pierdnięciami ruchu ulicznego, jednak mimo to wciąż obecna. Min dostrzegał ją w promieniach słońca odbijających się od szyb Barbican Towers i słyszał ją w spontanicznie nuconych piosenkach, gdyż studenci z pobliskiej szkoły teatralnej byli odporni na zażenowanie i z radością śpiewali w drodze do metra.

Pomimo bólu i zmęczenia po pogoni rowerowej i tak czuł się dobrze. Utknął na kilka lat za biurkiem, przy którym nic nie robił, ale gdy trzeba, dawał radę. Dziś rano to udowodnił.

Jednak w tej chwili znów siedział za biurkiem, przy którym wykonywał robotę głupiego: katalogował mandaty za parkowanie wystawione w pobliżu prawdopodobnych celów ataków terrorystycznych, na wypadek gdyby zamachowiec samobójca w ramach przygotowań oglądał wcześniej dane miejsce, pojechał tam autem i nie zwracał sobie głowy opłaceniem parkingu. Min prawie skończył luty, a nadal żaden numer tablicy rejestracyjnej się nie powtórzył, podczas gdy Louisa, pochłonięta równie monotonnym zadaniem, nie odzywała się od dłuższej chwili.

Strata czasu.

Istniała oczywiście teoria, że powierzono im te zadania z pewnego powodu, a powodem tym była szansa, że będą tak śmiertelnie znudzeni swoją pracą, że złożą wypowiedzenia, oszczędzając kontrwywiadowi kłopotów związanych z zakończeniem umowy o pracę, co zawsze niesie ze sobą ryzyko podania pracodawcy do sądu. Dobrze, pomyślał Min, że miał za sobą poranek prawdziwej pracy i perspektywę, że będzie jej więcej. Noclegownia przy Edgware Road. Piotr i Kirył zadekowali się tam, czekając na przyjazd szefa: nie zaszkodziłoby dowiedzieć się więcej o tym duecie. Poznać ich nawyki, miejsca, gdzie spędzali czas. Dowiedzieć się czegoś, co da Minowi przewagę, na wypadek gdyby okazało się, że przewaga będzie mu potrzebna. Nadmiar informacji nigdy nikomu nie zaszkodził, chyba że chodziło o mandaty za

parkowanie.

Na górze panowała cisza. Lamb zniknął po tym, jak wysłuchał raportu Shirley Dander o wyśledzeniu pana B; a przynajmniej Min zakładał, że tego właśnie dotyczył jej raport.

– Ciekawe, co znalazła Shirley – zagaił.

– Hmm?

– Shirley. Ciekawe, czy znalazła tego łysego kolesia.

– Aha.

Nie dostrzegł śladu zainteresowania.

Za oknem powoli toczył się autobus, jego górny poziom był pusty.

– Lamb wydawał się pełen entuzjazmu, to wszystko – ciągnął. – Jakby to była sprawa osobista.

– Znając go, to tylko kaprys.

– I wątpię, by River był zadowolony, że Shirley mogła wyjść i się pobawić. – Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, gdy wypowiadał te słowa. Przypomniał sobie prędkość, z jaką pędził wzdłuż Old Street. I Rivera, który siedział za biurkiem, gdy te wydarzenia miały miejsce.

Louisa wpatrywała się w niego.

– Co? – Pokręciła głową i wróciła do pracy.

Przejechał kolejny autobus – ten był pełen. Jak to możliwe?

Min stukał ołówkiem w paznokiec.

– Może nawaliła, jak myślisz? Chodzi mi o to, że nie miała zbyt wielu punktów zaczepienia.

– Wszystko jedno.

– I pracowała wcześniej w Łączności, prawda? Shirley. Myślisz, że dużo czasu spędzała w terenie?

Teraz Louisa znów na niego patrzyła. W zasadzie dość mocno się w niego wpatrywała.

– Co to za grypa wspomnieniowa?

– Co?

– Jeśli chcesz dowiedzieć się, jak poszło Shirley, idź do niej zagadać. Powodzenia.

– Nie chcę jej zagadywać.

– Sprawiasz wrażenie, jakby było inaczej.

– Zastanawiam się tylko, czy sobie poradziła. Powinniśmy grać do jednej bramki, prawda?

– Tak, jasne. Może powinieneś udzielić jej paru wskazówek. Po swojej porannej przygodzie.

– Może powinieneś. W końcu nie poszło mi tak źle.

– Może powinieneś pokazać jej sznurki.

– Tak.

– Pokierować nią.

– Tak.

– Dać klapsa, gdy będzie niegrzeczna – powiedziała Louisa.

– Tak. Nie!

– Min? Zamknij się już, dobrze?

Zamknął się.

Na zewnątrz nadal dało się wyczuć obietnicę wiosny, jednak atmosfera wewnątrz biura z niewyjaśnionych przyczyn na powrót stała się zimowa.

– W takim razie dobrze, że mam ciebie, prawda? – zapytał Lamb. – A ty nie jesteś w stanie mi niczego odmówić.

Jego słowom towarzyszył skrzywiony, żółty uśmiech, na wypadek gdyby Taverner zapomniała, jak bardzo się przyjaźnili.

– Jacksonie...

– Potrzebuję sensownej przykrywkii, Diano. Mógłbym sam sobie ją przygotować, ale to zajmie tydzień lub dwa, a potrzebuję jej teraz.

– Czyli chcesz przeprowadzić operację i masz zamiar to zrobić w pośpiechu? Czy którykolwiek element twojego planu wydaje ci się rozsądny?

– Potrzebuję też środków na działanie. Przynajmniej parę patyków. Mogę też potrzebować pożyczyc ludzi. Mam mniej zasobów niż zazwyczaj w House, przez to, że twój chłoptaş Spider ma parcie na rekrutację.

– Webb?

– Wolę mówić na niego Spider. Zawsze, gdy go widzę, mam ochotę zabić go gazetą. – Spojrzał na nią przebiegle. – Wiesz o jego kłusownictwie, prawda?

– Webb nie może przestawić swojego biurka bez mojego pozwolenia. Oczywiście, że o tym wiem. – Nagle rozległ się łopot skrzydeł, gdy kaczka wystartowała i poleciała wzdłuż kanału. – I nie ma szans, żebyś wziął kogoś z Regent's Park. Roger Barrowby liczy u nas łyżeczki do herbaty. Uwierz mi, zorientuje się, jeśli zabraknie żywego człowieka.

Lamb nic nie powiedział. Sytuacja się zmieniła. Teraz Taverner zorientuje się, że przeszła od mówienia, że drzwi są zamknięte, do negocjowania tego, jak szeroko je otworzyć.

– O Chryste Panie – wymamrotała.

No proszę.

Bez słowa znów poczęstował ją papierosem i tym razem skorzystała. Gdy nachyliła się, żeby go odpalił, poczuł zapach jej perfum. Zapalniczka rozbłysła i zapach zniknął.

Taverner oparła się o ławkę, nie martwiąc już o możliwe zabrudzenia. Zamknęła oczy i zaciągnęła się.

– Tearney nie lubi tajnych działań – powiedziała. Odniósł wrażenie, że ciągnęła rozmowę, którą wiele razy odbyła w swojej głowie. – Jeśli będzie miała okazję, rozwiąże Operacje i podwoi personel Centrali Łączności Rządowej. Zbieranie informacji na odległość. Tak jak zaleca BHP.

– Mniej agentów trafi do worków na zwłoki – stwierdził Lamb.

– Będzie mniej agentów, kropka. I nie udawaj, że jej bronisz. Zaprowadziłaby całe twoje pokolenie przed komisję prawdy i pojednania. Kazała przeprosić za każdą antyradziecką akcję, jaką kiedykolwiek zorganizowaliście, i uściskać kolegów przed



kamerami.

– Przed kamerami – powtórzył Lamb. Po czym dodał: – Boże, ty wcale nie żartujesz, prawda?

– Wiesz, co napisała w ostatniej notatce? Że osoby czekające na awans na Trzecie Biurko powinny zapisać się na wewnętrzny kurs PR. Zadbać o to, by być w pełni przygotowanym do „pracy z klientem”.

– „Pracy z klientem”?

– „Pracy z klientem”.

Lamb pokręcił głową.

– Znam odpowiednich ludzi. Moglibyśmy jej wtłuc.

Dotknęła na moment jego kolana.

– Jesteś bardzo uprzejmy. Niech to będzie nasz plan B.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, gdy ona wypalała swojego papierosa. Potem zgniotła niedopałek piętą i kontynuowała:

– No dobrze. Koniec zabawy. Chyba że chcesz mi powiedzieć, że żartowałeś? – Szybkie spojrzenie w jego stronę uświadomiło jej jednak, że tak łatwo się z tego nie wywinie. Zerknęła na zegarek. – Opowiadaj.

Lamb zreferował, co mu chodzi po głowie.

– Cotswolds? – zapytała, gdy skończył.

– Powiedziałem: operacja. Nie wspominałem o Al-Kaidzie.

– I tak masz zamiar ją przeprowadzić. Po co w ogóle zwracasz sobie głowę, żeby mi o niej opowiedzieć?

Lamb spojrział na nią z powagą.

– Wiem, że uważasz, że jestem postrzelony. Ale nawet ja nie jestem na tyle głupi, by prowadzić operację na ojczyściej ziemi bez pozwolenia Regent's Park.

– Pytam poważnie.

– Bo i tak się o tym dowiesz.

– Oczywiście, że tak. Odkryłeś już, który z twoich żółtodziobów do mnie raportuje? – Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. – Lepiej, żeby nie zrobił się z tego cyrk – dodała.

– Cyrk? Ten gość załatwił jednego z naszych. I co: pozwolimy, by coś takiego się stało bez, jak byś to nazwała, dogłębnej analizy? Jeśli pozwalamy, by do tego doszło bez sprawdzenia, kto, co i dlaczego, to nie dość, że nie robimy tego, co do nas należy, to jeszcze zawadzimy naszych ludzi.

– Bow nie był już naszym człowiekiem.

– To tak nie działa i dobrze o tym wiesz.

– Tak, wiem o tym – westchnęła. – Nie miałam jednak pojęcia, że potrafisz wygłaszać przemówienia. – Rozmyślała przez chwilę. – Okej. Chyba możemy znaleźć naprędce jakieś używane wcześniej tożsamości bez wszczynania alarmu. Nie będą nie do podważenia, ale przecież nie wysyłasz nikogo do Indii. A jeśli wypełnisz formularz 22-F, przepchnę go przez zasoby. Opiszemy to jako wydatki dotyczące archiwum. To znaczy umówmy się, będziesz badał prehistorię. Jeśli to nie jest sprawa do archiwum, to nie wiem, co nią jest.

– Nic mnie to nie obchodzi, możesz to nawet wyłożyć z drobnych. Mam to w dupie.

Aby potwierdzić swoje słowa, podrapał się po wspomnianej części ciała.

– Słodki Jezu – powiedziała Diana Taverner. – Jeśli to zrobię, jesteśmy kwita, jasne?

– Oczywiście.

– Lepiej, żebyś się nie opierdalał w czasie pracy, Jacksonie. – W rzadkim przeblysku taktu Lamb rozpoznał, że to była ta chwila, gdy ostatnie słowo powinno należeć do kogoś innego, i nic nie powiedział. Zamiast tego przyglądał się, jak Diana znika z pola jego widzenia, po czym nagrodził się nieśpiesznym uśmiechem. Miał wsparcie. Miał nawet fundusze.

Nie załatwiłby ani jednego, ani drugiego, gdyby zdradził prawdę.

Wyjął telefon z kieszeni i zadzwonił do Slough House.

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak, dlatego odbieram...

– Rusz dupę do Whitecross. I zabierz portfel. – Zamknął klapkę telefonu i przyglądał się, jak niezdecydowana kaczka powraca, lądując z poślizgiem na szklistej powierzchni kanału, rozbijając odbijające się w nim niebo, ale tylko na chwilę. Zaraz wszystko zadrżało i wróciło do formy: niebo, dachy, wiszące nad głowami kable znalazły się na swoim miejscu.

Taki widok ucieszyłby Ho.

Nie spieszyłeś się – powiedział Lamb.

River, który dotarł jako pierwszy, potrafił rozpoznać taktykę Lamba.

– Do czego potrzebny jest mój portfel?

– Możesz postawić mi późny lunch.

Ponieważ już minęło trochę czasu od jego wczesnego lunchu, podejrzewał River.

Sprzedawcy na targu już się zwijali, ale nadal działały stoiska, na których można było kupić wystarczająco dużo curry i ryżu, by wykarmić wojsko, po czym tak zapchać je ciastem, by nie było w stanie maszerować. River zapłacił za kurczaka po tajsku z chlebkiem naan i razem z Lambem poszli do St. Luke, gdzie znaleźli ławkę. Gołębie zleciały się z nadzieją, ale szybko zrezygnowały. Możliwe, że rozpoznały Lamba.

– Jak dobrze znałeś Dickiego Bowa? – spytał River.

– Niezbyt dobrze – odpowiedział Lamb z ustami pełnymi kurczaka.

– Ale na tyle dobrze, by zapalić mu świeczkę.

Lamb popatrzył na niego i przeżuwał jedzenie. Przeżuwał je tak długo, że miało to sarkastyczny wydźwięk.

– Jesteś porażką, Cartwright – odezwał się, gdy w końcu przełknął. – Obaj to wiemy. W przeciwnym razie nie byłbyś kulawym koniem. Ale...

– Wydymano mnie. Na tym polega różnica.

– Tylko przegranych da się wydymać – wyjaśnił Lamb. – Mogę dokończyć?

– Proszę bardzo.

– Jesteś porażką, ale dalej jesteś w grze. Więc jeśli któregoś dnia znajdą twoje ciało, a ja nie będę zajęty, prawdopodobnie zacznę zadawać pytania. Sprawdzę, czy okoliczności były podejrzone.

– Z trudem panuję nad swoimi emocjami.

– No, powiedziałem: prawdopodobnie. – I beknął. – Ale Dickie pracował w Berlinie. Gdy toczyłeś z kimś wojnę, musisz się upewnić, że spoczywasz we właściwym grobie. W takim, który nie jest opisany „Umarł ze starości”, gdy powinien być oznakowany „Działanie nieprzyjaciela”. Dziadek cię tego nie nauczył?

River przypomniał sobie chwilę z zeszłego roku, gdy miał okazję zerknąć przez chwilę na Lamba toczącego wojnę. Więc choć Lamb był teraz tłustym leniwym dziadem, River był skłonny mu uwierzyć.

Jednak nie podobało mu się, że Lamb znieważył jego dziadka, więc rzekł:

– Być może mi o tym wspominał. Wtedy, gdy nie opowiadał mi o tym, że Bow był pijaczkiem, który twierdził, że porwał go nieistniejący szpieg.

– S.D. ci o tym powiedział? – Lamb przechylił głowę. – Tak go nazywasz, prawda? Stary drań?

Tak go nazywał, ale skąd Jackson Lamb o tym wiedział, przekraczało możliwości

rozumowania Rivera.

Lamb był świadomy, o czym myśli River, opromienił go więc swoim uśmiechem stalkera.

– Aleksander Popow faktycznie był strachem na wróble – oznajmił. – Co jeszcze powiedział ci dziadek?

– Że w Regent's Park mają teczkę na jego temat – dodał River. – Dane, które zebrano po to, by odkryć sposób myślenia Moskwy. Głównie fragmentaryczne informacje. Gdzie się urodził, takie tam.

– Gdzie się urodził?

– W ZT/53235.

– Dlaczego nie jestem zdziwiony, że zapamiętałeś ten symbol?

– Miał tam miejsce jakiś wypadek – ciągnął River. – I miasto zostało zniszczone. Szczegół, który pozostał mi w pamięci.

– Zostałoby – powiedział Lamb. – Gdyby to był wypadek. – Wyskrobał z plastikowego pojemnika resztki curry i wepchnął je do ust, nieświadomy tego, w jaki sposób River na niego patrzył. – Nie było takie złe – skomentował. Wprawnym ruchem nadgarstka posłał widelec do kosza, po czym za pomocą ostatniego kawałka naan zebrał resztki sosu. – Oceniam na siódmkę.

– To było zaplanowane działanie?

Lamb uniósł brwi.

– Nie wspomniał o tym drobiazgu?

– Nie wchodziliśmy w szczegóły.

– Pewnie miał swoje powody. – Przeżuwał chlebek z rozmysłem. – Jestem raczej pewien, że twój dziadek nigdy nie zrobił niczego bez powodu. Nie, to nie był wypadek. – Przełknął. – Jesteś jeszcze za młody, żeby zapalić, prawda?

– Nadal nie jestem wystarczająco głupi.

– Wróć do mnie, jak coś przeżyjesz. – Lamb zapalił, zaciągnął się, wypuścił dym. Nic w jego wyrazie twarzy nie wskazywało na to, że kiedykolwiek myślał o szkodliwości tego nawyku. – Zet-coś-tam-dalej było ośrodkiem badawczym. Elementem wyścigu atomowego. To było przede mną, rozumiesz.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że przed tobą istniała broń nuklearna.

– Dzięki. W każdym razie z tego, co wiemy, Moskwa uznała, że rozgościł się w nim szpieg. Że ktoś z wewnątrz przekazywał informacje o sowieckim programie nuklearnym wrogom. Czyli nam. Albo naszym przyjaciółom. – Lamb znieruchomiał. Przez kilka chwil źródłem jedyne go ruchu była cienka błękitna smużka dymu snująca się rzewnie z jego papierosa.

– Więc je zniszczyli? – zapytał River.

– Czy dziadek nigdy ci nie wspomniał, w trakcie wszystkich tych lekcji historii, których ci udzielał, jak poważna to była sprawa? Tak, zniszczyli je. Spalili je na popiół, by mieć pewność, że nic, co się tam działo, nie wyjdzie na jaw.

– Miasto, w którym mieszkało trzydzieści tysięcy ludzi?

– Niektórzy wyszli z tego cało.

– Zniszczyli je, gdy ludzie...

– To była najbardziej efektywna metoda. Mogli być w miarę pewni, że od tego momentu ich szpieg zaprzestął swojej aktywności. Żart oczywiście polega na tym, że nie było żadnego szpiega.

– Świetny dowcip.

Świetna puenta, pomyślał.

– To była jedna z ulubionych opowieści Crane’a – powiedział Lamb.

Amos Crane, na długo zanim River rozpoczął pracę, był legendą wywiadu z niewłaściwym powodów. Nie był kłusownikiem, który zmienił się w gajowego, ale raczej lisem, który stał się strażnikiem kurnika.

– Crane lubił powtarzać, że w tym odcinku pomieścił się cały gabinet luster. Zbudowali fortecę, po czym wystraszyli się, że ją spalimy. Spalili więc ją pierwsi, żeby mieć pewność, że my tego nie zrobimy.

– A Popow miał być jednym z tych, którzy przeżyli, tak? – spytał River. W jego głowie koło się zamknęło. – Niszczą swoje miasto, a wiele lat później z jego prochów tworzą potwora, za pomocą którego mają się na nas zemścić.

– No tak – odrzekł Lamb. – Jak mówiłem, to wkurzało Crane’a.

– A co się w ogóle z nim stało?

– Jakaś laska go załatwiła.

Mniej utalentowane osoby potrzebowałyby całej powieści, by opowiedzieć tę historię, pomyślał River.

Lamb wstał, wpatrywał się w najbliższe drzewo, jakby nagle obudził się w nim podziw dla natury, uniósł piętę i pierdnął.

– To znak, że curry było dobre – skomentował. – Czasami zalega w tobie całą wieczność.

– Od dawna mam zamiar cię zapytać, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś – powiedział River.

Przeszli na drugą stronę ulicy.

– W każdym razie – stwierdził Lamb – może to tylko strach na wróble. Wymyślony potwór. Niemniej jednak Dickie Bow nie żyje, a to jedyna osoba, która twierdziła, że widziała Popowa na własne oczy.

– Sądzisz, że pan B jest związany z legendą o Popowie?

– Bow zostawił w swoim telefonie wiadomość, która miała mniej więcej taki sens.

– Trucizna nie do wykrycia. Wiadomość zza grobu – powiedział River.

– Chcesz coś z siebie wyrzucić?

– Wydaje się to trochę... nieprawdopodobne.

– Tony Blair zajmuje się procesem pokojowym – przypomniał Lamb. –

W porównaniu z tym wszystko idzie swoim torem.

Skoro już o tym mowa, nadszedł czas, by River znów wyciągnął swój portfel.

Zatrzymali się przy budce z kawą.

– Flat white – zamówił River.

– Kawę – powiedział Lamb.

– Flat white? – spytał sprzedawca.

– Nie, różową i pulchną. Skoro pytasz.

- Dla niego to samo co dla mnie – rzekł na to River.
- Ruszyli dalej z kubkami kawy w dłoniach.
- Nadal nie jestem pewien, dlaczego prowadzimy tę rozmowę.
- Wiem, że myślisz, że możesz sporo wywęszyć – mówił Lamb – nigdy jednak nie wysyłam agenta w teren bez podzielenia się z nim wszystkimi informacjami.
- River potrzebował pięciu sekund, by to do niego dotarło.
- W teren?
- Czy możemy pominąć ten fragment, gdy powtarzasz to, co ci przed chwilą powiedziałem?
- Okej, pomijamy – odparł River. – Teren. Gdzie?
- Mam nadzieję, że byłeś szczepiony – powiedział Lamb. – Jedziesz do Gloucestershire.

Gdy Min wyszedł z biura, zrobiło się późno.

Darmowe nadgodziny; nie była to nadzwyczajna nagroda za zachowanie pasywno-agresywne. O piątej wyłączył telefon, więc gdy zadzwoni Louisa, będzie musiała zostawić wiadomość. O siódmej wyłączył go ponownie: zero wiadomości. Pokręcił głową. Zasłużył na to. Sprawy toczyły się zbyt gładko. Spieprzył to i nawet tego nie zauważył. Z tego w końcu sływał. To on zdołał zniszczyć swoją karierę, po czym poszedł do domu się wyspać; dowiedział się o tym następnego ranka. To z niego ludzie się śmiali, mając pewność, że choć wszyscy coś spierdolili, to przynajmniej zorientowali się w porę. Nie potrzebowali najważniejszego programu informacyjnego, by mieć tego świadomość.

I to niemówienie o Shirley wyrządziło szkody. To jedynie, niczym płetwa rekina, przecięło powierzchnię. Nie: chodziło o to, jak żyli, dzieląc swój związek między dwie podłe miejscówki. Chodziło o to, czego mogli oczekiwać od przyszłości, dzieląc ze sobą biuro i ten sam brak perspektyw. Chodziło też, rzecz jasna, o jego drugie życie: dzieci, żonę i dom, które porzucił, gdy jego kariera poszła z dymem. Mógł się od nich odseparować, jednak nadal istnieli, mieli wymagania odnośnie do jego czasu, emocji i pieniędzy, co Louisa bez wątplenia zaczęłaby z czasem mieć mu za złe, jeśli już nie miała. Łatwo można zrozumieć, dlaczego była zła. I dlaczego poczuwał się do winy, choć tak naprawdę niesłusznie.

Jedna połowa mózgu Mina wyjaśniała mu tę sytuację, podczas gdy druga połowa prowadziła go trasą do okropnego pubu, gdzie spędził dziewięćdziesiąt minut, pijąc piwo i w zasępieniu rwąc podstawkę pod kufel na strzepy. Wróciło kolejne wspomnienie: długie samotne wieczory, które musiał przetrwać po tym, jak zderzył się ze ścianą. Przynajmniej o tej porażce nie usłyszy rano w Radio 4. „Zgodnie z oczekiwaniami Min Harper spieprzył swój związek i spodziewamy się, że w najbliższej przyszłości pozostanie samotny. A teraz przejdźmy do wiadomości sportowych. Garry?”

Wtedy właśnie Min uznał, że już wystarczająco długo użala się nad sobą.

Choć Louisa była w złym humorze, to ten nastrój kiedyś jej przejdzie, a Slough House może i był ślepą uliczką, ale James Webb zrzucił im drabinkę linową, a Min chwycił ją obiema rękoma. Pytanie brzmiało: czy drabinka utrzyma ich oboje? Min

zadumał się nad zbudowaną przez siebie piramidką z postrzępionego kartonu. Najlepiej było traktować wszystko w kategorii sprawdzianu. Nauczył się tego na szkoleniu i nikt mu jeszcze nie kazał tego przerwać. Czyli: Spider Webb. Choć znał go słabo, Min nie lubił Webba ani go nie szanował, więc z łatwością mógł uwierzyć, że tamten gra na dwa fronty. Jednak jeśli w tej grze przewidziano nagrodę, głupotą byłoby nie stanąć do walki o nią, i taką samą głupotą byłoby nie wziąć pod uwagę, że Louisa wpadła na ten sam pomysł. Do cholery, nie dało się wykluczyć, że jej zły humor spowodowany był faktem, że Min udowodnił rano, że jest w stanie grać o dużą stawkę, podczas gdy ona głównie prezentowała swoją sprawność w biurze, w przesuwaniu papierów. Aktywności, która była fundamentem Slough House.

Ponownie spojrzął na telefon. Nadal żadnych wiadomości. Jednak bądźmy szczerzy, powiedział do siebie: nie próbował wystrychnąć Louisy na dudka. W zasadzie to zamierzał później zadzwonić, przeprosić ją i do niej pojechać. Wszystko razem. Zamierzał to wszystko zrobić, ale najpierw uruchomił na iPhone Google Earth i przyjrzał się uważnie odcinkowi Edgeware Road, na którym zatrzymała się taksówka Piotra i Kiryła. Po czym wyszedł z pubu i zabrał swój rower z tyłów Slough House. Była prawie dziewiąta, zapadał zmrok.

Gabinet Diany Taverner miał szklaną ścianę, dzięki której mogła rzucać okiem na dzieciaki w centrum. Nie było w tym żadnej dominacji; chodziło tu o instynkt ochronny, swoistą opiekę. Ci ze starszyny powiedzieliby, że ten instynkt liczył się w terenie, ale Taverner znała stres, który gromadził się za kulisami, bezsennie jak rdza. Na wszystkich biurkach w centrum promieniowały informacje, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę: większość z nich była bezużyteczna, niektóre okazywały się śmiertelnie niebezpieczne; wszystkie musiały zostać oszacowane zgodnie z kryteriami, które zmieniały się każdego dnia w zależności od tego, skąd wiał wiatr. Były listy osób, które należało monitorować, zrobione ukradkiem nagrania wideo do zinterpretowania, skradzione rozmowy do przetłumaczenia, a pod wszystkimi tymi przetworzonymi danymi skrywała się świadomość, że wystarczy chwilowy brak koncentracji, by w wieczornych wiadomościach zobaczyć ciała wydobywane z gruzów. Taka presja mogła cię złamać; mogła pozbawić cię snu, niszczyć twoje marzenia i zaskoczyć łzami wylanymi za biurkiem. Więc owszem, przyglądała się tym dzieciakom, ponieważ zależało jej na ich dobrostanie, choć mogła dzięki temu również sprawdzić, czy żaden z tych gnojków nie odważył się na jakiś numerów. Nie wszyscy wrogowie Taverner znajdowali się za granicą.

A żeby się upewnić, że ten monitoring działa tylko w jedną stronę, zamontowano rolety od sufitu do podłogi, które mogła w każdej chwili zaciągnąć. I właśnie w tej chwili były opuszczone, a lampy sufitowe przyciemnione na wzór gasnącego światła na zewnątrz. A przed Taverner stał – ponieważ nie zaproponowała mu, by usiadł – James Webb, który nie siedział w centralnej części, ale miał gabinet w trzewiach budynku. „Gabinet” robił wrażenie, jednak tak naprawdę oznaczał, że Webb był wykluczony z kręgu władzy.

I był poza zasięgiem jej wzroku.

Czas odkryć, czym się zajmował.

– Słyszałam plotki – zaczęła. – Wygląda na to, że oddelegowałeś parę kulawych koni.

– Kulawych...?

– Nawet o tym nie myśl.

– To nic ważnego – odparł Webb. – Nie sądziłem, że będziesz chciała, żeby zawracać ci tym głowę.

– Jeśli nie chcę, żeby mi czymś zawracano głowę, muszę najpierw wiedzieć, co to takiego. Żeby się upewnić, że to nie jest coś, czym raczej chcę, by zawracano mi głowę.

Nastąpił moment ciszy, w trakcie której oboje zastanawiali się, w którą stronę iść. Po czym Webb powiedział:

– Arkady Paszkin.

– Paszkin...

– Jedyne właściciel Arkosa.

– Arkosa.

– Czwartego co do wielkości producenta ropy naftowej w Rosji.

– Ach. Ten Arkady Paszkin.

– Ja... Odbyłem z nim rozmowy.

Lady Di odchyliła się, a fotel dopasował się do jej sylwetki z szeptem sprężyn. Przyglądała się Webbowi, który kiedyś był użyteczny. Gabinet w trzewiach był nagrodą za służbę i powinien być wystarczający, by Webb siedział cicho. Ale goście z całego świata tacy jak Spider Webb zachowywali się podobnie: zamknij ich gdzieś na dłuższy czas, a szyby zaparują od ich oddechów.

– Odbywasz... rozmowy z rosyjskim przemysłowcem?

– Myślę, że on woli określenie „oligarcha”.

– Nie obchodzi mnie to, czy nie chce przypadkiem być nazywany carem. Skąd, do cholery, przyszło ci do głowy, że możesz komunikować się drogą dyplomatyczną z człowiekiem obcej narodowości?

– Pomyślałem, że dobrze by nam zrobiło trochę dobrych wiadomości – odpowiedział Webb.

– No cóż, jeśli to jest dla ciebie „dyplomacja”... – rzekła Taverner po chwili – to w każdej chwili możemy spodziewać się wojny z Rosją. Jakiego rodzaju dobre wiadomości miałeś na myśli? I proszę, bądź... przekonujący.

– Jest potencjalnym kontaktem – powiedział Webb.

Teraz Lady Di pochyliła się do przodu.

– Jest potencjalnym kontaktem – powtórzyła powoli.

– Jest niezadowolony ze stanu rzeczy w swoim kraju. Uważa zwrot w kierunku dawnego antagonizmu za uwsteczniający i nie podoba mu się wizerunek państwa mafijnego. Ma ambicje polityczne, a gdybyśmy mogli mu w jakiś sposób pomóc... No cóż, dzięki temu stały się dość uległy, prawda?

– Żartujesz sobie?

– Wiem, że brzmi to, jakbyśmy mierzyli bardzo wysoko – odpowiedział Webb. – Ale pomyśl o tym. Gość jest graczem. Nie jest wykluczone, że mógłby przejąć



stery. – Ekscytacja Spidera była coraz bardziej widoczna. Taverner starannie unikała patrzenia na jego spodnie. – A jeśli będziemy razem z nim, jeśli trochę utworzymy mu drogę... mówię serio. Trafi się nam Święty Graal.

Rozsądnym wyjściem byłoby puszczenie go z dymem, tu i teraz, pomyślała. Trzydzieści sekund słownego kreozotu i zostawiłby okopcone ślady na całej trasie do swojego gabinetu, i nigdy nie wpadłby już na żaden pomysł. To było rozsądne wyjście i Taverner rozpaliała swój wewnętrzny płomień z całą mocą, gdy usłyszała swoje pytanie:

- Kto jeszcze o tym wie?
- Nikt.
- Co z tymi dwojgiem ze Slough House?
- Myślą, że odpowiadają za bezpieczeństwo podczas rozmów dotyczących ropy.
- Jak to się zaczęło?
- On nawiązał kontakt. Osobiście.
- Z tobą? Jak to możliwe?
- W zeszłym roku było takie spotkanie...

Takie spotkanie. Jasne. „Takie spotkanie w zeszłym roku” było jedną z genialnych myśli Ingrid Tearney; zakłębieniem, które miało odwrócić najnowsze tsunami katastrof PR-owych: nielegalne wojny, przypadkowe zabójstwa, torturowanie więźniów; tego typu sprawy. Tearney miała serię wystąpień publicznych, podczas których wyjaśniała, w jaki sposób działania antyterrorystyczne gwarantują bezpieczeństwo kraju, nawet jeśli dla nieświadomych obywateli powodują one jedynie ogromne opóźnienia na lotniskach. Elegancik Webb nosił jej torby i nadstawiał ucha, do którego mogła szeptać, gdy chciała sprawiać wrażenie, jakby się naradzała. Jego nazwisko pojawiło się w prasie, czym bez wątpienia zamęczyłby wszystkich, gdyby obok niego nie pojawiło się określenie „przystojniaczek”.

Nadal mogła puścić go z dymem. Powstrzymać to, zanim z hukiem wyjdą na jaw nieuniknione słabości tego planu. Jednak zapytała:

– I ty uważasz, że to nieistotne? Że to coś, czym nie chcę, by mi zwracano głowę?

– Zostawiam możliwość wiarygodnego zaprzeczenia – powiedział Webb. – Jeśli sprawy nie pójdą po naszej myśli... Cóż, to jeden z twoich podopiecznych dokazywał bez twojej wiedzy, tak? – Zaśmiał się krótko i gwałtownie. – Jeśli tak się stanie, prawdopodobnie sam dołączę do kulawych koni.

I jeśli weźmiesz pod uwagę tę odpowiedź, obraz sytuacji całkowicie się zmienia. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Webb będzie mógł rzucić do stóp Ingrid Tearney wielką soczystą kość. Gdy tylko Taverner się o tym dowie, będzie stała za zamkniętymi drzwiami i zastanawiała się, czego dotyczy zdawany właśnie raport.

Jednak grubsze ryby niż Spider Webb popełniły błąd i nie doceniły Diany Taverner.

– I jak, do cholery, załatwiasz to wszystko z Baryłką?

Miała na myśli Rogera Barrowby’ego, który aktualnie przesuwiał suwak logarytmiczny przy każdej decyzji podejmowanej w Regent’s Park – łącznie z tym,

czy do zamówienia w fast foodzie można dodać frytki.

Spider Webb zamrugał dwa razy.

– Przepuszczam to przez Slough House – powiedział.

Taverner pokręciła głową. Chryste, traciła kontrolę. To dlatego wykorzystywał kulawe konie: oni nie podlegali pod kompetencje Barrowby'ego. Ich wydatki były praktycznie równe zeru, jeśli nie liczyć kosztów Lamba.

– Okej – odrzekła.

Rozluźnił się.

– Ale to nie znaczy, że możesz odejść. – Zerknęła szybko na zawartość szuflady w swoim biurku; znajdowały się w niej papierosy. Jednak gdy poprzednio ktoś zapalił w Regent's Park, włączył się alarm. – Opowiedz wszystko – powiedziała. – I naprawdę chcę wiedzieć wszystko. No już.

Gdy Kirył usłyszał słowo *hookah*, wydawało mu się, że usłyszał *hookers*, dziwki, a nie fajki wodne, i nic w ciągu kolejnych trzydziestu sekund nie wyprowadziło go z błędu: zmieniono prawo, o czym powiedział mu w pubie jakiś Polak, i teraz wszystkie dziwki z Edgware Road wystawiono na chodnik, choć wcześniej były wewnątrz tureckich restauracji. „*Hubbly-jubbly!*”<sup>\*</sup> – zakończył Polak. Kirył przytaknął skinieniem głowy. Dla potrzeb tej misji miał udawać, że nie rozumie angielskiego, znał jednak ten język dość dobrze i wiedział, co oznacza *hubbly-jubbly*.

Zabawne było, że na Edgware Road faktycznie było kilkadziesiąt prostytutek, a jeszcze więcej stało przy bocznych uliczkach, jednak szisze, o których mówił Polak, były fajkami wodnymi rodem z *Arabskich nocy*, z których dym zaciąga się przez rurkę. Kirył nigdy wcześniej nie palił w ten sposób i okazało się, że mu się to podoba. Następnego wieczoru wrócił tam i ponownie zapalił: siedział na chodniku pod plastikową markizą; ulice były ciemne, obok przejeżdżały samochody. Poznawał ludzi – co było dozwolone; czego oczy tych na górze nie widziały, nie mogło mu zaszkodzić – i rozmawiał właśnie z tymi nowymi znajomymi, gdy na rowerze przemknął gość, którego poznał rano, Harper.

Kirył nie wykonał żadnych gwałtownych ruchów. Palił dalej sziszę i śmiał się z nowego dowcipu. Przyglądając się bez wyraźnego przyglądania się, zobaczył, jak Harper gwałtownie skręca i znika za zakrętem. Wszystko było w porządku. Nie miało znaczenia to, że człowiek zniknął, pod warunkiem że wiedziałeś, gdzie będzie, co w tym przypadku oznaczało bycie tak blisko Kiryła, jak to było możliwe. Kirył ociągał się więc przez kolejne dziesięć minut, po czym wstał, przeprosił towarzystwo i udał się do małego supermarketu, by uzupełnić zapasy, głównie butelki i papierosy.

Gdy Webb skończył mówić, Taverner przez chwilę zagryzała dolną wargę, zanim uświadomiła sobie ten odruch.

– Dlaczego The Needle? – spytała. – Pracujemy w wywiadzie, nie dotarło to do ciebie? Nie byłbyś bardziej na świeczniku, gdybyś zorganizował to spotkanie przy The Mall.

– On nie jest jakąś szumowiną, którą próbuję przeciągnąć na naszą stronę. Jeśli ktoś zauważy Paszkina w klubie ze striptizem, wywoła to poruszenie. A jeśli ktoś

zobaczy, jak idzie do najnowszego drapacza londyńskich chmur, nikt się nie zdziwi. To jego naturalne terytorium.

Nie mogła zaprzeczyć logice tego myślenia.

– I nikt więcej nie może o tym wiedzieć. Nie może znać prawdziwej wersji.

– Tylko ty i ja.

– I powiedziałaś mi o tym tylko dlatego, że wzięłam cię na dywanik.

Potakiwał w rytm jej słów.

– Ze względu na tę...

– Możliwość wiarygodnego zaprzeczenia. Tak powiedziałaś. – Taverner popatrzyła na swojego podwładnego świdrującym wzrokiem. – Czasami obawiam się, że przechodzisz na stronę wroga – rzekła.

– MI6? – Sprawiał wrażenie zszokowanego.

– Chodziło mi o Tearney.

– Diano, nigdy by do tego nie doszło – skłamał.

– I powiedziałaś mi o wszystkim.

– Tak – skłamał.

– Chcę, żebyś mnie informował na bieżąco. O każdym, nawet najmniejszym, szczególe. Dobrym i złym.

– Oczywiście – skłamał.

Gdy wyszedł, Taverner napisała e-maila do Weryfikacji z prośbą o przygotowanie CV Arkadego Paszkina, po czym skasowała go bez wysyłania. Ostatnie, czego pragnęła, to przykuć uwagę, a gdy audyt pieprzonego Rogera Barrowby'ego szedł pełną parą, trzeba było złożyć w trzech egzemplarzach opis powodów swojego zainteresowania. Oparła się więc na metodzie stosowanej przed pierwszą randką: zgooglewała gościa i znalazła znacznie mniej niż tysiąc wyników: jak na takiego gracza za bardzo się nie wychylał. Pierwszy był artykuł sprzed roku w „Telegraphie” opisujący jego osiągnięcia. Tekst ilustrowało zdjęcie, które ukazywało Paszkina jako mniej łagodną wersję Toma Contiego, i było to połączenie, które kręciło Taverner na wielu poziomach. Rolety były nadal zaciągnięte, więc pozwoliła sobie na chwilę zadumy: przelecieć go, poślubić czy zepchnąć z klifu?

Cholera, gość był miliarderem. Wszystko. W tej kolejności.

Było późno. Wylogowała się i siedziała zamyślona. Zawsze istniała możliwość, że Webb wróci z towarem i choć szanse, że Paszkin zostanie dłużnikiem Piątki, a zarazem zasiądzie na Wielkim Tronie w Kremlu, były praktycznie zerowe, tak działało się w tej pracy. Trzeba było stawiać na ludzi z zewnątrz, bo ci wewnątrz byli już kupieni. Choć nie wiadomo przez kogo.

Do licha, pomyślała. Trzeba dać mu zielone światło. Jeśli akcja nie wypali, rozszarpie go na strzępy, a później rzuci mewom na pożarcie. Megalomania, tak by to nazwała. Tyle dało zwrócenie na siebie uwagi prasy.

I nie myśl, że Ingrid Tearney nie zrozumiałaby powagi sytuacji.

Przed wyjściem podciągnęła rolety, tak by osoby siedzące w centrum mogły podziwiać jej puste biuro. Nie mam nic do ukrycia, pomyślała. Nic do ukrycia.

Absolutnie nic do ukrycia.

Czasami wszystko się układało.

Min Harper nie bił rekordów prędkości, gdy pojechał rowerem na zachód; to miał być rekonesans, nic więcej, żeby trochę poznać okolicę. Ulica za Marble Arch była zakorkowana, więc zwolnił, szukając miejsca, gdzie mógłby przypiąć rower, i wtedy właśnie go zobaczył – Kiryła, tego, który udawał, że nie mówi po angielsku. Siedział przed restauracją, pod jednym z tych plastikowych zadaszeń, zaciągał się dymem z sziszy i żartował z lokalsami, jakby robił to przez całe życie. I w ten oto sposób wszystko się ułożyło.

Min zeskoczył z roweru, skręcił i przypiął go do latarni, po czym wcisnął swoją odbłaskową kamizelkę do sakwy. Wrócił na główną ulicę, gdzie od Kiryła odgradzała go ściana ruchu ulicznego, i wszedł do kiosku, w którym regał z czasopismami zasłaniał okno frontowe. Przeglądał zawartość półki z uwagą aż do chwili, gdy Kirył wstał, opowiedział kumplom ostatni dowcip, po czym spokojnym krokiem podszedł do sklepika przy następnym skrzyżowaniu. Gdy tylko wszedł do środka, Min przeszedł przez ulicę i schronił się w wejściu, przyglądając się przypiętym tam karteczkom: „Osoba do sprzątnięcia poszukiwana”, „Ciężarówka z kierowcą”, „Lekcje angielskiego”. Udawał, że zapisuje numery telefonów. Gdy Kirył znów się pojawił, w obu rękach miał siatki z zakupami. Min odczekał, aż Rosjanin oddali się na odległość przynajmniej stu metrów, po czym ruszył za nim, torując sobie drogę przez tłumy tłoczące się na chodnikach. Potężna postać była łatwym celem. Min był w stanie wyczuć w swoim oddechu zapach piwa. W zasadzie czuł też coraz większy napór w pęcherzu. Jednak najmocniej odczuwał ekscytację związaną z pościgiem – z łatwością mógłby zatrzymać jedną z tych osób, na przykład tę zbliżającą się blondynkę, i powiedzieć: „Jestem agentem. Widzisz tego gościa? Śledzę go”. Jednak blondynka minęła go, nawet na niego nie spojrzawszy, a Kirył zniknął.

Min zamrugał i powstrzymał się od ruszenia pędem. Spokojny, normalny krok, taki jak wcześniej. Kirył z pewnością wstąpił do kolejnego sklepu albo do baru; może z przodu była ukryta boczna uliczka. Istniało zagrożenie, że Min znajdzie się przed Kiryłem. Nie, prawdziwym zagrożeniem było to, że mógł go zgubić...

Jednak zagrożenie nie istniało. To właśnie musiał zapamiętać. Zagrożenia nie było, bo nikt nie wiedział, gdzie jest Min ani co robi. Tylko Min miałby tego świadomość, gdy wsiadałby na rower i ukradkiem pojechał przez miasto do Louisy; tylko Min wiedziałby, że zawałił obserwację, i to taką, której dałby radę bez wysiłku nawet nowicjusz.

Czasami nic się nie układało.

Tylko że nie dziś, bo oto znów się pojawił, ten piękny zwalisty Rosjanin; wyszedł z wnęki, w której zatrzymał się, by przyjrzeć się menu... Min uświadomił sobie, jak bardzo waliło mu serce, dopiero teraz, gdy jego bicie wróciło do normalnego tempa.

Utrzymując nadal dystans stu metrów, podążał za Rosjaninem wzdłuż Edgware Road.

Jackson Lamb był w swoim gabinecie, gdzie jedyne źródło światła znajdowało się na wysokości kolan, lampa umieszczona na stosie książek telefonicznych. Wystarczająca ilość światła unosiła się w górę, by rzucać brzydkie cienie na jego twarz i jeszcze

większe na suficie. Na biurku, obok jego stóp, stała butelka taliskera, a Lamb trzymał w ręce szklankę. Brodę opierał o klatkę piersiową, ale nie spał. Sprawiał wrażenie, jakby przyglądał się swojej tablicy korkowej, do której przypięty był kolaż starych kuponówniżkowych, ale być może patrzył dalej: w głąb długiego tunelu zapamiętanych sekretów, choć gdyby go zapytano, twierdziłby, że zastanawia się, czyja teraz kolej, by przynieść mu papierosy. Tezę tę z góry potwierdził, gasząc przed chwilą ostatnią fajkę z paczki.

Sprawiał wrażenie, jakby był niczego nieświadomy, ale nawet nie mrugnął, gdy Catherine Standish, po tym jak stała w wejściu przez prawie minutę, odezwała się:

– Za dużo wypięś.

W odpowiedzi uniósł szklankę i przyjrzał się jej zawartości, po czym opróżnił ją jednym haustem.

– Wiesz o tym z własnego doświadczenia – powiedział.

– Tak. O tym mówię. – Weszła do gabinetu. – Urywa ci się już film?

– Nie przypominam sobie.

– Skoro jesteś w stanie żartować na ten temat, to chyba jeszcze nie zacząłeś się moczyć. Czeka cię niespodzianka.

– Wiesz, co jest fajnego w nawróconych pijaczkach? – zapytał Lamb.

– Oświeć mnie, proszę.

– Nie, zadaję pytanie. Czy jest coś fajnego w nawróconych pijaczkach? Bo z mojego punktu widzenia są tylko wrzodami na dupie.

– Wiesz, to byłaby nadal prawda, gdybyś usunął słowo „nawrócone”.

Lamb przeszył ją wzrokiem, po czym zamyślony pokiwał głową, z rezygnacją, jakby w subtelny sposób doceniał jej mądrość. Po czym puścił bąka.

– Lepiej, gdy jest na zewnątrz niż w środku – skomentował. – Wiesz, to byłoby prawdą, gdyby dotyczyło też ciebie.

Ostatecznie udowadniając, że nie rozumie aluzji, Catherine nie wyszła.

– Trochę pogrzebałam – oznajmiła.

– Boże.

– I wiesz co? – Położyła dwa pudełka na podłogę i usiadła na krześle, na którym wcześniej spoczywały. – Tego wieczoru, gdy zmarł Dickie Bow, ten burdel na kolei...

– Zaskocz mnie.

– Ktoś grzebał w skrzynce z bezpiecznikami przy Swindon. Uszkodzenie sieci było celowe. Nie wydaje ci się, że to podejrzane?

– Sądzę, że świadczy to o braku wiary w First Great Western – powiedział Lamb. – Pomysł, że musisz uciekać się do sabotażu, by wywołać chaos, jest niedorzeczny.

– Zabawne. Co zamierzasz zrobić, Lamb?

– To za wysokie progi dla ciebie. Powiedzmy, że znalazłem luźną nitkę i za nią pociągnąłem. – Spojrzał na zegarek. – Nadal tu jesteś?

– Tak – odparła. – I wiesz co? Nigdzie się nie wybieram. Chwilę mi zajęło, zanim zrozumiałam, ale oto jestem. Nie mam pojęcia, dlaczego chciałeś, żebym znalazła się w Slough House, ale tego chciałeś. I nie zamierzasz się mnie pozbywać, prawda?

Nie wiem dlaczego, ale wiem, że tak jest. Czujesz się winny. Nie lubię cię i pewnie nigdy nie polubię, ale pod całą tą twoją głupią pijacką ordynarnością jest dług, który spłacasz, co daje mi przewagę. Oznacza to, że nie możesz kazać mi się zamknąć.

– To było urocze – stwierdził Lamb. – Gdybyśmy grali w filmie, rozpuściłabyś teraz włosy, a ja powiedziałbym: „Och, panno Standish, jaka pani piękna”.

– Nie, gdybyśmy grali w filmie, wbiłabym ci kołek w serce, a ty zniknąłbyś w chmurze pyłu. Lamb, Dickie Bow. Był nikim.

– No. Pasowałby tu idealnie.

– Był też pijakiem.

– Dalsze komentarze byłyby nietaktowne.

– Wyciągnęłam jego teczkę. – Zignorowała jego słowa. – On...

– Co zrobiłaś?

– Kazałam Ho wyciągnąć jego teczkę.

– Mam nadzieję, że nie przekupiłaś tego dzieciaka. Mamy już jednego oszusta w biurze.

– Kogo?

– Lady Di mówi, że jeden z naszych żółtodziobów jest jej wtyczką. Dowiesz się kto, dobrze?

– Mam to na liście zadań. Ale tymczasem: Bow. Wiesz, że przez ostatnie trzy lata pracował na nocnej zmianie w księgarni przy Brewer Street.

– Wątpię, żeby byli w stanie się utrzymać ze sprzedaży książek.

– Nie, on pracował na dole, sprzedawał gazetki porno i gadzety erotyczne.

Lamb wyciągnął ręce w geście przebaczenia.

– Doprawdy, komu się nie zdarzyło od czasu do czasu przeglądać świerszczyka z dildo w dłoni?

– To fascynujący obrazek z twojego życia prywatnego. Nie zmieniamy jednak tematu. Gdy Bow był ostatnim razem w grze, Jamesa Bonda grał Roger Moore. Naprawdę sądzisz, że znalazł szpiega z Moskwy i śledził go przez pół kraju?

– Zmarł – rzekł Lamb.

– Wiem, że zmarł.

– To właśnie dlatego sądzę, że znalazł szpiega z Moskwy i śledził go przez pół kraju.

– Nie. Śmierć nie jest dowodem na to, że znalazł szpiega z Moskwy i śledził go przez pół kraju. Jest dowodem tylko na to, że zmarł. A jeśli szpieg z Moskwy go zabił, nie znaczy to, że ty znalazłeś nitkę i za nią pociągnąłeś. Znaczy to, że nitkę spuszczone, a ty ją chwyciłeś.

Lamb nic nie powiedział.

– Zrobiłeś dokładnie to, co chcieli, żebyś zrobił.

Lamb nic nie powiedział.

– Ucichłeś. Skończyły ci się zabawne docinki?

Lamb zacisnął usta. Wyglądał, jakby miał zaraz drwiąco parsknąć, co robił już nieraz. Jednak zamiast tego przestał zaciskać usta, zassał powietrze przez zęby, po czym oparł się wygodnie i przeczesał włosy palcami.

– Niewykrywalna trucizna – powiedział do sufitu. – Wiadomość z za grobu. Daj, kurwa, spokój.

– Co? – Teraz to Catherine była zaniepokojona.

Gdy Lamb na nią spojrzał, jego spojrzenie było wyraźniejsze, niż powinno, zważywszy na ilość alkoholu w butelce.

– Naprawdę myślisz, że jestem głupi?

Na górze było mieszkanie. Na ostatnim piętrze chlewu obrośniętego wilgocią i grzybem, w którym zamalowane szyby uwięziły powietrze na dziesiątki lat, zmieniając je w muzeum zapachu biedy i desperacji, które Kirył dobrze znał. Większość łóżek była dzielona: mężczyźni wracali do domu, gdy inni wychodzili na nocną zmianę. Komunikacja ograniczała się do skinienia głowy. Nikt nie interesował się sprawami innych.

To właśnie podobało się tym na górze, ale Kirył był duszą towarzystwa. Było to jego zaletą. Do tego stopnia, że można było tę cechę postrzegać również jako wadę, i właśnie dlatego Piotr zdecydował, że Kirył dziś rano nie mógł mówić po angielsku.

„W czym problem? Są ze służb cywilnych?”

„To agenci” – odparł Piotr. „Służby cywilne? To szpiedzy. Naprawdę wierzysz w te kity o Ministerstwie Energetyki?”

Kirył wzruszył ramionami. Tak, wierzył w te kity o Ministerstwie Energetyki. Prawdopodobnie niedobrze się do tego przyznawać.

„Więc ja będę mówił” – powiedział Piotr.

I miał rację, bo gdyby ten gość był z Ministerstwa Energetyki, to jakim cudem śledziłby teraz Kirył? Choć jeśli był agentem, to dlaczego robił to tak beznadziejnie?

Oczywiście istniała możliwość, że istnieli też inni, których Kirył nie zauważył, ale domyślił się, że Harper jest sam, co mu odpowiadało. Harper nie będzie stanowił problemu. Kirył mógł złamać go na pół jedną ręką i rozrzucić jego części w przeciwnych kierunkach.

Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnął. Przemoc nie sprawiała mu przyjemności, miał więc nadzieję, że nie będzie konieczna.

Ale gdyby była, da sobie radę.

Shirley Dander otworzyła oczy. Pęknięcie biegnące z kąta jej sufitu miało kształt kontynentu, nieznanego zwierzęcia, ledwo zapamiętanych urodzin. Przez wiele sekund unosiła się w tej innej rzeczywistości, po czym obudziła się i na powrót na jej ścianie było tylko pęknięcie.

Jej czaszka pulsowała czymś rytmem. Ktokolwiek ten rytm wybijał, skradł światło dzienne.

Zaryzykowała poruszenie ciałem i odwróciła głowę w stronę okna. Nie było ciemno, ale tylko dlatego, że za oknem żyło miasto, oblewające wszystko elektrycznym blaskiem. Tak więc światło sączące się przez ciekłą wyblakłą zasłonkę było żółte i sztuczne – pochodziło z pobliskiej latarni.

Zamrugnął do niej budzik stojący przy łóżku. Dziewięć czterdzieści dwa. Dziewięć czterdzieści dwa? Jezu.

W Slough House Shirley, po tym jak zdała raport Jacksonowi Lambowi, miała zjazd po kokainie. Nie było to dla niej obce doświadczenie, na ogół się do niego przygotowywała za pomocą kołdry, porcji ciasta czekoladowego i DVD z serialem *Przyjaciele*. Gdy zanosi się na twarde lądowanie, biuro, które dzielisz ze wścibskim kolegą, nie jest za dobrym na to miejscem.

– Dzień dobry, czyż nie?

Marcus Longridge nigdy by nie uwierzył, jak wielkim wysiłkiem było dla niej chrząknięcie, którym mu odpowiedziała. Ale on się nie poddawał.

– Podobała ci się wycieczka?

– Wieś. – Tym razem zdołała wzruszyć ramionami. – Nie budzi we mnie wielkiego entuzjazmu.

– Jesteś dziewczyną, która bardziej lubi plaże?

– Nie jestem dziewczyną.

Przed nią ponownie pojawiła się niewidzialna ściana. Krótki kontakt ze światem zewnętrznym i znów rozpoznawała twarze, jakby próbowała grać w wojnę, nie mając w talii pasujących do siebie par kart. Powiedziała Lambowi, że nie spała całą noc; że zamiast tego namierzała pana B, ale w odpowiedzi tylko na nią warknęła.

– Nie możesz się w takim razie doczekać powrotu do domu, co? – zapytał.

Markus nadal się jej przyglądał.

– Muszę coś zjeść – powiedział. – Chcesz coś?

Ciemny pokój, cisza, łóżko, tymczasowo nieobecne życie.

– Shirley?

– Może twixa.

– Zaraz wracam.

Gdy zniknął, Shirley podeszła do okna. Po chwili Marcus pojawił się na ulicy. Instynktownie cofnęła się, ale on nie popatrzył w górę; tylko przeszedł przez ulicę i udał się w kierunku ciągu sklepów. Idąc, trzymał przy uchu komórkę.

Naturalną kolejną rzeczą było pojawienie się paranoi. Każdy kac, jakiego kiedykolwiek miała – po piwie, tequili, kokainie, seksie – sprawiał, że stawała się podejrzliwa, że czuła się zaszczuta. Ale nawet mając tego świadomość, wiedziała, że jest tematem rozmowy.

Wróciła myślami do tu i teraz i cicho jęknęła. To w żaden sposób nie zmieniało jakości świata, pulsowania w jej czaszce ani czarnej otchłani, która otwierała się przy każdym zamknięciu oczu.

Na jej zegarku mrugała dziewiąta czterdzieści pięć. Shirley mogła zostać w tym miejscu przez następne dziesięć godzin i może to by jej pomogło.

Być może...

Dała sobie pięć minut, po czym wstała, ubrała się i wyszła w noc.

Kirył znów zniknął. Gdy Min skręcił i zorientował się, że tak się stało, przeklął pod nosem i znów poczuł posmak piwa. Ale mimo wszystko... To przecież nie koniec świata. Sytuacja sugerowała, że cel dotarł do punktu docelowego.

Noclegownia była pierwszym miejscem, jakie mu przyszło do głowy, gdy usłyszał, że taksówka zakończyła kurs na Edgware Road. Nie mylił się. Tutejsze



budynki były wysokie i okazałe, dni ich chwały jednak dawno minęły, a ich odnawianie jeszcze się nie rozpoczęło: rzędy guzików przy telefonie wskazywały na to, że mieszka tu wiele osób, a koce i gazety, którymi pozaklejano szyby, zdradzały niskie zarobki lokatorów.

Ty i ja, my dwoje, kolego, pomyślał Min. Wtedy dłoń twarda jak skała chwyciła go za ramię, a coś zimnego, tępego i stalowego przycisnęło do jego szyi.

– Wydaje mi się, że mnie śledzisz, tak?

– Ja... co? O czym ty mówisz... – wydusił Min.

– Panie Harper, wydaje mi się, że mnie śledzisz. Tak? – Stalowy przedmiot został przycisnięty mocniej.

– I czego się teraz dowiesz? – zapytał Kirił – Teraz dowiesz się, co się dzieje ze zbyt wścibskimi pracownikami Ministerstwa Energetyki, rozumiesz, o czym mówię?

Lamb otworzył szufladę i wyjął z niej drugą szklanę, wyszczerbioną i zakurzoną, do której nalał dokładnie odmierzoną ilość taliskera, i umieścił ją w zasięgu Catherine. Następnie ponownie napełnił własną szklanę, odmierzając nieco mniej dokładnie.

– Stuk, stuk – zagał.

Catherine nie odpowiedziała. Ani nie spojrzała na swoją szklanę.

– Skrzynka z bezpiecznikami w Swindon została uszkodzona celowo, owszem. Naprawdę sądzisz, że będę przedzierał się przez administrację hrabstw, nie upewniwszy się, że to konieczne? Pociągi zostały zatrzymane mniej więcej w tym samym czasie, gdy nasz przyjaciel pan B wytyczał szlak dla Dickiego Bowa.

– Dlaczego?

– Bo nie wytyczasz szlaku na porządnie wybrukowanym chodniku. Chcesz, żeby myśliwy się natrudził.

– Chciał, żeby Bow go śledził.

Lamb odłożył szklanę, by nagrodzić ją niespiesznymi brawami.

– I chciał, żebyś ty zrobił to samo – dodała. – Znalazłeś coś przy jego ciele, prawda?

– W autobusie. Jego telefon. Z niewysłaną wiadomością.

– Zapisaną w chwili śmierci? – Uniosła brew.

– Raczej zapisaną przez pana B. Gdy zorientowano się, że Dickie nie żyje, zrobiło się zamieszanie. Pan B był jego elementem, gdy wpisywał wiadomość i wciskał telefon między poduszki.

– Jak brzmiała wiadomość?

– Jedno słowo – powiedział Lamb. – „Cykady”.

– Które ewidentnie coś oznacza.

– Dla mnie owszem. Ale nie powinno nic znaczyć dla Bowa. Kolejny punkt świadczący o tym, że to fałszywka.

– A ta niewykrywalna trucizna?

– Tania jak barszcz. Większość niewykrywalnych trucizn da się wykryć, jednak musisz to odkryć, zanim znikną ich ślady. Nikomu niepotrzebny pijak ma zawał serca i większość sekcji wykryje jedynie zawał serca. – Wykonał dłonią gest magika. – Puff! Koniec. Gdzieś jednak musi być ślad po ukłuciu. W takim miejscu, żeby było łatwo

kogoś dziabnąć w tłumie.

– To raczej nie jest bezawaryjny plan, czyż nie? – spytała Catherine. – Jakie były szanse, że zaczniesz szukać telefonu Bowa w siedzeniach?

– Ktoś by to zrobił. Nie zabijasz agenta, nawet takiego niepotrzebnego przegrywa jak Bow, nie wzbudzając podejrzeń. Przynajmniej kiedyś tak było. Wygląda na to, że w Regent's Park mają teraz ciekawsze rzeczy do zrobienia. – Sięgnął po swoją szklankę. – Ktoś powinien dać im znać. Nie zostawiasz swoich trupów przy basenie.

– Roześlę informację.

– Poza tym, gdybym nie odnalazł tej wskazówki, pojawiłaby się inna. Aż do pana B opierniczającego taksówkarza za zawiezenie go pod zły adres. Tego nie da się szybko zapomnieć, prawda? – Lamb wydał wargę. – Ten taksówkarz jest fałszywym tropem. Pewnie był na telefonie, gdy tylko Shirley się z nim pożegnała.

– A to oznacza, że pan B wie, że za nim podążamy.

– Jak dobre, grzeczne psy tropiące.

– Czy to rozsądne?

– A co rozsądek ma z tym wspólnego? Albo za nim idziemy, albo o tym zapominamy. A to żadne wyjście, bo ktokolwiek za tym stoi, należy do starej szkoły. Tylko taki szpieg wiedziałby, że wyjadacz jak Bow w ogóle połknie przynętę. Ktokolwiek pociąga za sznurki, gra według zasad Moskwy. W Regent's Park mogą być zbyt zajęci, by uznać, że warto za tym pójść, ale ja nie jestem.

– Czy ty wypowiesz jego nazwisko, czy ja mam to zrobić?

– To znaczy?

– Aleksander Popow – wypowiedziała Catherine Standish.

Pokój był mały, okno otwarte. Było w nim zimno, jednak kropla potu i tak wypłynęła spomiędzy włosów Mina i potoczyła się wzdłuż jego karku. Dwaj mężczyźni ani na sekundę nie przestawali patrzeć mu w oczy. Istniała możliwość, że był szybszy niż ci dwaj, jednak gdzieś w głębi wiedział, że szanse na to były bliskie zeru: z jednym z nich, obojętnie którym, być może miałby szansę, jednak jako para stanowili jednego dużego onieśmielającego przeciwnika. Kiedyś być może miał refleks, by próbować. Ale z każdą chwilą robił się coraz starszy i wypił wcześniej alkohol, i...

Pięść uderzyła w stół.

Trzy kieliszki...

Min był szybki, ale to nie wystarczyło. Być może w każdym innym miejscu w Londynie by sobie poradził, ale tu i teraz, w tym pomieszczeniu, był załatwiony.

Wylał większość trzeciego. Piotr i Kirył siedzieli już wygodnie, zarykiwali się, a puste kieliszki ustawione były w rzędzie.

– Przegrałeś – oznajmił Kirył, gdy był już w stanie wykrztusić słowo.

– Przegrałem – przyznał Min.

Trzy kieliszki wódki były dodatkiem do dwóch z poprzedniej kolejki i jednego z jeszcze poprzedniej. Plus strzały karne za dwie przegrane. Plus piwa, które wypił w pubie w pobliżu pracy, choć drobniejsze szczegóły, takie jak na przykład nazwa pubu czy miejsce pracy, stały się dość mgliste. Ale ci goście, pomyślał, ci goście. Ci goście byli trochę szaleni, ale zaskakujące było, jak szybko przełamano bariery,

gdy wyszło się poza opis stanowisk pracy. Jak w jego przypadku, gdzie do obowiązków należało pilnowanie tych gości tak, by nie było wiadomo, że to robił.

Być może ta konkretna część jego misji mu się nie udała.

– No to powiedz mi – zaczął Kirył. – Gdy zrobiłem to coś z kluczem. Gdy...

– Przycisnąłeś mi go do karku, ty draniu!

– Myślałeś, że to broń, tak? – zaśmiał się Kirył.

– Oczywiście, że myślałem, że to broń! Ty draniu!

Teraz wszyscy trzej się śmiali. To była niezła scenka, z całą pewnością: Min, przekonany, że nadeszły jego ostatnie chwile. Że rosyjski szpieg przyciska mu do karku pistolet i za chwilę pociągnie za spust. Kirył przestał się śmiać na tyle długo, by zdążyć powiedzieć:

– Nie mogłem się oprzeć.

– Od którego momentu byłeś świadomy mojej obecności?

– Przez cały czas. Widziałem, jak jechałeś rowerem.

– Jezu. – Min pokręcił głową.

Ale nie czuł się najgorzej. Jasne, zawalił sprawę, jednak nie miało to poważnych konsekwencji. Choć był raczej pewien, że najlepiej będzie, jeśli nikt się o tym nie dowie. A zwłaszcza Lamb, pomyślał. I Louisa. I cała reszta. Ale zwłaszcza oni.

– Nie rób sobie wyrzutów – powiedział Piotr. – Zajmujemy się bezpieczeństwem. Jesteśmy wyszkoleni w zakresie rozpoznawania twarzy w tłumie.

– Tak samo jak ty jesteś wyszkolony w robieniu tego, co robicie w... Ministerstwie Energetyki – dodał Kirył. W miejscu niewidzialnego cudzysłowu pojawił się szeroki uśmiech.

– Słuchaj... – zaczął Min, ale Piotr machnął dłonią, jakby żegnał go przed podróżą.

– Hej, hej. Arkady Paszkin to ważna postać. Myślisz, że nie wiemy, że... wzbudza zainteresowanie? Zainteresowanie rządu. Martwilibyśmy się, gdyby było inaczej. Oznaczałoby to, że nie jest już ważny. A ludzie, którzy nie są ważni, nie potrzebują takich ludzi jak my.

– Gdyby moi szefowie dowiedzieli się, że tu jestem...

– Chcesz powiedzieć – odpowiedział przebiegle Kirył – gdyby dowiedzieli się, że spieprzyłeś zadanie wyśledzenia nas.

– Cóż, całkiem sprawnie odnalazłem waszą norę – powiedział Min.

– A teraz dowiadujesz się, co dzieje się ze zbyt ciekawskimi ludźmi z Ministerstwa Energetyki.

Znów ryknęli śmiechem. Piotr napełnił kieliszki.

– Za sukcesy.

Min z radością wzniosł za to toast.

– *Prawda* – powiedział, bo było to jedyne rosyjskie słowo, jakie znał.

Wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem i trzeba było rozlać następną kolejkę.

Znajdowali się na ostatnim piętrze, które było samodzielny mieszkanie. Siedzieli w kuchni, poza nią były jeszcze przynajmniej dwa pokoje. Kuchnia okazała się czysta, choć okno było upačkane normalnym miejskim syfem. Lodówka pełna, i to

nie tylko wódką. Były w niej kartony soku i warzywa, plus małe pakunki z delikatesów. Ci dwaj byli przyzwyczajeni do mieszkania z dala od domu, podejrzewał Min, i wiedzieli, jak sobie poradzić w obcym mieście bez konieczności zamawiania jedzenia na wynos. Podejrzewał też, że jeśli wypije jeszcze trochę, zapomni, gdzie mieszka, nie wspominając już o tym, że nie będzie w stanie dojechać rowerem do domu. Ostatnie, czego pragnął, to śmierć pod kołami autobusu.

Dobiegł go hałas, drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły; ktoś nowy wszedł do pomieszczenia. Min odwrócił się, ale kimkolwiek był ten człowiek, zniknął już w korytarzu.

– Momencik – powiedział Piotr i wyszedł z kuchni.

Kirył dołał wódki.

– Kto to był? – spytał Min.

– Nikt. Kolega.

– Dlaczego do nas nie dołączy?

– To nie taki kolega.

– Niepijący – domyślił się Min. Jego kieliszek stał przed nim i kłuł go w oczy. Co przed chwilą postanowił w kwestii alkoholu? Jednak pozostawienie pełnego kieliszka byłoby niegrzeczne, więc powtórzył jak echo toast, który wzniósł Kirył, i wlał sobie wódkę do gardła.

Piotr wrócił i powiedział Kiryłowi coś, co dla Mina brzmiało jak zleпка spólgłosek.

– Co tam? – zapytał.

– Nic – odparł Kirył. – Absolutnie nic.

Wróciła paranoja, o ile kiedykolwiek w ogóle zniknęła. Shirley Dander, cała ubrana na czarno, pasowała do ulic Hoxton jak zatyczka do wanny, jednak mimo to czuła się nie na miejscu, jakby po każdym jej kroku pozostawał neonowy ślad.

Trudno to nazwać nocą, tak naprawdę. Wpół do jedenastej.

Miała pub, który szczególnie lubiła, głównie dlatego, że miała tam swojego człowieka. Nie lubiła nazywać go „dilerem”: diler sugerował nawyk; nawyk sugerował problem; a Shirley nie miała problemu – taki miała styl życia. Nie zamierzała pozwolić, by umarła w taki sposób, w jaki umarła jej kariera. Slough House był cmentarzem, nigdy w to nie wątpiła; ale to, że kopce ziemi usypano tak wysoko, odkryła dopiero teraz. Zrobiła, co kazał Jackson Lamb – i zrobiła to dobrze, bez mrugnięcia okiem – a w zamian usłyszała jedynie, że ma wracać do swojego biurka. A bazując na tym, co słyszała, to i tak cud, że wysłano ją w teren. Kulawe konie pojawiały się i znikaly, a czas między jednym a drugim spędzały uwiązane w boksach w stajni. Miała wrażenie, że jej misja była przejawem przemyślanego okrucieństwa: pokazać jej promienie słońca, po czym zatrzaskać drzwi stajni.

Pieprzyć Lamba. Jeśli chciał jej uprzykrzyć życie, dowie się, że ten kij ma dwa końce.

W pubie była ogromna kolejka do baru. Nie miało to żadnego znaczenia. I tak nie zamierzała tu zostać. Ktoś znajomy pomachał do niej na powitanie, ale Shirley udała, że jest pogrążona w myślach, i utorowała sobie drogę do toalety, która położona była

po drugiej stronie: obskurny korytarz z usmarowanym lustrem, przyklejone do ścian ulotki reklamujące otwarte wieczorki poetyckie, koncerty lokalnych zespołów, wiece Stop the City, transpłciowe kabarety. Nie musiała długo czekać. Jej człowiek oddalił się ukradkiem z baru i siedemnaście słów później Shirley wyszła z baru, lżejsza o trzy banknoty, z przyjemnym ciężarem ulokowanym w kieszeni.

Czarny żakiet. Czarne dzinsy. Powinna być niewidzialna, ale czuła się naznaczona. Wspomnienia poprzedniej nocy błyskały z szyb samochodów: dzieciak, którego nastraszyła; włamanie się do DataLok. Terroryzm był tak łatwy. Wystarczyło tylko uwierzyć, że robisz to z właściwego powodu; a jeśli to nie wchodziło w grę, należało po prostu nie dbać o ludzi, którym to robisz... Gdy Shirley się odwróciła, była przekonana, że ktoś za nią podąża; ktoś z pubu, jeden z tych, którzy podpierają ściany, którzy zawsze się gapią, ale nigdy nie odważą się podejść. Cóż, walić ich. Shirley jest już zajęta; a poza tym nie miała zwyczaju tańczyć tam, gdzie robiła zakupy. O tym myślała, gdy obejrzała się za siebie, jednak ulica była pusta albo taka się wydawała. Paranoja, nic więcej. Przyjemny ciężar z jej kieszeni zajmie się tym problemem.

Ubrana na czarno Shirley szła przed siebie.

– Aleksander Popow – powiedziała Catherine Standish.

Lamb popatrzył na nią z troską.

– No proszę. Gdzie trafiłaś na to nazwisko? – zapytał. Pozwoliła, by się zastanawiał. – Czasem martwię się, że przechodzisz na stronę wroga.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Do Regent's Park?

– Miałem na myśli Centralę Łączności Rządowej. Standish, założyłaś mi podsłuch?

– Wysyłasz Rivera w teren... – zaczęła.

– Boże, mogłem się domyślić – westchnął Lamb.

– ...z misją, o której wiesz już, że jest pułapką?

– Powiedziałem mu zaledwie kilka godzin temu. Zdążył już zmienić status na Facebooku?

– Mówię poważnie.

– Ja również. Czyli dziadek nie nauczył go niczego poza opowiadaniem anegdot? – Uniósł szklanekę, żeby się napić, ale jego wzrok utkwiony był w drinku, którego nalał Catherine. Napełniona szklanka była jak wyzwanie albo starannie sformułowana zniewaga. – Poza tym pułapka czy nie pułapka, to dla niego nieistotne. Operacja to operacja. Pewnie myśli, że oto wszystkie jego święta zdarzyły się jednocześnie.

– Na pewno tak myśli. Ale wiesz, jak to jest ze świętami. Wszystkie kończą się płaczem.

– Standish, on jedzie do Cotswolds. Nie do prowincji Helmand.

– Charles Partner miał takie powiedzenie na temat operacji. Im bardziej przyjazna okolica, tym straszniejsi jej mieszkańcy.

– Czy mówił to przed tym, jak rozwalił sobie głowę, czy po?

Catherine nie odpowiedziała.

– Wszyscy chyba zapomnieli – powiedział Lamb – że nawet jeśli Aleksander Popow nigdy nie istniał, ten, kto go wymyślił, już owszem. A jeśli ten sam mądrała zakłada teraz pułapkę na myszy na naszym podwórku, musimy się dowiedzieć, dlaczego to robi. – Beknął. – Jeśli to oznacza, że Cartwright zostanie wybrany na naszego degustatora sera, niech tak będzie. Jest wyszkolonym specjalistą, pamiętaj o tym. Zawalanie zadań to tylko jego hobby.

– Jest twoim białym wielorybem, prawda? Popow?

– Co to znaczy?

– Coś, co kiedyś powiedział Charles. Że niebezpiecznie jest nadawać wrogowi ludzkie cechy. Bo gdy to zrobisz, zaczynasz szukać białego wieloryba. – Catherine zamilkła. – To nawiązanie do *Moby Dicka*. Chyba działa lepiej, gdy nie trzeba go objaśniać. River nie wie, że ma złapać przynętę, prawda?

– Nie – odpowiedział Lamb. – I się nie dowie. W przeciwnym razie twoja pewność dotycząca faktu, że twoja rola tutaj jest niezagrażona, może okazać się nieuzasadniona.

– Nie powiem mu – potwierdziła.

– Dobrze. Masz zamiar to wypić?

Catherine przelała zawartość swojej szklanki do szklanki Lamba.

– Chyba że uznam, że jest w niebezpieczeństwie – ciągnęła. – W końcu to twój wieloryb. Nie ma powodów, by ktoś inny zginął, próbując wbić w niego harpun.

– Nikt nie zginie – powiedział Lamb. Nie miał racji, jak się okazało.

Zadzwoił telefon.

Ponieważ przy ciele znaleziono legitymację wywiadu, rozpały się czerwone lampki. Co oznaczało, że przybyli policjanci zostali oddelegowani do kierowania ruchem, a Nick Duffy – głównodowodzący pies Regent's Park – przejął dowodzenie, a jego szczeniaki mierzyły kąty i spisywały zeznania świadków.

Zresztą większość świadków znalazła się na miejscu po fakcie – z wyjątkiem kierowcy samochodu, rzecz jasna. Kierowca samochodu pojawił się dokładnie w tym momencie, gdy doszło do zdarzenia.

– Pojawił się znikąd – powtórzyła.

Miała blond włosy i sprawiała wrażenie trzeźwej, co potwierdziło badanie alkometrem pożyczonym od zawiedzionego policjanta.

– Nie miałam szans.

Jej głos się trząśł, co było zrozumiałe – gdy uderzysz w kogoś samochodem, bez względu na to, czy to twoja wina, czy nie, na pewno będziesz roztrzęsiony.

Nie było to najbardziej ruchliwe skrzyżowanie o tej porze nocy, ale nie chciałbyś przechodzić przez nie z zamkniętymi oczami. Choć oczywiście, jeśli jesteś naćpany lub pijany, przechodzenie na zielonym może nie być dla ciebie najważniejsze.

– To znaczy zahamowałam, ale...

Znów zaczęła się trząść.

– Proszę posłuchać, jestem pewien, że to nie pani wina – powiedział Nick Duffy. Chryste, brzmiał jak konstabl do zadań specjalnych.

Ale kobieta była blondynką, w miarę wysportowaną, a nieboszczyk wprawdzie miał legitymację wywiadu, ale był ze Slough House, co czyniło go równie szczególnym co ten konstabl; tak samo jak niektóre dzieciaki były wyjątkowe i chodziły do szkół specjalnych. Kiedy agent zginął pod kołami samochodu, trzeba było ostrożnie się rozejrzeć, na wypadek gdyby ten samochód – mówiąc metaforycznie – miał fałszywe tablice rejestracyjne, jednak gdy okazywało się, że agent był kulawym koniem, na nowo oceniałeś sytuację. Może po prostu patrzył w złym kierunku. Lewo, prawo. To mogło być dość trudne.

A ona była blondynką, w miarę wysportowaną...

– Muszę zobaczyć pani prawo jazdy.

Z którego dowiedział się, że kobieta nazywa się Rebecca Mitchell, ma trzydzieści osiem lat, jest obywatelką Wielkiej Brytanii; z pozoru nic nie wskazywało, by właśnie przeprowadziła zamach. Choć oczywiście najlepszych zabójstw dokonali ci, których nigdy nie podejrzewano o przeprowadzenie zamachu. Nick Duffy ponownie rozejrzał się po skrzyżowaniu. Jego psy sprawdzały krawężniki i wejścia do sklepów: poprzednim razem, gdy agent zginął pod kołami samochodu, zaginęła broń i Chapman, czyli Zły Sam, jego poprzednik, nie wypadł dobrze w trakcie wewnętrznego dochodzenia. Gdy ostatni raz o nim słyszano, pracował dla jakiejś prywatnej firmy. Duffy nie był przygotowany na taką dolę, dziękuję. Kiedy oddawał prawo jazdy, nadjechała taksówka, z której wysiadł Jackson Lamb. Była z nim kobieta, i po chwili Duffy przypomniał sobie jej nazwisko: Catherine Standish, stała pracownikiem Regent's Park w czasach, gdy Duffy był szczeniakiem; zesłana do Slough House po samobójstwie Charlesa Partnera. Oboje go zignorowali. Poszli prosto w kierunku ciała.

– Będzie pani musiała złożyć zeznania – powiedział do Rebekki Mitchell. – Ktoś zaraz do pani podejdzie.

Pokiwała głową w milczeniu.

Duffy zostawił ją i skierował się do nowo przybyłych, by powiedzieć im, żeby odsunęli się od ciała, ale zanim zdołał się odezwać, Lamb się odwrócił i jego mina przekonała Duffy'ego do trzymania gęby na kłódkę. Wówczas Lamb spojrział najpierw w dół, na ciało, a później w górę, na ulicę. Duffy nie był w stanie stwierdzić, na czym był skupiony: na prostopadłym ruchu na dalszych skrzyżowaniach, na światłach ozdabiających autostradę niczym klejnoty. W mieście nocą rozwieszane były sznury pereł; czasem drobne lampki jak na weselu; czasem ozdobne szklane bombki jak na pogrzeb.

Standish zadała pytanie Jacksonowi Lambowi:

– Kto poinformuje Louise?

---

\* Potocznie: fajka wodna.

CZĘŚĆ DRUGA

**Białe wieloryby**



Zacznijmy od tego, czego Upshott nie ma: brakuje tam głównej ulicy, takiej jak w pobliskich wioskach, z rzędami domów o fasadach naśladowujących styl Tudorów, które elegancko schodzą w dół ku rzece, pełne sklepów z antykami, salonów mebli ogrodowych, gdzie sklepy spożywcze mają w ofercie ciasteczka imbirowe i siedem rodzajów pesto, a menu w pubach pasowałoby do Hampstead. Nie ma kawiarni z daniami dnia wypisanymi kredą na tablicy stojącej na chodniku ani kameralnych księgarń, które chwalą się spotkaniami z lokalnymi pisarzami; a ich położone w głębi uliczki nie są odwiedzone schludnie przystrzyżonymi żywopłotami, chroniącymi domy z miękkiego żółtego kamienia. Bo Upshott nie kojarzy się z określeniem „jak bombonierka”, tak często wypowiedzanym przez zaciśnięte zęby. Jeśli w ogóle przypomina jakąś bombonierkę, to taką, jaką można znaleźć w jedynym tutejszym supermarkecie: pokrytą warstwą kurzu, w szeleszczącym, poźółkłym celofanie.

Weźmy tę główną ulicę, której nie ma Upshott. Zamiast niej biegnie tu główna droga, która meandruje od początku wioski, by uniknąć kościoła, po czym znów skręca jakieś trzysta metrów dalej, gdy prowadzi między pubem po lewej stronie a półokrągłym terenem zielonym po prawej. Później pnie się w górę za nowo wybudowane domy, za małą szkołę podstawową i świetlicę wiejską, nowoczesny budynek z prefabrykatów, do którego turyści nie trafią bez zasięgnięcia języka. Z drugiej jednak strony świetlica nie jest sercem Upshott; tę funkcję pełni trójca w postaci poczty, pubu i wiejskiego sklepu. Pierwsza z nich mieści się przy najbardziej oddalonej do drogi części skweru, co jest uciążliwe, chyba że mieszkasz w jednym z domów położonych w tym ciągu. Ustawione w łuku budynki składają się na najstarszą zabudowę Upshott: dwupiętrowe kamienice z osiemnastego wieku, które dziwacznie w to miejsce trafiły, stanowią osobliwe prawie sąsiedztwo dla bungalowów na wzniesieniu, z których większość stoi pusta, a w których niegdyś mieszkali pracownicy pobliskiej bazy Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych: sprzątacze i dozorczy, kucharze i pomywacze, mechanicy i kierowcy. Gdy baza się zwinęła w połowie lat dziewięćdziesiątych, z Upshott uciekło sporo życia. Ci, którzy zostali, mieszkają głównie w tych kamienicach albo trochę dalej przy głównej drodze, i prędzej czy później wszyscy pojawiają się w pubie.

Pub nazywa się The Downside Man i wychodzi na skwer, po lewej jego stronie umiejscowiony jest niewielki parking, a na tyłach – wielopoziomowy taras, z którego widać falującą linię drzew na skraju oddalonego o półtora kilometra lasu. The Downside Man ma pobielone ściany i drewniany szyld, który kiedyś kołysał się na wietrze, ale też podczas wichur urywał się, więc został przymocowany na stałe do słupka przez Tommy’ego Moulta, pełniącego honorową funkcję wioskowej złotej rączki. Krążyły plotki, że Tommy prowadzi sekretne życie, ponieważ widuje się go tylko w weekendy, gdy na ogół można go znaleźć przed wiejskim sklepikiem,

w czerwonej wełnianej czapce naciągniętej na uszy, gdzie ze swojego roweru, postawionego obok regałów z warzywami, sprzedaje między innymi paczuski z nasionami. Ewidentnie uważa to za podstawę swojego przedsiębiorstwa handlowego, ponieważ w każdy sobotni poranek, bez względu na to, czy trwa zima, czy lato, tkwi na swoim stanowisku; wprawdzie być może bardziej dba o relacje towarzyskie, niż sprzedaje – niewielu mieszkańców wioski mija go, nie zamieniwszy choćby paru zdań.

Sklep, przy którym stoi Tommy, znajduje się od strony, z której weszliśmy do wioski, na rogu naprzeciwko kościoła. Aby dostać się do niego od strony pubu, należy po lewej stronie minąć rząd kamiennych wiejskich domków, których linię zakłóca stary dworek, przerobiony tak, że teraz są w nim mieszkania. Po prawej stronie stoją większe, nowsze domy, które jeszcze nie wpisały się w krajobraz; są zbyt czyste, zbyt porządnie pomalowane. W przestrzeniach między nimi nadal jednak da się podziwiać widok odległej linii drzew, i choć od czasu do czasu obecność betoniarki wskazuje na to, że w niektórych z tych przestrzeni mają wykiełkować kolejne domy, to brakuje innych oznak prac budowlanych. Wszystkie przerwano lata temu. Być może zostaną wznowione, gdy sytuacja się poprawi, jednak kryzys finansowy jest równie nieprecyzyjnie określony jak niewybudowany dom – możesz narysować w powietrzu jego możliwy kształt, ale nie dotkniesz jego ścian, by poznać granice. I tu droga znów zakręca, między sklepem a kościołem pod wezwaniem Świętego Jana od Krzyża, z trzynastego wieku, piękny jak z pocztówki, ma zadaszoną bramę i zadbane cmentarz, którego najstarsi mieszkańcy kiedyś żyli we dworze i prawdopodobnie przewracali się w grobach, gdy w ich domu urządzono mieszkania. Jednak msze u Świętego Jana odprawiane są co dwa tygodnie; dużo bardziej można polegać na sklepie, otwartym każdego dnia od ósmej do dziesiątej, choć nie przypomina on drogich butików w ładniejszych wioskach; na jego półkach i w lodówkach ciasno upakowane są produkty, których ludzie raczej potrzebują, niż pragną: konserwy, nabiał, mrożonki, worki z węglem, worki ze żwirkiem dla kotów, ażurowe bloczki papieru toaletowego, szampony, mydła i pasty do zębów, rzędy lagerów i wina, kartony soku i butelki mleka.

Dla wielu mieszkańców sklep jest najdalszym punktem, do którego potrzebują iść pieszo, jednak droga wije się dalej, mijając kilka zaniedbanych domków, po czym zwęża się, zmieniając w wiejską, okropnie wyboistą drogę, otoczoną z obu stron żywopłotami. Niecałe dwa kilometry dalej dociera do poligonu Ministerstwa Obrony – gdy Amerykanie zabrali swoje zabawki do innej piaskownicy, zainteresowało ministerstwo i ziemia dzierżawiona wcześniej siłom lotniczym naszych przyjaciół jest teraz domem dla przyjacielskiego ognia. Gdy łopoczą czerwone flagi, nie wolno wałęsać się po polach na południowy wschód od Upshott, a czasem po zmroku wielkie kule światła spadają z nieba, oświetlając poligon w czasie nocnych ćwiczeń. Tuż przy drodze znajduje się ostatni pas startowy, oddzielony od niej dwuipółmetrowym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Na jego końcu stoją, niczym nieruchomości na planszy do gry Monopoly, hangar i pawilon. W nich przez kilka wieczorów w tygodniu mają miejsce działania cywilne,

a w większość wiosennych i letnich weekendowych poranków startuje stąd samolot jednosilnikowy, który warkocze nad Upshott, zanim zniknie na otwartym niebie, jednak jak dotąd zawsze wraca.

Jest to więc spokojne miejsce – pomimo tych wystrzałów z broni. Nawet senne, choć prawda jest taka, że ogólnie rzecz biorąc, budzi się wcześniej, bo większość mieszkańców pracuje poza wioską i wyrusza w drogę przed ósmą. Być może lepszym określeniem byłoby „niegroźne” – jak podkreślił Jackson Lamb, nie jest to prowincja Helmand.

Jednak nawet w niegroźnej wiosce po południu można usłyszeć krzyki.

– Jezu! – wrzasnął River... za późno.

Nawet pancerz na całe ciało by mu nie pomógł. Została tylko modlitwa, a nawet jeszcze mniej: echo modlitwy odbijające się od ścian jego bezmyślnej czaszki, gdy jego ciało naprężyło się raz, i raz jeszcze, a później puściło, a może tylko wydawało się, że puściło, i jego oczy uspokoiły się za mocno zaciśniętymi powiekami, i ciemność, w której go zamknęto, nieco złagodniała.

– O rety! – powiedziała po chwili jego towarzysza, jednak nie brzmiało to jak dobre „o rety”. Zsunęła się z niego i naciągnęła prześcieradło aż po ramiona. River leżał bez ruchu, rytm jego serca wracał do normy, skóra była wilgotna – wytrzymał na tyle długo, że zdołał się spocić.

Jednak było mało prawdopodobne, by potraktowano to jako okoliczność łagodzącą.

Było wczesne popołudnie, wtorek, trzeci tydzień, jaki River spędzał w Upshott, leżąc w sypialni z zaciągniętymi zasłonkami w jednym z nowych budynków na północnym wzniesieniu. Dom był wynajęty na nazwisko, które przybrał na potrzeby tej misji: Jonathan Walker. Jonathan Walker był pisarzem. Dlaczego ktokolwiek miał przyjechać do Upshott poza sezonem? O ile Upshott kiedykolwiek było w sezonie. Jonathan Walker pisał thrillery i mógł to udowodnić dzięki Amazonowi, *Masa krytyczna* nie istniała, ale nawet to nie uchroniło jej przed jednogwiazdkową oceną. Obecnie pracował nad powieścią, której akcja rozgrywa się w bazie militarnej Stanów Zjednoczonych w latach osiemdziesiątych. Dlatego jest w Upshott poza sezonem.

– Miałam kiedyś taką koszulkę – rzekła jego towarzysza. – „Chłopcy poszukiwani; doświadczenie nie jest konieczne”. Trzeba uważać, o czym się marzy, co?

– Wybacz – odparł. – Trochę czasu minęło.

– No. Wyczytałam to z języka twojego ciała.

Nazywała się Kelly Tropper, pracowała za barem w The Downside Man. Miała trochę ponad dwadzieścia lat, drobna, z małym biustem, włosami zafarbowanymi na kruczą czerń; był to ciąg określeń, które River uznałby za przygnębiająco nieadekwatne, gdyby naprawdę był pisarzem. Miała też kremową cerę bez piegów, dziwnie spłaszczony nos, który sprawiał, że wyglądała, jakby przyciskała go do szyby, i słyszał, jak nazywa siebie cyniczką. Objęła nogą jego ciało.

– Nie zasypiasz chyba, co? – Dotykała go dłonią. – Hmm. Nie jest zupełnie pozbawiony życia. Ale potrzebuje paru minut.

– Które możemy wypełnić rozmową.  
– Jesteś pewien, że nie jesteś dziewczyną? Nie, zaczekaj. Za szybko doszedłeś jak na dziewczynę.  
– Niech to zostanie między nami, dobrze?  
– To zależy od tego, jak poradzisz sobie w drugiej rundzie. Tablica z ogłoszeniami w wiosce do czegoś służy. – Przesunęła nogę. – Celia Morden przypięła do niej kiedyś recenzję Jeza Bradleya. Mówiła, że nie ona jest autorką, ale wszyscy się domyślili. – Roześmiała się. – Takich atrakcji nie ma w wielkim Londynie, prawda?  
– Nie, ale mamy takie coś, co nazywa się internet. Słyszałem, że tam dzieje się coś podobnego. – Został za to lekko uszczyknięty w ramię. Miała pazurki. – Urodziłaś się tutaj? – zapytał.  
– Ooo, poruszamy tematy osobiste.  
– Tak, jeśli nie jest to ściśle tajne.  
Znów go uszczypnęła, tym razem słabiej.  
– Moi rodzice przenieśli się tu, gdy miałam dwa lata. Chcieli uciec z Londynu. Tata przez jakiś dojeżdżał do Londynu, później znalazł pracę w Burford.  
– Czyli bez żywego inwentarza.  
– Raczej nie. Większość mieszkańców to uciekinierzy z miast. Ale jesteśmy mili dla obcych, nie sądzisz? – Pogładziła go.  
– Wielu ich spotykasz?  
Zacisnęła swój ucisk.  
– O co ci chodzi?  
– Zastanawiałem się po prostu, jaki... jest przemiał ludzi w wiosce.  
– Hmm. – Wróciła do głaskania go. – Lepiej, żebyś tylko o to pytał. Ale i tak brzmisz jak agent nieruchomości.  
– Zbieram informacje – zaimprovizował. – Do powieści. Wiesz, jak spokojnie tu jest, teraz, gdy nie ma tu bazy.  
– Baza zniknęła lata temu.  
– Mimo to...  
– Cóż, jest raczej martwa. Ale pojawia się coraz więcej życia. – W jej oczach dostrzegł błysk. Były zaskakująco zielone, pomyślał River.  
Miał nadzieję, że nagle coś się jej przypomni, coś, co dotąd było ukryte: łysy mężczyzna, który pojawił się tu parę tygodni temu; nazwisko, adres... Trzy tygodnie, a on jeszcze nie złapał tropu pana B. Stał się akceptowanym elementem w The Downside Man, tutejsi mieszkańcy witali się z nim po imieniu; wiedział, gdzie kto mieszka i które domy stoją opuszczone. Ale po panu B nie został ani ślad, ani włos, co było zabawnym określeniem, jeśli wziąć pod uwagę jego łysinę. Ciężko mu było się skupić, gdy Kelly robiła to, co robiła palcami, a teraz („No w końcu” – powiedziała powoli) ustami, i wtedy River zupełnie stracił wątek, i przestał być agentem działającym w terenie pod przykrywką, a znalazł się pod przykryciem, z uroczą młodą kobietą, która zasłużyła na lepsze traktowanie niż to wcześniejsze.  
Na szczęście tym razem stanął na wysokości zadania.

Arkady Paszkin dotarł do Londynu na dzień przed szczytem. Zatrzymał się w hotelu

Ambassador przy Park Lane. Na zewnątrz ulica rozgniewana była bałaganem, walką na pięści rozgrywaną za pomocą innych środków; w lobby rozlegał się tylko szum wody w małej fontannie i uprzejmy szmer dochodzący z recepcji, której strażnicy wyglądali jak wyjęci ze stron „Vogue’a”. Bogactwo fascynowało kiedyś Louise Guy w taki sam sposób jak stado ptaków: podejmowana próba zrozumienia czegoś, co zawsze będzie poza jej zasięgiem, mogła przyprawić o zawrót głowy. Ale w trzy tygodnie po śmierci Mina postrzegała życie bogatych jako serię szczegółów związanych z bezpieczeństwem. Strzały wystrzelone na zewnątrz brzmiałyby tu jak korki z szampana. Ktoś rozjechany przez samochód zgubiłby się tu całkowicie; nie zniosłoby go tutejsze oczyszczone powietrze.

– Super – powiedział Marcus Longridge stojący z tyłu.

Marcus i Louisa zostali połączeni w parę. Louise się to nie podobało, ale było częścią umowy, którą ostatnio zawarła. Drugą stroną umowy były najwyraźniej służby, a raczej Spider Webb, ale w zasadzie tę umowę zawarła z rzeczywistością. Najtrudniej było nie ujawnić, jak wiele była w stanie oddać. Chciała zostać w pracy; a konkretnie, chciała kontynuować wykonywanie zadania, które powierzono jej i Minowi. Była gotowa zrezygnować ze wszystkiego.

Paszkin zajmował penthouse. Chyba nikt nie wyobrażał sobie innej opcji. Winda robiła mniej hałasu niż Marcus swoim oddechem, a jej drzwi kierowały wprost do apartamentu, w którym czekali Piotr i Kirył, ten pierwszy z uśmiechem na ustach. Podał rękę Marcusowi i oznajmił Louise:

– Miło panią znów widzieć. Przykro mi z powodu kolegi.

Skinęła głową.

Kirył pozostał przy windzie, a Piotr poprowadził ich przez duży jasny pokój, wyłożony puszystą wykładziną dywanową i pachnący wiosennymi kwiatami. Louisa zastanawiała się, czy wpompowywano tu zapach otworami wentylacyjnymi. Paszkin wstał z fotela, gdy do niego podeszli.

– Witajcie – powiedział. – Jesteście z Energetyki.

– Louisa Guy – przedstawiła się Louisa.

– Marcus Longridge – dodał Marcus.

Paszkin był po pięćdziesiątce i przypominał brytyjskiego aktora, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć. Był średniego wzrostu, ale miał szerokie ramiona; jego włosy miały celowo nieokreśloną formę; oczy były śpiące, a brwi gęste. Jeszcze więcej włosów miał na klatce piersiowej – które wystawały z rozpiętej białej koszuli wsuniętej w ciemnoniebieskie dżinsy.

– Kawy? Herbaty? – Uniósł brew w stronę Piotra, który nadal stał obok. Gdyby Louisa nie wiedziała, że jest gorylem, uznałaby go za lokaja albo jego rosyjskiego odpowiednika. Kamerdynera. Osobistego asystenta.

– Ja dziękuję.

– Dziękujemy. Naprawdę.

Usiedli na wyściełanych fotelach ustawionych wokół dywanu, który wyglądał, jakby miał sto lat, ale w tym dobrym znaczeniu.

– Tak więc – zaczął Arkady Paszkin. – Wszystko jest przygotowane na jutro, tak?

Zwracał się do obojga, ale mówił do Louisy. Było to oczywiste.

Louisie to nie przeszkadzało.

Ponieważ w tę złą, okropną noc, gdy zginął Min Harper, Louisa czuła się, jakby wpadła w zasadzkę; przeżyła to wewnętrzne załamanie, które ma miejsce, gdy zapada się pod tobą podłoga, a ty nie masz pojęcia, jaka odległość dzieli cię od ziemi. Powinno ją później zdziwić to, że tak szybko przyjęła do wiadomości śmierć Mina; jak gdyby przez cały ten czas czekała, aż wydarzy się coś złego. Ale nic jej już nie dziwiło. Wszystko było tylko informacją. Słońce wstawało, zegar tykał, a ona dostosowała się do ustalonego wzorca. To tylko informacja. Nowa rutyna.

Tylko że od tamtego momentu czuła ból w stawie skroniowo-zuchwowym; sporadycznie jej usta zalewały się też śliną, raz za razem, przez kilka minut. Jakby płakała niewłaściwym otworem. A gdy leżała w ciemności, obawiała się, że gdyby zasnęła, jej ciało zapomniałoby oddychać, i też by umarła. W niektóre noce podobała jej się ta myśl. Ale na ogół trzymała się swojej umowy.

To dzięki niej nie upadła niżej albo przynajmniej obiecano jej lądowanie, które da się przeżyć. Umowa była gałęzią wyrastającą z klifu, ciężarówką z otwartą przyczepą, wiozącą świeży ładunek z fabryki poduszek. Narodziła się w Regent's Park. Miało to miejsce cztery dni po śmierci Mina, gdy pogoda się poprawiła, jakby na pocieszenie. Na górnych piętrach Regent's Park mieściły się pokoje do przesłuchań, w których raczej częstowano gości wodą, niż ich w niej podtapiano, siedzenia były tu wygodne, a na ścianach wisiały oprawione w ramy plakaty klasyki kina. Odkąd Louisa była tu poprzednim razem, zmieniło się wyposażenie, i nawet gdyby wszystko inne w jej życiu było normalne, to zmiana ta wydawałaby się dziwna. Jak powrót do szkoły, gdy odkrywasz, że salę szóstej klasy zmieniono w centrum aromaterapii.

James Webb okazywał współczucie, jakby nauczył się go z podręcznika.

– Tak mi przykro z powodu twojej straty. – To był amerykański podręcznik. – Min był dobrym kolegą. Wszystkim nam będzie go brakowało.

– Gdyby był taki dobry, nie siedziałby w Slough House, prawda? – zapytała.

– Cóż...

– Ani nie jechał po pijaku po ruchliwej ulicy. W deszczu.

– Jesteś na niego zła. – Zacisnął usta. – Rozmawiałaś z kimś? Może to by... pomogło.

Bardziej pomogłoby jej walnięcie go pięścią w sam środek tej gęby. Ale na własnych błędach nauczyła się już, czego inni oczekują od ludzi w żalobie, więc skłamała:

– Tak, rozmawiałam.

– I wzięłaś wolne?

– Tyle, ile potrzebowałam.

Odwrócił wzrok w stronę okien. Wychodziły na park po drugiej stronie ulicy, a ponieważ był późny poranek, panował duży ruch przed lekcjami: kobiety, wózki, małe dzieci odkrywające brzegi trawników. Samochód strzelił w gaźnik i stado gołębi wybuchło w powietrze, wykonało w powietrzu ósemkę i wróciło na trawnik.

– Nie chcę wyjść na osobę pozbawioną wrażliwości – mówił – ale muszę zapytać:

czy jesteś w stanie kontynuować pracę przy tym zadaniu?

Ściszył głos. Teoretycznie było to spotkanie związane z żałobą, ale byli sami, a ona wiedziała, że poruszy temat The Needle.

– Tak – odpowiedziała.

– Bo mogę...

– Nic mi nie jest. Jestem zła, to fakt, jestem na niego zła. Głupio się zachował i w efekcie... no cóż, zginął. Więc tak. Zła. Ale nadal mogę wykonywać swoją pracę. Potrzebuję tego.

Sądziła, że dobrze przedstawiła sytuację – wkładając w to odpowiednią ilość emocji. Opcja, w której uznałyby Louise za zombie, była równie zła jak ta, gdy pomyślałby, że jest histeryczką.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Sprawił wrażenie, jakby poczuł ulgę.

– No cóż. W takim razie dobrze. Świetnie. Byłoby to, no cóż, niezręczne, gdybym musiał...

– Nie chciałabym być źródłem problemów.

Spider Webb mrugnął i przeszedł do następnego punktu:

– W takim razie informuj mnie na bieżąco. – Wyrażenie z kolejnego podręcznika; takiego z rozdziałem o tym, jak poinformować podwładnych, że spotkanie dobiegło końca.

Podszedł do drzwi. Na zewnątrz będzie ktoś, kto zabierze ją na dół, odbierze plakietkę gościa i odprowadzi do wyjścia, jednak te dowody wygnania, które niegdyś sprawiłyby, że nie mogłaby przestać o tym gadać, dziś były nieistotne. Nadal była przypisana do zadania dotyczącego The Needle. Załatwione. Tylko to się liczyło.

– Ale masz rację – powiedział Webb, trzymając drzwi.

– Słucham?

– Harper nie powinien wyjechać na ulicę po wypiciu alkoholu. To był wypadek, i tyle. Sprawdziliśmy to bardzo dokładnie.

– Wiem.

Wyszła.

Być może, pomyślała, gdy prowadzono ją na dół, być może, gdy ta sprawa się zakończy, a ona dowie się, dlaczego Min zginął, i zabije osoby za to odpowiedzialne, wróci tu i wyrzuci Jamesa Webba przez to okno, przez które tak bardzo lubił wyglądać.

Zależało to od jej nastroju.

Gdy Kelly brała prysznic, River włożył bokserki i koszulę, po czym przeszedł po sypialni, zbierając ubrania. Niektóre, jak się okazało, były nadal piętro niżej. No cóż, wpadła tylko na kawę. W salonie znalazł jej koszulkę; a także jej torebkę na ramię, której zawartość wysypała się na podłogę. Podniósł ją i schował do jej zakamarków komórkę, portfel, książkę w miękkiej oprawie i szkicownik, ale najpierw go przejrzał: pobliska linia drzew, droga na końcu wioski, grupa ludzi na tarasie za pubem. Nie była dobra w rysowaniu twarzy. Ale zobaczył ładny szkic kościoła i kolejny,

przedstawiający cmentarz, gdzie każdy nagrobek był wycieniowaną, przysadzistą bryłą, wokół której usychała długa trawa; i kilka panoram wioski z lotu ptaka – Kelly Tropper latała. Ostatnia strona była dziwna, nie był to szkic, raczej projekt: stylizowany krajobraz miejski, w jego najwyższy drapacz chmur uderzała poszarpana błyskawica. Wzdłuż dolnej krawędzi zapisano jakieś słowa, które następnie zakryto gryzmołami.

– Jonny?

– Już idę.

Zaniósł jej bluzkę do sypialni, gdzie Kelly stała owinięta ręcznikiem.

– Wyglądasz...

– Cudownie?

– Zamierzałem powiedzieć: na wilgotną – odpowiedział. – Ale „cudownie” też pasuje.

Pokazała mu język.

– Ktoś jest z siebie zadowolony.

Położył się na łóżku, ciesząc się widokiem ubierającej się Kelly.

– Nie wiedziałem, że rysujesz – rzekł.

– Trochę. Oglądałeś mój szkicownik, tak?

– Otworzył się – wyznał.

– Nic nie mów. Nie potrafisz rysować twarzy. Ale tu każdy potrzebuje hobby.

– A latanie to...

– Coś więcej niż hobby. – Jej zielone oczy wyglądały teraz na bardzo poważne. – W żadnej innej sytuacji tak bardzo nie poczujesz, że żyjesz. Powinieneś spróbować.

– Może spróbuję. Kiedy znów polecisz?

– Jutro. – Uśmiech na jej twarzy pojawił się i zniknął. Skrywała jakiś sekret. – Ale nie, nie możesz wybrać się ze mną. – Pocałowała go. – Muszę zmykać. Zając się zaopatrzeniem, zanim otworzymy.

– Wpadnę tam później.

– Świetnie. – Zamilkła. – Było miło, panie Walker.

– Też tak pomyślałem, panno Tropper.

– Ale nie oznacza to, że możesz przeglądać moje rzeczy bez pozwolenia – powiedziała i ugryzła go w ucho.

Gdy usłyszał, że drzwi wejściowe się zamknęły, zadzwonił do Lamba.

– Proszę, proszę, czy to 007? Masz coś?

– Ślepe uliczki i obojętne spojrzenia – odparł River. Wpatrywał się w swoje palce u stóp. – Jeśli pan B w ogóle tu był, od razu zapadł się pod ziemię.

– O rety. Czyli co, może się ukrywać? Albo coś w tym stylu?

– Jeśli w ogóle tu był. Może jego stopy nawet nie dotknęły tej ziemi. Może udawał się już w inne miejsce, zanim taksówkarz zapalił światelko, że jest wolny.

– Albo jesteś beużyteczny. Jak duża jest ta wieś? Trzy zagrody i staw z kaczkami? Sprawdziłeś w oborze?

– Dlaczego miałby jechać aż z Londynu, żeby ukrywać się w oborze? Gdyby w ogóle tu taka była. Ale nie ma. – River zauważył skarpetkę zwisającą z karnisza. –



Nie mieszka tutaj. Ani jako pan B, ani pod żadnym innym nazwiskiem. Jestem tego pewny.

– Zinfiltrowałeś tę społeczność, tak?

– Ja, ekhm, poczyniłem pewne postępy, owszem.

– O Chryste – powiedział Lamb. – Pieprzysz się tam z kimś.

– Większość mieszkańców albo jest na emeryturze, albo dojeżdża do pracy, albo pracuje zdalnie, jednak wiele domów stoi pustych. Mówi się też o zamknięciu tutejszej szkoły, co zawsze jest oznaką wymierania społeczności...

– Gdybym chciał przeczytać rozdzierający serce artykuł, zajrzałbym do „Guardiana”. Co z tym poligonem Ministerstwa Obrony?

– No cóż, nie lubią, gdy ktoś się tam włóczy, ale nie testują tam przecież tajnej broni, prawda? To strzelnica?

– Która należała kiedyś do Jankesów. Kto wie, jakie zabawki chowali w szafkach.

– Jakiegokolwiek by one były, wątpię, by nadal można je było tam znaleźć.

– Ale jeśli istnieje dowód na to, że tam kiedyś były, mogłyby nadal powodować komplikacje – powiedział Lamb.

Jakbyś był w tej kwestii ekspertem, pomyślał River.

– No. – Zdjął skarpetkę z karnisza. – I właśnie dlatego dzwonię. Pójdę tam dzisiaj, rozejrzę się.

– Najwyższy czas. – Lamb zamilkł. – Jesteś ubrany? Brzmisz, jakbyś nie był.

– Jestem ubrany – odparł River. – Jak się czuje Louisa?

– Wykonuje swoją pracę.

– Świetnie. Tak. To oczywiste. Ale jak ona się czuje?

– Jej faceta rozjechał samochód – powiedział Lamb. – Zakładam, że nie budzi się, pogwizdując wesołe piosneczki.

– Przyjrzałeś się wypadkowi?

– Zamieniliśmy się miejscami, gdy nie patrzyłem?

– To było proste pytanie.

– Pijany rowerzysta. Która część tej opowieści nie sugeruje dawcy organów?

– Pierdol się, Jackson – odpowiedział River brawurowo. – Harper był jednym z nas. Gdyby zginął od porażenia piorunem, przesłuchiwałbyś pogodę. Pytam tylko, co odkryłeś.

Nastąpiła pauza, w czasie której River usłyszał kliknięcie zapalniczki. Po czym Lamb odrzekł:

– Był pijany. Był w pubie tu w pobliżu, wypił tam kilka piw. Wstąpił gdzieś jeszcze i nawalił się wódką. Pokłócili się wcześniej.

River zacisnął powieki. Oczywiście pokłócili się. Kłócisz się; idziesz się upić. Tak to działa.

– Gdzie pił wódkę?

– Nie wiemy. Chcesz zgadywać, ile jest barów na zachód od City Road?

– Czy widać go na...?

– Czemu na to nie wpadliśmy? – Po drugiej stronie Lamb zaciągnął się dymem. – Mignął przed kamerami na Oxford Street, tak przynajmniej nam się wydaje. Czarno-

białe nagranie, wszyscy rowerzyści wyglądają tak samo. A na miejscu wypadku nie znaleźliśmy niczego. Kamera została zniszczona, gdy samochód potrącił słupek, na którym była zamocowana.

– To się nazywa zbieg okoliczności.

– Tak. Taki, który informuje nas, że na tym skrzyżowaniu zdarzają się wypadki. Psy powiedziały, że wszystko gra.

– Phi. – Nawet River nie wiedział, co chciał przez to powiedzieć. Psy to psy. – W porządku zatem. Zadzwoń później.

– Koniecznie. I Cartwright? Następnym razem, gdy będziesz kazał mi się odpieprzyć, upewnij się najpierw, że jesteś wystarczająco daleko ode mnie.

– Jestem daleko od ciebie – wyjaśnił River.

– Przeprasiny przyjęte.

Odłożył telefon i poszedł pod prysznic.

– Czyli... – Paszkin zwracał się do nich dwojga, ale mówił do Louisy – wszystko jest gotowe na jutro, tak?

– Panujemy nad wszystkim.

– Nie chciałbym wszystkiego zepsuć, ale nie jesteście z Ministerstwa Energetyki.

Longbridge otworzył usta, ale Louisa go ubiegła.

– Nie.

– MI5, tak?

– Jego część.

– Szczegóły są nieistotne – powiedział Marcus.

Paszkin pokiwał głową.

– Oczywiście. Nie próbuję narazić waszej pracy na szwank. Ustalam tylko... parametry. Mam tutaj ludzi, którzy dbają o moje bezpieczeństwo...

Kirył stał przy drzwiach, a Piotr kręcił się w pobliżu; dziś stanowili zupełnie inną parę niż szorstki, lecz niemalże wesoły duet, którym wydawali się trzy tygodnie temu, w dniu, w którym Min...

– A państwo, jak mniemam, otrzymaliście zadanie zadbania o to, by wszystko inne przebiegło zgodnie z ustaleniami.

– Tak będzie – odpowiedział Marcus.

– Cieszę się, że to słyszę. Bez względu na to, czy jesteście z Ministerstwa Energetyki czy innej instytucji, musicie mieć świadomość, że wasz rząd bardzo chce, ach, osiągnąć korzystne dla obu stron porozumienie dotyczące pewnych potrzeb paliwowych, które może zaspokoić moja firma. – Jego twarz przybrała nadzwyczaj skromny wyraz. – Oczywiście nie w takich ilościach, by napędzać cały wasz kraj. Po prostu rezerwy. Na wypadek pojawienia się problemów z innymi źródłami.

Mówił płynnie, z dość silnym akcentem, który, jak podejrzewała Louisa, pielęgnował. Głęboki, seksowny warkot nigdy nikomu nie zaszkodził, gdy zaczynało się negocjacje, bez względu na to, czego dotyczyły.

– I wzięwszy pod uwagę oczywistą subtelność tej sytuacji, w naszym wspólnym interesie jest zadbać, by spotkanie przebiegło gładko. I mając to na uwadze, mam pewną prośbę.

Louisa patrzyła, jak jego usta układają słowa, i miała wrażenie, że były one małymi zabawkami, które nakręcał i puszczał wolno, by dreptały jak kaczki po rozległej przestrzeni dywanu.

– Oczywiście – powiedziała.

– Chciałbym się tam dziś udać. Po południu.

– Tam...?

– Do The Needle – odparł. – Tak nazywa się ten budynek, prawda?

– Tak, The Needle\*.

– Ze względu na jego maszt – powiedział Marcus.

Paszkin spojrział na niego uprzejmie, ale Marcus nie miał już nic do dodania.

– Chcę zobaczyć to pomieszczenie. Przejść się po tym piętrze. – Patrzył znów na Louise. Dotknął prawym palcem wskazującym górnego guzika swojej koszuli. – Zanim zajmiemy się interesami. Chcę się tam poczuć swobodnie.

– Proszę dać mi pięć minut. Muszę zadzwonić – poinformowała Louisa.

Gdy Lamb skończył rozmowę z Riverem, siedział przez chwilę z miną, którą Catherine Standish nazywała niebezpieczną: tą, którą miał, gdy myślał o czymś innym niż to, co ma zaraz zjeść lub wypić. Później spojrział na zegarek, westchnął, wstał z głośnym chrząknięciem i podniósł koszulę z podłogi. Zgniatając ją w zaciśniętej pięści, udał się do pokoju Catherine.

– Masz torbę na zakupy?

Podniosła wzrok znad biurka i zamruwała.

Lamb pomachał koszulą.

– Jest tu kto?

– Tam – powiedziała, wskazując na płócienną torbę na wieszaku na ubrania.

Lamb włożył do niej rękę i wyciągnął kilka plastikowych worków. Do jednego z nich wepchnął koszulę. Pozostałe upadły na podłogę. Skierował się do wyjścia.

– Wychodzisz wcześniej? – zapytała.

Lamb uniósł torbę nad głowę, ale nie odwrócił się w stronę Catherine.

– Dzień prania – odparł i zniknął na schodach.

Przyglądała się przez chwilę, po czym pokręciła głową i wróciła do pracy.

Przed sobą miała fragmenty życiorysów, pasma biografii, zebrane w internecie i w oficjalnych źródłach: agencjach rządowych HMRC, ONS, DMLV; tam, gdzie zwykle. Przypominało to jedzenie za pomocą widelca zupy z makaronem w kształcie literek.

Raymond Hadley miał sześćdziesiąt dwa lata i był pilotem British Airways przez osiemnaście lat, a teraz zajmował się polityką samorządową i ochroną środowiska, co nie powstrzymało go przed posiadaniem małego samolotu.

Duncan Tropper liczył sobie sześćdziesiąt trzy lata i był prawnikiem, dawniej związanym z wpływową kancelarią w West Endzie, obecnie zaś pracował na część etatu w firmie w Burford.

Anne Salmon, sześćdziesięciolatka, wykładała ekonomię na uniwersytecie w Warwick.

Stephen Butterfield, lat sześćdziesiąt siedem, był jedynym właścicielem wydawnictwa Lighthouse Publishing, małego przedsiębiorstwa specjalizującego się w lewicującej historii, które zostało przejęte przez jeden z koncernów, a w zamian zostawiło górę gotówki.

Jego żona Meg miała pięćdziesiąt dziewięć lat i była współwłaścicielką sklepu odzieżowego.

Andrew Barnett, lat sześćdziesiąt sześć, to emerytowany urzędnik, który pełnił jakąś funkcję w Ministerstwie Transportu, co – nowość dla Catherine – naprawdę oznaczało, że pełnił jakąś funkcję w Ministerstwie Transportu.

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Ktoś z Financial Services Authority, dwóch producentów telewizyjnych (jeden z BBC, drugi niezależny), chemik, który pracował w Porton Down, projektanci graficzni, nauczyciele, lekarze, dziennikarz, biznesowi uchodźcy (budowlanka, tytoń, reklama, napoje bezalkoholowe) – w sumie grupa odnoszących zawodowe sukcesy ludzi, którym udało się połączyć karierę z cichym życiem w Upshott, wiosce w Cotswold; takie ciche życie, zgadywała Catherine, do którego opłacenia potrzebna jest prężna kariera. Wiele osób przeszło na wcześniejszą emeryturę. Większość miała dzieci. Wszyscy mieli prawo jazdy.

I, jak przypomniała sobie Catherine, nie powinno jej to interesować, zwłaszcza że nie wchodziło w zakres jej obowiązków; a w jej pracy pilnowanie własnego nosa było najważniejsze. Ale brakowało jej Rivera Cartwrighta, w pewnym sensie. I miała nadzieję, że wróci cały i zdrowy, nie martwy.

„To Cotswolds, Standish. Nie pieprzona prowincja Helmand”.

Co było prawdą, podobnie jak fakt, że Lamb wystawił Rivera jak, no cóż, baranka na rzeź, żeby sprawdzić, co się wydarzy. A biorąc pod uwagę, że najpierw doszło do morderstwa, nie było gwarancji, że przymusowy pobyt Rivera na wsi okaże się sielankowy. Popatrzyła jeszcze raz na zwięzłą biografię Stephena Butterfielda. Lewicujące wydawnictwo. Czy to zbyt oczywiste? Czy odpowiednio oczywiste?

Cieężko było stwierdzić, nie mając dodatkowych informacji, i choć w Upshott mieszkało niewielu ludzi, sprawdzenie każdego z nich okazało się żmudnym zadaniem. Ale jednego Catherine była pewna: gdyby wszystkich obecnych mieszkańców wioski ustawiono przed nią w rzędzie, nie byłoby wśród nich pana B. Ponieważ jeśli Lamb miał rację, a biedny Dickie Bow zginął w trakcie polowania po sztucznym tropie, to rola pana B dobiegła końca, gdy rozłożył tropy. Pytanie brzmiało: dlaczego ten trop prowadził do Upshott?

Wskazówką było to słowo, „cykady”. Element legendy o Popowie, której celem było wywołanie zamieszania w kontrwywiadzie, szukającym nieistniejącej sieci. Jednak w szpiegowskim gabinecie luster nie oznaczało to, że sieć nie mogła istnieć naprawdę... Zimna wojna należała do przeszłości, ale jej odłamki można było wszędzie znaleźć. Może po tylu latach w Upshott schroniła się cykada, która przygotowywała się do śpiewu.

Jednak największą pieprzoną tajemnicą, myślała Catherine, był powód, dla którego ich uwaga w ogóle została skierowana w jej stronę.

Catherine nagle się zirytowała, upuściła pióro i wstała. Zawsze istniały jakieś

zadania na wyparcie: nużące drobiazgi, które miały odwrócić jej uwagę od większych, równie nużących zadań, jakie narzucił jej Lamb. Na przykład mazaje na oknie. Próbowwała je wyczyścić, ale okazało się, że plamy są po zewnętrznej stronie, i gdy Catherine tak stała i pucowała, zobaczyła kłąb dymu nad położonymi daleko dachami. Poczowała ukłucia w sercu, jednak zanim stały się one naprawdę silne, przypomniała sobie, że w tamtej okolicy mieści się krematorium, więc dym unoszący się z komina oznacza osobistą tragedię, a nie powszechny kataklizm. Mimo wszystko. Na horyzoncie miasta nie dało się zobaczyć dymu i nie odczuć strachu, że znów do tego – albo do czegoś podobnego – doszło. Było to na tyle odruchowe, że mogło pozostać niezdefiniowane. I wtedy ktoś się odezwał, a ona krzyknęła z zaskoczenia.

– Och, przepraszam, nie chciałem...

– Nie szkodzi, zamyśliłam się i tyle.

– Okej. Przepraszam – powtórzyła Shirley Dander. Po czym dodała: – Być może będziesz się chciała temu przyjrzeć.

– Znalazłaś go?

– Tak – powiedziała Shirley.

– Jasne. Oprowadź go – rzekł Webb.

– To on dyktuje warunki?

– Jest bogatym człowiekiem. Tacy lubią przejmować kontrolę.

W końcu Webb był tak bardzo przyzwyczajony do dziwactw bogaczy. Korytarze władzy były miejscem, w którym zostawiał na noc swoje buty.

– Okej. Pomyślałam tylko, że się upewnię – powiedziała Louisa.

– Nie, w porządku. Dobrze, że to zrobiłaś. – I się rozłączył.

Jej wzrok zmętniał, po czym znów widziała wyraźnie. Została pogłaskana po głowie przez Spidera. Ale i to było częścią umowy: przyjmować każde gównu rzucone w jej stronę. Pod warunkiem że utrzyma się w pracy.

Przez szklane drzwi lobby obserwowała trzy powoli toczące się autobusy, ostatni z nich był piętrowy, z odkrytym dachem, z którego rozglądali się zachwyceni turyści podziwiający budynki, park, inne pojazdy. Zawsze istniała pokusa, by wyobrazić sobie, że turyści nie mają innego życia niż to, które miała okazję zobaczyć; że bez przerwy zachwycają się pomnikami i noszą niestosowne koszule. Coś takiego powiedział Min i przypominała sobie jego słowa za każdym razem, gdy widziała autobus wycieczkowy.

– Żaden problem – zwróciła się do Marcusa.

Marcus zadzwonił do apartamentu.

– Spotkamy się na zewnątrz. – Rozłączył się. – Już schodzą – zwrócił się Louisy.

Czekanie na chodniku było lekcją z zakresu postrzegania czasu przez bogaczy: już oznaczało moment, w którym Paszkin znajdzie czas. Louisa zabijała czas, licząc czarne samochody: siedem, osiem, dziewięć. Dwadzieścia jeden.

– Umowa dotycząca ropy naftowej. Jasne – rzucił Marcus.

– Co?

– No daj spokój – powiedział.

Louisa przestała liczyć auta.

– Negocjuje umowę energetyczną z rządem Wielkiej Brytanii. Z własnej inicjatywy?

– Jest właścicielem koncernu naftowego.

– A Securicor ma pojazdy opancerzone, ale jakoś nie paraduje wzdłuż The Mall w Dniu Pamięci.

– Zakładam, że chcesz coś udowodnić.

– To, że jest ogromna różnica między własnością prywatną a interesem państwa. Sądziś, że entuzjazm Kremla dla prywatnych przedsiębiorstw sięga aż tak daleko? Śnij dalej.

Louisa nie chciała Marcusa Longridge'a za partnera, ale okazało się, że to część umowy. Miała jednak nadzieję, że on prześliznie się przez to zadanie w milczeniu: będzie trzymał głowę na kłódkę, nosił torby. Nie będzie miał potrzeby snuć domysłów, a przynajmniej nie będzie tego robił na głos.

– Czytałaś jego profil? On nie jest gościem, który kupi drużynę piłkarską i ożeni się z gwiazdą pop. Ma apetyt, by zająć najważniejsze miejsce w kraju.

Dalszy brak odpowiedzi wyglądałby na celowy zabieg.

– W takim razie dlaczego chce się spotkać z Webbem? – spytała.

– Odwróćmy pytanie. Dlaczego Spider Webb miałby nie chcieć się z nim spotkać? Z gościem, który może znaleźć się na Kremlu. Spider z pewnością spuścił się w spodnie na samą myśl, że znajdzie się w tym samym pokoju co on.

Tym razem Louisa nie mogła się powstrzymać.

– Webb chce go zrekrutować?

– Tak sędzę.

– Przecież to pierwszy krok do objęcia ważnego stanowiska, nieprawdaż? Sprzedać się wywiadowi innego kraju.

– Nie chodzi o tajemnice państwowe – powiedział Marcus. – Agent wpływu, taką rolę by pełnił. A jego korzyścią byłoby to, że gdy wykona swój ruch, będzie miał poparcie Zachodu.

– Jasne. Artykuł w „Telegraphie” to tylko początek. Poczekaj, aż zdjęcie Webba ukaże się w „OK”.

– Dwudziesty pierwszy wiek, Louiso. Jeśli chcesz przechadzać się po światowej scenie, musisz być traktowany poważnie. – Podrapał czubek nosa małym palcem. – Webb może wprowadzić Paszkina do pokoju z odpowiednimi ludźmi. Z premierem. Kimś z rodziny królewskiej. Peterem Juddem. Zaufaj mi, to się liczy dla Paszkina. Będzie potrzebne mu jak największe wsparcie mediów zagranicznych, jeśli chce zrobić wrażenie u siebie w domu.

– Dwudziesty pierwszy wiek, Marcusie – zgodziła się Louisa. – Ale tu i ówdzie nadal panuje średniowiecze. Jeśli Paszkin zacznie promować się kosztem Putina Wielkiego, znajdzie swoją głowę nabitą na pal.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana.

Otworzyły się drzwi windy, pojawił się Paszkin, a u jego stóp, niczym wielkie ogary, stali Piotr i Kirył.

– Koniec – powiedziała i Marcus się zamknął.

Biuro na pierwszym piętrze było głośniejsze niż gabinet Catherine. Ruch na ulicach bardziej dawał się tu we znaki, można było dostrzec twarze pasażerów autobusów, które powoli mijały budynek nieprzerwanym przez kilka minut strumieniem, by później zniknąć nawet na pół godziny. Ale nie tym twarzom przyglądały się teraz dwie kobiety.

– To na pewno on.

To był on. Catherine nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Obraz na monitorze Shirley zastygł. Podzielony był na dwie części. Na jednej połowie wyświetlał się kadr z nagrania z monitoringu, które ukradła z DataLok: pan B w pociągu zmierzającym na zachód, jego sylwetka charakteryzowała się nienaturalną statycznością, dzięki której kadr wyglądał jak fotografia. Za nim młoda kobieta, którą przyłapano w trakcie wykonywania ruchu; na jej twarzy pojawiała się niedokończona myśl. Ale pan B był posłuszny i skoncentrowany, jak sklepowy manekin na krótkiej wycieczce.

Drugie zdjęcie przedstawiało te same ubrania, tę samą minę, tę samą łysą głowę. I pan B znów był nieruchomym centrum świata, choć ten świat był bardziej rozmazany, bardziej aktywny. Stał w kolejce, kiedy wszyscy wokół niego zostali przyłapani w nieruchomym zgiełku, gdy ciągnęli bagaże po błyszczących podłogach.

– Gatwick – powiedziała Shirley.

– Stara się nie zwracać na siebie uwagi – wymamrotała pod nosem Catherine.

Jednak w ten sposób potwierdzała się hipoteza Lamba. Jeśli pozostawiałeś tropy, chciałeś, by ktoś doszedł do samego końca. Pan B – czy ktoś, kto wydawał mu polecenia – chciał, aby odnotowano ten wyjazd, i bez wątplenia był zaskoczony, że potrzebowali tyle czasu. Nie mogli jednak wiedzieć, że w terenie będzie działał Slough House. W Regent's Park mieli dostęp do monitoringu z wszystkich lotnisk w kraju i mogli przepuścić nagrania przez najnowsze oprogramowanie do rozpoznawania twarzy. Przy Aldersgate Street Shirley Dander przepuszczała pliki wideo przez przestarzały program.

– Poranny lot – oznajmiła Shirley. – Do Pragi.

– Kiedy?

– Siedem godzin po tym, jak odwieziono go do Upshott. Po co było jechać tam taki kawał, skoro następnego ranka miał wsiąść do samolotu?

– Dobre pytanie – powiedziała Catherine, by nie udzielić odpowiedzi. – Okej, no to wiemy, dokąd pojechał. Sprawdźmy, kim był.

„Dobrze wypadliśmy”.

Webb ostrożnie odłożył telefon na biurko. Lubił, gdy wszystko było równo ułożone. Wygładził włosy. Ta zasada dotyczyła też włosów.

„Dobrze wypadliśmy”, powiedział Louisie Guy i naprawdę tak sądził. Wszystko, co miało się zdarzyć przed jutrzejszym spotkaniem, powinno być z nim najpierw omówione. Jeśli posiadał jeden talent – a miał ich całe mnóstwo – ale jeśli jeden z nich był wyjątkowy, to była nim umiejętność unikania katastrof.

Na przykład tej strasznej, okropnej nocy, gdy zginął Min Harper, Spider Webb został uprzedzony. Więc pojawił się na miejscu wypadku przed Jacksonem Lambem.

Wycucie czasu było kluczowe, jeśli chciało się uniknąć katastrofy. Później poszedł do Embankment i usiadł zwrócony twarzą w stronę ciemnych galerii położonych na drugim brzegu i najkrócej, jak to tylko możliwe, zastanowił się. Strategia to w dziewięćdziesięciu procentach reakcja. Jeśli będziesz daną sytuację rozważać zbyt długo, ogarnie cię paraliż.

Zadzwoił do Diany Taverner.

– Mamy problem.

– Harper – powiedziała.

– Słyszałaś.

Zdusiła w sobie westchnienie.

– Webb? Jestem Drugim Biurkiem. Ty w najlepszym razie jesteś chłopcem na posyłki. Więc tak, słyszałam o tym, że zabito Mina Harpera, zanim ty się o tym dowiedziałeś.

– Zabito?

– Rozjechano.

– Przyglądałem się sytuacji.

– Wspaniale – powiedziała. – Jeśli jego stan się zmieni.

– Chodziło mi o to...

– Daj mi, proszę, znać, może będziemy w stanie stworzyć coś pozytywnego. „Agent MI5 zamartwychwstał”. Mielibyśmy więcej chętnych do pracy, nie sądzisz?

– Chodziło mi o to, że rozmawiałem z Nickiem Duffym – rzekł, gdy zyskał pewność, że skończyła. – Był pierwszy na miejscu wypadku.

– Na tym polega jego praca.

– I on uważa, że sprawa jest czysta. Że jest tak, jak się wydaje. Że to był wypadek. Zapadła cisza.

– Jak dokładnie brzmiały jego słowa?

Duffy powiedział: „Nie możemy nic powiedzieć, póki nie sprawdzimy wszystkiego. Ale Min śmierdzi jak gorzelnia, a sprawca nie uciekł z miejsca wypadku, tylko pozostał na miejscu”.

– Generalnie tak jak powiedziałem – potwierdził Webb.

– Czyli to właśnie znajdziemy w jego raporcie.

– Obawiam się trochę, że to nie jest właściwy moment. Biorąc pod uwagę to spotkanie w The Needle...

– Jezu Chryste – rzekła Di Taverner. – Był twoim kolegą, Webb. Pracowaliście razem. Nie pamiętasz?

– Cóż, nie byliśmy zbyt blisko.

– I nie sądzisz, że zanim zaczniesz zastanawiać się, jaki wpływ na twoją karierę będzie miała jego śmierć, powinieneś pomyśleć, jak może wpłynąć na moją pracę?

– Myślałem. Myślę o nas obojgu. Gdy raport Duffy’ego potwierdzi wypadek drogowy, możemy opłakiwać Harpera, rzecz jasna, ale możemy też pracować dalej nad naszym zadaniem. Jednak jeśli ta śmierć będzie dokładniej badana, jego ostatnie dni znajdą się pod mikroskopem. A jeżeli Roger Barrowby zwręży, że nieoficjalnie ściągnęliśmy Harpera, gdy audyt idzie pełną parą...



– My?

– Odnutowałem naszą rozmowę – powiedział Webb. – Oczywiście, że to zrobiłem. Musiałem. Gdy to wypali, a my będziemy mieli Arkadego Paszkina jako sojusznika, naszego sojusznika, każdy od Regent's Park po Whitehall będzie chciał sobie przypisać zasługę. Zwłaszcza... no wiesz.

Ingrid Tearney, mówiło jego milczenie.

– Najlepiej od razu jasno zaznaczyć, kto wykonał całą pracę.

Teraz słyszał, jak myśli Diana Taverner.

Trzymając telefon przy uchu, Webb spojrział w górę. Nie widać było gwiazd, ale w Londynie rzadko dało się je zauważyć: ze względu na pogodę, zanieczyszczenie światłem, całą tę ciężką artylerię, z której miasto ostrzeliwuje niebo, i na ogół te czynniki miały przewagę. Tyle że to nie znaczyło wcale, że gwiazd nie ma.

– O co prosisz? – spytała w końcu.

– O nic. O nic wielkiego. Jeden telefon.

– Do?

– Nicka Duffy'ego.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że nic nie podejrzewa?

– Nic. Nic. Chcemy tylko, żeby złożył ten raport, nawet w wersji roboczej. Żeby mieć pewność, że wszyscy zachowają spokój do czasu, gdy sprawa The Needle zostanie doprowadzona do końca.

Znów cisza.

– I zdołaliśmy dokonać tego zamachu stanu...

– Nie przeginaj.

Znów się zastanowiła.

– Nie ma możliwości, by śmierć Harpera miała cokolwiek wspólnego z operacją?

– To był wypadek.

– A co, jeśli okaże się, że to był bardzo dobry wypadek, który ma coś wspólnego z tą operacją?

– Nic takiego się nie okaże. Paszkina nie ma nawet w kraju. A jeśli ktokolwiek zwęszył, że Paszkin planuje dołączyć do naszej drużyny, to, no cóż, nie Min Harper byłby kozłem ofiarnym. Był tylko pionkiem.

– Kulawym koniem, to chciałeś powiedzieć.

– Nawet nie miał pojęcia, o co chodzi. Z tego, co było mu wiadomo, opiekował się umową na dostawę ropy.

– Zdajesz sobie sprawę, że jeśli to wyjdzie na jaw, Roger Barrowby będzie naszym najmniejszym zmartwieniem – powiedziała. – Harper może i był kulawym koniem, ale nie zapominajmy, kto odpowiada za tę stajnię.

– Nie martw się. Będę ostrożnie stąpał w pobliżu jego delikatnych paluszków.

Zaśmiała się.

– Jackson Lamb jest równie delikatny jak słoń. – Usłyszał jakiś cichy dźwięk, jakby przełożyła telefon do drugiej dłoni albo coś w tym stylu. – Porozmawiam z Duffym. – Rozłączyła się.

I wówczas Webb pomyślał i od tamtej pory nie znalazł powodu, by zmienić

zdanie, że sprawa ze słoniami wygląda tak, że starzeją się i umierają. Był taki film dokumentalny: ciało słonia pozostawione przy wodopoju. Minęły godziny, zanim zleciały się muchy i ptaki i zbiegły hieny. Później pozostały już tylko słoniowe części. Jackson Lamb był kiedyś legendą, tak mówiono, ale to samo mówiono o Robercie De Niro.

„Dobrze wypadliśmy”.

Louisa Guy wykonywała swoje zadanie i nikt z Park, z wyjątkiem Lady Di, nie wiedział o akcji z Paszkinem. Pojutrze on, James Webb, może pociągać za sznurki najlepszego źródła, jakie Piątka zwerbowała od czasów, cóż... od zawsze.

Znaczenie miało tylko to, by wszystko potoczyło się gładko.

---

\* Z ang. *needle* – igła.

Dlaczego nie jedziemy? – zapytał Arkady Paszkin.

Znajdowali się w centrum miasta, przed nimi był korek, za nimi korek, nad głowami wielki znak informujący o robotach drogowych i czerwone światło wyraźnie widoczne przez przednią szybę. Dlaczego w takim razie nie jedziemy? Zastanawiała się Louisa. Trzeba być bogatym, by zadać to pytanie.

– Piotrze? – zapytał Paszkin.

– Jest duży ruch, szefie.

– Zawsze jest duży ruch. – A do Louisy powiedział: – Powinniśmy jechać kolumną. Mówię o jutrze.

– Wydaje mi się, że zarezerwowane są dla rodziny królewskiej – odparła. – Ministrów. VIP-ów.

– Powinny być dostępne dla tych, których na nie stać. – Zerknął przelotnie na Marcusa, jakby oceniał jego wartość netto, po czym spojrział znów na Louise. – Można by pomyśleć, że mając tyle doświadczenia, będziecie lepsi w kapitalizmie niż my.

– Sądzę, że nikt nie jest zaskoczony, że okazaliście się tak pojętnymi uczniami.

– Czy to błyskotliwa uwaga? Angielski nie jest moim językiem ojczystym. – Nie odwracając głowy, odezwał się do Piotra i Kiryła po rosyjsku. Kirył odpowiedział; Louisa nie była w stanie wyczytać nic z jego intonacji. Prawdopodobnie przemówił z szacunkiem. Ale może było tak jak w Nowym Jorku, gdzie ktoś cię mógł zapytać, która jest godzina, tonem sugerującym, że przed chwilą walnęła twoją matkę.

W tym samochodzie kierowca był oddzielony od pasażerów, choć szyba pozostawała opuszczona. Louisa i Marcus siedzieli zwrócenii twarzą do Paszkina, który skierowany był przodem do kierunku jazdy. Blisko auta trzymał się czerwony autobus. Wypełniony był mniej majątnymi ludźmi, którzy poruszali się po Londynie w bardzo powolnym tempie i prawdopodobnie byli tym faktem równie zdenerwowani co Paszkin, który poirytowany pokręcił głową i zabrał się do lektury „Financial Times”.

Auto ruszyło do przodu i przejechało po jakimś wyboju, który prawdopodobnie nie był rowierzystą.

Louisa zmrużyła oczy, gdy ból wbił się nożem między jej oczy, ale szybko zniknął. Jeśli cały czas starasz się wyglądać, jakbyś sobie radził, dość szybko zaczniesz sobie radzić.

Paszkin mlasnął z niezadowoleniem i przewrócił stronę gazety.

Wyglądał jak polityk, mówił jak polityk; prawdopodobnie był też charyzmatyczny. Może Marcus się nie mylił i Paszkin miał również ambicje, by objąć dowodzenie, a ten miniszcyt miał mniej wspólnego z kontraktem na dostawę ropy, a więcej z pokątnymi obietnicami przyszłych relacji i przyszłych przysług. Mogło

z tego wyjść coś dobrego, o ile nie wyjdzie z tego nic złego.

Sojusze polityczne często okazywały się nieudane: podawano sobie dłonie, sprzedawano broń, ale rząd brytyjski nigdy nie wypadł dobrze, jeśli drani, którzy odpowiadali za tortury, powiesili ich rodacy.

Siedzący obok Louisy Marcus poruszył się i otarł nogą o jej nogę. Właśnie szybko wymijał ich rowerzysta i tym razem Louisa poczuła nie ból w oczach, ale szarpnięcie w sercu, i w jej głowie znów obudziła się stara, spowszedniała logika: istniała możliwość, że Min upił się po ich kłótni, a była to sprzeczka tak błaha, że Louisa nie pamiętała nawet, czym była spowodowana. I że Min został zepchnięty z roweru i zabity – tak, to też mogło się zdarzyć. Ale nie jedno po drugim. Nie te dwie rzeczy w takiej kolejności. Jeśli w to uwierzy, będzie to oznaczało akceptację jakiejś kosmicznej ciągłości, zorganizowaną przypadkowość zdarzeń. Więc nie, musiało zadziałać coś głębszego, jakiś czynnik ludzki. A tym czynnikiem mogło być tylko zadanie, nad którym teraz pracowała, i ludzie, z którymi jechała samochodem. Albo inni, którzy wiedzieli o szczycie, chcieli go storpedować lub zmienić jego przebieg.

Zaczęła przygotowywać w pamięci listę wszystkich osób, do których nie żywiła zaufania, i musiała od razu przerwać. Potrzebowałaby całego dnia, a nie miała tyle czasu.

A później, z gwałtownością zęba uwalniającego się z zębodołu, samochód uwolnił się z korka i zaczął poruszać się bez przeszkód. Nad nimi budynki ze szkła i stali starały się ze wszystkich sił przekłuć niebo, a na chodnikach elegancko ubrani mężczyźni i kobiety mijali się, prawie na siebie nie wpadając. Min Harper nie żył od trzech tygodni. A Louisa była tutaj i wykonywała swoją pracę.

Gdy taksówka Lamba dotarła do pralni przy Swiss Cottage, jej koszt był tak wysoki, że taniej byłoby wrzucić koszulę do kosza i kupić kilka nowych. Auto odpłynęło w niekończącym się strumieniu pojazdów, a Lamb zapalił papierosa i przyglądał się plakatom w oknie pralni: wieczór z quizami, stand-upy, jutrzejsza pikietka Stop The City, cyrk bez zwierząt. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Gdy wypalił papierosa do końca, zgasił go na chodniku i wszedł do środka.

Pralki ustawione były wzdłuż dwóch ścian, większość z nich rytmicznie chlupała, wydając przy tym odgłosy podobne do tych, które wydawał żołądek Lamba, gdy budził się o trzeciej w nocy po wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu. Znał ten dźwięk. Pomieszczenie dzieliły rzędy ławek, na których siedziały cztery osoby: dwoje młodych ludzi, szczepionych ze sobą niczym drewniana łamigłówa; starsza kobieta kołysząca się w przód i tył i – na samym końcu – niski, ciemnowłosy mężczyzna w średnim wieku, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy, pochłonięty lekturą „Evening Standard”.

Lamb usiadł obok niego.

– Czy wiesz może, jak działają te pralki?

– Czy wiem może, jak działają te pralki? – Mężczyzna nie podniósł wzroku znad gazety.

– Przypuszczam, że pożerają pieniądze.

– I proszek do prania – dodał mężczyzna. Teraz spojrzał na niego. – Jezu, Lamb.

Nigdy wcześniej nie byłeś w pralni samoobsługowej? Wydawało mi się, że nie da się być już bardziej staroświeckim, może z wyjątkiem nawyku przedzierania pocztówek na pół.

Lamb upuścił siatkę na podłogę.

– Działalem pod innym rodzajem przykrycia – powiedział. – Kasyna, hotele pięciogwiazdkowe. Dziwki pierwsza klasa. Pranie zabierała obsługa z pokoju.

– Tak, a ja latałem do pracy dzięki plecakowi odrzutowemu, po czym mnie zwolnili. – Lamb wyciągnął rękę, a Sam Chapman ją uściśnił.

Zły Sam Chapman był kiedyś głównym psem, pełnił funkcję, którą teraz piastował Nick Duffy, aż do chwili, gdy szeroko relacjonowana w mediach zadyma związana z hurtową ilością pieniędzy sprawiła, że trzeba było podać jego tyłek na tacy: został bez pracy, emerytury, referencji, chyba że liczyło się: „Masz szczęście, że wyszedłeś z tego w pozycji pionowej”. Obecnie pracował dla agencji detektywistycznej specjalizującej się w odnajdywaniu uciekających z domu nastolatków, a przynajmniej w zbieraniu informacji z kart kredytowych zrozpaczonych rodziców tych nastolatków. Odkąd dołączył do nich Chapman, liczba rozwiązanych spraw wzrosła trzykrotnie, jednak mimo to mnóstwa dzieciaków nie udawało się odnaleźć.

– No to jak się żyje w świecie sekretów? – zapytał.

– No cóż, mógłbym ci odpowiedzieć na to pytanie...

– Ale musiałbyś mnie później zabić – dokończył Chapman.

– Ale zanudziłbym cię na śmierć. Znalazłeś coś?

Zły Sam podał mu kopertę. Sądząc po jej grubości, zawierała może dwie złożone kartki papieru.

– I to zajęło ci trzy tygodnie?

– Nie mam twoich zasobów, Jacksonie.

– Agencja się nie zaangażowała?

– Agencja pobiera opłaty. Istnieje jakiś szczególny powód, dla którego nie mogłeś tego zrobić u siebie?

– Owszem, nie ufam tym draniom. – Zamilkł. – No, może paru draniom. Ale nie na tyle, by wykonali dobrą robotę.

– No tak. Twój zespół i jego specjalne potrzeby. – Chapman pstryknął palcem wskazującym w kopertę, którą Lamb trzymał w dłoni. – Ktoś przyglądał się jej przede mną.

– Miałem taką nadzieję. Ta krowa zabiła agenta.

– Ale mnie nie wyprzedził – ciągnął Sam.

Jeden z młodych ludzi wstał gwałtownie z ławki i Sam zamilkł. Ten chłopak albo może dziewczyna, a może było to dwóch chłopaków albo dwie dziewczyny, nieważne, ten ktoś nakarmił najbliższą suszarkę brzęczącymi monetami, więc z pomrukiem wróciła do życia – po czym usiadł i znów owinął się wokół swojej drugiej połowy.

Lamb czekał.

– Ktoś ją sprawdzał i spodziewam się, że uznali ją za okaz zdrowia.

– Bo jest zdrowa?

– Bo nie przyłożyli się do pracy. Teraz wydaje się czysto, ale jeśli cofniesz się odpowiednio daleko, odkryjesz zupełnie coś innego.

– I ty to zrobiłeś.

– Ale mój poprzednik nie. Albo jakiś sługus, któremu zlecił to zadanie. – Chapman bez ostrzeżenia uderzył gazetą o ławkę. Płaśnięcie sprawiło, że starsza kobieta na moment przestała się kołysać, ale dzieciaki nie zareagowały.

– Jezu – powiedział. – Zwolnili mnie, żeby liczby się zgadzały. Gdybym był niekompetentny, dalej bym tam pracował.

– Tak, ale prawdopodobnie pracowałbyś u mnie. – Lamb schował kopertę do kieszeni. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Jest jeszcze jedna możliwość – rzucił Zły Sam. – Może nie przyłożyli się do tego, by ją sprawdzić, bo już wiedzieli, co znajdują.

– Tak jak wspominałem, nie ufam tym draniom – powiedział Lamb. Wstał. – Odezwij się czasem.

– Zapomniałeś koszuli! – krzyknął Sam.

Lamb popatrzył na mijaną migdalącą się parę.

– Nigdy nie zapomnę o tej koszuli – rzekł do nich uprzejmie.

Znalezienie taksówki na ulicy, która przypominała wirujący blaszany cyrk, zajęło mu pięć minut.

Wędrując do The Downside Man, River rozmyślał o zleconym mu zadaniu. Kontakt. Pan B przyjechał do Upshott, by nawiązać kontakt: ze swoim opiekunem albo agentem. River nadal nie miał pojęcia, kim mógł być ten człowiek.

Zadomowienie się w wiosce nie zajęło mu dużo czasu. W pewnym sensie spodziewał się scenariusza rodem z horroru *Kult*, z mieszkańcami w strasznych maskach, ale wystarczyło, że pojawiał się każdego wieczoru w pubie i przychodził do kościoła na wieczorne nabożeństwa. Wszyscy byli sympatyczni i nikt jeszcze nie próbował go podpalić żywcem.

Pomagała mu też przykrywka pisarza. Pozornie w Upshott działo się mniej niż w innych wioskach w Cotswold; nie była równie malownicza, nie było w niej galerii, kawiarni, księgarni; żadnego miejsca, gdzie zainteresowani kulturą ludzie mogliby się zebrać i dyskutować o swoich artystycznych upodobaniach. Jednak pozostała schronieniem dla klasy średniej w takim samym stopniu jak sąsiednie miejscowości: plakat reklamujący niedawny Tydzień Sztuki, odbywający się na terenie całego hrabstwa, wymieniał cztery miejsca w okolicy, a w jednej z podrabianych stodół przy głównej drodze mieściła się pracownia ceramiczna, w której ceny były bezpiecznie absurdalne. Pisarz pasował tu jak ulał.

Jeśli chodzi o mieszkańców, których dotąd poznał, to większość z nich była na emeryturze lub pracowała zdalnie, a ich dochody okazywały się zupełnie niezależne od miejsca zamieszkania. Ci, którzy byli zatrudnieni w bazie Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, zmienili pracę dawno temu; pozostało kilku rolników i garstka osób pracujących w swoich furgonetkach lub garażach: stolarz, elektryk, dwóch hydraulików – jednak nawet wśród rzemieślników miało się wrażenie kunsztu wysokiej jakości, co potwierdzały ceny ich usług.

Niewielu z nich urodziło się i wychowało w Upshott. Dwudziestoparolatkiem pochodzili raczej z rodzin napływowych, należała do nich też Kelly; jej ojciec, prawnik, pracował w pobliskiej kancelarii. Kelly ukończyła politologię, a praca w pubie nie była raczej jej wyborem życiowym, lecz badaniem gruntu przed podjęciem decyzji, co dalej. Wyglądało na to, że wykształcenie politologiczne jest mniej więcej tak przydatne, jak by się mogło wydawać. Jednak sprawiała wrażenie szczęśliwej: pozostawała w centrum kręgu znajomych: agentów nieruchomości, projektantów albo architektów, którzy pracowali nawet w Worcester, ale każdego wieczoru wracali do Upshott i spotykali się w pubie, chyba że akurat wybierali się do pawilonu przy poligonie Ministerstwa Obrony, tam gdzie stał mały samolot Raya Hadleya. To, według Rivera, było prawdziwą pępowiną: jeśli pragnęli wolności nieba, musieli wracać do wioski. River, który był od nich niewiele starszy, sądził, że byli na tyle młodzi, by uznawać, że cena jest niska.

Z drugiej jednak strony nie wyjaśniało to w żaden sposób, co przyciągnęło tu pana B. Być może Lamb miał rację i w centrum wydarzeń była stara amerykańska baza. To z niej słynęło Upshott, nawet jeśli sama baza nie pojawiała się wówczas na mapach. To właśnie dlatego umieścił ją w samym sercu swojego alter ego; miejsce akcji jego powieści. A teraz bazy nie było, na jej miejscu powstał poligon artyleryjski Ministerstwa Obrony, co sprawiło, że szanse na to, by cokolwiek, co tam ukryto, przetrwało piętnaście lat, stawały się jeszcze bardziej nikłe... Jednak mimo wszystko trzeba było się temu przyjrzeć, choćby dlatego, że Riverowi kończyły się pomysły. I musiał zobaczyć ów poligon w taki sam sposób, w jaki widział go pan B, o ile tym właśnie pan B się zajął – po ciemku i po przeskoczeniu ogrodzenia. I to właśnie planował później zrobić.

A ponieważ był tu obcy i nie miał zamiaru skończyć w rowie czy w areszcie, nie miał zamiaru iść tam sam.

Jak wspomniał Marcus, The Needle nazywano tak ze względu na maszt na dachu budynku, jednak wszystko związane z tym budynkiem dawało wrażenie ostrości. Jego trzysta dwadzieścia metrów wysokości wybuchało w powietrze z płytkiego krateru, wyłożonego czerwoną cegłą, ułożoną na kilku poziomach i nabitego ogromnymi brązowymi donicami, z których wyrastały drzewa wciąż tak rachityczne, że nie rzucały żadnego cienia, choć rozmiar donic sugerował, że wyrosną na wysokie i liściaste. Gdźieniedzie ustawiono kamienne ławki, przy których znajdowały się małe płaskie cementarze niedopałków, a reflektory wycelowano tak, by oświetlały boki budynku. W nocy był podświetlony jak w wesołym miasteczku. W świetle dziennym, z tej perspektywy, wyglądał na mroczny, trochę strasznie i nie na miejscu – jakby prosił się o kłopoty.

Budynek miał osiemdziesiąt pięter, z których pierwsze trzydzieści dwa należały do jeszcze nieotwartego hotelu, w przeciwnym razie Paszkin bez wątpienia zarezerwowałby w nim apartament. Pozostałą część wynajmowano, ale jeszcze nie była w pełni zajęta. Jednak The Needle cieszył się szczelną ochroną, która ostatnio wzniosła się o kilka klas wyżej wraz z pojawieniem się znikąd Rumble, nieoczekiwanego rywala Apple, który przygotowywał się do premiery nowej wersji

czytnika książek, mającego podbić świat; oraz de Koenig, handlarzy diamentów, i BiffordJenningsWhale, spółki handlowej z chińskim kapitałem. Tutaj, obok banków, firm ubezpieczeniowych, domów maklerskich i siedzib konsultantów do spraw oceny ryzyka, mieściły się ambasady bogatych rajów podatkowych, których przyciągnęły jasne światła i panoramiczne widoki. Praktycznie mały ONZ, choć bez zadeklarowanego zamiaru czynienia dobra względem kogokolwiek poza samymi zainteresowanymi.

Podczas pierwszej tu wizyty z Minem Louisa zeszła schodami piętro niżej, ale nie była w stanie wejść na ten poziom. Drzwi wychodzące na klatkę schodową działały tylko w jedną stronę i otwierały się wyłącznie w czasie pożaru czy innego niebezpieczeństwa, a dostęp do wind biznesowych – osobnych od wind hotelowych – był ograniczony. Kamery monitorowały wszystkie lobby. Louisa nie wiedziała, kto jest właścicielem biura, które wyłudził Spider Webb. Celowo zatajono te informacje w dokumentach. Kimkolwiek był właściciel, z pewnością pozostawał otwarty na negocjacje, ale trzeba przyznać, że Webb kolekcjonował tajemnice innych ludzi. Min się z niego naśmiewał, jednak Spider Webb był takim człowiekiem, z którego jeśli się naśmiewasz, to powinieneś później sprawdzić, czy cię nie usłyszał.

Louisa gwałtownie pokręciła głową. Nie myśl o tym. Nie myśl o Minie. Wykonuj swoją pracę. Zbieraj sekrety dla siebie.

– Jakiś problem?

– Skąd. Nie ma żadnego problemu.

Paszkin skinął głową.

I trzymaj myśli zamknięte w swojej głowie, dodała. Nie podobał się jej sposób, w jaki Paszkin na nią patrzył, jakby z jej wyrazu twarzy czytał jak ze scenariusza.

Byli w windzie, która w szybkim tempie zmierzała w górę. Ich nazwiska spisano przy wejściu, ponieważ protokół bezpieczeństwa wymagał, by przez cały czas rejestrowano, kto w danym momencie przebywa w budynku. Podczas spotkania z Webbem ten krok zostanie pominięty – Webb przekazał im kartę do windy technicznej, do której był dostęp z poziomu podziemnego parkingu. Planowali widzieć miasto, ale sami pozostać niewidoczni. Nikt nie będzie wiedział, że tam są.

Jednak dziś poprowadzono ich przez atrium, w którym piął się niewielki las deszczowy. Ów pokaz ekologicznego podejścia nowego hotelu rozrósł się w ciągu ostatnich trzech tygodni. Goście będą mogli spacerować po jego poszyciu, gdy zmęczą się wielkim miastem, a potem pójść na drinka i do sauny, gdy zmęczą się przyrodą. Wokół tej zieleni z dnia na dzień topniała liczba ludzi wykonujących różnorakie zadania nieodłącznie związane z otwarciem hotelu światowej klasy, od którego nadal dzielił ich miesiąc.

– W Chinach – zauważył Paszkin – budynki tych rozmiarów, nawet z wszystkimi tymi wymyślnymi, wymyślnymi...

Stracił wątek i warknął jakieś słowo do Piotra, który odpowiedział: „Pułapkami”.

– ...z tymi wszystkimi wymyślnymi pułapkami budowane są w miesiąc.

– Zakładam, że nie są nadmiernie obciążeni przepisami BHP – rzekł Marcus.

W biurze Paszkin obszedł stół, jakby go mierzył. Odezwał się kilka razy po



rosyjsku: krótkie, ostro brzmiące zdania, które zdaniem Louisy mogły być pytaniami, bo po każdym z nich Piotr i Kirył udzielali jeszcze krótszej odpowiedzi. W tym czasie Marcus ustawił się z założonymi rękami przy drzwiach. Działał w Operacjach, przypomniała sobie Louisa; pewnie pracował przy akcjach grubszych niż ta, zanim stracił panowanie nad sobą, jeśli w ogóle to było przyczyną jego zesłania. W tej chwili wydawało się, że widoki nie robią na nim wrażenia; przyglądał się głównie Piotrowi i Kiryłowi.

Paszkin stał, trzymając kciuki zahaczone o kieszenie marynarki, usta miał zaciśnięte. Mógłby być potencjalnym najemcą, który szuka pretekstu, by zaproponować obniżenie czynszu.

– Zakładam, że są wyłączone – odezwał się, kiwając głową w stronę kamer zamocowanych nad drzwiami.

– Tak.

– I nie ma tu żadnego sprzętu nagrywającego.

– Żadnego.

– Co się dzieje w sytuacjach awaryjnych? – zapytał, jakby odhaczając kolejne punkty zapisanej w głowie checklisty.

– Są klatki schodowe – powiedziała Louisa. – Przy północnej i południowej ścianie. – Dla uściślenia wskazała je palcem. – Windy są blokowane i nie zabierają pasażerów. Szyby klatek schodowych są wzmocnione, a wszystkie drzwi, rzecz jasna, ognioodporne. Otwierają się automatycznie.

Skinął głową. Zastanawiała się, jakiej sytuacji awaryjnej się spodziewał. Ale przecież cały problem z sytuacjami awaryjnymi polegał na tym, że się ich nie spodziewano.

Gdy już zaczęło się myśleć w ten sposób, ciężko było się nie zaplątać w związane z tym banały.

– To całe mnóstwo schodów – stwierdził Paszkin.

– Mogło być gorzej – powiedziała. – Mógłby pan być zmuszony po nich wchodzić.

Zaśmiał się głębokim śmiechem prosto z serca jego masywnej sylwetki.

– Racja. Ale jaka sytuacja awaryjna zmuszałaby do wbiegnięcia schodami na siedemdziesiąte siódme piętro?

Nieważne, jaka by to była sytuacja, pomyślała, jeśli nawet na początku nie byłaby poważna, to z pewnością taka by się stała, zanim ktokolwiek dotarłby na górę.

Louisa, Paszkin oraz dwóch pozostałych Rosjan podeszli do okna. Gdy była tu poprzednim razem, czuła się przytłoczona przestrzenią, jaką oferował budynek; całym tym niebem górującym nad miastem. Wieżowiec był piękny, ale śmierdział bogactwem, które tamtego dnia stanowiło dla niej ciężar: wtedy potrzebowała pieniędzy, potrzebowała lepszego miejsca dla siebie i Mina; potrzebowała większego kawałka tej przestrzeni. A Min był przy niej, na tyle blisko, że mogła go dotknąć. Nie posiadali zbyt wiele pieniędzy ani wystarczająco dużo miejsca, ale to było więcej, niż Louisa miała teraz.

Na horyzoncie pojawił się helikopter ratowniczy, rozcinając przestrzeń między

wschodem a zachodem. Obserwowała jego bezgłośnie postępy; był jak pomarańczowa wałka nieświadoma swojego absurdalnego kształtu.

– Może – zaproponował Paszkin – powinniśmy zejść po schodach, co? Żeby sprawdzić, jak sobie poradzimy w sytuacji awaryjnej.

Odwróciła się. Marcus stał teraz przy stole, nachylał się nad nim i opierał dłonie o blat. Miała wrażenie przerwane go ruchu, ale z miny Marcusa nic nie dało się wyczytać.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała. – Jedźmy windą.

Jackson Lamb, siedząc w taksówce, otworzył kopertę, którą dał mu Chapman, i znalazł w niej dwie kartki. Przeczytał je i przez resztę drogi był tak rozkojarzony, że niemal zapomniał poprosić o paragon.

Kiedy dotarł do swojego gabinetu, była w nim Standish; miała zaróżowione policzki, jakby to ona właśnie wbiegła na czwarte piętro.

– Mamy nazwisko pana B – oznajmiła.

– Boże, prowadziłaś śledztwo.

Zsunął płaszcz z ramion i rzucił nim. Catherine złapała go i przewiesiła sobie przez ramię.

– Andriej Czernicki – jej słowa zabrzmiały złowrogo. – Użył paszportu na takie nazwisko, gdy stąd odleciał. Jest w rejestrach Regent's Park.

– Niech zgadnę. Drugorzędny agent. – Lamb przecesał palcami swoje tłuste, rzadniejące włosy i ulokował się za biurkiem. – Nie pracował dla KGB, ale pełnił funkcję wspierającą, gdy potrzebny był ktoś do brudnej roboty.

– Wiedziałeś już o tym?

– Znam ten typ człowieka. Kiedy wyjechał?

– Następnego ranka po tym, jak zabił Dickiego Bowa.

– Odnotowuję brak słowa „rzekomo”. Zaczynasz mi wierzyć, Standish?

– Nigdy nie przestałam ci wierzyć. Nie jestem tylko pewna, czy wysłanie Rivera samego jest dobrym sposobem na odkrycie, co się dzieje.

– Tak, mogłem przygotować raport – powiedział Lamb. – Zaprezentować go Rogerowi Barrowby'emu, który ewidentnie teraz rządzi. On kazałby przeczytać raport trzem innym osobom i przygotować zalecenia, a gdyby okazały się pozytywne, zwołałby tymczasowy komitet, który zbadałby możliwe ścieżki reagowania. Następnie...

– Zrozumiałam.

– Bardzo mnie to cieszy. Sam siebie zaczynałem już zanudzać. Czy dobrze rozumiem, że zrekrutowałaś Ho do swoich badań? Czy nadal gra w gry komputerowe w czasie pracy?

– Jestem pewna, że ciężko pracuje nad archiwum – odparła Catherine.

– Jestem pewien, że ciężko pracuje nad moją dupą – przerwał Lamb. – To było bez sensu. Udawaj, że tego nie powiedziałem.

– Andriej Czernicki – przypomniała Catherine. – Rozpoznałeś go?

– Gdyby tak było, nie sądziłbyś, że bym o tym wspomniał?

– Zależałoby to od twojego nastroju – odparła. – Pytam o to dlatego, że Dickie

Bow najwyraźniej go znał. Co sugerowałoby, że Czernicki pracował w Berlinie.

– Nie bez powodu nazywali to miasto zoo szpiegów – stwierdził Lamb. – Każdy nieudacznik, gotów się sprzedać za dwa gorsze, prędzej czy później się tam pojawiał.

Znalazł paczkę papierosów, jednego włożył do ust.

– Masz swoją teorię, prawda?

– Tak. Uwa...

– Nie powiedziałem, że chcę ją usłyszeć. – Zapalił papierosa. Zapach świeżego tytoniu wypełnił pomieszczenie, wypierając zapach zatechłego tytoniu. – A co z twoją pracą? Czy na moim biurku nie powinny się znaleźć raporty?

– Gdy Dickie Bow został porwany... – zaczęła.

– Zwykle mówimy raczej: uprowadzony.

– Gdy Dickie Bow został uprowadzony...

– Naprawdę nie mam wyboru i muszę tego wysłuchać, prawda?

– Powiedział, że było dwóch gości. Jeden nazywał się Aleksander Popow. – Catherine odganiała dłonią dym. – Sądzę, że tym drugim był Czernicki. Mięśniak Popowa. Dlatego Bow rzucił wszystko i ruszył za nim. To nie był jakiś przypadkowy szpieg z dawnych lat. Ale ktoś, kogo Bow dokładnie zapamiętał, a być może nawet ktoś, na kim chciał się zemścić.

Niezależnie od tego, że właśnie palił papierosa, Lamb sprawiał wrażenie, jakby coś żuł. Może własny język?

– Zdajesz sobie sprawę, co to by oznaczało?

– Aha.

– Aha, rozumiem, czy aha, które ma znaczyć, że mam powiedzieć, co to oznacza, a ty udasz, że od początku wiedziałaś?

– Porwali go. Zmusili do picia alkoholu. Wypuścili – rzekła Catherine. – Nie miało to żadnego sensu, poza tym, że im się przyjrzał. Żeby pewnego dnia mogli zamachać mu peleryną przed nosem, a on poszedłby za nimi jak dobrze wytresowany pudel.

– Jezu. – Lamb wydmuchał szare powietrze. – Nie wiem, co bardziej mną wstrząsnęło. Czy pomysł, że ktoś miał plan na dwadzieścia lat do przodu, czy fakt, że go rozgryzłaś.

– Popow dwadzieścia lat temu zgarnął z ulicy brytyjskiego szpiega, a jego jedynym motywem było to, by w odpowiednim czasie móc użyć go jako dzwonka alarmowego.

– Popow nigdy nie istniał – przypomniał jej Lamb.

– Ale ten, kto go wymyślił, owszem. I najwyraźniej to była część planu. I cykady. Uśpiona komórka.

– Każdy plan wymyślony przez sowieckiego szpiega dwadzieścia lat temu jest już od dawna przeterminowany – oznajmił Lamb.

– W takim razie może to nie jest ten sam plan. Może go zmieniono. W każdym razie ten plan jest w tej chwili realizowany. Ty już nie gonisz duchów z przeszłości. To duch z przeszłości wymachuje rękami i krzyczy: „Popatrz na mnie!”.

– A dlaczego?

– Nie mam pojęcia. To wymaga jednak bardziej rozważnej reakcji niż spuszczenie Rivera Cartwrighta ze smyczy. Czernicki z jakiegoś powodu pojechał do Upshott, a jedynym rozsądnym powodem wydaje się fakt, że może tam przebywać przywódca tej sieci. I niezależnie od tego, kto to, możesz dać głowę, że już wiedzą, iż River nie jest tym, za kogo się podaje.

– Mogę też dać głowę Rivera – stwierdził roztropnie Lamb. – Byłoby to dla mnie bezpieczniejsze i wygodniejsze.

– To nie żarty. Sprawdzalam nazwiska z raportów Rivera. Żadne z nich nie alarmuje: „Radziecki agent”. Ale przecież gdyby było inaczej, nie zdołaliby się ukrywać przez tyle lat.

– Nadal do mnie mówisz czy głośno myślisz? – Lamb po raz ostatni zaciągnął się dymem i wrzucił niedopałek do kubka z kawą. – Bowa zamordowano, owszem. To smutne, ale nieszczęścia chodzą po ludziach. I zabito go po to, by rozstawić tropy. Nie wiadomo, o co w tym chodzi, ale na pewno nie o załatwienie Rivera Cartwrighta. Ktoś chce, żebyśmy z jakiegoś powodu trafili do Upshott. Prędzej czy później, ale prawdopodobnie prędzej, dowiemy się, kto tego chce i dlaczego.

– Czyli co, nic nie robimy? Taki masz plan?

– Och, nie martw się. Na razie mamy mnóstwo kwestii do przetrawienia. Czy nazwisko Rebecca Mitchell coś ci mówi?

– To ona przejechała Mina?

– No, tak. Ponieważ on był pijany, a ona jest kobietą, nic dziwnego, że psy uznały to za wypadek. A nie powinni byli tego zrobić. – Lamb wyciągnął z kieszeni kopertę od Złego Sama i rzucił ją na biurko. – Przejrzeli jej historię z ostatnich dziesięciu lat, gdy była czysta jak łąka, jeśli pominąć zabicie jednego z członków mojego zespołu. Nie powinni tego w taki sposób załatwić. Powinni byli przyjrzeć się jej całemu życiu, z każdej możliwej strony.

– I czego by się dowiedzieli?

– Że kiedyś była czysta inaczej. W latach dziewięćdziesiątych sypiała z różnymi kolesiami, ale miała szczególną słabość do romantycznych Słowian. Przez pół roku mieszkała z parą uroczych dżentelmenów z Władywostoku, którzy pomogli jej rozkręcić firmę cateringową, po czym się zwinęli. Choć oczywiście – dodał – to może być przypadek, a ona jest Królową Śnieżką.

Catherine, która rzadko zniżala się do takiego poziomu, zaklęła.

– Owszem, ja również. – Lamb uniósł kubek z kawą do ust, po czym zauważył, że pełni on funkcję popielniczki. – A jakbym nie miał wystarczająco dużo na głowie, to jeszcze okazuje się, że plany, jakie mają te podejrzane ruskie dranie od Spidera, są na tyle szemrane, że można z ich powodu zabić Harpera. – Odstawił kubek. – Nieszczęścia chodzą parami, prawda?

Odstawili Rosjan do hotelu, po czym ruszyli w kierunku metra. Marcus zaproponował powrót taksówką; Louisa wskazała na korki i poruszające się w niemrawy sposób auta. Miała w tym ukryty cel: w taksówce nie będzie miała wielkiego wyboru i będzie musiała ścierpieć rozmowę z Marcusem. W metrze była większa szansa, że sobie odpuści. Przynajmniej w teorii. Ale gdy kierowali się do

metra, zapytał:

– Co o nim myślisz?

– O Paszkinie?

– No a o kim?

– Dotyczy go nasze zlecenie – odparła i przyłożyła kartę Oyster do czytnika. Bramka otworzyła się, a Louisa przeszła na drugą stronę.

– Jest gangsterem – rzekł idący krok za nią Marcus.

Webb powiedział to samo. Kiedyś w mafii. Dziś jednak Paszkin należał do establishmentu, a przynajmniej był na tyle bogaty, by za takiego uchodził, i choć Louisa nie wiedziała, jak to działa w Rosji, to w Londynie, gdy osiągnąłeś odpowiedni poziom bogactwa, bycie gangsterem stawało się już drobnym przewinieniem, na równi z założeniem krawatu klubu, którego nie jest się członkiem.

– Ma ładny garnitur, dobre maniery i mówi po angielsku lepiej niż ja. I jest właścicielem rafinerii. Ale jest gangsterem.

Na szczycie ruchomych schodów plakat ostrzegał przed zakłóceniami w kursowaniu metra podczas jutrzejszego protestu. Biorąc pod uwagę, że protestowano przeciwko bankom, były duże szanse, że weźmie w nim udział wiele osób i sprawy wymkną się spod kontroli.

– Być może – odpowiedziała. – Ale Webb mówi, żebyśmy traktowali go jak członka rodziny królewskiej, więc tak właśnie zrobimy.

– Czyli co, załatwimy mu nieletnią masażystkę? Czy obciążymy za kreskę kokainy?

– Chyba nie o takich członków rodziny królewskiej chodziło Webbowi – odpowiedziała.

W pociągu Louisa zamknęła oczy. Część jej mózgu zajmowała się kwestiami logistycznymi: protest będzie miał znaczenie. Nie da się dodać do tego równania ćwierć miliona wkurzonych obywateli bez utrudnienia sytuacji. Jednak te myśli stanowiły alibi, wędrowały przez jej świadomość, na wypadek gdyby ktoś wynalazł urządzenie do czytania myśli. Za dwa dni szczegóły takie jak ich trasa do The Needle będą równie bezużyteczne co świąteczne ciasteczka.

– Louisa? – Marcus Longridge znów coś mówił. Otworzyła oczy. – Nasza stacja.

– Wiem – powiedziała, ale on i tak patrzył na nią z lekkim zdziwieniem. Przez całą drogę z peronu na ulicę szedł o krok lub dwa za nią. Jego uwaga przybrała formę gorącego punktu na jej karku.

Zapomnij o tym. Zapomnij o jutrze. Jutra nie będzie.

Tylko dziś.

Gdy River wszedł do pubu, przywitano go z dwóch różnych stolików. Pomyślał, że w Londynie można było latami podpierać bar w swoim zwyczajowym miejscu i nikt nie wiedziałby, jakie imię umieścić na wieńcu pogrzebowym, gdyby cię zabrakło. Ale może to kwestia jego osoby. Może River łatwo nawiązywał znajomości tylko wtedy, gdy udawał kogoś innego. Odpowiedział na wszystkie przywitania i zatrzymał się przy stoliku Butterfieldów: Stephenie i Meg. Żadne z nich nie potrzebowało drinka.

Kelly stała za barem i wycierała kieliszek ściereczką.

– Jak miło cię widzieć – oznajmiła.

Z całą pewnością bawiła się nim, ale nie stanowiło to dla niego problemu.

Zamówił wodę mineralną, a ona lekko uniosła brwi.

– Świątujesz?

Gdy poszła po wodę, poczuł ukłucie i miał nadzieję, że nie było to jego sumienie. Gdyby poznał Kelly gdziekolwiek indziej, zrobiłby, co w jego mocy, by trafić z nią dokładnie w to samo miejsce, w którym byli przed południem. Dlaczego więc był pewien, że gdyby odkryła, że nie jest tym, za kogo się podaje, ucięłaby mu...

– Jaja marynowane?

– Słucham?

– Chcesz do tego marynowane jaja? To tutejszy popularny przysmak.

Wymówiła te słowa starannie, jakby zachęcała do porównania z innymi tutejszymi przysmakami, których ostatnio miał przyjemność próbować.

– Kuszące, ale tym razem odpuszczę – odpowiedział. – Dziś nie zbiera się klub lotników?

– Greg wpadł wcześniej. Miałeś ochotę złapać kogoś konkretnego?

– Nikogo, kogo bym już wcześniej nie złapał – szepnął.

– Ściany mają uszy.

– Nie powiem ani słowa.

– To dobrze – odparła. – Jeszcze zrobimy z ciebie szpiega.

Jej słowa nadal wybrzmiewały w jego głowie, gdy wracał do Butterfieldów.

Stephen i Meg Butterfieldowie. Rodzice Damiena, członek klubu lotników. On przed emeryturą pracował w wydawnictwie; ona zaś była współwłaścicielką butiku w Moreton-in-Marsh. Mieszkali na wsi, ale nie byli ze wsi, jak to określił Stephen. Mieszkali na wsi, lecz z radością wpadali do Londynu dwa razy w miesiącu, żeby coś zjeść, spotkać się z przyjaciółmi, pójść do teatru, „przypomnieć sobie, jak wygląda cywilizacja”. Jednak z taką samą radością on nosił tweedowy kaszkiet, zielony sweter z dekoltem w szpic i laskę ze srebrną główką. Więc raczej: mieszkali na wsi, gdzie ładnie wtopili się w otoczenie.

– Jak idzie pisanie? – zapytał Rivera.

– Och, sam wiesz. Dopiero zaczynam.

– Nadal zbierasz materiały? – spytała Meg.

Choć spoglądała na Rivera, jej długie, nerwowe palce bawiły się ustawionymi przed nią akcesoriami do palenia papierosów: paczką tytoniu, bletkami Rizla, jednorazową zapalniczką. Jej jasne, siwiejące włosy były dziś okryte, zwinięte i obwiązane czarną jedwabną apaszką; to, a także zmarszczki wokół oczu i nawet jej ubrania wyróżniały ją jako palaczkę – długa do kostek spódnica połyskująca srebrnymi nitkami i czarny kardigan z głębokimi kieszeniami, czerwony szal z frędzlami, którym owinęła się niczym wysiedlony Beduin. W Londynie uznaliby ją za podstarzałą hipiszkę; tutaj przypominała raczej czarownicę po godzinach. Był sobie w stanie wyobrazić, że przygotowuje remedium dla nieszczęśliwie zakochanych wiejskich absztyfikantów, jeśli takie słowo dalej funkcjonowało. Być może w tych okolicach – tak. W mieście nie było na nich popytu.

Para siedziała obok siebie, co River uznał za uroczne.

– Dziewięćdziesiąt procent pracy za mną – powiedział. Zabawne, jak łatwo przychodziło mu bycie ekspertem w sprawach pisania. – Przelanie tego na papier to łatwizna.

– Rozmawialiśmy o tobie z Rayem. Poznałeś już Raya?

River nie znał, choć z tym imieniem osłuchał się już aż za dobrze. Wszyscy w wiosce tańczyli, jak Ray im zagrał: był w radzie parafialnej, w zarządzie szkoły, we wszystkim, co wymagało podpisu na wykropkowanej linii. Był też szarą eminencją klubu lotników: emerytowanym pilotem i właścicielem małego samolotu ulokowanego niedaleko ziemi należącej do Ministerstwa Obrony. A mimo to był nieuchwytny.

– Nie poznałem, nie.

Ponieważ Hadley zawsze albo wyszedł chwilę wcześniej, albo miał się pojawić lada moment, ale się nie pojawiał. W Upshott nie było zbyt wielu miejsc, które nie były pubem, ale Hadley znalazł sposób, by trafić do większości z nich w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– Ray bardzo kumplował się z dowódcami z bazy – ciągnęła Meg. – Ciągłe jeździł tam i z powrotem. Prawda, kochanie?

– Gdyby miał okazję, pewnie by do nich wtedy dołączył. Nadal chętnie by to zrobił. Mieć okazję latać tymi jankeskimi odrzutowcami... Oddałby za nią prawe jądro.

– Nie mogę uwierzyć, że jeszcze się nie poznaliście – powiedziała Meg. – Na pewno się przed tobą ukrywa.

– Właściwie to wydaje mi się, że widziałem dziś rano, jak idzie do sklepu. Wysoki, łysy, tak?

Zadzwoił telefon Meg: *Ave Satani*.

– Syn i dziedzic – rzekła. – Przepraszam. Damien, kochanie. Tak. Nie. Nie wiem. Zapytaj ojca. – Podała telefon Stephenowi, po czym zwróciła się do Rivera: – Wybacz, mój drogi. Wskoczę na fajkę. – Zebrała swoje utensylia i ruszyła w stronę drzwi.

Stephen Butterfield zaczął rozwlekle wyjaśniać, co wydaje się, że jest nie tak

z samochodem Damiena, ruchem brwi przeprasząc Rivera, który pokazał na migi, że nie ma sprawy, i wrócił do baru.

Pub miał dębowe krokwie, do których przyklejono papierowe pieniądze, i bielone ściany z zawieszonymi na nich narzędziami rolniczymi. W kącie widział fotografie przedstawiające Upshott na przestrzeni lat. Większość z nich zrobiono na zewnątrz – ukazywały grupy ludzi przechodzących metamorfozy od czarno-białej powagi do mody lat siedemdziesiątych rodem z *Pomocy! To banda Kudłacza*. Najnowsze przedstawiało dziewięcioro dorosłych, którzy czuli się dużo swobodniej ze swoją młodością i urodą niż wcześniejsze pokolenia. Stali na pasie asfaltu, wśród nich trzy kobiety; w środku Kelly Tropper. W tle mały samolot.

Przyglądał się tej fotografii podczas pierwszego wieczoru, jaki tu spędził, rozpoznał wtedy kobietę, która podała mu przed chwilą piwo, gdy pojawił się mężczyzna. Był mniej więcej w wieku Rivera, choć postawniejszy, a jego głowa przypominała piłkę do kręgli: włosy przystrzyżone przy skórze, równie rzadki kłujący zarost na brodzie i nad górną wargą, świdrujący wzrok pełny przebiegłości, a może podejrzliwości. River widywał podobne oczy w innych pubach. Nie zawsze oznaczały one kłopoty, ale gdy kłopoty jednak się pojawiły, na ogół te oczy były w samym ich centrum.

– A ty kim jesteś?

Bądźmy grzeczni, pomyślał River.

– Nazywam się Walker.

– Naprawdę.

– Jonathan Walker.

– Jonathan Walker – powtórzył mężczyzna melodyjnym głosem mającym podkreślić zniewieściałą naturę każdej osoby o tak wątych nadgarstkach, by przybrać nazwisko Jonathan Walker.

– A ty nazywasz się?

– A od kiedy to twój interes?

Wtedy wtrącił się trzeci głos i oto nadeszła barmanka, rzucająca energicznie: „Zachowuj się”.

– Nazywa się Griff Yates – zwróciła się do Rivera.

– Griff Yates – powiedział River. – Czy powinienem to powtórzyć śmiesznym głosem? Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem tutejsze zasady.

– O proszę, mamy mądralę – powiedział Yates.

Odstawił piwo, a River nagle wyobraził sobie, co pomyślałby o tej sytuacji jego dziadek. „Działasz pod przykrywką od zaledwie pięciu minut, i mniej więcej tyle czasu dzieli cię od publicznej bójki. Który element ukrycia sprawia ci problemy?”

– Ostatnim mądralą, jakiego tu gościliśmy, był ten miastowy cymbał, który zamieszkał na lato w domu Jamesa. I wiesz, co się z nim stało?

River nie miał pola do manewru.

– Nie – odpowiedział. – Co się z nim stało?

– Spierdolił tam, skąd przyszedł, prawda? – Griff Yates zamilkł na chwilę, po czym wybuchnął śmiechem. – Spierdolił tam, skąd przyszedł – powtórzył i śmiał się



tak długo, aż River do niego dołączył, a następnie kupił mu piwo.

To była pierwsza znajomość, jaką River zawarł w Upshott, i nieco bardziej wyboista niż te następne, ale Griff Yates był dziwakiem; Griff Yates był tutejszy. Trochę starszy niż ekipa znana jako klub lotników; funkcjonował jako ich styczna – tkwiło w tym trochę zawiści, trochę czystej wzajemnej niechęci.

Jednak teraz go tu nie było. Andy Barnett – znany jako Czerwony Andy, ponieważ w dziewięćdziesiątym siódmym głosował na laburzystów – stał przy barze, przynajmniej w teorii, bo zajmowały dla niego miejsce jego niedopite piwo i sudoku. Andy tymczasem był gdzieś indziej.

Nie mając widowni, Kelly się uśmiechnęła.

– Witam ponownie.

– Nie postawiłem ci jeszcze drinka. – Nadal czuł jej smak.

– Następnym razem, gdy będę po twojej stronie baru. – Skinęła głową w stronę jego szklanki. – I nie będzie to woda mineralna, mogę ci obiecać.

– Pracujesz jutro?

– I pojutrze.

– A jutro po południu?

– Budujesz nawyki, tak? – Jest taki rodzaj spojrzenia, którym obdarzyć cię może kobieta, z którą spałeś, i Kelly właśnie w taki sposób mu się przyglądała. – Mówiłam ci. Jutro latam.

– Jasne. Lecicie w jakieś ładne miejsce?

Jego pytanie chyba ją rozbawiło.

– Na górze wszędzie jest ładnie.

– Czyli to tajemnica.

– Och, dowiesz się. – Nachyliła się w jego stronę. – Ale kończę pracę o wpół do dwunastej. Chcesz kontynuować to, co przerwaliśmy?

– Och, chciałbym. Tylko będę trochę zajęty.

– Trochę zajęty? – Uniosła brew. – Czym możesz być trochę zajęty w porze zamknięcia pubu?

– Nie w taki sposób, jak myślisz. Będę...

– Witaj, młody człowieku. Podrywasz naszą uroczą barmankę?

Czerwony Andy był na papierosie, jak można było domyślać się z oparów dymu, które przyłgnęły do jego kurtki.

– Andy – powiedział River.

– Rozmawiałem na zewnątrz z Meg Butterfield. – Przerwał, by napić się piwa. – Kelly, kochanie, poproszę jeszcze jedno. I kolejne dla naszego gościa. Meg mówi, że dobrze ci idzie praca nad książką.

– Ja dziękuję. Zaraz wychodzę.

– Szkoda. Miałem nadzieję, że opowiesz mi o swojej pracy. – Andy Barnett był dla wszystkich koszmarem: prawdziwym pisarzem, którego wspomnienia, opublikowane własnym sumptem, zostały dobrze ocenione przez krytyków, słyszałeś? Każdy, kto poznał Andy'ego Barnetta, dwie minuty później już o tym słyszał. – Z wielką radością przejrzę twoją pracę, jeśli jesteś gotów się nią podzielić.

– Będziesz pierwszy w kolejce.

Powiew, jaki River poczuł na plecach, wskazywał na wejście kogoś nowego.

– Nadchodzą kłopoty – powiedział Barnett.

River nie musiał się odwracać, by wiedzieć, kim był nowo przybyły.

Zapadał zmierzch, gdy Louisa wysiadła na stacji Marble Arch w tłum młodych zagranicznych turystów. Omijała ogromne plecaki i wdychała wieczorne powietrze, smakujące spalinami, perfumami, tytoniem i liśćmi z pobliskiego parku. Na szczycie schodów rozłożyła kieszonkową mapę, swoją wymówkę do zrobienia przerwy. Przyglądała się jej przez dwie minuty, po czym ją odłożyła. Jeśli ktoś ją śledził, był w tym dobry.

Choć nie było powodu, by ktoś miał ją śledzić. Była po prostu kolejną dziewczyną, która wyszła na miasto, na ulicy chodziło takich mnóstwo: całe migrujące stada świeżych, młodych dziewcząt i trochę mniej świeżych, i trochę mniej młodych. Dziś Louisa była inną kobietą, niż ostatnio bywała. Miała na sobie sukienkę, która sięgała jej przed kolano i podkreślała jej ramiona, a raczej podkreślałaby, gdyby Louisa zdjęła żakiet, który miał już cztery, nie, pięć lat i zaczynał wyglądać na swój wiek, ale nie na tyle, by zauważył to mężczyzna. Cienkie czarne rajstopy, włosy przytrzymane czerwoną opaską. Wyglądała dobrze. Mężczyźni byli nieskomplikowani, co ułatwiało jej pracę.

Na ramieniu wisiała jej torebka na długim pasku, na tyle duża, by zmieściło się w niej kilka niezbędnych kobiecych akcesoriów, których definicja była inna dla każdej kobiety. W przypadku Louisy, oprócz telefonu, portfela, szminki i karty kredytowej, w torebce mieściła się puszka gazu pieprzowego i para plastikowych kajdanek kupionych przez internet. Podobnie jak w przypadku wielu innych aktywności w internecie, tak i te zakupy pachniały amatorszczyzną i lekkomyślnością i Louisa w pewnym sensie zastanawiała się, co na ich temat powiedziałyby Min, ale było to myślenie od dupy strony. Gdyby Min był w stanie wypowiedzieć się na ich temat, Louisa nie nosiłaby przy sobie tych przedmiotów.

Hotel Ambassador nocą wyglądał inaczej. Wcześniej był kolejnym okazałym miejskim monolitem, złożonym ze stali, szkła i pieczołowicie zadbanego wejścia. Teraz błyszczał. Siedemnaście pięter okien, które odbijały światła wirującego ruchu ulicznego. Gdy zbliżała się, skorzystała z telefonu.

Odpowiedział po drugim dzwonku.

– Już schodzę – rzekł.

Miała nadzieję, że zaprosi ją na górę. Ale: jeśli nie teraz, to później. Już ona o to zadba.

W wyłożonym lustrami lobby hotelowym nie dało się nie zauważyć swojego odbicia. I znów: co pomyślałaby sobie Min? Podobałaby mu się sukienka i to, w jaki sposób rajstopy podkreślają jej łydki. Jednak myśl, że przygotowała się tak dla kogoś innego, wbiłaby w jego serce lodowy szpikulec.

Nadjechała winda i wyszedł z niej Arkady Paszkin. Sam, co odnotowała z ulgą.

Przechodząc przez lobby, Paszkin starał się nie wyszczerzać zębów, jednak wilczy błysk w oku był widoczny, gdy wziął dłoń Louisy i – tak – uniósł ją do swoich ust.

– Panno Guy – powiedział. – Wygląda pani czarująco.

– Dziękuję.

Był ubrany w ciemny garnitur i koszulę bez kołnierzyka, jej górny guzik pozostał odpięty. Wokół jego szyi zawiązany był krwistoczerwony fular.

– Pomyślałem, że się przejdziemy, jeśli to nie problem – zaproponował. – Jest wystarczająco ciepło, prawda?

– Idealna temperatura – odparła.

– A ja tak rzadko mam szansę, by oglądać miasto w taki sposób, w jaki powinno się je oglądać – oznajmił, skinieniem głowy witając młodą kobietę w recepcji, gdy prowadził Louise w stronę Park Lane. – Wszystkie wspaniałe miasta, Moskwę, Londyn, Paryż, Nowy Jork, najlepiej zwiedzać pieszo.

– Chciałabym, aby więcej osób miało takie podejście – rzekła, podnosząc głos na tyle, by był słyszalny w ulicznym zgiełku. Rozejrzała się, ale nikt za nimi nie podążał. – Czyli zostaliśmy sami.

– Jesteśmy sami.

– Dał pan Piotrowi i, przepraszam, zapomniałam...

– Kiryłowi.

– ...i Kiryłowi wolny wieczór? Naprawdę miło.

– To te nowoczesne metody – odparł. – Należy dobrze traktować swoich pracowników. W przeciwnym razie poszukają nowych pastwisk.

– Nawet jeśli są zbirami.

Wziął ją pod ramię, gdy przechodzili przez ulicę, ale nie poczuła teraz, by uścisk stał się mocniejszy. Wprost przeciwnie, Paszkin wydawał się rozbawiony, gdy powiedział:

– Nawet jeśli są, jak pani ich nazwała, zbirami.

– Tylko się drocę.

– A ja lubię, gdy ktoś się ze mną droczy. Do pewnego momentu. Nie, dałem im wolny wieczór, ponieważ pozwoliłem sobie założyć, że dziś nie będę już zajmował się pracą. Choć byłem zaskoczony, gdy pani zadzwoniła.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Uśmiechnął się. – Nie będę grał z panią w gierki, kobiety są mną zainteresowane. Nawet Angielki, które bywają trochę... czy „powściągliwe” to właściwe określenie?

– Zgadza się – przyznała Louisa.

– A tego popołudnia wydawała się pani taka zasadnicza, i nie mówię tego, żeby panią urazić. Wprost przeciwnie. Choć w tym konkretnym przypadku oznacza to, że muszę spytać, czy moje przypuszczenie okazało się słuszne.

– Że dziś nie zajmujemy się pracą? – Przeszli bezpiecznie przez ulicę, ale Paszkin nie puścił ręki Louisy. – Panie Paszkin, nikt nie wie, że tu jestem – oznajmiła. – To całkiem osobista sprawa.

– Arkady.

– Louisa.

Byli w parku, szli jedną z oświetlonych przez latarnie ścieżek. Było ciepło, jak

zaręczała Louisa, a szum samochodów nieco przycichł. Zimą szła tą samą ścieżką z Minem, wybierali się na kiermasz świąteczny. Diabelski młyn, łyżwy, grzane wino i paszteciki z mięsem. Przy stanowisku z wiatrówkami Min pięć razy z rzędu nie trafił do celu. „Kryj mnie” – powiedział. „Nie chcę, żeby wszyscy widzieli, że jestem strzelcem wyborowym”. Zapomnij o tym, pomyślała. Zapomnij o tej chwili.

– Wydaje mi się, że dokądś idziemy – oceniła. – Masz plan czy po prostu zmierzamy, gdzie nas nogi poniosą?

– Och – odpowiedział. – Zawsze mam plan.

To jest nas dwoje, pomyślała Louisa i ścisnęła mocniej pasek torebki.

Dwieście metrów za nimi, skryty poza linią światła latarni, podążał człowiek, cicho, z rękami w kieszeniach.

Powietrze było wilgotne, niebo zachmurzone; szara masa skrywała gwiazdy.

Griff Yates ruszył szybkim tempem, ale River nadązał za nim. Nie spotkali na głównej drodze nikogo, w niewielu domach były zapalone światła. Nie po raz pierwszy River zastanawiał się, czy ta miejscowość istnieje w pętli czasu.

Być może Yates czytał mu w myślach.

– Bardzo brakuje ci Londynu?

– Spokojnie tu i cicho. To miła odmiana.

– Cicho i spokojnie jest też po śmierci.

– Skoro ci się tutaj nie podoba, dlaczego zostałeś?

– Kto mówi, że mi się tu nie podoba?

Minęli sklep i kilka ostatnich zabudowań. Kościół pod wezwaniem Świętego Jana od Krzyża stał się ciemną figurą, która zniknęła w większej ciemności. W nocy Upshott szybko zniknęło. Droga raz zakręciła, i tyle ją widziano.

– Niektórym ludziom się nie podoba. Chętnie bym się ich pozbył.

– Przyjezdni – zauważył River.

– Wszyscy są przyjezdni. Andy Barnett? Wypowiada się, jakby był rolnikiem, ale nie wie, czy byk bodzie od strony łba czy dupy.

To pewnie zależy od tego, czy jesteś kowbojem czy krową, pomyślał River.

– A co z klubem lotniczym?

– Co z nimi?

– To młodzi ludzie. Żadne z nich nie urodziło się w tych stronach?

– Nie. Mamusia i tatuś przeprowadzili się tutaj, gdy tamci byli mali, żeby dzieci wychowały się na wsi. Myślisz, że tutejszych prawdziwych mieszkańców stać na zabawy samolotami?

– To nadal ich dom.

– Nie, oni tu tylko mieszkają. – Yates zatrzymał się nagle i wskazał coś palcem. River odwrócił się, ale nic nie dostrzegł: tylko ciemną ścieżkę, obsadzoną z obu stron żywopłotem. Większe wypustki w tym murze stanowiły drzewa, falujące ku niebu. – Widzisz ten wiąz?

– Tak – odpowiedział River, choć nie miał pojęcia, o które drzewo chodzi.

– Mój dziadek się na nim powiesił. Gdy stracił swoje gospodarstwo. Widzisz? To historia. Oznacza, że została tu przelana krew mojej rodziny. Miejsce nie należy do

ciebie tylko dlatego, że twoi rodzice kupili kawałek ziemi.

– W sumie jednak należy – stwierdził River. – Wiesz. W czysto prawnym sensie. Szli dalej.

– Wciskasz mi kit z tym dziadkiem, prawda?

– Tak.

Doszli do skrzyżowania, którego jedną odnogę stanowiła wiejska droga gruntowa: dwie koleiny w wąskim korytarzu. Griff pomaszerował nią, nie zmieniając prędkości. Jej powierzchnia była momentami śliska, w nieregularnych odstępach z ziemi wystawały skały. River miał kieszonkową latarkę, której nie mógł użyć, częściowo dlatego że zbliżali się do terenu należącego do Ministerstwa Obrony, ale przede wszystkim dlatego, żeby Griff nie wziął go za cienia. Było bardzo ciemno. Gdzieś musiał świecić księżyc, ale River nie miał pojęcia gdzie ani jaki miałby kształt, gdyby się ujawnił. Tymczasem Griff maszerował bez potykania się czy zwalniania, udowadniając jedno: był na swoim terenie i mógł się po nim poruszać z zamkniętymi oczami. River zacisnął zęby i podnosił wysoko kolana. Mniej szans na potknięcie się.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – Griff się zatrzymał.

Oczywiście, że, kurwa, nie wiem.

– Oświeć mnie.

Griff wskazał na lewo, River zmrużył oczy.

– Nic nie widzę.

– Spójrz na ziemię i przesuwaj wzrok w górę.

River zrobił, co mu kazano, i jakieś dwa i pół metra od ziemi dostrzegł zmianę faktury. To już nie był żywopłot. Coś odbijało dochodzące skądś światło i przez moment mrugnęło w stronę Rivera, a on zrozumiał: byli przy poligonie Ministerstwa Obrony, ogrodzonego ze wszystkich stron siatką, nad którą wił się drut kolczasty.

– Będziemy przechodzić górą? – zapytał szeptem.

– Możesz, jeśli chcesz. Ja tego nie zrobię.

Maszerowali z mozołem dalej.

– To była kiedyś wspólna własność – powiedział Griff. – Przed wojną. Aż do momentu, gdy rząd uruchomił jakieś, jak to nazwać, nadzwyczajne rezerwy i użył tych terenów do szkoleń. Później wojna się skończyła, ale ziemi nigdy nie oddali, prawda? Wydzierżawili Jankesom, później, gdy tamci się zwinęli, zwrócili to pieprzonemu Ministerstwu Obrony. – Odchrząknął głośno, splunął. – Na kolejne szkolenia. Tak mówią.

– Poligon artyleryjski, tak.

– Tak, tak. Ale może to być tylko przykrywką.

– Czego?

– Badań dotyczących broni. Broni chemicznej, czaisz? Albo innych rzeczy, które chcą trzymać przed nami w tajemnicy.

River wydał z siebie dźwięk niezdradzający jego prawdziwych emocji.

– Myślisz, że żartuję?

– Szczerze mówiąc – przyznał River – nie mam najblidszego pojęcia.

– Cóż, no to masz okazję się dowiedzieć.

River dopiero po chwili zorientował się, że Yates wskazuje na fragment ciemnych zarośli. Nie różniły się niczym od wszystkich innych odcinków zarośli, które minęły przez ostatnie pół godziny, ale właśnie po to był tu Griff: aby pokazać mu wejście, którego sam by nie znalazł.

– Ty przodem – powiedział.

– Od jak dawna pracujesz w, ekhm, Ministerstwie Energetyki?

– Wydawało mi się, że coś ustaliliśmy. Nie rozmawiamy o pracy.

– Wybacz mi. To jedna z moich wad: ciężko mi się zrelaksować. – Zerknął na jej dekolt, którego spora część była na widoku. – Nie jest to niemożliwe. Po prostu trudne.

– Musimy sprawdzić, co da się z tym zrobić – rzekła.

– Warto za to wypić. – Podniósł kieliszek.

Zapomniała już, jak nazywa się wino, które zamówił, a etykieta była teraz niewidoczna, gdyż butelka tkwiła zanurzona w wiaderku, ale określił jego rocznik, co było dla Louisy nowością. Jej kolacje raczej miały datę przydatności do spożycia, nie roczniki.

– Z przykrością dowiedziałem się o śmierci twojego kolegi – oznajmił. – Pana Hardinga?

– Harpera – odparła.

– Przepraszam, Harpera. Moje kondolencje. Byliście ze sobą blisko?

– Pracowaliśmy razem.

– Wiele z moich najbliższych przyjaźni zaczęło się w pracy – rzekł. – Na pewno za nim tęsknisz. Wypijmy, by uczcić pamięć o nim. – Uniósł kieliszek.

Po chwili Louisa uniosła też swój.

– Za pana Harpera – powiedział.

– Za Mina.

– Jestem pewien, że był dobrym człowiekiem. – I napił się wina.

Po kolejnej chwili Louisa też się napiła.

Przyszedł kelner i zaczął układać jedzenie, którego widok i zapach sprawiły, że Louisie zachciało się wymiotować. Przed chwilą wypijała toast ku pamięci Mina z mężczyzną, który, według niej, z całą pewnością odpowiadał za jego śmierć. Nie była to jednak dobra chwila na takie odruchy; miała przed sobą cały wieczór. Zauroczyć go i uszczęśliwić; rozochocić aż do momentu, gdy znajdą się z powrotem w jego apartamencie. Wtedy mogli przejść do interesów.

Chciała wiedzieć kto i chciała wiedzieć dlaczego. Poznać odpowiedź na te wszystkie pytania, które zadałby Min, gdyby tu był.

– Czyli... – zaczęła, a jej głos był daleko stąd. Odchrząknęła. – Czyli jesteś zadowolony z ustaleń dotyczących jutra?

Pomachał palcem niczym rozczarowany ksiądz.

– Louiso, co takiego przed chwilą mówiłaś?

– Myślałam o tym budynku. Robi wrażenie, prawda?

– Proszę, musisz tego spróbować.

Układał na jej talerzu porcje przystawki. Nadal nie była głodna; nosiła w sobie

ból, ale to nie jedzenie mogło mu ulżyć. Zmusiła się do uśmiechu i pomyślała, że musi wyglądać groteskowo, jakby w kąci jej ust wbito haczyki wędkarskie. Jednak mimo swojego ogromnego bogactwa był zbyt dobrze wychowany, by wzdrygnąć się lub pokazać palcem.

– Tak, robi wrażenie – powiedział, a ona musiała wrzucić w głowie inny bieg: mówił o The Needle. – Kapitalizm w całej okazałości, wznoszący się wysoko ponad miasto. Jestem pewien, że nie muszę wspominać o Freudzie.

– Może nie w momencie, gdy noc jeszcze taka młoda. – Usłyszała swoje słowa.

– A jednak nie sposób tego uniknąć. Tam, gdzie są pieniądze, jest też seks. Proszę. – Wykonał gest widelcem. – Jedz.

Zrobił to tak, jakby sam przyrządził tę kolację, więc zastanawiała się, czy to oznaka zamożności – gdy zakładasz, że jesteś źródłem wszystkich potrzeb i przyjemności swojej towarzyszk.

Zjadła. To był przegrzebek skropiony sosem, który wyglądał na orzechowy i smakował jak tyle rzeczy, że jej język nie był w stanie ich rozpoznać. Ten wewnętrzny ból, którego nie mogło przecież złagodzić jedzenie, przewrócił się na plecy i uciął. Jedz. Zjedz więcej. W końcu nie ma nic złego w byciu głodnym.

– A gdy jest seks, pojawiają się problemy – mówił. – Widziałem wszędzie plakaty, słuchałem wiadomości. Ten protest Stop the City. Czy twoi szefowie w Ministerstwie Energetyki obawiają się go?

Ten dowcip szybko się nudził.

– Czas nie jest idealny. Ale nasza trasa przejazdu omija protest.

– Jestem zaskoczony, że wasze władze pozwalają na to, by odbył się w dzień roboczy.

– Przypuszczam, że organizatorzy czuli, że nie ma wielkiego sensu zmuszanie City, by padło na kolana w weekend, bo wtedy bankierzy wyjeżdżają z miasta. – Jej torebka zawibrowała. Ktoś przysłał jej wiadomość, ale nie było nikogo, z kim chciałaby się teraz kontaktować. Zignorowała ją i nadziała na widelec kolejnego przegrzebka.

– I nie wymknie się to spod kontroli? – spytał.

Podobne demonstracje kończyły się paleniem samochodów i wybijaniem szyb. Ale ta przemoc na ogół była ograniczona.

– Tego typu wydarzenia są pilnie chronione przez policję. Czas jest problemem, ale to się przecież zdarza. Poradzimy sobie.

Arkady Paszkin pokiwał głową, zamyślony.

– Ufam, że ty i twój kolega zawieziecie mnie tam i odwieziecie z powrotem.

Znów się uśmiechnęła. Tym razem wydało się jej to bardziej naturalne. Być może dlatego, że myślała, że nie ma szans, by Paszkin w jakiegokolwiek kwestii jej zaufał, gdy ten wieczór dobiegnie końca.

Zakładając przez cały czas, że przeżyje.

Z jakiegoś powodu River spodziewał się, że po drugiej stronie płotu będzie inaczej; być może łatwiej, lżej będzie iść. Ale po tym, jak przeszedł za Griffem przez niewielką przerwę w kolczastych zaroślach do rozciętego fragmentu ogrodzenia

z siatki, które dało się odgiąć, odkrył, że wszystko wygląda mniej więcej tak samo, z wyjątkiem faktu, że nie było wyznaczonej ścieżki, a River był bardziej ubłocony.

– Dokąd teraz? – zapytał, z trudem oddychając.

– Główny zespół budynków jest ponad trzy kilometry w tę stronę. – River nie był w stanie powiedzieć, w którą stronę pokazywał Griff. – Za niecały kilometr minimy kilka opuszczonych budynków. Zrujnowanych. Zostaw budynki bez opieki i tak się stanie.

– Jak często tu przychodzisz?

– Gdy mam na to ochotę. To dobre miejsce do polowania na króliki.

– Ile jest tu jeszcze wejść?

– To jest najłatwiejsze. Kiedyś było jeszcze jedno w stronę Upshott, gdzie można było wyjąć słupek z ziemi i przejść bez problemów. Ale wbetonowano go z powrotem.

Ruszyli. Ziemia była śliska i pochyła; River pośliznął się i upadłby, gdyby Griff go nie przytrzymał.

– Ostrożnie.

Później chmury rozplynęły się i zza zwiewnej zasłonki rozbłysnął sierp światła. River zobaczył twarz Griffa wyraźnie, po raz pierwszy odkąd wyszli z pubu. Uśmiechał się szeroko, pokazując zęby równie szare jak jego dziobata cera i pokryta żyłkami skóra głowy. Wydawało się, że odbija się w nim ten skrawek księżyca.

Ciemniejsze cienie czekały u stóp wzgórza. River nie był w stanie stwierdzić, czy rzucają je drzewa, czy budynki, po czym zrozumiał, że jedno i drugie. Stały tam cztery budynki, w większości pozbawione dachów, a z ich popękanych ścian wystawały długie upiorne gałęzie, które, gdy na nie patrzył, drżały poruszane podmuchem wiatru i wabiły go. Później chmury znów się przesunęły i światło księżyca zniknęło.

– Czyli – zapytał River – gdyby ktoś po prostu zjawił się i szukał wejścia, prawdopodobnie by go nie znalazł?

– Może by i znalazł – odparł Griff. – Gdyby był sprytny albo miał szczęście. Albo jedno i drugie.

– Natknąłeś się tu kiedyś na kogoś?

Griff parsknął śmiechem.

– Boisz się?

– Zastanawiam się, jak dobrze zabezpieczony jest ten teren.

– Są patrole, a niektóre miejsca są podpięte do prądu. Tych unikaj.

– Podpięte do prądu?

– Linki uruchamiają pułapki. Reflektory i syreny. Ale głównie w pobliżu bazy.

– A blisko nas?

– Wkrótce się dowiesz, prawda? Jeśli w taką wejdiesz.

Byłoby zabawnie, pomyślał River.

Wyciągnął rękę, żeby złapać równowagę, i ruszył za Griffem w kierunku zniszczonych budynków.

– Powiniennem zapytać: jesteś mężatką? – dociekał Paszkin.

– Ślubowałam tylko w pracy.



– A te, ach, wiadomości, które do ciebie przychodzą? Nie są od rozniewanego kochanka?

– Nie mam kochanka. Rozniewanego ani żadnego innego – odpowiedziała Louisa.

Dostała trzy kolejne wiadomości, ale ich nie przeczytała. Zjedli już przystawki i dania główne; wypili pierwszą butelkę i większość drugiej. Był to pierwszy porządny posiłek, jaki zjadła od czasu śmierci Mina. I kosztowny. Nie był to szczegół, którym zawracałby sobie głowę Arkady Paszkin, właściciel koncernu naftowego. Louisa zastanawiała się, czy skazani na śmierć mężczyźni recenzowali swoje ostatnie posiłki; czy wysyłali szefowi kuchni komplementy w drodze na szafot. Najprawdopodobniej nie. Choć mieli pretekst do potwierdzenia swojej kary.

Oślepi go gazem pieprzowym. Założy kajdanki na dłonie i stopy. A wówczas będzie potrzebowała tylko ręcznika i węża prysznicowego. W wywiadzie szkolono ich z opierania się przesłuchaniom, co było przykrywką dla nauczania ich metod przesłuchiwania. Paszkin był postawnym gościem, wydawał się zdrowy, ale zakładała, że wytrzyma pięć minut. Gdy tylko dowie się, w jaki sposób zginął Min i który z bandziorów Paszkina jest odpowiedzialny za jego śmierć, skróci jego cierpienia. Pod ręką będzie miała coś, co się do tego nada: nóż do otwierania listów. Drut do zawieszania obrazów. W tajnych służbach uczyli zaradności.

– A ty – powiedział – nie chcesz zapytać mnie o to samo?

– Arkady Paszkin – zacytowała. – Dwukrotnie żonaty, dwukrotnie rozwiedziony, nigdy nie narzeka na brak towarzystwa atrakcyjnych kobiet.

Odchylił głowę i ryknął śmiechem. Przykuło to uwagę całej restauracji i Louisa dostrzegła, że mężczyźni patrzyli wilkiem, kobiety sprawiały wrażenie rozbawionych i niektóre z nich przyglądały im się przez dłuższą chwilę.

Kiedy przestał się śmiać, otarł usta serwetką i rzekł:

– Wygląda na to, że mnie zgugłowałaś.

– Cena sławy.

– I to cię, ach, nie odstrasza? Ten, nazwijmy to, wizerunek playboya?

– Towarzystwo atrakcyjnych kobiet – powtórzyła. – Potraktuję to jako komplement.

– Powinnaś. A jeśli chodzi o „nigdy nie narzeka na brak”, to dziennikarze przesadzają. Żeby nagłówki były lepsze.

Przyszedł kelner i zapytał, czy pani i pan życzą sobie zobaczyć kartę deserów. Poszedł po nią, a Paszkin powiedział:

– Albo możemy teraz wrócić drogą przez park.

– Chyba tak, oczywiście – odpowiedziała. – Ale muszę cię przeprosić na moment.

Do toalety trzeba było zejść po schodach. Wstawiono do niej staroświeckie cynowe umywalki z drewnianymi szafkami, rozmieszczono oświetlenie na tyle dyskretne, by wyglądało się w nim korzystnie, i ułożono prawdziwe bawełniane ręczniki zamiast instalowania suszarek do rąk. Była sama. Skądś dochodził stłumiony brzdęk sztucców; konspiracyjny szum rozmów; gardłowy warkot oczyszczacza powietrza. Zamknęła się w kabinie, wysikała, po czym zajrzała do torebki.

Plastikowe kajdanki wydawały się kiepskiej jakości i niepraktyczne, póki ich nie szarpnąłeś – wtedy ich wytrzymałość była ewidentna. Gdy kogoś nimi skułeś, to aby go uwolnić, trzeba było je rozciąć. Jeżeli chodzi o gaz, etykieta na jego opakowaniu ostrzegała przed poważnym uszkodzeniem wzroku, jeśli prysnęło się nim prosto w oczy. Nie trzeba było więcej mówić.

Opuściła kabinę. Umyła ręce. Wytarła je w bawełniany ręcznik. Wyszła na korytarz, gdzie ktoś ją złapał i wciągnął przez drzwi obok do małego pomieszczenia. Ktoś przyciskał ręką jej gardło, dłonią zakrywał usta. Do ucha zaś wyszeptał: „Poproszę torebkę”.

Gdy zeszli na sam dół zbocza, podłoże stało się kamieniste, z tu i ówdzie przezierającymi kępami trawy. River słyszał szum wody. Albo jego wzrok coraz bardziej przyzwyczajał się do ciemności, albo było coraz więcej do zobaczenia. Pierwszy budynek znajdował się tuż przed nimi, pokruszony jak żąb; jedna część zapadła się i odsłoniła dziurę w środku. Drewniane belki rozciągały się po obu stronach jego górnej połowy, podpierając piętro, które już nie istniało, a podłoga była pokryta rumowiskiem cegieł, płytek, szkła i połamanej sztukaterii. Pozostałe budynki, z których ten najdalej położony oddalony był o nie więcej niż sto metrów, wyglądały podobnie. Ze środka kolejnej rudery dobiegł Rivera szeleszczący dźwięk, gdy powiał wiatr, a gałęzie drzewa ocierały się o pozostałości murów.

– Czy to była kiedyś farma?

Griff nie odpowiedział. Zerknął na nadgarstek, po czym ruszył w stronę jednego z dalszych budynków.

Zamiast iść za nim, River obszedł pierwszy dom. Drzewo rosnące w jego wnętrzu było na tyle duże, że jego górne gałęzie wystawały ponad najwyższą stojącą ścianę. Zastanawiał się, ile czasu potrzeba, by wyrosło tak potężne drzewo, i doszedł do wniosku, że budynek stał w ruinie już od kilku dekad. Nie zauważył żadnych śladów niedawnej obecności ludzkiej. Stał w zimnym popiele, pozostałości po ognisku. Które dawno wygasło.

Jeżeli cel pana B był związany z bazą Ministerstwa Obrony, być może spotkał się ze swoim kontaktem tutaj, w tej dziurze; wśród tych zwycięskich drzew i upadających domów. River zastanawiał się, czy ten obszar jest patrolowany, czy może strażnicy obchodzą tylko granice bazy. Griff powinien to wiedzieć. Gdzie był Griff?

Wrócił na przód budynku. Nie widział dalej niż na odległość kilkunastu metrów, a nie chciał krzyknąć. Wygrzebał kawałek skały i rzucił nim w dom. Uderzył w mur z na tyle głośnym stuknięciem, by zaalarmować Griffa, ale ten się nie pojawił. River odczekał minutę, rzucił kolejnym kamieniem. Spojrzał na zegarek. Było kilka sekund przed północą.

Ciemność rozproszyła się, jakby ktoś włączył światło. Nad głową pojawiła się świecąca kula, wydając przy tym odgłos przypominający rozdzieranie papieru. Unosiła się na niebie, oświetlając powierzchnię nieziemskim światłem, i natychmiast sprawiła, że krajobraz wyglądał dziwnie – zdewastowane budynki z intruzami w postaci drzew, ospowate, pofalowane podłoże; wszystko stało się obce, jak z innej planety. Światło było pomarańczowe, z zieloną obwódką. Hałas ucichł. Co do licha.

River odwrócił się, gdy kolejny hałas rozdarł świat na pół, upiorny krzyk, tak głośny, że musiał zasłonić uszy. Po krzyku nastąpił łomot, ale River nie był w stanie określić, w jakiej odległości się to dzieje, a zanim ucichły jego echa, następny łoskot zakłócił ciszę i tym razem zostawił po sobie jaskrawoczerwoną ranę, której kształt wypalił się w jego oczach. A później następny. I jeszcze jeden. W trakcie pierwszego wybuchu zatrzęsa się ziemia, a Rivera owiał podmuch ciepłego powietrza; drugi, trzeci i czwarty wybuch sprawiły, że odwrócił się i uciekł. Te przeklęte ruiny nie stanowiły schronienia, ale tylko one były w pobliżu.

River przeskoczył przez zburzony kawałek ściany i wylądował na rozsypanych potłuczonych płytkach. Po czym rozłożył się na podłodze; wściekłe eksplozje rozlegały się w pobliżu, a on musiał doczołgać się do drzewa – było ono najlepszym schronieniem, jakie mógł sobie teraz wyobrazić. Wysoko nad jego głową nocne niebo syczało i kipiało rozwścieczonymi światłami.

Słodki Jezu, pomyślał tą częścią mózgu, która nie wrzeszczała z przerażenia. Spośród wszystkich nocy musiał wybrać właśnie tę, w którą korzystano z poligonu...

Kolejny wybuch zapał mu dech w piersiach i River przestał myśleć.

Dziś będzie łamał serca. Było to dla niego nowe terytorium.

Roderick Ho miał już pewne doświadczenie w delikatnej sztuce niszczenia: niszczył ratingi kredytowe, rozkładał na części CV, zmieniał statusy na Facebooku i anulował zamówienia. Systematycznie likwidował układy w rajach podatkowych, jakie przygotowało paru jego starych kolegów – i kto teraz jest gamoniem, dupki? – i raz złamał rękę: ona miała sześć lat, on osiem, prawie na pewno stało się to przypadkiem. Ale serca – nie, nie złamał jeszcze żadnych. Dziś miało się to zmienić.

Roddy po raz pierwszy spotkał Shanę – bądźmy precyzyjni: po raz pierwszy zobaczył Shanę – przy Aldersgate Street; oboje szli do swoich biur, a ona ledwo go zauważyła. Cóż, „ledwo” to może nie najlepsze określenie. Wcale go nie zauważyła. Ale on dostrzegł ją, i to na tyle, że gdy za drugim razem się mijali, on prawie się za nią rozglądał, a za trzecim razem wręcz czekał na nią, choć nie po to, by go zauważyła. Poszedł za nią do jej biura, do agencji pracy tymczasowej przy Smithfield. Gdy wrócił do Slough House, nie potrzebował się bardzo wysilać, by zerknąć do ich intranetu, sprawdzić listę pracowników i ją odnaleźć: jej uśmiechniętą fotkę i tak dalej. Shana Bellman. Później przeskokzył na Facebooka, z którego dowiedział się między innymi, że Shana jest uzależniona od fitnessu, więc następnie pogrzebał w danych właścicieli kartonów do pobliskich siłowni. W trzeciej znalazł to, czego szukał, czyli jej adres. Kilka godzin później byli najlepszymi przyjaciółmi, czyli Roddy Ho wiedział wszystko, czego można było się dowiedzieć o Shanie, łącznie z nazwiskiem jej chłopaka.

I tu właśnie miało dość do złamania serca. Chłopak musiał zniknąć.

Uśmiechnął się do jej zdjęcia tym rzewnym uśmiechem, świadomym bólu, jaki poprzedza szczęście, i zminiaturyzował jej zdjęcie do paska na dole ekranu. Naprężył palce, aż usłyszał porządne chrupnięcie. Do roboty.

Miało to wyglądać w następujący sposób. Chłopak Shany zaprzyjaźnił się z paroma sukami z internetowego chatu, a ich rozmowa w ciągu paru chwil przejdzie od niestosownej po jawnie erotyczną, i z własnej nieostrożności popełni błąd, który trudno byłoby uznać za niezamierzony, jak gdyby zdrajca sam chciał zostać przyłapany, i przypadkowo dołączy Shanę do całej rozmowy. A wtedy *sayonara*, kochasiu.

Dalej to już łatwizna. Następnego poranka – albo jeszcze kolejnego, niech pył opadnie – wystarczy, że Roddy, mijając Shanę w drodze do Smithfield, powie coś przyjaznego: „Ej, piękna, czemu jesteś taka smutna?”. A ona odpowie: „Hej, faceci to świnie”. „Opowiedz mi o tym”. A później, po tym, jak z radością da się zabrać na kolację, do kina czy gdzieś: „Hej, mała, może chcesz wziąć do...”.

– Roddy?

– Jezu!

Catherine Standish robiła mniej hałasu niż przeciąg.

– Nie chciałabym ci przeszkadzać, gdy masz ręce pełne roboty – powiedziała. – Ale musisz coś dla mnie zrobić.

Gdyby Spider Webb stanął bez ruchu w swoim salonie, od najbliższego mebla dzieliłyby go dokładnie trzy kroki. Meblem tym była sofa, umieszczona w otwartej przestrzeni i na tyle długa, by leżącemu na niej zostało jeszcze nieco miejsca po obu stronach. Po kolejnych kilku krokach dochodziło się do ściany, o którą można było się oprzeć z wyciągniętymi szeroko ramionami, o nic przy tym nie zawadzając. A podczas tej czynności można było się napawać widokiem, jaki Spider miał za wielkimi szklanymi drzwiami prowadzącymi na balkon: czubki drzew i niebo; drzewa uformowane w schludny rząd, ponieważ stały wzdłuż kanału, po którym cicho prześlizgiwały się wąskie łodzie kanałowe, przystrojone królewską czerwienią i zielenią. Spróbuj to przeskoczyć, pomyślał. To wyrażenie zawierało w sobie wszystko, można je było zastosować do każdego, kto się nawinął, jednak w osobistym słowniku Spidera Webba skierowane było do jednego konkretnego celu.

„Spróbuj to przeskoczyć, Riverze Cartwrightcie”.

River Cartwright miał dwupokojowe mieszkanie w East Endzie. Jego okna wychodziły na rząd garaży, a w zasięgu rzutu beretem mieściły się trzy puby i dwa kluby, co oznaczało, że gdy River przedarł się już przez dresiarzy, prostytutki, pijaków i ćpunów, i tak nie mógł spać ze względu na raban, jaki robili aż do momentu, gdy nadeszła pora, by wrócić do domu po zasiłek. A to ładnie podkreślało stan rzeczy: River Cartwright był pieprzonym przegrywem, a James Webb piął się wysoko niczym mądrzejszy brat Spidermana.

Sprawy mogły potoczyć się inaczej. Był taki okres, gdy się przyjaźnili. Razem byli na szkoleniu, mieli być następnymi wielkimi gwiazdami kontrwywiadu, tymczasem Spider został przymuszony do odegrania ważnej roli w zdegradowaniu Rivera do kulawego konia, a w efekcie, wiele miesięcy później, River zademonstrował, jaką jest biedną pierdoloną ofiarą, waląc Webba w twarz naładowaną bronią.

Jednak sprawiło mu to ból tylko na chwilę. Dość długą, to prawda, jednak prawda też była taka, że Spider mieszkał w tym apartamencie, pracował w Regent's Park i widniał na liście codziennych kontaktów Diany Taverner, podczas gdy River odbywał niemającą określonego końca karę w Slough House, po której wracał do głośnego mieszkania na zadupiu. Najlepszy wygrał.

A nazajutrz rano ten najlepszy miał się spotkać z Arkadym Paszkinem w najnowocześniejszym wieżowcu w Londynie i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zrekrutować najważniejszego agenta, jakiego kontrwywiad widział w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Potencjalny przywódca Rosji siedziałby w kieszeni Regent's Park, a jedynym kosztem, jaki poniesie Webb, będą obietnice.

Po czymś takim lista codziennych kontaktów Lady Di będzie małym piwem. Poza tym każdy, kto zbudował długotrwały sojusz z Taverner, skończy jak Nick Clegg. Przytulenie się do Ingrid Tearney było lepszą strategią. U jej boku będzie postrzegany jako namaszczony. I mimo że w MI5 doceniano wszystkie nowoczesne procedury, to

coś takiego miało wielkie znaczenie.

I wszystko zrobił, jak należy – od chwili, gdy Paszkin nawiązał kontakt, Webb zachowywał się, jakby gra toczyła się o najwyższą stawkę, co było przecież prawdą. Audyt bezpieczeństwa prowadzony przez Rogera Barrowby'ego sam mu się nawinął i stanowił idealne alibi do tego, by zlecić ochronę na zewnątrz, do Slough House, dzięki czemu tamtejsze darmozjady mogły wykonywać jego polecenia, a ich praca nie była rejestrowana w systemie Regent's Park. Nawet miejsce spotkania zostało szybko przygotowane: Paszkin poprosił o The Needle, a zarezerwowanie sali zajęło Webbowi zaledwie trzy dni. Najemcą biura była ekskluzywna firma konsultingowa specjalizująca się w handlu, aktualnie pośrednicząca w umowie o handlu bronią między firmą brytyjską a jedną z republik afrykańskich, która z przyjemnością nawiązała współpracę z agentem MI5. Data, wybrana tak, by wpasować się we wcześniejsze zobowiązania Paszkina, również była do zaakceptowania. Webb przesunął językiem wzdłuż zębów, w większości nowych, namacalnego wspomnienia o ataku Rivera Cartwrighta. Wszystko się ułożyło. Gdyby nie śmierć Mina Harpera, akcja zostałaby przygotowana podręcznikowo.

Jednak Harper zginął, ponieważ był pijany, i na tym sprawa się kończyła. Nic nie sugerowało, by tuż przed śmiercią miał jakieś problemy, więc Webb mógł się zdrzemnąć i śnić snem sprawiedliwego, cieszyć się przyjemnymi snami i oczekiwaniem na sukces, dzięki któremu River Cartwright stanie się wspomnieniem z innego życia.

I to właśnie teraz robi. Wkrótce. Za chwilę.

Bo teraz Spider rozglądał się po swoim jasnym i doskonale wyposażonym mieszkaniu, gratulował sobie cudownego życia i miał nadzieję, że jutro nic się nie spierdoli.

W swoim biurze Shirley przyglądała się, jak Catherine Standish wchodzi do biura Ho i zamyka za sobą drzwi. Coś było na rzeczy. A schemat wyglądał tak: gdy Shirley mogła być pomocna, zrzucano na nią jakieś gówniane zadania. A przez resztę czasu zostawała na lodzie.

Nawet Marcus Longridge był lepiej ustawiony niż ona. Longridge zajął miejsce Mina Harpera, przynajmniej w kwestiach zawodowych. Jeśli chodziło o Louise Guy, to Shirley wątpiła, by Marcus miał w najbliższym czasie zastąpić Harpera. Po śmierci Harpera Louisa zmieniła się w zjawę, jakby w ten sposób aktywnie przedłużała ich związek: on zmarł, więc ona stała się duchem. Jednak mimo wszystko była w terenie, w akcji, podczas gdy Shirley utknęła w biurze i zerkała zza zamknięte drzwi czyjegoś gabinetu.

Znalazła pana B, i to dwa razy. Wyśledziła jego trasę do Upshott i przyłapała go w Gatwick, co przypominało szukanie igły w stogu siana. Ale nie wiedziała, ile warte są te osiągnięcia, bo nikt jej o niczym nie informował.

Było już późno, powinna była stąd wyjść kilka godzin temu, ale nie chciała wracać do domu. Chciała wiedzieć, co się dzieje.

Shirley wiedziała wystarczająco dużo na temat ostrożnego poruszania się, żeby nie marnować czasu na robienie tego po cichu. Wyszła na korytarz i przyłożyła ucho do

drzwi pokoju Ho. I była w stanie usłyszeć szmer rozmowy. Catherine mówiła cicho, a Ho wypełniał pauzy w jej wypowiedziach milczeniem. Jedynym wyraźnym dźwiękiem było skrzypienie. Bardzo delikatne skrzypienie. Problem polegał na tym, że dochodziło z tyłu.

Odwróciła się powoli.

Jackson Lamb stał pół piętra wyżej i spoglądał na nią jak wilk, któremu właśnie udało się oddzielić owieczkę od stada.

Szli z powrotem przez park. Ulica nadal szumiała jak rój owadów, nad ich głowami krążyły samoloty w kolejce do lądowania na Heathrow. Arkady Paszkin trzymał Louisę za ramię. Torebka Louisy była lżejsza niż wcześniej. Gdy obijała się o jej biodro, Louisa czuła tylko jej zwykłą zawartość: telefon, pomadkę, portfel. Jej serce waliło jak szalone.

Paszkin pokazywał palcem kształty drzew; światło latarni tańczące za drżącymi liśćmi wyglądało jak przechodzący duch. Gdy to mówił, brzmiał bardzo rosyjsko. Gdy rozległ się ryk silnika motocykla, Paszkin na moment mocniej ścisnął ramię Louisy, ale nie skomentował, a po chwili znów to zrobił, jakby chciał podkreślić, że nagły hałas go nie zdenerwował, że po prostu przypadkiem zbiegł się w czasie z jego decyzją o wzmocnieniu uścisku.

– Jest już późno – powiedziała, a jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z drugiego końca gabinetu luster.

Weszli na chodnik. Czarne taksówki pędziły z hukiem, ich strumień zakłócał czasem autobus. Przez przyciemniane szyby twarze przyglądały się olśniewającemu pokazowi, jaki przygotowało miasto.

– Czy dobrze się czujesz, Louiso? – zapytał, a może powtórzył pytanie Paszkin. Czy dobrze się czuła? Miała wrażenie, jakby ktoś podał jej narkotyki. – Zmarzaś. – Okrył jej ramiona swoją marynarką jak dżentelmen w powieści, taki, jakiego się już na ogół nie spotykało, z wyjątkiem sytuacji, gdy próbował zrobić na tobie wrażenie, bo miał zamiar cię rozebrać.

Dotarli na teren hotelu: szeroki łuk chodnika obramowany doniczkami z terakoty. Louisa zatrzymała się i przez moment, zanim on też przystanął, poczuła, jak jego ramię ciągnie ją do przodu.

Na jego twarzy malowało się uprzejme zdziwienie.

– Powinnam już iść – powiedziała. – Mam jutro mnóstwo pracy.

– Szybki drink przed snem?

Zastanawiała się, w ilu językach potrafi zadać to pytanie.

– To nie najlepsza pora. – Zsunęła z ramion jego marynarkę, a gdy Paszkin po nią sięgnął, jego wzrok stawał się coraz chłodniejszy, jakby właśnie ocenił ponownie ich dzisiejszą rozmowę i doszedł do wniosku, że nie popełnił żadnych podstawowych błędów; że niesatysfakcjonujące zakończenie wieczoru wynikało z tego, że Louisa dostarczyła błędne dane. – Przepraszam.

– Nie ma sprawy – ukłonił się nieznacznie.

Planowałam iść do twojego apartamentu. Nie byłby zdziwiony, słysząc te słowa, on, mężczyzna, który miał majątek większy niż królowa. Planowałam wejść na górę,

wypić drinka, iść z tobą do łóżka, jeśli zajdzie taka potrzeba. Cokolwiek, bylebyś był w takim stanie, żebym mogła związać cię jak gęś na niedzielny obiad i zmusić do odpowiedzi na pytania. Na przykład: czego dowiedział się Min, że musiał zginąć?

– Przywołam taksówkę.

Pocałowała go w policzek.

– To jeszcze nie koniec – obiecała, ale on na szczęście nie miał pojęcia, o czym mówiła.

Poprosiła taksówkarza, by odwiózł ją za róg. Westchnął teatralnie, ale zamilkł, gdy zobaczył jej minę. Zaledwie minutę po tym, jak wysiadła z samochodu, otrzeźwiło ją nocne powietrze o mrocznym i gorzkim posmaku. Taksówka odjechała. Louisa usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Nie odwróciła się.

– Odzyskałaś zdrowy rozsądek.

– Nie miałam wyboru, prawda? Nie po tym, jak zabrałeś mi sprzęt. – Chryste, brzmiała jak nadąsana uczennica.

Być może Marcus się z nią zgadzał.

– Tak, no cóż, nie odbierałaś telefonu – rzekł. – Mogłem pozwolić ci spróbować. Ale to była dobra metoda na to, by zrobić sobie krzywdę. Albo zginąć.

Louisa nie odpowiedziała. Była wykończona. Gotowa wczołgać się pod kołdrę i mieć nadzieję, że słońce nigdy nie wstanie.

Na pobliskiej Park Lane ryczały silniki samochodów, na ciemnym niebie samolot rozcinał chmury, a jego światło pozycyjne błyszczało niczym rubin.

– Tędy do metra – powiedział Marcus.

Shana była już tylko wspomnieniem. Jej chłopak został ułaskawiony. Nieświadoma niczego para mogła spędzić kolejną noc w raju, bo Roddy Ho miał inny orzech do zgryzienia.

Pewnego dnia każe Catherine Standish usiąść i wytłumaczyć jej dokładnie, dlaczego nie musi robić wszystkiego, co ona mu każe. Będzie to krótka rozmowa i bez wątplenia zakończy się jej łzami, a Roddy, wgrzywając nazwiska, które mu podała, do komputera i robiąc to wszystko, co mu kazała, już nie mógł doczekać się tej konwersacji.

Ponieważ jednak był taki, a nie inny, robota, którą dostał, paliła mu się w dłoniach i przyćmiła gotujący się w nim żal. Catherine włączyła bieg wsteczny i zniknęła, a jej lista nazwisk stała się kolejnym poziomem w internetowej grze, w którą grał bez przerwy.

Jak zawsze grał, by wygrać.

– Podśluchiwała pod drzwiami, gdy rozmawiałaś z Ho – oznajmił Lamb.

– A ja byłam w środku, gdy ją na tym przyłapałeś – powiedziała Catherine. – Jakim cudem nie słyszałam więc, jak wypruwasz jej wnętrzości?

– Och, miała wymówkę. – Catherine czekała. – Chciała wiedzieć, o czym rozmawiacie – dodał Lamb.

– To wszystko wyjaśnia – zgodziła się Catherine. – Myślisz, że jest wtyczką Lady Di?



- A ty tak nie myślisz?
- Nie jest jedyną możliwą kandydatką.
- Czyli zakładasz, że to Longridge. Standish, czy ty jesteś rasistką?
- Nie, ja...
- To jeszcze gorsze niż bycie lesbą – powiedział Lamb.
- Bardzo się cieszę, że tobie przypało w udziale ocenianie naszych problemów związanych z dyskryminacją.
- Ho przygląda się menażerii z Upshott?
- Była przyzwyczajona do tego, że Lamb przeskakiwał z tematu na temat.
- Zrobiłam sama tyle, ile mogłam. Jest wielu kandydatów, żadnych oczywistych podejrzanych.
- Szybciej byłoby od razu kazać mu to zrobić.
- W ogóle nie powinnam się tym zajmować – przypomniała. – Czy River zdał raport?
- Dziś rano.
- Wszystko w porządku?
- Dlaczego miałyby być inaczej? Bez względu na to, co się dzieje, celem operacji nie jest zamordowanie Cartwrighta.
- Rano odbywa się ten szczyt. Spotkanie z Paszkinem.
- I twoim zdaniem ma on coś wspólnego z naszą sprawą – powiedział Lamb beznamiętnym głosem.
- Arkady Paszkin – przypomniała. – Aleksander Popow. Nie martwi cię to?
- Daj spokój. Ja mam takie same inicjały jak... Jezus Chrystus, ale o tym nie mówię. To nie powieść Agathy Christie.
- Nie obchodzi mnie, jeśli to powieść Dana Browna. Jeśli te dwie sprawy są ze sobą powiązane, coś wydarzy się w Upshott. Wkrótce. Powinniśmy powiadomić Regent's Park.
- Jeśli Dander jest wtyczką Taverner, już o tym wiedzą. Chyba że chcesz postawić na ten wątek z inicjałami. – Lamb z zamyśleniem podrapał się po brodzie. – Myślisz, że zwołają sesję COBRA?
- To ty wprawiłeś tę maszynę w ruch. A teraz zamierzasz po prostu siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, co się wydarzy?
- Nie, mam zamiar poczekać, aż Cartwright zadzwoni. Co zrobi, gdy wróci z poligonu Ministerstwa Obrony. Sądzisz, że siedzę tu po nocach, bo nie mam nic lepszego do roboty?
- Raczej tak – odparła Catherine. – Co się dzieje na poligonie Ministerstwa Obrony?
- Prawdopodobnie nic. Ale ktokolwiek zostawił te tropy, nie zrobił tego, aby utrzymać w tajemnicy to, co ma się wydarzyć. Zakładam więc, że Cartwright odnajdzie gdzieś jakieś wskazówki. A teraz odczep się i zostaw mnie w spokoju.
- Catherine wstała, ale zatrzymała się w wejściu.
- Mam nadzieję, że masz rację – oznajmiła.
- W jakiej kwestii?

– Że bez względu na to, co się dzieje, nikt nie planuje zabić Rivera. Straciliśmy już Mina.

– Dają nam samych jełopów – przypomniał jej Lamb. – Błyskawicznie odzyskamy siły.

Catherine wyszła.

Lamb odchylił się na krzesło i przez chwilę wpatrywał się w sufit, po czym zamknął oczy i znieruchomiał.

Ho zasysał powietrze przez zęby podczas pracy. To, co Standish zrobiła z danymi, było dość staroświeckie: przetworzyła dane, poszukując punktów stycznych. Szybciej można było to zrobić, po prostu drukując informacje i czytając je z długopisem w dłoni.

Nazywano to metodą amiszów. Wyrażenie to odnosiło się także do Catherine Standish. Ta kobieta nosiła kapelusze.

Metoda Ho nie miała swojej nazwy, a przynajmniej on nie był w stanie takiej wymyślić. To, co robił, przychodziło mu naturalnie jak rybie pływanie. Brał nazwiska, daty urodzenia, ignorował wszystkie pozostałe dane, jakich dostarczyła Standish, i wrzucał je do wyszukiwarek, zarówno przez tylne furtki, jak i w legalnych źródłach. Legalne było wszystko to, co w domenie publicznej, plus różne rządowe bazy danych, do których miał dostęp jako pracownik wywiadu: podatki, ubezpieczenie społeczne, zdrowie, prawo jazdy.

Tylne furtki okazały się dużo bardziej skuteczne. Na początek miał możliwość wejścia do systemu SOCA. Ho ograniczał się do krótkich wypadów, ponieważ system był coraz bardziej bezpieczny i wysyłał niemal natychmiastowe raporty nawet na temat marginalnych ingerencji. Było mało prawdopodobne, by stworzył je tajny agent, ale Ho lubił być w formie. Wyżej była tylko ekstraklasa. W czasie gdy Ho był młodszym analitykiem w Regent's Park, dostał jednorazowy dostęp do sieci GCHQ i sklonował swoje tymczasowe hasło. Następnie nadał sobie uprawnienia administratora i był w stanie wyciągnąć dane na temat dowolnie wybranej osoby. W ten sposób mógł obserwować nie tylko działalność wywrotową – w której skład wchodziły między innymi związki z obywatelami krajów znajdujących się na liście podejrzanych; podróże do wrogich państw, wśród których, z przyczyn historycznych, była też Francja; i każdy kontakt, nawet bliżej nieokreślona bliskość geograficzna, z kimkolwiek z listy podejrzanych, którą codziennie uaktualniano – ale też ślad cyfrowy, korzystanie z telefonu, rating kredytowy, kartotekę kryminalną, informacje o posiadanych zwierzętach, wszystko. Gdyby GCHQ sprzedawało dane użytkowników firmom zajmującym się wysyłką przesyłek reklamowych, mogłoby samodzielnie opłacić koszty wojny z terroryzmem. W zasadzie to przedsiębiorczy wolny strzelec mógłby to wykorzystać, pomyślał Ho; temat wart dalszego zbadania, choć może nie w tym momencie.

Ho wszedł do bazy, wpisał dane celów, stworzył folder, do którego miały trafić wyniki wyszukiwania, i wyszedł. Nie miało sensu kręcić się w bazie, gdy matrix robił swoje, czyli gromadził, szacował i wypluwał dane, podkreślając wyraźnie punkty przecięcia, żeby nawet amisz był w stanie ogarnąć wypunktowane informacje.

Trochę przypominało to grę w tetris. Bloki informacji układały się we właściwych miejscach. Bez dziur.

Mniej więcej, tylko dużo fajniej... Gdyby Shana go teraz widziała, jej chłopak obróciłby się w proch. Roderick Ho odpłynął w radosny sen na jawie, gdy maszyny wykonywały swoją pracę.

– Dlaczego mnie powstrzymałeś?

W metrze panowała cisza: kilka osób wracających do domu zajmowało miejsca na drugim końcu wagonu; samotna kobieta weszła do swojego świata; przy drzwiach stał pijany mężczyzna. Ale Louisa mówiła cicho, bo nigdy nic nie wiadomo.

– Tak jak wspominałem – powiedział Marcus – samodzielna próba unieszkodliwienia Paszkina jest świetnym sposobem na zrobienie sobie krzywdy.

– A jakie to ma znaczenie dla ciebie?

– Pracowałem w Operacjach. Mieliśmy taki zwyczaj, by się nawzajem pilnować. – Nie wydawał się urażony. – Uważasz, że zabił Harpera, tak?

– Albo zlecił jego zabójstwo. Sądzisz, że się mylę?

– Niekoniecznie. Ale nie bierzesz pod uwagę, że już mu się przyjrano?

– Spider Webb go sprawdzał.

– A on nie był z nami szczery.

– Jest garniturkiem, jest z Regent's Park. Nawet gdyby wsadzić mu w tyłek słup telegraficzny, odstawiłby krzywą akcję. – Wstała. – Tutaj się przesiadam.

– Wracasz do domu?

– Będiesz teraz udawał mojego tatusia?

– Powiedz tylko, że nie zamierzasz wrócić i spróbować raz jeszcze.

– Zabrałeś mi kajdanki, Longridge. I gaz. Nie zamierzam podejmować kolejnej próby, nie, nie z pustymi rękoma.

– I pojawisz się rano.

Wpatrywała się w niego.

Rozłożył szeroko ramiona: spójrz na mnie, nie mam nic do ukrycia.

– Może kazał załatwić Mina, może nie. Ale nadal mamy zadanie do wykonania.

– Będę w pracy – wycodziła przez zęby.

– To dobrze. I jeszcze jedna sprawa, okej?

Pociąg wjechał na stację i nagle za oknami pojawiły się białe kafle i jaskrawe plakaty.

– Jutro zajmuję się ochroną. A moim zadaniem jest zneutralizowanie wszelkich zagrożeń, których celem jest nasz gość. Rozumiesz, co mówię?

– Dobranoc, Marcusie – powiedziała, wychodząc na peron.

Zanim pociąg odjechał, zniknęła już w tunelu prowadzącym do wyjścia.

Marcus został na miejscu. Jeszcze dwie osoby wysiadły na tej samej stacji, trzy wsiadły, a on dokładnie wiedział, kto był kim. Jednak żadna z nich nie stanowiła zagrożenia, więc gdy pociąg przyspieszył, zamknął oczy i całemu światu mogło się wydawać, że Marcus śpi.

Ho obudził się, wyprostował, a strużka śliny łącząca kącik jego ust z ramieniem

przerwała się i spłynęła na przód jego koszuli. Półprzytomny otarł usta, a następnie wytarł palce o koszulę. Po czym włączył komputer.

Sprzęt wydawał z siebie pomruk pełen zadowolenia: ten przyjazny dźwięk, który oznajmia, że zleczone zadanie zostało wykonane.

Ho wstał. Śliska sprawa – ubrania kleiły się do krzesła. Zatrzymał się w korytarzu. W Slough House panowała cisza, ale budynek nie wydawał się pusty. Pewnie nadal był tu Lamb i prawdopodobnie także Standish. Ho ziewnął, poszedł do toalety, wysikał się głównie do pisuaru, po czym podreptał z powrotem do biura i opadł na krzesło. Znowu wytarł palce o koszulę, wypił napój energetyczny. Później przechylił swój monitor z płaskim ekranem, żeby przejrzeć wyniki wyszukiwania.

Skrolując, pochylił się w stronę komputera. Informacje interesowały Ho dokładnie do takiego stopnia, w jakim mogły okazać się dla niego użyteczne, a dane, na które spoglądał, nie miały dla niego znaczenia. Ale Catherine Standish była nimi zainteresowana. Miała nadzieję, że wśród sprawdzonych przez niego nazwisk znajdował się kontakt pana B: sowiecki szpieg z dawnych czasów w stanie uśpienia. Jeśli się dowie, kim on jest, być może zaimponuje Standish. Z drugiej strony ona już wiedziała, że jest genialny w tych kwestiach, i choć prawdą było, że traktuje go lepiej niż cała reszta ludzi w tym chlewie, to faktem jest też to, że szantażem zmusiła go do...

Coś przykuło jego uwagę. Przestał skrolować, wrócił do wcześniejszych informacji, sprawdził datę, którą przed chwilą odnotował. Przesunął dane do miejsca, w którym był wcześniej.

– Hmm.

Ho poprawił okulary na nosie za pomocą palca, następnie powąchał palec i zrobił skrzywioną minę. Wytarł palec o koszulę i znowu skupił się na danych. Chwilę później znowu przestał przewijać.

– To jakiś żart – wymamrotał.

Przewinął dane, zatrzymał je.

– To chyba jakiś żart.

Przerwał przewijanie i zastanowił się. Wpisał frazę do wyszukiwarki, wcisnął enter i przyglądał się wynikom.

– To musi być, kurwa, jakiś żart – powiedział.

Tym razem w ogóle nie przykleił się do krzesła.

Usłyszał głos.

– Walker.

Nadal słyhać było grzmoty, ale tym razem tylko w jego głowie: pulsowanie przypominające uderzenia w metalowy bęben odbijały się w jego czaszce. Przy każdym kontakcie eksplodowała gwiazda, gasła i znów eksplodowała. Jego ciało było jedną wielką pięścią z obtartymi knykciami.

– Jonathan Walker.

River otworzył oczy i odkrył, że został porwany przez karła. Był w tym samym miejscu co wcześniej: zwinięty w kłębek u stóp niezniszczalnego drzewa, jedyne go elementu łączącego ziemię z niebem. Zniszczony budynek skurczył się – a może wszystko inne urosło – a serce Rivera próbowało się uwolnić z klatki.

Jak długo tu był? Od dwóch minut? Dwóch godzin? Kim był ten karzeł? Rozprostował się. Karzeł miał na głowie czerwoną czapkę i diabolicznie błyszczał.

– Dobrze się bawisz? – zapytał River, a słowa pęcniały po tym, jak wypłynęły z jego ust. Jego głowa znajdowała się wewnątrz balonu.

– Griff? Od dawna go już nie ma.

River mógł przysiąc, że karzeł obrócił się na pięcie jak jedna z tych zabawek, których nie da się przewrócić. Następnie zbliżył się do twarzy Rivera.

– Mało prawdopodobne, by kręcił się tutaj podczas prób ostrzału artyleryjskiego, nie sądzisz?

Pociągnął Rivera tak, by postawić go na nogi, i wtedy okazało się, że wcale nie jest karłem, tylko mężczyzną średniego wzrostu. Chyba że River się skurczył. Strach mógł mieć taki skutek. River pokręcił głową, a gdy znieruchomiał, świat nadal się poruszał. River spojrzał w górę, co było kolejnym błędem, ale przynajmniej niebo się uspokoiło. Nie rozrywały go już żadne nowe rany. River ponownie spojrzał na mężczyznę, który nie był już karłem.

– Znam cię – powiedział i tym razem jego głos mniej więcej robił to, co mu kazano.

– Może powinniśmy stąd pójść.

River przycisnął dłonie do skroni. Dzięki temu na moment wszystko znieruchomiało.

– Tutaj grozi nam niebezpieczeństwo?

– Noc jest jeszcze młoda.

Mężczyzna w czerwonej czapce – już nie karzeł, choć czapka okazała się prawdziwa – skręcił i powlókł się na zewnątrz budynku. River z trudem poszedł za nim.

Lamb otarł twarz pulchną dłonią.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego. – Spał wcześniej na krześle, a i teraz wyglądał na nie do końca przebudzonego. Ale kiedy Roderick Ho stanął w drzwiach z wydrukiem w dłoni, Lamb otworzył oczy i przez moment Ho czuł się jak królik, który wszedł do klatki lwa.

– Mam coś – powiedział.

Przyszła Catherine. Jeśli też spała, robiła to z większą gracją niż Lamb, którego twarz pokrywały teraz rozległe czerwone plamy.

– Co takiego, Roddy?

Tylko ona go tak nazywała. Ho nie potrafił zdecydować, czy go to cieszy, czy chciałby, żeby więcej osób tak się do niego zwracało.

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale coś mam.

– Nie spałem najlepiej – oznajmił Lamb. – Ale jeśli obudziłeś mnie po to, by grać w dwadzieścia pytań, posadzę cię w pokoju z Cartwrightem, gdy wróci do biura.

– Chodzi o wioskę. Upshott. O strukturę demograficzną.

– To raczej mała miejscowość – rzekła Catherine.

– To pieprzona kraina zabawek – dopowiedział Lamb. – Tylko ma mniej udogodnień. Masz jakieś informacje, których wcześniej nie znaleźliśmy?

– Mniej udogodnień, dokładnie tak. – Ho znów poczuł się pewnie. Przypomniał sobie, że jest cyberwojownikiem. – Nic w niej nie ma. A gdy było, miało związek z jankeską bazą lotniczą, a żadne z nazwisk na liście nie ma z nią nic wspólnego.

Lamb zapalił papierosa.

– Pierwszy dzisiaj – oznajmił, gdy Catherine spiorunowała go wzrokiem. Było dziesięć minut po północy. – Słuchaj, Roddy – zaczął uprzejmie – wszystko, co ci powiedziałem: te wyzwiska, groźby...

– W porządku – odparł Ho. – Wiem, że nie mówiłeś poważnie.

– Synu, mówiłem zajebiście poważnie. Jednak wszystko to wyda się pestką w porównaniu z tym, co się stanie, jeśli natychmiast nie zaczniesz gadać z sensem. *Capisce?*

Duch cyberwojownika się ulotnił.

– Żadna z tych osób nie była powiązana z bazą lotniczą. Coś innego musiało ich przyciągnąć do Upshott, ale tam nic nie ma. Tak więc...

– Ucieczka z miasta? – spytał Lamb. – Tak właśnie dzieje się w miastach, gdy napływa do nich zbyt wiele niepożądanych elementów. – Zamilkł. – Bez urazy.

– Tyle że to zjawisko zachodzi stopniowo – powiedział Ho. – A tu nie ma o tym mowy. – Dym z papierosa Lamba zawisł nieruchomo w powietrzu.

– Co masz na myśli, Roddy? – spytała Catherine.

I oto nadeszła dzisiejsza chwila triumfu, choć jej świadkiem było mniej blondynek, niżby tego pragnął.

– Wszyscy sprowadzili się do Upshott w ciągu kilku miesięcy. Cała grupa.

– Ilu z nich? – zapytał Lamb.

– Siedemnaście. Siedemnaście rodzin – odrzekł Ho, wręczając wydruk Catherine. – Wszyscy przenieśli się do Upshott między marcem a czerwcem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

I Ho poczuł satysfakcję, bo po raz pierwszy był świadkiem tego, że Lamba po prostu zatkało.

Wspinając się z trudem po wzgórzu, z którego wcześniej sprowadził go Griff Yates, River musiał odpocząć w połowie drogi. Jednak uderzenia w jego głowie osłabły i River zauważył, że żyje, choć z łatwością mógł zginąć i opaść na ten krajobraz drobną czerwoną mgiełką.

Myśl o tym, że może ponownie natknąć się na Griffa, także dodawała mu energii.

Czerwona Czapka poczekał na niego na górze. Choć był ledwie ciemnym kształtem na horyzoncie, River, którego mózg znów pracował na najwyższych obrotach, rozpoznał go.

– Nazywasz się Tommy Moulton – powiedział. Ten człowiek stał przed sklepem i sprzedawał nasiona z koszyka zamontowanego na rowerze. To stąd kojarzył go River, choć wymieniali jedynie uprzejme powitania. – Co tu robisz w środku nocy?

– Zgarniam tych, którzy się zgubili. – Czapkę Moultona zdobiły kępki białych włosów.

Musiał mieć z siedemdziesiąt lat: jego twarz była mocno poorana zmarszczkami, wyglądał jak strach na wróble – miał na sobie starą marynarkę z tweedu, śmierzdzącą polem, a spodnie obwiązał sobie wokół kostek. River przypuszczał, że był to rodzaj zastępstwa dla klipsów do nogawek, choć przyszły mu do głowy też mniej higieniczne powody. Głos Tommy'ego brzmiał jak szorstki gulgot: tutejszy akcent wylany na kamienie. Mało prawdopodobny zbawca, ale jednak zbawca.

– Cóż, dziękuję.

Moulton skinął głową, odwrócił się i ruszył. River poszedł za nim. Nie miał pojęcia, w jakim idą kierunku. Jego wewnętrzny kompas kręcił się jak oszalały.

– Nic by ci się nie stało! – rzucił Moulton za siebie. – Nie celują w budynki. W przeciwnym razie zostałyby tylko kupa cegieł i wykałaczkami zamiast drzew. Widzisz te wzniesienia tam z tyłu?

– Nie.

– Cóż, to kurhany z epoki brązu. Wojsko nie kieruje w ich stronę ostrzału artyleryjskiego. Od razu wylałaby się krytyka.

– Zakładam, że Griff również ma tego świadomość.

– Nie planował wysadzić cię w powietrze, jeśli o to chciałeś zapytać.

– Będę o tym pamiętał, gdy go znów zobaczę.

– Chciał cię tylko śmiertelnie wystraszyć. – Moulton przystanął tak gwałtownie, że River prawie na niego wpadł. – Powinieneś jednak wiedzieć, że Griff jest zakochany w młodej Kelly Tropper, odkąd nauczyła się jeździć na rowerze na dwóch kółkach. Więc gdy byliście z Kelly tacy dla siebie mili, i to w środku dnia, cóż, możesz sobie wyobrazić, że poczuł się urażony.

– Słodki Jezu – powiedział River. – Przecież to było dzisiaj po południu.

Tommy Moulton spojrział w niebo.

– Wczoraj po południu. I on o tym wie? Ty o tym wiesz?

– Słyszałeś określenie „globalna wioska”? – River wbił w niego wzrok. – No, to Upshott jest jego wiejską wersją. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

– Ten drań mógł mnie zabić.

– Przypuszczam, że idąc jego torem myślenia, to nie on stałby za zabójstwem.

Moult szedł dalej. River podążał za nim.

– Mam wrażenie, że to dłuższa droga niż w tamtą stronę – powiedział po chwili.

– Taka jak zawsze.

Nagle zrozumiał.

– Nie wracamy na drogę do Upshott, prawda?

– Szkoda byłoby – odparł Moult – podjąć taki wysiłek, o posrani się w gacie ze strachu już nie wspominając, i wrócić do domu z podwiniętym ogonem.

– Dokąd w takim razie idziemy?

– Znaleźć jedyną rzecz, jakiej warto tu szukać – powiedział Moult. – Ach, i przy okazji... to ściśle tajne.

River skinął głową i dalej wędrowali w noc.

– Okej – powiedział w końcu Lamb. – To pewnie dlatego cię tu trzymam. A teraz wróć do swoich zabawek, chłoptasiu. Jeśli wszyscy są agentami w stanie uśpiania, to od wielu lat udają, przy czym „udają” to słowo klucz. Muszą mieć dobre dokumenty, ale gdzieś na pewno jest promyk nadziei. Znajdź go.

– Jest po północy.

– Dzięki – rzekł Lamb. – Mój zegarek się spieszy. A gdy już znajdziesz to, o co cię prosiłem, przyjrzyj się Arkademu Paszkinowi, jego nazwisko pisze się tak, jak się wymawia. – Przerwał. – Jest jakiś powód, dla którego nadał tu jesteś?

– Dobra robota – rzekła Catherine. – Dobrze się spisałeś, Roddy.

Ho wyszedł.

– Chyba by cię to nie zabiło, gdybyś go pochwalił? – spytała.

– Jeśli nie robi, co do niego należy, to znaczy, że tylko zajmuje miejsce.

– Odkrył to! – Catherine pomachała wydrukiem. – I jeszcze jedno: „promyk nadziei”<sup>\*</sup>?

Na chwilę zapadła cisza.

– Chryste, starzeje się – stwierdził Lamb. – Nie mów mu, ale nie zrobiłem tego celowo.

Standish udała się do maleńkiej kuchni i nastawiła czajnik. Gdy wróciła, Lamb siedział na krześle, które odsunął od biurka, i wpatrywał się w sufit. W jego ustach tkwił niezapalony papieros.

Catherine czekała.

W końcu się odezwał:

– Co o tym myślisz?

Wyglądało na to, że pyta poważnie.

– Jak sądzę, wykluczamy zbieg okoliczności – powiedziała. – W Upshott nie było wyprzedaży domów. I jak wspomniał Ho, nie ma żadnego innego powodu, by właśnie tam się przeprowadzić.

– Czyli cała gromadka uśpionych szpiegów po prostu przeniosła się do wioski w górach i co, przejęła w niej stery?



– Brzmi trochę jak *Strefa mroku*, nie sądzisz?

– Tylko do czego to ma prowadzić? To w zasadzie miejsce dla emerytów.

Lamb nie odpowiedział.

Woda się zagotowała, więc Catherine poszła do kuchni i zaparzyła herbatę.

Wróciła z dwoma kubkami i jeden postawiła na biurku Lamba. Nie zareagował.

– Upshott nawet nie jest sypialnią – ciągnęła. – Nie ma bezpośredniego połączenia kolejowego z Londynem czy jakimkolwiek innym miastem. Jest tam kościół, sklep i kilka sklepów internetowych. Pracownia garncarska. Pub. Ucisz mnie, gdy mój opis zacznie brzmieć jak opis celu.

– Gdy się wprowadzili, nadal była tam baza lotnicza.

– Co sugeruje, że gdyby ich obecność miała z nią związek, dawno by ich już tam nie było. Albo wykonaliby swoje zadanie w czasie, gdy baza nadal działała. Na litość boską, kto kupuje dom, żeby przeprowadzić tajną misję? Połowa z nich ma kredyt hipoteczny. Dzięki temu Ho ich znalazł.

– Nie, proszę, mów dalej – powiedział Lamb. – Cisza mnie męczy.

Nie odrywając wzroku od sufitu, zaczął szukać zapalniczki.

– Jeśli zapalisz papierosa, otworzę okno – zagroziła. – Ten pokój już śmierdzi.

Lamb wyjął papierosa z ust i uniósł go nad głowę. Przesuwał go między palcami. Standish słyszała, jak myśli.

– Siedemnaścioro – powiedział.

– Siedemnaście rodzin. A przynajmniej część z nich ma rodziny. Myślisz, że ich dzieci wiedzą?

– O ilu osobach mówimy?

Catherine spojrzała na wydruk.

– O kilkunastu. Większość z nich ma już ponad dwadzieścia lat, ale przynajmniej pięcioro jest nadal mocno związanych z wioską. River mówi... – Lamb gwałtownie się wyprostował, a ona zamilkła, gubiąc wątek. – Co?

– Dlaczego zakładamy, że wiedzą o sobie nawzajem?

– Och... Bo mieszkają tam od dwudziestu lat.

– Jasne. Ten temat z pewnością jest poruszany na wszystkich proszonych kolacjach – podniósł głos o oktawę. – „Czy kiedykolwiek wspominałem, że razem z Sebastianem szpiegujemy dla Kremla? Dolać wina?” – Wrócił do szukania zapalniczki. – Uśpieni agenci działają w pojedynkę. Nie mają łącznika, tylko sygnał wywoławczy. Zrób to. Bez odbioru. W międzyczasie mogą upłynąć lata, a oni nie mają z nikim kontaktu.

Wyglądał teraz jak ropucha. Znalazł zapalniczkę i odpalił papierosa, ale zrobił to odruchowo. Nie skomentował nawet, gdy Catherine przeszła na drugą stronę gabinetu, zwinęła roletę i otworzyła okno. Do środka wpłynęło mroczne nocne powietrze, pragnąc odkryć tę zupełnie nową przestrzeń.

– Pomyśl tylko – powiedział. – Runął mur berliński. Związek Radziecki się rozpadł. Bez względu na to, w jakim celu powstała sieć, teraz szlag ją trafił. Może więc ten geniusz, który nią zarządzał, a który, jak przypuszczamy, jest tym samym człowiekiem, który wymyślił Aleksandra Popowa, postanowił ukryć ją w kokonie.

Zamiast jednak wezwać jej członków do domu, wysłał ich na odludzie. Czemu nie?

Catherine poszła jego torem myślenia:

– Przez całe lata mościli sobie gniazdko w brytyjskim społeczeństwie. Wszyscy mają pracę, odnoszą sukcesy w swoich dziedzinach, po czym każe im się wyprowadzić na wieś, czyli zrobić to samo, co robi mnóstwo innych ludzi z klasy średniej, którym się powiodło. Może nie są już uśpieni. Może stali się tymi ludźmi, których udawali.

– Prowadzą zwykłe życie – powiedział Lamb.

– Czyli miałam rację. To wioska dla emerytów.

– Choć wygląda na to, że ktoś planuje ich obudzić.

– W każdym razie – zaproponowała Catherine – może dobrze byłoby powiadomić Rivera.

Moult otworzył lodówkę i z zamrażalnika wyciągnął butelkę tak oszronioną, że River nie był w stanie odczytać jej etykiety. Znalazł szklanki na półce, postawił je na stole warsztatowym. Otworzył butelkę, napełnił szklanki i podał jedną z nich Riverowi.

– To wszystko? – spytał River.

– Spodziewałeś się plasterka cytryny?

– Przeszliśmy ponad dziesięć kilometrów po ciemnym jak noc wrzosowisku, a twoja ściśle tajna informacja to zapas darmowego alkoholu?

– Przeszliśmy zaledwie trzy kilometry – zauważył Moult. – I jednak świeci księżyc.

Na wrzosowisku musieli rzucić się na ziemię, gdy minął ich jeep, światłami wykrawając kawałki nocy, której niektóre drobiazgi połyskiwały – na przykład owady ulatujące we wszystkie strony jak fruujące odłamki szkła i odbijające światło z reflektorów patrolu. Niedługo po tym przeszli przez ogrodzenie, ale nie w taki sposób, w jaki Griff Yates wpuścił Rivera na teren ośrodka; wyszli na wyłożony asfaltem trakt, który – jak po mniej więcej minucie marszu zorientował się River – był nie drogą, ale pasem startowym. Później położone przed nimi budynki nabrały kształtów i River zorientował się, że zmierzają do hangaru, w którym stał samolot klubu lotniczego. Obok znajdował się mniejszy budynek, siedziba klubu, który, jak się okazało, przypominał garaż z paroma udogodnieniami – lodówką, na którą zrobił nalot Moult, kilkoma krzesłami, starym biurkiem zawalonym papierami; stertą kartonów i oświetleniem w postaci gołej żarówki zawieszanej pod sufitem. Klucz do tego skarbcza był ukryty na gzymsie nad wejściem – i byłoby to pierwsze miejsce, które sprawdziłby River, gdyby Tommy Moult nie wiedział, gdzie szukać.

Tommy Moult spoglądał teraz na pustą szklankę, jakby starał się odkryć, jak to się stało, że nic w niej nie ma.

– Zakładam, że nie jesteś pełnoprawnym członkiem klubu? – zagaił River.

– To nie jest prawdziwy klub – odpowiedział Tommy. – Nie ma zasad i listy członków.

– Czyli odpowiedź brzmi: nie.

– Gdyby chcieli, żeby drzwi były zamknięte, trzymaliby klucz w takim miejscu, żebym go nie znalazł. – Wzruszył ramionami.

Do lodówki przypięto zdjęcia za pomocą magnesów. Jedno z nich przedstawiało Kelly w stroju pilota, kombinezon, kask, szeroki uśmiech. Poza rachunkami i wycinkami z gazet wisiały i inne zdjęcia, przedstawiające przyjaciół Kelly: Damiena Butterfielda, Jeza Bradleya, Celię i Dave'a Mordenów; nazwisk pozostałych River nie znał. Starszy mężczyzna stał przy porządnym samolocie, który był dumą i radością klubu lotniczego, i wyglądał jak pilot – wyprasowane spodnie, marynarka ze srebrnymi guzikami. Jego siwe włosy były idealnie przystrzyżone; buty wypastowane na błysk.

– To Ray Hadley?

– Tak – odpowiedział Tommy.

– Jak może sobie pozwolić na taki samolot?

– Może wygrał na loterii.

Hadley był założycielem klubu, o ile klub niebędący klubem może mieć założyciela. To dzięki jego zachętom Kelly i spółka nauczyli się latać; dzięki niemu ich życie kręciło się wokół tego garażu i położonego obok hangaru.

Podczas jednej z pierwszych rozmów River zapytał Kelly, jak mogli sobie pozwolić na to wszystko, i na jej twarzy przez moment pokazało się lekkie zdziwienie, gdy wyjaśniała, że jej rodzice pokryli koszty.

– Nie kosztowały dużo więcej niż nauka jazdy konnej – powiedziała.

Nad biurkiem wisiał kalendarz, w którym dni miesiąca odhaczano w małych okienkach. Kilka z nich zaznaczono grubym krzyżykiem. Ostatnia sobota, odnotował River, i poprzedni wtorek. I jutro. Pod kalendarzem wisiały pocztówki z wakacji przymocowane do ściany kawałkami niebieskiej masy: plaże i zachody słońca. Wszystkie położone daleko stąd.

W kieszeni jego spodni zawibrował telefon.

– Będę na zewnątrz – powiedział Tommy'emu i dopiero tam sprawdził, kto dzwoni, i odebrał.

Dzwoniła Catherine Standish, nie Lamb.

– To, co powiem, zabrmi dziwnie – obiecała.

Catherine wyszła, Lamb zamknął okno, zaciągnął roletę i nalał do szklanki taliskera, którego butelkę, zgodnie ze stereotypem, trzymał w szufladzie biurka. Gdy pił, nie skupiał wzroku na konkretnym punkcie. Każdy, kto mu się przyglądał, mógłby pomyśleć, że Lamb zapada w alkoholową drzemkę, ale śpiący Lamb był o wiele bardziej niespokojny – wykonywał nagłe, paniczne ruchy, czasem przeklinał w obcych językach. Teraz natomiast Lamb był nieruchomy i milczący, choć jego usta lśniły. Teraz Lamb udawał skałę.

Po dłuższym czasie ten Lamb przemówił:

– Dlaczego Upshott?

Gdyby Catherine była z nim, odpowiedziałyby: „A dlaczego nie? Gdzieś musieli się przenieść”.

– Gdyby przenieśli się gdziekolwiek indziej, pytałbym: „Dlaczego tam?” – odpowiedział Lamb. Ale nie byli gdziekolwiek indziej. Byli w Upshott.

I ktokolwiek zdecydował, że tam właśnie powinni być, miał mózg Kremla

w głowie Kremla. A to oznaczało, że nie był w stanie wybrać śniadania, nie pomyślał wcześniej o konsekwencjach. A to oznaczało, że istniał powód, by wybrać Upshott, i nie wymagał on użycia mapy i pinezki.

Z zamkniętymi oczami Lamb przywołał mapę przygotowaną przez Ordnance Survey, którą studiował raz dziennie, odkąd River Cartwright został wysłany do Upshott. Mała wioska położona wśród większych miasteczek, z których żadne nie miało strategicznego znaczenia – znajdowały się po prostu w samym centrum brytyjskiej prowincji, przyciągały turystów i fotografów. W takich miasteczkach kupowało się antyki i drogie swetry. Tam się jechało, gdy miało się dość miasta. A gdy chciało się przywołać obrazek Anglii, myślało się o takich miejscach, po tym, jak zobaczono już pałac Buckingham, Big Bena i pałac Westminster.

A przynajmniej, poprawił się, to były miejsca, o jakich pomyślałby mózg Kremla w głowie Kremla, gdyby myślał o Anglii. Lamb poruszył się niespokojnie i się wyprostował. Nalał sobie kolejną szklankę szkockiej i wypił; te dwie czynności były bliźniaczymi połówkami jednego płynnego gestu. Następnie dotknął pulchną dłonią kołnierza, żeby upewnić się, że ma już na sobie płaszcz.

Było późno, ale on nadal nie spał. A w świecie Lamba obowiązywała zasada, że póki on nie śpi, nie ma powodów, dla których inny gnojek powinien spać.

Potrzebował mózgu Rosjanina, z którym mógłby poodbijać myśli, wyszedł ze Slough House i skierował się na zachód.

– Co? – zapytał River.

– Połowa wymienionych przez ciebie nazwisk – powtórzyła Catherine – Butterfield, Hadley, Tropper, Mor...

– Tropper?

– Istnieje jakiś szczególny powód, by akurat na niego zwrócić uwagę? – przerwała Catherine.

– Nie. Kto jeszcze?

Przeczytała: Butterfield, Hadley, Tropper, Morden, Barnett, Salmon, Wingfield, James i resztę... siedemnaście nazwisk, z których większość była Riverowi znana. Wingfield – spotkał jakąś Wingfield w kościele. Była po osiemdziesiątce; jedna z tych starszych pań, które przypominają ptaki: mają bystry wzrok i ostry dziób. Pracowała kiedyś w BBC.

– River?

– Jestem.

– Sądziliśmy, że pan B pojechał do Upshott, żeby spotkać się ze swoim kontaktem. To może być ktokolwiek z nich, Riverze. Wygląda na to, że sieć cykad istnieje, ma się dobrze. I jest tam teraz.

– Czy na tej liście jest Tommy Moulton? M-O-U-L-T.

Słyszał, jak w jej dłoniach szeleści wydruk.

– Nie – odpowiedziała. – Nie ma żadnego Moulta.

– Tak właśnie myślałem – odparł River. – No dobrze. Jak się czuje Louisa?

– Tak samo jak wcześniej. Jutro odbywa się ten szczyt. Twój stary przyjaciel Spider Webb spotyka się ze swoimi Rosjanami. Tylko że...

– Tylko że co?

– Lamb zbadał przeszłość tej kobiety, która przejechała Mina. Wygląda na to, że psy zbyt szybko zakwalifikowały jego śmierć jako nieszczęśliwy wypadek.

– Jezu – odpowiedział. – Czy Louisa o tym wie?

– Nie.

– Catherine, uważaj na nią. Ona już uważa, że Min został zamordowany. Jeśli będzie miała dowód...

– Będę jej pilnować. Skąd wiesz, że tak uważa?

– Ponieważ ja bym tak myślał – odparł. – Okej. Będę ostrożny. Ale muszę przyznać, że na razie Upshott nie odbiega od swojego wizerunku na mapie. Małe zadupie w ładnej okolicy.

– Roddy nadal szuka. Dam ci znać.

River stał jeszcze przez chwilę w ciemności. Kelly, pomyślał. Kelly Tropper – być może jej ojciec, tak, niegdyś znany prawnik w stolicy; może on był szpiegiem Kremla w dawnym stylu, uśpionym na wiele lat. Ale jego córka urodziła się na krótko przed upadkiem muru. Nie było powodu przypuszczać, że może być częścią sieci. Jak prawdopodobne było, że na tym małym zadupiu hodowano nowe pokolenie wojowników zimnej wojny? A gdyby nawet tak – o co mieliby walczyć? O odbudowę Związku Radzieckiego?

River oglądał przez okno, jak Tommy Moulton dolewa wódki, a później bierze coś z kieszeni i wkłada sobie do ust. Popija alkoholem. Nadal miał na głowie swoją czerwoną czapkę, włosy, które spod niej wystawały, wyglądały komicznie. Skórę na szczęście miał napiętą, jeżyła się siwym zarostem. Błysk w jego oku nadal był pełen życia, ale ogólnie sprawiał wrażenie znużonego. Czapka była wesołym elementem, który nie pasował do reszty.

River odwrócił się i stanął twarzą do hangaru. Wielkie drzwi wychodzące na pas startowy zamknięto na kłódkę, ale z boku było drugie, niezabezpieczone wejście. Wszedł do środka, uważnie nasłuchując, ale jedyne dźwięki wydawał pusty budynek. A gdy omiótł jego wnętrze światłem z kieszonkowej latarki, nic nie chowało się przed jej blaskiem. W ciemności majaczył zarys samolotu Cessna Skyhawk – po raz pierwszy był tak blisko niego, ale widział wcześniej, jak rozcina niebo nad Upshott, i wówczas wyglądał jak zabawka. Teraz też nie wydawał się dużo bardziej okazały: wysoki jak mniej więcej połowa wzrostu River'a i może trzy razy dłuższy. Jeden silnik i miejsca dla czterech pasażerów. Pomalowany na biało z niebieskimi elementami dekoracyjnymi. Gdy River położył dłoń na skrzydle, poczuł chłód, ale z obietnicą ciepła; ciepła skrywanych możliwości. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że Kelly latała. Wiedział o tym, ale tego nie czuł. Teraz już poczuł.

Pozostałą część budynku stanowiła głównie pusta podłoga, cała reszta poza samolotem została ustawiona pod ścianami. Rączka wózka platformowego stała dęba jak koń na patyku. To, co było na nim, przykryto płótnem i zamocowano do wózka za pomocą sznura na bieliznę. River musiał rozwiązać supeł, trzymając latarkę w ustach, zanim udało mu się zdjąć płótno. Gdy już to zrobił, potrzebował dłuższej chwili, by zorientować się, co ustawiono tam w trzech workach ułożonych

warstwami. Włożył dłoń do środka. Podobnie jak samolot zawartość worków była zimna, ale skrywała ten sam potencjał.

W jego szyję wbiło się coś, co przywodziło na myśl parę rzutek.

W mózgu Rivera zapłonął błysk światła i świat zakrył się mgłą.

W Wentworth Academy of the English Language panowała cisza; nie widać było, by w jej siedzibie na trzecim piętrze nad sklepem papierniczym przy High Holborn paliły się światła. Lamb był z tego zadowolony. Wolałby zastać Nikołaja Katinskiego podczas snu. Obudzenie go o tej porze wywołałoby wspomnienia i czyniło go bardziej podatnym na przesłuchanie.

Drzwi, podobnie jak drzwi do Slough House, były czarne, ciężkie i zniszczone, ale podczas gdy tych drugich nie otwierano od lat, te były używane codziennie. Zapadki w zamku nie skrzypiały, gdy Lamb wsunął wytrych do zamka, zawiasy nie skrzypiały, gdy pchnął drzwi, by je otworzyć. Kiedy znalazł się w środku, odczekał całą minutę, przyzwyczajając się do ciemności i oddechu budynku, zanim ruszył na klatkę schodową.

Wiele osób często zwracało uwagę na to, że Lamb, jeśli tylko tego chce, potrafi się poruszać bezszelestnie. Min Harper zasugerował, że Lamb potrafi to robić tylko na swoim terenie, bo znał każde skrzypnięcie i trzeszczenie w Slough House, gdyż sam sprawił, że niektóre ze stopni skrzypią i trzeszczą. Ale Harper był nieboszczykiem, więc co on tam wiedział? Lamb bezszelestnie wszedł na górę i zatrzymał się przy drzwiach szkoły tylko na moment, by zerknąć przez matowe przeszklenie, a przynajmniej tak to wyglądało, choć ta chwila wystarczyła, by zdołał otworzyć sobie drzwi. Zamknął je za sobą równie cicho.

Znów stanął na moment i poczekał, aż zakłócenia w atmosferze spowodowane jego wejściem zanikną, jednak jego ostrożność okazała się zbyteczna. Nie było tu nikogo. Drzwi do kolejnego pomieszczenia były uchylone, ale pomieszczenie również okazało się puste. Jediną żywą istotą był sam Lamb. Przez żaluzje wpadały prążki światła i gdy wzrok Lamba przystosował się do panujących warunków, był w stanie dostrzec kształt stojącego pod biurkiem i nadal złożonego łóżka polowego. Jego cienki materac owijał się wokół metalowego stelaża niczym schemat nieprawdopodobnej asany.

Lamb nie miał ze sobą latarki. Światło latarki w ciemnym budynku oznacza włamanie. Zapalił więc stojącą na biurku lampkę; jego blat zalał się zimnym żółtym światłem, rozjaśniając resztę pomieszczenia. Wszystko wyglądało tu tak jak podczas ostatniej wizyty. Te same półki, na których stały te same grube katalogi; te same papiery rozrzucone na biurku. Otworzył szuflady i przejrzał dokumenty. Większość z nich stanowiły rachunki, ale pomiędzy nimi tkwił list, ręcznie napisany, który nieśmiało wystawał z podwiniętej klapki koperty. I był to list miłosny, nawet nie erotyczny, tylko wyrażający żal z powodu rozstania. Wydawało się, że Nikołaj uznał za stosowne zakończyć romans. Ani to, że tak postąpił, ani to, że w ogóle wdał się w romans, nie zaskoczyło Lamba. Zdziwiło go natomiast, że Katinski zostawił list praktycznie na widoku. Wystarczyło się włamać i splądrować zawartość biurka. Katinski nigdy nie był typem gracza: gość od szyfrów, jeden z wielu; ledwo kojarzony

w Regent's Park przed tym, jak został zwerbowany – mimo wszystko praca dla tajnych służb musiała nauczyć go reguł Moskwy, a tych zasad nie powinno się nigdy zapominać.

Odłożył list. Przejrzał kalendarz. Na dziś nie przewidziano żadnych spotkań. Reszta roku również nie była wypełniona: w przyszłości rozciągał się sznur pustych dni. Lamb przerzucił kartki i znalazł stare adnotacje: krótkie przypomnienia, inicjały, czasy i miejsca. Odłożył kalendarz. W małym gabinecie obok stała szafka na dokumenty, w której znajdowały się ubrania; w kubku na półce: maszynka do golenia i szczoteczka do zębów. Na drzwiach wisiała koszula. W kącie mieściła się niebieska lodówka, a w niej: słiczki z oliwkami i hummusem, plasterki szynki i kawałek spleśniałego chleba. W wiszącej szafce odkrył stertę pustych buteleczek po lekach, ale żaden z nich nie był lekiem na receptę. Na jednej widniała etykieta z napisem Xemoflavin. Lamb wrzucił lekarstwo do kieszeni i raz jeszcze rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu. Katinski z pewnością tu mieszkał. Po prostu teraz go tu nie było.

Lamb zgasił lampkę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

---

\* W oryginale: *a chink of light*. *Chink* jest też wulgarnym określeniem na osobę o azjatyckich korzeniach.

Londyn spał, jednak niespokojnie, z co drugim okiem szeroko otwartym. Wstążka światła na szczycie Telecom Tower rozwijała się raz za razem, światła samochodów tworzyły monotonną sekwencję, a elektroniczne reklamy zamocowane na przystankach autobusowych obracały się i zatrzymywały, obracały i zatrzymywały, przyciągając uwagę nieobecnej publiczności do najlepszych kredytów hipotecznych. Samochodów było mniej, muzyka grała w nich głośniej, a uderzenia basu, które zostawiały za sobą, bębniły w drogę długo po tym, jak auta już zniknęły. Z zoo dobiegały stłumione wrzaski i zduszone wycia. A na chodniku zaciemnionym koronami drzew stał mężczyzna, opierał się o barierki i palił papierosa, na którego końcu światełko rozjaśniało się i gasło, rozjaśniało i gasło, jakby on też był częścią rytmu serca miasta i powtarzał bez końca te same drobne czynności podczas wszystkich nocnych wart.

Obserwowały go niewidzialne oczy. Ten odcinek chodnika był zawsze strzeżony. Interesujące, że zostawiono go w spokoju na tak długi czas. Minęło pół godziny, zanim w końcu nadjechał samochód i zatrzymał się z pomrukiem. Kierowca miał opuszczoną szybę i mówił. Wydawał się zmęczony, choć mogło to mieć mniej wspólnego z porą, o której odbywała się ta rozmowa, a więcej z rozmówcą.

– Jackson Lamb – powiedział.

Lamb wyrzucił papierosa za barierkę.

– Nie spieszyłeś się – odparł.

Gdy River odzyskał przytomność, wpatrywał się w niebo, a ziemia pod jego plecami się przesuwała. Leżał na wózku. Bez wątpienia na tym, który widział w hangarze. W zasadzie był do niego przywiązany za pomocą sznura do bielizny – przypięto go do wózka jak Guliwera: nadgarstki, kostki, klatkę piersiową, szyję. W usta wciśnięto zwiniętą chusteczkę do nosa, którą zamocowano taśmą klejącą.

Tommy Moulton pchał wózek.

– Paralizator – oznajmił. – Jeśli cię to ciekawi.

River wygiął plecy w łuk i napiął nadgarstki, ale linka była mocno naprężona. To jego ciało lekko się ugięło.

– Może byś się nie wiercił – zasugerował Moulton. – Chcesz, żebym znów potraktował cię paralizatorem? Skończyły mi się kartridże, ale jako kontaktowy też świetnie się sprawdza. Będzie bolało.

River znieruchomiał.

– Twój wybór.

Tommy Moulton był jedyną osobą, której nazwisko nie widniało na liście Catherine. River nie wpadł na to, by zastanawiać się, dlaczego Moulton pojawił się tu w noc z wtorku na środę, choć na ogół bywał tu tylko w weekendy.

Koło najechało na kamień i gdyby River nie był przywiązany, spadłby z wózka.



Sznur do bielizny wjął się w jego gardło i River wydał z siebie niezrozumiałe dźwięki – ból, wściekłość i frustrację tłumił knebel, który miał w ustach.

– Ups. – Moulton przestał pchać i wytarł dłonie w spodnie. Dodał coś jeszcze, ale wiatr zagłuszył jego słowa.

River odwrócił głowę, by zmniejszyć nacisk na gardle. Od ziemi dzieliło go mniej niż trzydzieści centymetrów. Widział jedynie czarną trawę.

I znów pomyślał o tym, co znalazł w hangarze, zapakowane do wózka, do którego został przywiązany. Oznaczało to, że jego znaleziska w wózku nie było.

Przypuszczał, że teraz znajdowało się w samolocie.

Siedzieli w samochodzie. Na policzku Nicka Duffy'ego widać były ślady po poduszce.

– Jak myślałeś, co miało się stać? – zapytał. – Jest po drugiej w nocy, a ty stoisz przed wejściem do Regent's Park, palisz jak smok i nic nie robisz. Masz szczęście, że nie wypuścili zadaniowców.

Czyli gości w czerni, którzy pojawiali się tuż przed tym, jak robiło się gorąco.

– Mam dostęp – przypomniał Lamb.

– Z założeniem, że nigdy nie będziesz próbował z niego skorzystać – powiedział Duffy. – Czyli wyciągnięto mnie z łóżka, bo personel na służbie obawia się, że wtargniesz do środka siłą. Wszyscy doskonale pamiętają zeszłoroczny alarm bombowy.

– Dobrze wiedzieć, że o mnie nie zapomniano. – Lamb pokiwał beztrudnie głową.

– Och, pamięć o tobie długo się utrzymuje. Podobnie jak opryszczka. – Duffy ruchem głowy wskazał pobliski budynek. – Nie ma mowy, żebyś wszedł do środka, więc bez względu na to, z jakiego powodu chciałeś tam się dostać, musisz podać go w notatce służbowej. Lady Di będzie wniebowzięta. A teraz, ponieważ jestem miłym gościem, podwożę cię na najbliższy postój taksówek. Pod warunkiem że będzie po drodze.

Lamb klasnął w dłonie, raz, drugi, trzeci. A później kolejny raz i jeszcze raz. Nie przestawał klaskać, aż żart zawarty w tym geście dawno wyzionął ducha, i dopiero wtedy powiedział:

– Och, przepraszam. Skończyłeś?

– Pierdol się, Jackson.

– Może później. Po tym, jak zabierzesz mnie do Regent's Park.

– Słuchałeś mnie w ogóle?

– Każdego słowa. Słuchaj, możemy zrobić tak, jak mówisz, ale wtedy będę musiał tu wrócić piechotą z postoju taksówek i załatwić sprawę w mniej subtelny sposób. A to oznacza narobienie hałasu i, no tak, zniszczenie ci kariery. – Wyjął paczkę papierosów, przyjrzał się jej pustemu wnętrzu i rzucił ją na tylne siedzenie. – Wybór należy do ciebie, Nick. Od paru miesięcy nie spierdoliłem niczyjej kariery. Fajna zabawa, choć ilość papierkowej roboty, jaka jej towarzyszy, jest szokująca.

Duffy patrzył na drogę, jakby samochód zamiast stać, jechał, a na drodze przed nimi wystąpił jakiś problem.

– Gdybyś nie wiedział już, że schrzaniłeś sprawę, właśnie byśmy ruszyli

w drogę. – Lamb wyciągnął rękę i poklepał dłoń Duffy’ego, która stawała się coraz bledsza, w miarę jak mocniej zaciskał ją na kierownicy. – Synu, wszyscy popełniamy błędy. Twoim ostatnim błędem było puszczenie wolno Rebekki Mitchell, nie przycisnąwszy jej jak należy.

– Była czysta.

– Tak, ustaliłeś, że jest dziewicą. I może nią jest, ale kiedyś nie była. Nie wówczas, gdy grała w butelkę z dwójką przyjemniaczków z... skąd to? A tak, z Rosji. I przypadkiem rozjechała Mina Harpera opiekującego się zbierami, którzy przyjechali z... och, skąd oni są? Naprawdę chcesz, żebym uzupełniał brakujące fragmenty?

– Taverner była zadowolona z raportu.

– I jestem pewien, że dalej będzie. Aż do momentu, gdy ktoś się mu przyjrzy i wskaże jej błędy.

– Lamb, nie rozumiesz? Była. Zadowolona. – Wystukał słowa na kierownicy. – Kazała mi zawiązać na nim wstążeczkę i odłożyć. Czyli nie ze mną pogrywasz, tylko z nią. Powodzenia.

– Nick, dorośnij. Bez względu na to, jakie wydała ci polecenie, to ty je wykonałeś. Jeśli ktoś będzie musiał zostać rzucony wilkom na pożarcie, to zgadnij, na kogo padnie?

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Duffy nadal wystukiwał niewypowiedziane słowa na kierownicy. Później stukanie stało się chaotyczne, słabsze, aż w końcu ustało, jakby słowa się oddalały nawet w jego głowie.

– Chryste – powiedział w końcu. – Popełniłem błąd, odbierając telefon po północy.

– Nie – odparł Lamb. – Twój błąd polegał na tym, że zapomniałeś, że Min Harper był jednym z moich ludzi.

Wysiedli z samochodu i poszli w stronę Regent’s Park.

Na długo przed końcem podróży każdy nerw w ciele Rivera błagał o uwolnienie. River czuł się jak tamburyn, którym ktoś potrząsał we własnym rytmie.

Moult także wyglądał, jakby ktoś przepuścił go przez wyżymaczkę. Co pięć minut przystawał i odpoczywał. Wcześniej, gdy szli w stronę klubu, musieli zniknąć z pola widzenia patrolu, gdy ten ich mijał. Teraz nic takiego się nie wydarzyło. Oczywiście było, że Moulton zna zwyczaje patrolujących. Kimkolwiek był, doskonale wiedział, co robi.

A informację o tym, dokąd idą, zatrzymał dla siebie.

Gdy się zatrzymał, podrapał się po głowie przez czapkę, a ta się przesunęła; wyglądało to tak, jakby głowa Moulta zsunęła się ze swojej osi. Zauważył, że River mu się przygląda, i uśmiechnął się diabolicznie.

– Zaraz będziemy na miejscu.

– Akta.

Gdy weszli do środka, Duffy zbladł; przybrał pełen napięcia wyraz twarzy, który sugerował, że jej właściciel za chwilę zacznie przeciekać i zmieni się w pustą, wściekłą workę.

– Akta – powtórzył.

– Nadal są na dole, tak?

Duffy dziabnął guzik windy tak gwałtownie, jakby zamiast przycisku było tam gardło Lamba.

– Myślałem, że twój chłopak Ho pracuje nad archiwum.

– Tak, cóż, być może nie zrobił tyle, ile udaje, że zrobił.

Kilka pięter niżej – ale nie na samym dole – wyszli na podświetlony na niebiesko korytarz. Drzwi na jego końcu były otwarte, światło z nich wypływające przybierało cieplejszą barwę, przypominało to w bibliotece. Część korytarza blokował przysadzisty, podejrzany kształt: kobieta na wózku inwalidzkim; dość pulchna, z potarganą czapką siwych włosów i twarzą przypudrowaną na biało, jak klaun. Gdy podeszli bliżej, jej mina zmieniła się z podejrzliwej w przyjemną, a gdy byli już blisko, przywitała ich z otwartymi ramionami.

Lamb pochylił się, by ją uściskać, a Nick Duffy przyglądał się im, jakby był świadkiem lądowania kosmitów.

– Molly Doran – powiedział Lamb, gdy kobieta wypuściła go z objęć. – Nie postarzałaś się ani trochę.

– Jedno z nas musi być w dobrej formie – odrzekła. – Utyłeś, Jacksonie. A w tym płaszczu wyglądasz jak włóczęga.

– To nowy płaszcz.

– Kiedy był nowy?

– Kupiłem go, gdy ostatnio się widzieliśmy.

– To było piętnaście lat temu. – I spojrzała na Duffy’ego. – Nicholasiu – powiedziała uprzejmie. – Odpierdol się. Nie pozwolę, by po moim piętze kręciły się psy.

– Pójdziemy dokądkolwiek...

– No, no. – Pomachała krótkim, grubym paluszkiem. – Nie. Pozwolę. By. Po. Moim. Piętze. Kręciły. Się. Psy.

– On już idzie, Molly – zapewnił ją Lamb. Odwrócił się do Duffy’ego. – Ja zostanę.

– Jest środek...

– Czekam.

Duffy popatrzył na niego, po czym pokręcił głową.

– Kiedyś mnie przed tobą ostrzegał. Sam Chapman.

– Na twój temat też miał coś do powiedzenia – odparł Lamb. – Jak już sprawdził Rebeccę Mitchell. Masz. – Wyjął buteleczkę z lekami, które zabrał z biura Katńskiego. – Sprawdź to przy okazji.

Cokolwiek miał do powiedzenia Duffy, zostało za zamykającymi się drzwiami windy.

Lamb odwrócił się do Molly Doran.

– Dlaczego dali ci nocną zmianę?

– Żebym nie straszyla młodych. Spojrzą tylko na mnie, zobaczą swoją przyszłość i spierdalają do City.

– Przypuszczałem, że to z takiego powodu.

Jej wózek inwalidzki, który był koloru wiśniowej czerwieni i miał oparcia wyściełane aksamitem, zrobił kółko. Gdy już zawróciła, poprowadziła Lamba do długiego pomieszczenia, przy którego ścianach stały pionowe szafki ustawione na szynach jak tramwaje; można było je przesuwać razem lub pojedynczo – jedna wielka harmonijkowa struktura, każdy rząd zawierający mnóstwo teczek z zakurzonymi informacjami, część z nich tak starych, że ostatnia osoba, która do nich zaglądała, sama już zdążyła się obrócić w proch. Tutaj skrywano stare tajemnice Regent's Park. Wszystkie te sekrety można by było przechować na powierzchni główki od szpilki, rzecz jasna, gdyby znaleziono pieniądze na to, by je tak ścisnąć.

Na górze Królowe Baz Danych zarządzały swoim cyfrowym wszechświatem. Tutaj, na dole, Molly Doran była strażniczką zapomnianej historii.

W kącie stało biurko Molly. Po jednej stronie stał taboret na trzech nogach, ale przestrzeń przed biurkiem była wolna, by zmieścił się tam wózek Molly.

– No proszę. Tutaj wylądowałeś.

– Jakbyś nie wiedział.

– Pogaduszki. Nigdy tak naprawdę nie byłem zbyt towarzyski.

– Chyba żadne z nas nie jest ulepione z takiej gliny, Jacksonie. – Wjechała wózkami na swoje miejsce. – Nie przejmuj się. Utrzyma twój ciężar.

Usiadł ostrożnie na taborecie, piorunując wzrokiem jej wyściełany rydwan.

– Niektórym to się powodzi.

Roześmiała się, a jej śmiech był zaskakująco podobny do dźwięku dzwoneczków.

– Nic się nie zmieniłeś, Jacksonie.

– Nigdy nie widziałem potrzeby, by to zrobić.

– Tyle lat pracy jako tajniak, udawałeś kogoś, kim nie jesteś. Chyba to sprawiło, że nie dbasz o pozory. – Pokręciła głową, jakby coś sobie przypominała. – Piętnaście lat później zjawiasz się tutaj. Czego ci potrzeba?

– Nikołaj Katinski.

– Płotka – stwierdziła Molly.

– Tak.

– Urzędnik od szyfrów. Jeden z całej ławicy, nie mogliśmy ich wydać w latach dziewięćdziesiątych.

– Przyszedł z elementem układanki – powiedział Lamb. – Który do niczego nie pasował.

– Nie był to element ramki. Ani róg. Tylko kawałeczek nieba. – Mina Molly zmieniła się, gdy dotarli do sedna sprawy. Jej pobielone policzki zrobiły się różowe, ich naturalny kolor przebijał spod warstwy makijażu. – Twierdził, że słyszał o cykadach, sieci widmo, którą wymyślił inny człowiek widmo.

– Aleksander Popow.

– Aleksander Popow. Ale była to po prostu jedna z tych gier, w które tak lubiła bawić się Moskwa, zanim przewrócono szachownicę. – Lamb pokiwał głową. Było ciepło, a on czuł, że zaczyna się lepić. – To jakie dokumenty mamy na jego temat?

– Nie ma tego w Bestii?

Bestią Molly Doran nazywała wszystkie bazy danych służb; odmawiała podawania konkretnych nazw, ponieważ twierdziła, że kiedy padną – a wszystkie były na to skazane, prędzej czy później – i tak nie da się ich rozróżnić. Po prostu jeden ciemny monitor za drugim. A ona będzie trzymała świecę.

– Tylko suche fakty – powiedział Lamb. – I nagrania z przesłuchania. Molly, wiesz, jak jest. Młode wilki sądzą, że dwudziestominutowy film wart jest tysiąca słów. Ale my wiemy lepiej, prawda?

– Próbujesz mi słać, Jacksonie Lambie?

– Jeśli tego wymaga sytuacja.

Znów się zaśmiała, a odgłos jej śmiechu łopotał między rzędami szafek jak motyl.

– Kiedyś o tobie myślałam, wiesz? Zastanawiałam się, czy przejdziesz na stronę wroga.

Lamb sprawiał wrażenie urażonego.

– Do CIA?

– Myślałam o sektorze prywatnym.

– Heh. – Na moment spuścił wzrok, przyjrzał się swojej poplamionej, wystającej ze spodni koszuli, pozdieranym butom i niezapiętemu rozporkowi i chyba naszała go chwila samoświadomości. – Nie wyobrażam sobie, żeby przywitano mnie z otwartymi ramionami. – Nie zawracał sobie głowy zapięciem rozporaka.

– Tak. Teraz, gdy cię zobaczyłam, wiem, że nie warto było się martwić, prawda? – Molly odsunęła się od biurka. – Sprawdź, co mamy. Przydad się do czegoś i nastaw wodę. – Gdy odjeżdżała, dobiegł go jej głos. – A jeśli ośmielisz się zapalić, rzucę cię sępom na pożarcie.

I znów tu wrócili.

Czy River spał? Czy to w ogóle było możliwe? Musiał zasnąć dzięki jakiemuś wytwarzanemu przez organizm środkowi znieczulającemu; jego ciało odmówiło przyjmowania kolejnych kar. Przez jego głowę przepływały różne koszmarnie obrazy. Wśród nich podpatrzona kartka ze szkicownika Kelly Tropper, ze stylizowanym miejskim krajobrazem i poszarpaną błyskawicą, uderzającą w jego najwyższy budynek.

A teraz znów tu byli i każda kość w jego ciele wyła z bólu. Chyba że ten odgłos wydawało drzewo, gdy wiatr potrząsał jego gałęziami i ocierał nimi o zniszczone ściany zdewastowanego budynku.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – rzekł Tommy Moul.

Lamb ssał długopis, który znalazł, i przeglądał teczkę Katinskiego. Nie trwało to długo.

– Nie ma tu za dużo – stwierdził.

– Gdyby nie wspomniał o cykadach – powiedziała Molly – wyrzucono by go stąd. A tak został potraktowany jak płotka. Weryfikacja ustaliła, że był tym, za kogo się podaje, i zajęła się łowieniem grubszych ryb.

– Urodzony w Mińsku. Pracował w Ministerstwie Transportu, po czym został zrekrutowany przez łowcę talentów KGB, pracował przez dwadzieścia dwa lata

w Moskwie.

– Jego istnienie po raz pierwszy odnotowano w grudniu siedemdziesiątego czwartego, gdy wszedł w posiadanie grafiku personelu.

– I nigdy tego nie wykorzystaliśmy.

– Gdybyśmy wykorzystali, teczka byłaby grubsza.

– Dziwne. Wydawałoby się, że powinniśmy przynajmniej rzucić na to okiem.

Lamb odłożył teczkę na biurko Molly i wpatrywał się w mrok szafek z dokumentami. Długopis, który trzymał w ustach, uniósł się powoli, opadł i znów uniósł. Zdawało się, że Lamb nie był tego świadomy; nieświadomy niczego, gdy wsunął dłoń przez rozpięty rozporek i zaczął się drapać.

Molly Doran piła herbatę.

– Okej – powiedział w końcu Lamb. W Aktach było cicho, a teraz zrobiło się jeszcze ciszej, gdy Molly wstrzymała oddech. – A co, jeśli Nikołaj nie jest płotką? Co, jeśli jest grubą rybą, która udaje płotkę? Jak by to wyglądało, Molly?

– Dziwny pomysł. Dlaczego ktoś miałby ukrywać swoje atuty? Ryzykować, że zostanie zmieciony wraz ze śmieciami?

– Dziwny pomysł – zgodził się Lamb. – Ale czy był w stanie to zrobić?

– Udawać urzędnika od szyfrów? Tak. Był w stanie to zrobić. Jeśli był grubą rybą, miał takie możliwości.

Spojrzeni na siebie.

– Uważasz, że jest jednym z tych zaginionych, prawda? – spytała Molly. – Jednym z tych, których straciliśmy z oczu, gdy rozpadł się Związek Radziecki.

A było ich naprawdę sporo. Niektórzy z nich trafili pewnie do płytkich grobów; pozostali, jak podejrzewano, wymyślili się na nowo i dobrze radzili sobie w różnych wcieleniach.

– Mógł nim być. Mógł być jednym z mózgow Kremla, które sprawiły nam tyle kłopotów. Który chciał uciec, gdy przegrali wojnę, ale nie chciał przez resztę życia być poszturchiwany przez tych, którzy zwyciężyli.

– Oznaczałoby to – przejęła pałeczkę Molly – że umieścił to nazwisko w grafiku lata wcześniej. Nie mógł być w ogóle pewien, że kiedykolwiek je zobaczymy. – Powstrzymała się od dalszych wywodów. – Ojej...

– No – zgodził się Lamb. – O, a wiesz, jak weszliśmy w posiadanie tego dokumentu?

– Mogłabym sprawdzić – powiedziała z powątpiewaniem Molly. – Być może.

– To nie jest teraz naszym priorytetem. – Lamb pokręcił głową. – Nie teraz.

– Ale moja teza nadal jest aktualna. Musiał to zrobić na wiele lat przed tym, zanim wiedział, że może tego potrzebować. Grudzień siedemdziesiątego czwartego? Nikt wtedy nie spodziewał się końca. Nie z takim wyprzedzeniem.

– Nie trzeba było spodziewać się końca – stwierdził Lamb. – Wystarczyło wziąć pod uwagę, że może się tak zdarzyć. – Popatrzył na długopis w swojej dłoni, jakby zastanawiał się, skąd się tam wziął. – Niewiele rzeczy cieszy szpiega bardziej niż świadomość, że zapewnił sobie drogę ucieczki.

– Ale jest tu coś jeszcze, prawda? Masz tę swoją minę.

– O tak – odparł. – Jest coś jeszcze.

Oddech Tommy’ego Moulta wrócił do normy. Przeciągnął wózek przez gruz, kiedyś będący podłogą, co było gruchoczącą kości torturą dla Rivera, który zaczynał już mieć wrażenie, że zaraz wypadną mu zęby. Trząśł się nawet wtedy, gdy już się zatrzymali. Miejsca, w których sznur wrzynał się w ciało, płonęły, a w uszach rozlegało się dudnienie w rytmie bicia serca. Przy życiu trzymała go wściekłość; wściekłość na samego siebie za to, że dwa razy w ciągu jednej nocy okazał się tak głupi. Oraz że miał mgliste pojęcie na temat tego, co planuje Moul, i nie mógł w to uwierzyć, ale nie mógł w to też nie wierzyć.

Taśma, która zaklejała mu usta, została zerwana. Chusteczka wyjęta. Nagle River łykał hausty nocnego powietrza, nadrabiając skromne porcje wydzielane wcześniej, i oddychał tak głęboko, że niemal się krztusił.

– Potrzebowałeś tego – powiedział Moul.

– Co... ty... kurwa... wyprawiasz? – River prawie nie był w stanie normalnie mówić.

– Myślę, że już wiesz, Walker. Przy okazji, Jonathan Walker? Trochę oklepane nazwisko.

– Tak się nazywam.

– Nie. To nazwisko nadał ci Jackson Lamb. Ale przecież niedługo nie będzie ci już potrzebne, prawda?

Znał Lamba; wiedział, że River jest szpiegiem. Udawanie niewiniątka nie miało większego sensu.

– Miałem się zameldować – rzekł River. – Godzinę temu. Będą mnie szukać.

– Serio? Zabrakło jednej rozmowy i już wyślą straż przybrzeżną? – Moul ściągnął czerwoną czapkę. Razem z nią zniknęły jego włosy; te białe kępki wystające spod czapki. Był łysy albo prawie łysy, tylko na uszach miał paski szczeciny. – Nie zadzwonisz jutro, to może zaczną się martwić. Choć wtedy będą już mieli na głowie inne sprawy.

– Moul, widziałem, co było na tym wózku.

– Dobrze. Będiesz miał o czym myśleć.

– Moul? – Ale ten zniknął z pola widzenia i River słyszał jedynie odgłos jego kroków po nierównym podłożu. – Moul!

A później nawet i te odgłosy ucichły.

Najostrożniej, jak potrafił, River odwrócił głowę, by móc znów patrzeć w niebo. Wziął głęboki wdech i ryknął, równocześnie wyginając plecy w łuk, jak gdyby ta sama wściekłość próbowała wyrwać się z jego żołądka. Wózek zatrzęsł się, ale sznur do bielizny wbił się mocniej w ciało Rivera, a jego ryk zmienił się w pisk, który uniósł się w stronę gałęzi nad jego głową, a później odbijał echem w otaczających go zrujnowanych murach. A gdy ucichł, River nadal był przywiązany, jego plecy płasko przylegały do wózka zostawionego w ciemności.

Nie miał żadnych szans na ucieczkę, a w pobliżu nie było nikogo.

A czasu, jak sobie uświadomił, zostało niewiele.

Pod warstwą pudru, nałożonego jak masło na kromkę chleba, twarz Molly Doran była nieruchoma. Nawet gdy Lamb skończył mówić, przez ponad minutę Molly milczała.

– I sądzisz, że to on. Katinski – powiedziała w końcu. – To on wiele lat temu porwał Dickiego Bowa.

– Tak.

– I czekał tyle lat, by wykonać kolejny ruch.

– Nie. Plan, który mieli wówczas, został zarzucony, gdy skończyła się zimna wojna. Nie, teraz chodzi mu o coś innego. Ale Dickie Bow okazał się przydatny.

– A cykady? One też są prawdziwe?

– Najlepsza kryjówka dla każdej sieci to taka, gdy nieprzyjaciel sądzi, że ma do czynienia z duchami. Nikt nie szukał komórki Aleksandra Popowa, bo myśleliśmy, że to tylko legenda. Podobnie jak sam Popow.

– Którego wymyślił Katinski.

– Tak. I co, praktycznie rzecz biorąc – mówił Lamb – oznacza, że nim właśnie jest. Nikołaj Katinski to Aleksander Popow.

– Chryste Panie, Jackson. Wskreszylesz upiora, nieprawdaż?

Lamb odchylił się do tyłu. W łagodnym świetle wyglądał młodziej, być może dlatego, że wrócił myślami do starej historii.

Molly dała mu czas do namysłu. Cienie nad szafkami wydłużyły się, choć do piwnicy nie docierało słońce, więc doświadczenie podpowiedziało jej, że to tylko sztuczki jej mózgu, przystosowanie jej otoczenia do rytmu normalnego dnia. Na zewnątrz budził się ranek. Regent's Park, który nigdy zupełnie nie spał, wkrótce strząśnie z siebie nocne straszki, te przerażające wrażenia, które po zmroku zamieszkują ciemne budynki. Personel z dziennej zmiany byłby zaniepokojony, gdyby dowiedział się o ich istnieniu.

Gdy Lamb poruszył się, Molly szturchnęła go, zadając pytanie:

– To o co w takim razie chodzi Popowowi?

– Nie wiem. Nie wiem o co ani dlaczego właśnie teraz.

– Ani dlaczego zebrał swoją sieć właśnie w Upshott.

– Tego też nie.

– Martwe lwy\* – powiedziała Molly.

– Co z nimi?

– To taka zabawa na przyjęciach dla dzieci. Musisz udawać, że śpisz. Leżysz bez ruchu. Nic nie robisz.

– A co się dzieje, gdy się budzisz? – spytał Lamb.

– Och – odparła. – Spodziewam się, że wtedy rozpętuje się piekło.

Telefon komórkowy miał w kieszeni.

Jako źródło informacji było to równie przydatne co znajomość zwyczajów godowych pingwinów: trochę pocieszające, trochę zastanawiające, ale bez jakiegokolwiek wartości praktycznej. Zastanawiające było, dlaczego Moulton go nie zabrał. W każdym razie równie dobrze telefon mógłby być zawieszony na gałęzi drzewa nad nim.



Przestał walczyć, bo walka powodowała jedynie ból. Zajął się więc porządkowaniem wszystkich informacji, które posiadał – albo które wydawało mu się, że posiada – na temat zamiarów Moulta, ale bez względu na to, jak daleko sięgały jego domysły, zawsze wracały do tego samego punktu: worków z nawozem, które znalazł zapakowane na wózku w hangarze.

Dlaczego Moulta w ogóle go tam zabrał, skoro skrywano tam sekrety, które miały nie wyjść na jaw? A jeśli informacje od Catherine były prawdziwe, a w wiosce mieszkało pełno sowieckich szpiegów, jak miał się do tego Moulta? Choć w miarę jak światło przesączało się przez niebo, te pytania schodziły na drugi plan, a ich miejsce zajęły worki z nawozem sztucznym.

Nawozem, który w odpowiednich okolicznościach mógł pełnić funkcję bomby. I który River ostatnio widział ułożony obok samolotu niczym bagaż.

Lamb wyszedł na papierosa, ale już na chodniku przypomniał sobie, że wcześniej wypalił ostatniego, więc skierował się w stronę metra i kupił nową paczkę w sklepie całodobowym. Gdy znalazł się w pobliżu wejścia do Regent's Park, odpalił jednego papierosa od drugiego i wpatrywał się w niebo, które jaśniało z minuty na minutę. Przejeżdżające samochody szumiały już bez ustanku. Tak obecnie zaczynały się dni: stopniowym przyrostem szczegółów. Gdy był młodszy, początki dni przypominały miły dźwięk dzwoneczka.

Nick Duffy znów się pojawił, podobnie jak wcześniej. Wysiadł z zaparkowanego samochodu i dołączył do stojącego na chodniku Lamba.

– Za dużo palisz – oznajmił.

– Przypomnij mi, jaka jest odpowiednia ilość.

Po drugiej stronie ulicy drzewa poruszyły się, jakby śniły im się koszmary.

Duffy pomasażował swój podbródek. Jego knykcie były obtarte do krwi.

– Co miesiąc dostaje czek – powiedział. – Co jakiś czas małe zadanie do wykonania. Zapewnić nocleg i jedzenie komuś, kto nie chce się wychylać. Albo odgrywając rolę poczty czy automatycznej sekretarki. Drobiazgi, z tego, co mówi.

– Aż do czasu sprawy Mina Harpera.

– Zadzwonili do niej późno w nocy. Ktokolwiek dzwoni, używa hasła. Przyjeżdż autem do parkingu podziemnego na tyłach Edgeware Road. – Duffy zaczął mówić skrótami, by nie marnować energii na niepotrzebne słowa. – Dwóch gości i, jak powiedziała, pijany facet, którego nieśli.

– Znała ich wcześniej?

– Mówi, że nie.

Znów zamilkł. A później opowiedział Lambowi to, co wcześniej powiedziała mu Rebecca Mitchell: że jeden z tych dwóch gości rozwalił głowę Mina Harpera o cementową posadzkę, podczas gdy drugi z nich wycofał samochód Rebekki Mitchell. Następny etap przypominał już zabawę dla dzieci: ustawić faceta na rowerze, wjechać w niego samochodem. Gdy upewnili się, że ma skręcony kark, załadowali rower i ciało do swojego samochodu i przenieśli scenę zbrodni w inne miejsce.

Gdy skończył mówić, wpatrywał się w drzewa, jakby podejrzewał, że ich szum

był pełną tajemnic rozmową, której tematem był on sam.

– Należało to wykryć wcześniej – powiedział Lamb.

– Zrobili zdjęcia. Ułożyli ciało i rower w taki sam sposób, w jaki upadły one na parking.

– Mimo wszystko należało to wykryć wcześniej. – Lamb wyrzucił papierosa, z którego sypnęły się iskry. – Zrobiliście to na odwal się.

– Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Racja. – Otarł twarz dłonią śmierdzącą tytoniem. – Była skłonna do rozmowy?

– Nie bardzo.

Lamb chrząknął.

– Musiał zobaczyć coś, czego nie powinien był oglądać – powiedział po chwili Duffy.

Albo kogoś, pomyślał Lamb. Znów odchrząknął i wielkimi drzwiami wszedł do środka.

Tym razem przy wyjściu z windy natknął się na wyrośniętego chłopaka w bluzie z napisem „Własność Alcatraz” i okularach w grubych czarnych oprawkach.

– Czy to pan jest Jackson Lamb? – zapytał.

– Co mnie zdradziło?

– Głównie płaszcz. – Potrząsnął buteleczką z lekami, którą Lamb dał wcześniej Duffy’emu. – Chciał pan wiedzieć, co to takiego.

– No i?

– To Xemoflavin.

– Świetnie. Szkoda, że wcześniej nie wpadłem na to, żeby przeczytać etykietkę.

– Podstawowe narzędzie do zbierania informacji – powiedział chłopak. – Ale pomijając nazwę, nic szczególnego tu nie ma. Głównie aspiryna oblane cukrem. Pomarańczowym, jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie.

– Niech zgadnę – powiedział Lamb. – Sprzedają to w sieci.

– Bingo.

– Jako lekarstwo na...?

– Raka wątroby – odparł chłopak. – Ale nie działa.

– A to niespodzianka.

Dzieciak położył buteleczkę na wyciągniętej dłoni Lamba, poprawił okulary na nosie i wszedł do windy, z której chwilę wcześniej wyszedł Lamb.

Zaciskając usta, Jackson Lamb wrócił do biura Molly Doran.

Zaparzyła więcej herbaty i siedziała w swoim kącie z filiżanką w dłoni. Para unosiła się cienkimi sprężynami i znikwała w ciemności.

– Mówiłem ci, że sprawdziłem jego kalendarz? – zapytał Lamb. – Nie ma żadnych planów. – Molly napiła się herbaty. – I rozstał się z kobietą, z którą się spotykał. – Molly odstawiła filiżankę na biurko. – I zażywa jakieś szarłatańskie lekarstwa na raka.

– Ojej – skomentowała Molly.

– No – podsumował Lamb. Wrzucił buteleczkę z lekami do kosza na śmieci. – Cokolwiek planuje, przynajmniej znamy jego motywację. Umiera. A to jego ostatnie podrygi.

---

\* *Dead lions, sleeping lions*, a także *dead soldiers* – zabawa ruchowa dla dzieci, w której wszyscy poza jednym lub dwoma graczami są „martwymi/śpiącymi lwami”, których mają obudzić „myśliwi” (lub „myśliwy”), stosując różne sztuczki, lecz ich nie dotykając.

Poranek. Światło. Zaskakująco mocne, przedziera się przez zasłony, ale w końcu ostatnio było słonecznie, niezwykle ciepło jak na tę porę roku. Lato w kwietniu, pełne obietnic, na których nie można polegać. Jeśli odwrócisz się do niego plecami na dłużej, temperatura spadnie.

Louisa nie tyle obudziła się, co uświadomiła sobie, że nie śpi już od pewnego czasu. Oczy otwarte, mózg pracuje. Nie robiła nic szczególnie składnego; przypominała sobie zadania na dzisiaj, zaczynając od: wstań, weź prysznic, wypij kawę. Później ważniejsze sprawy: wyjdź z mieszkania, spotkaj się z Marcusem, odbierz Paszkina. Cała reszta – podobnie jak ostatni wieczór – była tylko czarną masą kotłującą się w tle i należało ją ignorować tak długo, jak to było możliwe, jak chmury w niepewny, na razie słoneczny dzień.

Wstała, wzięła prysznic, ubrała się, wypła kawę. Wyszła na spotkanie z Marcusem.

Catherine wróciła do Slough House tak wcześnie, że wydawało się, jakby w ogóle stamtąd nie wychodziła, jednak mimo to, by tu dotrzeć, jechała przez miasto, któremu podpalono lont. Metro pełne było rozmawiających ze sobą ludzi. Niektórzy mieli transparenty – najbardziej popularnym hasłem było „Stop The City”. Na innych napisano: „Bankierom nie”. Na stacji Barbican ktoś zapalił papierosa. W powietrzu czuć było anarchię. Dziś na pewno niejedna szyba zostanie stłuczona.

Choć przyjechała tak wcześnie, Roderick Ho i tak był szybszy. Nie było w tym nic niezwykłego – Ho często sprawiał wrażenie, jakby tam mieszkał: podejrzewała, że chciał, by ślady jego aktywności w internecie płynęły z adresu tajnych służb – jednak tym razem Ho pracował. Drzwi do jego pokoju były otwarte. Podniósł wzrok.

– Coś znalazłem – oznajmił.

– Na tej liście, którą ci dałam?

– O ludziach z Upshott. – Pomachał wydrukiem. – A przynajmniej o trzech z nich. Prześledziłem ich losy tak daleko wstecz, jak się dało. I jasne, są dokumenty, powyżej uszu dokumentów, ale te wczesne papiery to same buty, żadnych odcisków.

– To jakieś wyrażenie z internetu, tak?

Ho niespodziewanie uśmiechnął się. Było to jeszcze bardziej zadziwiające niż ludzie rozmawiający w metrze.

– Teraz już tak.

– I co oznacza?

– No dobrze, weźmy takiego Andrew Barnetta. Według CV na początku lat sześćdziesiątych uczęszczał do St Leonard’s Grammar School w Chester. Teraz to szkoła publiczna, z dobrymi zajęciami informatycznymi, a jednym z realizowanych przez nią projektów jest umieszczenie akt szkolnych w internecie.

– I dane się nie zgadzają – dopowiedziała Caroline.

Ho pokręcił głową.

– Wówczas wydawało się to bezpieczne. Ci goście sfałszowali całą swoją młodość. Ale odbyło się to przed nastaniem epoki cyfrowej, nie mogli się domyślić, że kiedyś same papiery nie wystarczą.

Catherine zerknęła na wydruk. Poza Barnettem Ho przeświecił Butterfielda i Salmona i znalazł w ich przeszłości podobne luki. A będzie ich więcej i da się je odnaleźć także w życiorysach pozostałych. Czyli wszystko to było prawdą. Cała sowiecka komórka szpiegowska zadomowiła się w małej angielskiej wiosce. Być może dlatego, że ta komórka nie miała już sensu. A być może z innego powodu, który dopiero musieli odkryć.

– Dobra robota, Roddy.

– No.

Być może za długo przebywała z Lambem, bo dodała:

– Miła odmiana po surfowaniu po internecie.

– No cóż – odpowiedział, rumieniąc się. – Jeśli chodzi o to główniane archiwum, to mógłbym zarwać noc i załatwić to za jednym zamachem. To coś innego.

Poczekala, aż znów spojrzy jej w oczy.

– Trafna uwaga – rzekła. – Dzięki. – Zerknęła na zegarek. Była dziewiąta. Louisa i Marcus z pewnością jechali już po Arkadego Paszkina, co przypomniało jej, że miała zapytać: – A sprawdziłeś Paszkina? – Znów przybrał doskonale znaną jej udęczonej minę. Życie przy komputerze w jakiś sposób przedłużało okres dojrzewania. Prawdopodobnie istniały badania, które to potwierdzały. Prawdopodobnie były dostępne w internecie. – Byłeś zajęty?

– Tak, ale teraz się tym zajmę.

Niezręcznie było kończyć nieprzyjemnym akcentem, ale Roddy Ho zawsze trzymał się dobrze sobie znanego scenariusza.

Spotkali się w pobliżu hotelu tuż po dziewiątej. Metro było zatłoczone, ulice również; mnóstwo patroli policyjnych, nie wspominając już o ekipach telewizyjnych, wozach transmisyjnych, ciekawskich gapiach. Tłumy gromadziły się w Hyde Parku, skąd dobiegał zapach setek rodzajów śniadań. Przez megafon wykrzykiwano: „To oficjalnie zgłoszony protest, co znaczy, że będzie nas eskortować policja!”, co zagłuszała muzyka i szmer rozmów. Wydarzeniu towarzyszyła atmosfera rosnącej ekscytacji, jakby największa impreza świata czekała na DJ-a.

– Ktoś się tu prosi o kłopoty – oznajmił Marcus, zamiast się przywitać.

Wskazał na grupę dwudziestoparolatków zmierzających do parku, nad ich głowami unosił się transparent z napisem: „Pierdolić banki”.

– Wkurzeni obywatele – powiedziała Louisa. – To wszystko. Jesteś gotowy?

– Oczywiście. – Dziś był ubrany w szary garnitur, łososiowy krawat, porządne okulary przeciwsłoneczne: zauważyła, że wygląda dobrze, tak samo jak dostrzegłaby każdy inny mało znaczący szczegół. – A ty?

– Nic mi nie jest.

– Jesteś tego pewna?

– Właśnie to powiedziałam, nie dosłyszałeś?

Skęcili za róg.

– Louiso, słuchaj – rzekł. – To, co powiedziałem wczoraj w nocy... – Zadzwoił jego telefon.

Nie można było tego nazwać snem. Nazwijmy to przeciążeniem: ból, stres, wszystko to bębniło w nim jak argument, który utknął w pralce; raz za razem, aż jego rytm wytrącił Rivera ze świadomości i wrzucił do studni, którą sam wykopał. W tej okrągłej ciemności te same na wpół przetrawione fakty gryzły go niczym robactwo: załadowany do samolotu nawóz, Kelly lecąca tym samolotem rano, rysunek, który naszkicowała, przedstawiający miasto i błyskawicę uderzającą w wysoki budynek. Samolot sam w sobie był bombą, choć nie była to pierwsza myśl, jaka przychodziła do głowy, gdy się na niego patrzyło. Dopiero gdy załadowało się go nawozem bogatym w azot, jego podstawowa siła rażenia została wzmocniona.

I w jego wirujących myślach wciąż powracał ten sam obraz: Kelly Tropper – dlaczego ona? – kierująca swoje oczko w głowie w najwyższy budynek Londynu; wypalając w oczach świata nową strefę zero.

Wciąż powracał, aż w końcu River stracił kontakt z rzeczywistością i – ponieważ już dawno temu opadł z sił, wzywając pomocy – zemdlął.

Gdy Marcus rozmawiał przez telefon, Louisa obserwowała, jak gromadzą się protestujący. Przypominało to powstawanie inteligencji zbiorowej; mnóstwo różnych cząsteczek łączyło się i miała z nich powstać jedna świadomość. Marcus prawdopodobnie miał rację. Później zrobi się gorąco. Była to jednak tylko dodatkowa atrakcja, kolejny element tła, które można było ignorować. Zastanawiała się, czy wczorajszy wieczór okaże się jej jedyną szansą na dorwanie Paszkina samego. Jeśli odleci samolotem, jak tylko skończą rozmowy, Louisa na zawsze pozostanie nieświadoma przyczyny śmierci Mina.

– Przepraszam – powiedział Marcus.

– Skończyłeś? Jesteśmy w pracy, nie na spotkaniu towarzyskim.

– Już nie zadzwoni – obiecał. – A ty nie wyrzucisz Paszkina z okna na wysokim piętrze, prawda? – Nie odpowiedziała. – Tak?

– Lamb cię do tego namówił?

– Nie znam Lamba tak dobrze jak ty. Nie wydaje mi się jednak, żeby dobro zespołu było jego priorytetem.

– Och, to teraz dbasz o moje dobro, tak?

– Ci goryle Paszkina? Oni nie są na pokaz. Gdybyś próbowała coś zrobić ich szefowi, rozerwaliby cię na strzępy.

– Jak Mina.

– Dowiemy się, co stało się Minowi. Ale nie ma sensu mścić się, jeśli masz przy tym stracić wszystko, a uwierz mi, za to, co planowałaś zrobić wczorajszej nocy, musiałabyś zapłacić taką cenę. Jeśli zbiry Paszkina czegoś by ci nie zrobiły, zrobiłyby to kontrwywiad.

Nagły wybuch skandowania po drugiej stronie ulicy przeistoczył się w huragan śmiechu.

– Louisa?

– Dlaczego jesteś z nami? – Nie wiedziała, że zada to pytanie, póki nie usłyszała, że wychodzi ono z jej ust. – W Slough House?

– A to ważne?

– Mianowałeś się moim opiekunem, więc tak, to ważne. Bo z tego, co słyszałam, puściły ci nerwy. Nie byłeś w stanie wytrzymać ciśnienia. Być może więc to, że tak się martwisz o moje samopoczucie, jest twoim sposobem na upewnienie się, iż w twoim życiu będzie panował spokój, a ja w nim nie namieszam.

Marcus wpatrywał się w nią znad zsuniętych na czubek nosa okularów przeciwsłonecznych. Później poprawił je, a gdy się odezwał, ton jego głosu był łagodniejszy, niż sugerował jego wygląd.

– Cóż, to brzmi wiarygodnie. To bzdury, ale wiarygodne.

– Czyli nie puściły ci nerwy?

– Kurde, nie, mam problem z hazardem, to tyle.

Ktoś zawołał jego imię.

A przynajmniej brzmiało jak jego imię. To nie było ono, ale tak brzmiało – i wyciągnęło Rivera z ciemności. Gdy otworzył oczy, nad jego głową powierzchnię między gałęziami wypełniało światło dzienne. Niebo było bezchmurne, a River musiał znów zamknąć oczy, zacisnąć je, by ochronić się przed jego jaskrawym błękitem.

– Walker? Jonny?

Ktoś położył na nim dłonie i nagle ucisk zelżał, i River był w stanie normalnie się ruszyć, co spowodowało napływ bólu do jego kończyn.

– Ja pierdolę, stary. Wyglądasz strasznie.

Jego zbawca był zamazany, przypominał nieostre łatki złączone sobą niczym chodzący test Rorschacha.

– Zaraz cię uwolnimy z tego syfu.

Czyjeś ramiona pociągnęły go w górę i jego ciało wrzeszczało z bólu, ale równocześnie poczuł się dobrze – z bólem uwalniał się od skurczu.

– Proszę.

Ktoś przycisnął do jego ust butelkę i nalał do nich wody. River zakaszłał. Pochylił się do przodu, wypluł; prawie wymiotował. Później po omacku sięgnął po butelkę, złapał ją i łapczywie wypił resztę jej zawartości.

– Kurwa, stary – powiedział Griff Yates. – Jesteś w naprawdę oplakany stan.

– Uprawiam hazard, to wszystko – oznajmił Marcus Longridge.

– Co robisz?

– Hazard. Karty. Wyścigi konne. Wszystko.

– I tyle? – Louisa wpatrywała się w niego.

– To całkiem dużo, tak naprawdę. Nie da się pogodzić z efektywnym działaniem. Podobno. Co jest absurdem. Praca w Operacjach to największe ryzyko.

– To dlaczego cię po prostu nie wyrzucili?

– Błąd taktyczny. Wiesz, jeden z naszych gości od HR uznał, że cierpię na formę

uzależnienia, i kazał mi rozmawiać z terapeutą.

– I?

– I poszedłem na terapię.

– I?

– No i nie powiedziałbym, że zadziałała... tak do końca – przyznał Marcus. – Nie na sto procent. Na przykład ten telefon przed chwilą to był bukmacher. – Zamilkł, gdy rozległa się kawalkada klaksonów; improwizowana symfonia, która miała duże szanse na to, by stać się ścieżką dźwiękową tego dnia, gdy szum samochodów został zdegradowany na drugi plan ulic miasta. – W każdym razie okazało się, że gdy posłali mnie do psychiatry, nie mogli mnie już zwolnić. Mógłbym ich pozwać. Więc w zamian...

W zamian dołączył do kulawych koni.

Louisa zerknęła na hotel, z którego dużych szklanych drzwi lada moment mogli wyjść Rosjanie.

– Jesteś wtyką Taverner w Slough House?

– Nie. Po co jej wtyka?

– Catherine twierdzi, że jej potrzebuje.

– Nie mam pojęcia dlaczego – rzekł Marcus. – W zasadzie jesteśmy wychodkiem Regent's Park. Jeśli chce coś wiedzieć, czemu po prostu nie spyta Lamba?

– Może wolałaby tego nie robić.

– Racja. Ale nie jestem niczyją wtyczką, Louiso.

– Okej.

– Czy to znaczy, że mi wierzysz?

– To znaczy: okej. A hazard nie stanowi problemu?

– W zeszłym roku pojechaliśmy na dwa tygodnie to Rzymu, z Cassie i dziećmi. Zapłaciłem za to z mojego, ech, uzależnienia. – Znów poprawił okulary na nosie. – Więc pieprzyć to.

Po raz pierwszy przy niej wspomniał o swojej rodzinie. Zastanawiała się, czy zrobił to, by zyskać jej zaufanie.

Spojrzał na zegarek.

– Okej – powtórzyła Louisa, ale tym razem oznaczało to, że ma coś więcej do powiedzenia; robiło się późno. Ruszyła do hotelowego lobby.

Skoro byli partnerami, chyba dobrze, że panuje nad nerwami, pomyślała.

Ale dziś byli tylko opiekunami. Jego doświadczenie z Operacji nie będzie potrzebne.

Catherine zadzwoniła do Rivera, ale usłyszała, że numer jest chwilowo niedostępny; później do Lamba, z tym samym rezultatem. Potem przestudiowała dokumenty. „Tylko buty, żadnych odcisków”. Im jesteś cięższy, tym wyraźniejsze są odciski. Ale lata młodości ludzi z Upshott nie zostawiłyby śladu na cukrze pudrze.

Stephen Butterfield był kiedyś właścicielem wydawnictwa i szybkie wyszukiwanie w internecie pokazało, że zaliczono go do rozgadanej klasy wielkich tego świata: zawsze gotów do wyrażenia swojej opinii na temat wydarzeń dnia w Radio 4 albo „Observerze”. Należał do rządowej komisji do spraw analfabetyzmu;



był członkiem zarządu organizacji charytatywnej dostarczającej podręczniki szkolne w krajach rozwijających się. Ale wystarczyło trochę się cofnąć i jego młodość rozplywała się we mgle. Tak samo wyglądało życie pozostałych, których sprawdził Roddy: ludzie trzymający władzę, średniego i małego kalibru, mocno zakorzenieni w środowisku, które zaprosiło ich do swoich stolików, by jedli kolację z potentatami przemysłowymi i ministrami. W kontroli chodziło o wywieranie wpływu...

Nagle uświadomiła sobie, że Ho stoi w drzwiach. Nie miała pojęcia od jak dawna.

– Robisz sobie jaja, prawda? – spytał.

– Robię sobie jaja? O co ci chodzi?

– Że żartujesz sobie ze mnie. – Wyglądał na zdziwionego.

Catherine potrafiła pokazać, że bierze głęboki wdech, wcale go nie biorąc. Właśnie to zrobiła.

– W jakiej kwestii robię sobie jaja, Roddy?

Powiedział jej.

– To miał być żart.

Niezły żart.

– Nigdy nie celują w te stare budynki. W sumie, gdy już o tym wiesz, to całkiem fajne.

„Gdy już o tym wiesz” było frazą kluczem.

– I nie mogę uwierzyć, że Tommy...

River był cały obolały i nie mógł poruszać się tak szybko, jak chciał – szli pod górę. W dolince nie było zasięgu.

– I to wszystko przez Kelly? – zapytał. Chryste, głos miał jak dziewięćdziesięciolatek.

Yates stanął.

– Nic nie rozumiesz, prawda?

– Rozumiem – odpowiedział River. – Po prostu mnie to nie obchodzi.

– Ona jest wszystkim...

– Dorośnij.

„Ma prawo samodzielnie podejmować decyzje” – miał ochotę powiedzieć, ale myśl o decyzjach Kelly zdusiła jego słowa. Znów sprawdził telefon, przez zdrętwiałe dłonie miał ogromne problemy z obsługą komórki. Nadal brak sygnału. Usłyszał szum silnika i spojrzał w niebo, niemal spodziewając się Kelly przecinającej błękit w swojej latającej bombie – ale jeśli taki był jej plan, nie brzęczałaby teraz nad Upshott.

Powinna teraz już być w górze. Musiał wszczać alarm.

„Samolot uderzy w The Needle. Nasz własny jedenasty września”.

Tego samego dnia, gdy na siedemdziesiątym siódmym piętrze będzie rosyjski oligarcha z ambicjami politycznymi.

Oczywiście, jeśli się mylił, to zniszczenie stacji King's Cross będzie wyglądało jak najlepszy moment w jego karierze.

A jeśli ma rację i nie zdąży z przekazaniem ostrzeżenia, resztę życia spędzi, oplakując niezliczonych zmarłych.

– Chodź.

– To nie w tę stronę – powiedział mu Griff.

– Nie, w porządku.

Hangar. Musiał się dostać do hangaru; sprawdzić, czy miał rację w kwestii nawozu.

Po dwóch kolejnych krokach telefon w jego dłoni zawibrował. Miał znowu zasięg. Przed nimi na pagórek wjechał jeep.

Gdy Paszkin wysiadł z windy, w żaden sposób nie zdradził, że wydarzenia zeszłej nocy w ogóle miały miejsce; a przynajmniej nie jemu ani jej. Dziś miał na sobie inny garnitur. Olśniewająco białą koszulę z odpiętymi górnymi guzikami. Srebrne połyskujące spinki do mankietów. Odrobina wody kolońskiej. Niósł w ręce aktówkę.

– Panno Guy – powiedział. – Panie Longridge.

Jego słowa odbiły się echem jak w kościele.

– Samochód czeka przed drzwiami.

Czekał. Usiadł w takim samym rozmieszczeniu jak poprzednio, auta poruszały się równie wolno jak wtedy. Ale co to za różnica, zastanawiała się Louisa, czy spóźnią się dziesięć minut? Czekał na nich tylko Webb. Jak na prestiżowy szczyt, ten był dość kameralny. Mimo to wysłała do Webba wiadomość i powiadomiła go, że są w pobliżu.

Na skrzyżowaniu niedaleko granic City minęli trzy policyjne furgonetki: czarne, z przyciemnianymi szybami. Wewnątrz było widać sylwetki: kształty ludzi, zniekształcone mundurami i kaskami jak u amerykańskich futbolistów w absurdalnych ochraniaczach.

– Czyli spodziewamy się problemów – powiedział Paszkin.

Louisa w jego obecności nie miała zaufania do swojego głosu.

– Wasze liberalne wartości – zaczął – schodzą na dalszy plan, gdy zagrożone są wasze banki i budynki.

– Nie jestem pewien, czy podzielam liberalne wartości – skomentował Marcus.

Paszkin spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Poza tym oberwie się paru wicherzycielom albo kilku z nich trafi na noc do aresztu. To jeszcze nie Tiananmen.

– Czy to ma jakąś nazwę? Ta cieńsza część klina?

Policyjne furgonetki były teraz za nimi, ale na chodnikach pozostało wielu funkcjonariuszy. Większość z nich nosiła kamizelki odblaskowe, nie mundury bojowe. Dobry glina był tą widoczną twarzą policji. Zły glina pozostawał w ukryciu, póki nie zrobiło się gorąco.

Jednak tego typu protesty na ogół źle się kończyły, pomyślała Louisa. Protestujący nie byli wrogo nastawieni jedynie do banków. Chodziło o wszelkie przejawy korporacyjnej chciwości; wszystkie widzialne symbole bogacenia się bogatych, gdy pozostałym obcinano pensje, ich długi rosły, posady były redukowane, a zasiłki likwidowane.

Mimo wszystko to nie jej problem. Nie dziś. Dziś musiała stoczyć swoją walkę.

Piotr odezwał się i Paszkin odpowiedział językiem gęstym jak melasa. Być może twarz Louisy wyglądała, jakby chciała zadać pytanie. W każdym razie Paszkin

postanowił zwrócić się bezpośrednio do niej:

- Mówi, że to już blisko.
- Blisko?
- Jesteśmy prawie na miejscu.

Straciła rachubę. Ale faktycznie byli na miejscu, u stóp The Needle; samochód wjechał w ogromny cień, jaki rzucał budynek, pod którym zaraz zniknął, kierując się do podziemnego parkingu. Tablica rejestracyjna ich samochodu została zarejestrowana jako należąca do jednej z firm budowlanych; oficjalnie ich grupa przyjechała tu na spotkanie z jednym z kierowników hotelowej kuchni, które miało się odbyć w pomieszczeniu gospodarczym położonym poniżej lobby. Ich wejście do The Needle miało nie zostać odnotowane.

James Webb wszedł wcześniej w podobny sposób. Był teraz na siedemdziesiątym siódmym piętrze i zastanawiał się nad rozmieszczeniem osób przy stole. Problem polegał na tym, że nie od razu było wiadomo, która część owalnego stołu stanowi jego szczyt. Usiadł na krześle naprzeciwko okna. Widział tylko pojedynczy samolot przecinający błękit nieba. Bywały dni, gdy można było tu usiąść i znaleźć się w samym środku chmury. Teraz był już nad niektórymi elementami nieba.

Choć nie dotarł jeszcze tak wysoko, jak zamierzał się wznieść.

„A więc, panie Paszkin, jak możemy panu ułatwić realizację planów?” – taką zamierzał obrać strategię. Zasugerować, że Rosjanin nie ma nic, czego pragnąłby Webb; że liczy się tylko to, by droga Paszkina była łatwiejsza. Później wspomni o długu; zasugeruje, w jaki sposób Paszkin mógłby odwdziaczyć się cudzoziemcom za ich uprzejmość. Nawet jeśli nie przekazano żadnych konkretnych prezentów, już samo spotkanie z Webbem narażało Rosjanina na kompromitację. Ale taki już był urok władzy. Ambicja sprzyjała odważnym i Webb zamierzał z tego skorzystać. „Jestem tu, by panu pomóc. Oficjalnie nie reprezentuję rządu. – Zakaszle skromnie. – Jednak każda pańska prośba zostanie życzliwie wysłuchana przez osobę, która będzie miała w tej kwestii największe możliwości”.

Paszkin będzie potrzebował kosmetycznych przysług. Pokazania się w towarzystwie grubych ryb, uznania za ważną osobistość. Zrobienia zdjęcia z premierem, wypicia drinków pod dziesiątką przy Downing Street, trochę uwagi ze strony prasy. Gdy raz potraktują cię poważnie, będziesz traktowany poważnie. Jeśli gwiazda Paszkina zaświeci na Zachodzie, jej blask oświetli też Wschód.

Telefon zawibrował. Marcus Longridge. Byli na parkingu. Webb słuchał.

– Och, na litość boską, to gość honorowy, a nie zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa – powiedział. – Zachowuj się rozsądnie.

Rozłączył się, wstał, obszedł stół dookoła i usiadł po drugiej stronie – teraz był zwrócony twarzą do pomieszczenia, a imponujący widok znajdował się za nim.

Tak, postanowił. Tutaj. Niech Paszkin wygląda przez okno. Niech zobaczy, że jedyną granicą jest niebo, a on, Webb poczeka, by chwycił przynętę.

Poszedł do lobby i czekał na windę.

Za nim, w dużej odległości, słońce odbijało się od skrzydeł małego samolotu, dzięki czemu przez moment maszyna wydawała się o wiele większa, niż była

w rzeczywistości.

– Ten cały Arkady Paszkin... – zaczął Ho.

Catherine nie chciał zadawać pytań.

– Co z nim?

– Czytałaś ten artykuł? Ten niby z „Telegrapha”?

– Niby – powtórzyła pozbawionym emocji głosem.

– Dobrze się mu przyjrzałaś? – zapytał Ho.

– Czytałam go, Roddy. Wszyscy go czytaliśmy. – Pogrzebała w papierach, przesunęła teczkę, znalazła. Nie gazetę, ale wydruk z internetu. Pomachała kartkami. – „Telegraph”. Siódmy lipca zeszłego roku. Z czym masz problem?

– Ja nie mam problemu. – Ho wyjął wydruk z jej ręki. Miał trzy strony, zawierał zdjęcie. – Tutaj. – Dźgnął palcem w adres internetowy na górze strony. – Widzisz?

– Roddy, o co ci chodzi?

– Wygląda jak „Telegraph”, brzmi jak „Telegraph” i jeśli zechcesz zgnieść tę kartkę i ją zjeść, pewnie będzie smakowała jak „Telegraph”. Ale to nie jest „Telegraph”. – Wyciągnął kartki w jej stronę. – Wzięłaś ten artykuł ze strony Paszkina. Sprawdziłaś w ogóle archiwum gazety?

– Jest wszędzie w internecie – odpowiedziała otępiąła.

– Pewnie, że jest. Bo jakiś koleś zamieścił ją w wielu miejscach w sieci. Ale wiesz, gdzie go nie ma? W archiwum gazety.

– Roddy...

– Mówię ci, to fałszywka. A jeśli ten tekst nie istnieje, to wiesz, ile mamy dowodów na to, że Arkady Paszkin w ogóle istnieje, nawet nie wspominając o tym, że jest ważnym rosyjskim oligarchą? – Za pomocą dwóch palców pokazał zero.

– Aha – odrzekła Catherine.

– Jasne, są inne źródła – powiedział Ho. – Jest obecny na Facebooku, ma stronę w Wikipedii i jest na wielu stronach, gdzie wystarczy, że się przedstawisz, i wszyscy zakładają, że jesteś kimś ważnym. Ale jeśli prześledzisz te wzmianki, odkryjesz, że wszystkie się ze sobą łączą. Internet jest pełen takich kukiełek. – Trochę koloryzował, pewnie dlatego, że był tak podekscytowany. – Paszkin jest jedną z nich.

– Ale jak...? – Znała już jednak odpowiedź. Sprawdzaniem Paszkina zajmował się Spider Webb; dział Weryfikacji Regent’s Parku w zasadzie nie funkcjonował z powodu tego pieprzonego audytu. Bardzo prawdopodobne, że to Paszkin zainicjował kontakt z Webbem...

– Ten szczyt w The Needle. Cokolwiek zamierza zrobić Paszkin, odbędzie się to właśnie tam. Muszę to zakończyć. Roddy, jedź tam.

– Ja?

– Weź ze sobą Shirley. – Ho przyglądał się jej, jakby nagle zaczęła mówić innym językiem. – Po prostu to zrób, dobrze? – Sięgnęła po telefon, który akurat zadzwonił. Rzuciła jeszcze do wychodzącego już Ho. – I Roddy? Nigdy więcej nie używaj słowa „koleś”. – I odebrała telefon.

– Catherine? – powiedział River. – Dzwon do Parku. Możliwy Kod Wrzesień.

Wiele mil stąd, między jednym a drugim uczestnikiem tej rozmowy, Kelly Tropper kierowała biało-niebieską cenną skyhawk po bezchmurnym błękitnie nieba. Przed nią rozpościerały się połączone nicości – czuła się, jakby rozłupywała pustkę, której rana goiła się tuż po tym, jak Kelly ją minęła. A jeśli momentami zdawało się, że dociera do niej bolesna prawda, że blizny, jakie po sobie pozostawia, są równie trwałe, co niewidzialne, na ogół była w stanie tę świadomość powstrzymać i zdusić ją przekonaniem, że nic, co jest tak ważne dla istoty jej osobowości, nie może być złe.

Zerknęła na swojego towarzysza, który zgodził się polecieć z nią głównie dlatego, że mu się podobała, i zastanawiała się, czy wiedział, że poprzedniego popołudnia przespała się z najnowszym mieszkańcem Upshott. Możliwe, że wiedział. Wioska nie była zbyt dyskretna, gdy trzeba było utrzymywać sprawy osobiste w tajemnicy. W każdym razie poinformowanie go o tym tylko spotęgowałoby dreszcze emocji, które nią targały. Jutro przeczytają o niej w gazetach. Przeczytają o niej, zobaczą ją i dowiedzą się, że zrobiła coś, do czego oni nie byli zdolni. Niektórzy przypomną sobie, że widzieli, jak przelatywała nad ich głowami.

Kolejny dreszcz emocji. Jej towarzysz z zaciekawieniem odwrócił się w jej stronę.

Ziemia była już tylko wspomnieniem, a Kelly Tropper była w swoim żywiole: wysoko w jaśniejszej przestrzeni, z towarzyszem broni.

Tylko ich dwoje i ich łatwopalny ładunek.

Gdy nadszedł późny poranek i zaledwie parę zabłąkanych obłoczków, niczym delikatne wyrzuty sumienia, zakłócało błękit nieba nad środkowym Londynem, stało się oczywiste, że dziś spełnią się obietnice meteorologów i będzie to najcieplejszy dzień tego roku. Niewiele wieczornych wydań wiadomości nie poinformuje o tym swoich odbiorców.

Tłum kierował się na wschód, poruszał się przez większość czasu w doskonałym porządku; kontrolowany przez policję, ale zorganizowany według własnych zasad, gotowy zaprezentować gromadzącym się ekipom telewizyjnym, że pozostaje spontanicznym wybuchem obywatelskiej złości, a nie cyniczną manipulacją opinii publicznej. Na jego czele stała hałaśliwa, wymachująca transparentami grupa, maszerująca w rytm wystukiwany przez bębniarzy; ich odrysowane od szablonu tabliczki głosiły: „Powstrzymajcie City”, „Rozwalcie banki”, „Wstrzymajcie cięcia”, lub prezentowały tłuste koty w melonikach odpalające cygara za pomocą pięćdziesięciofuntowych banknotów. Gdzieniedzie nad ich głowami podskakiwały kukły zrobione ze szmat i gipsu, przypominające gości poza sezonem, którzy czekają na fajerwerki; nosili meloniki, ubrania w prążki, a ich miny świadczyły o nieposkromionej chciwości. Liderzy z megafonami świergotali w nierównych odstępach, a na skrzydłach kręcili się zagorzali konserwatyści w roboczych kurtkach, sprzedający „Socjalistycznego Robotnika”. Ale na każdego obwieszzonego agrafkami obdartusa z dredami przypadało sześcioro ślicznych młodziaków w letnich ciuchach. Była to tęczowa koalicja wkurwionych, a ich skandowanie stawało się z czasem coraz potężniejsze.

Środkowa grupa okazała się bardziej łagodna, mieli ręcznie wykonane transparenty, pełne odniesień kulturowych. „Koniec z tym! Banki i pomoc dla banków? Nie, dzięki!” W tłumie tańczyły też dzieci, którym w Hyde Parku pomalowano twarze, więc były teraz kotami lub czarownicami, psami lub czarownikami, a ich różowe i zielone twarze błyszcząły ożywione zdziwieniem. Biegały w rozchichotanych grupach, prosząc policję konną o przejażdżki, podczas gdy ich rodzice cieszyli się nostalgicznym dreszczykiem emocji, jaki wywoływał protest polityczny, i od czasu do czasu autoironiczne zawołanie i odpowiedź: „Maggie! Maggie! Maggie!” – „Wypad! Wypad! Wypad!”, które tylko podkreślały, jak bardzo nostalgiczny jest to protest. Śpiewano też wspólnie, choć nieśmiało, głównie piosenki Boba Marleya: *One Love*, *Exodus*, a nawet wymęczoną *Redemption Song*. Gdy nad głowami części protestujących zawisł helikopter, ta zaczęła wiwatować, choć nikt nie wiedział dlaczego.

I wreszcie na końcu wlekli się ci, którzy sprawiali wrażenie mniej zaangażowanych, którzy postrzegali to wydarzenie nie jako okazję do wyrażenia społecznej wściekłości, lecz możliwość przespacerowania się po Londynie trasą, którą

nie jeździły samochody. Machali do kamer, pozowali turystom, gawędzili z policjantami, którym przydzielono zadanie zaganiania tłumu, i wysyłali buziaki przyglądającemu się im światu, jednak wśród tej grupy – podobnie jak wśród pozostałych – maszerowali też ludzie z maskami w kieszeniach i pragnieniem kradzieży w sercu, bo banki są złe, a bankierzy to wyrachowani gnoje, i żaden bezwzględny magnes na forszę nie zmieni swojego zachowania ze względu na pokojowy protest. O nie: zmiana wymagała potłuczonego szkła, a tego będzie dziś aż za dużo.

Choć nawet ci anarchiści nie wiedzieli jak wiele.

Protest przechodził wzdłuż Oxford Street i w stronę High Holborn.

– Panie Paszkin.

– Panie Webb.

– Proszę mi mówić Jim. Witamy w The Needle.

Oba te zdania były niedorzeczne; nikt nie zwracał się do Spidera Jim, a Paszkin był już wcześniej w tym budynku. Ale czas na taką refleksję minął i Paszkin odstawił aktówkę na podłogę, by wziąć prawą dłoń Webba w obie dłonie; nie był to niedźwiedzi uścisk, jakiego spodziewał się Webb, ale uścisk porządnego człowieka.

– Coś podać? Kawę? Ciastko? – Zapachy obu niosły się z kuchni.

– Nie trzeba. Dziękuję. – Po czym, jak gdyby z opóźnieniem potwierdzając zasadność uwagi Webba, Paszkin rozejrzał się wokół siebie, jakby nigdy wcześniej tu nie był. – Wspaniały – powiedział. – Naprawdę.

Webb zerknął w stronę pozostałych: Louisy Guy, Marcusa Longridge’a, dwóch Rosjan. Pokazał dłonią kuchnię.

– Gdyby mieli państwo ochotę na kawę albo coś innego.

Nikt nie miał ochoty.

Wcześniej, na parkingu podziemnym, Marcus i Louisa sprawdzili, czy Kirył i Piotr mają broń, i w zamian pozwolili im się obszukać.

Następnie Marcus sprawdził Arkadego Paszkina, po czym wskazał na jego aktówkę.

– Czy mogę?

– Obawiam się, że nie – odmówił gładko Paszkin. – Mam tutaj dokumenty, no cóż, nie muszę tego chyba wam tłumaczyć.

Marcus zerknął na Louise.

– Zadzwoń do Webba – zarządziła.

– Och, na litość boską, to gość honorowy, a nie zagrożenie dla bezpieczeństwa – powiedział Webb. – Zachowaj zdrowy rozsądek.

Teraz Paszkin kładł swoją niesprawdzoną aktówkę na stole. Warknął na swoich ludzi w ich języku. Piotr i Kirył oddzielili się od grupy, a Marcus instynktownie chwycił najbliższego z nich za ramię – to był Kirył, który odwrócił się, uniósł pięść i w ten oto sposób ci dwaj byli o krok od stłuczenia się na kwaśne jabłko, gdy okrzyk Paszkina sprawił, że znieruchomieli.

– Proszę!

Kirył opuścił dłoń. Marcus puścił jego ramię.

– Ty, szybki jesteś – zaśmiał się Piotr.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł Paszkin. – Po prostu poprosiłem ich, żeby sprawdzili kamery.

– Są wyłączone – potwierdził Webb. – Nieprawdaż?

Louisa spojrzała na Paszkina.

– Są wyłączone. Jak już mówiłam.

Paszkin odpowiedział oficjalnym skinieniem głowy.

– Oczywiście. Ale mimo wszystko...

Marcus uniósł brew, ale Webb dostrzegł okazję do odzyskania inicjatywy i rzekł:

– Jak pan sobie życzy.

Przyglądali się, jak Piotr i Kirył zajęli się kamerami nad drzwiami i w kącie, wyciągając kable z obudowy w sposób, który wydawał się nieodwracalny.

– Rozumie pan moją sytuację – powiedział Paszkin.

Webb sprawiał wrażenie, jakby próbował zrozumieć, równocześnie zastanawiając się, czy to zniszczenie wyposażenia ochrony nie odbije się mu czkawką.

Tymczasem Paszkin otworzył swoją aktówkę i wyjął z niej coś, co wyglądało jak mikrofon. Gdy ustawił go na stole, przedmiot ożył z szumem.

– Wydawało mi się, że postawiliśmy sprawę jasno – rzekł Marcus Longridge. Obejmował pięść drugą dłonią, jakby faktycznie wymierzył wcześniej cios. Skinął głową w stronę urządzenia i przypomniał: – Nikt nie nagrywa tego spotkania.

– Nie – zgodził się Paszkin. – I teraz wszyscy możemy być tego pewni.

Urządzenie delikatnie pulsowało, przekształcając w biały szum wszystko, co podchwyciły podsłuchy.

Kirył stał, swoje wielkie łapy założył na torsie i przyglądał się Marcusowi z miną, która być może oznaczała rozbawienie.

– Czy jest w tej teczce coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? – spytała Louisa.

– Nic, co powinno was niepokoić – odpowiedział Paszkin. – Ale proszę... – Wykonał nagły szeroki gest, jakby wypuszczał gołębia. – Usiądźmy. Zacznijmy. – Zerknął na zegarek. – Wiecie – dodał – może jednak napiję się kawy.

River trzymał telefon przy uchu, gdy jeep zbliżył się do nich i wyskoczył z niego żołnierz: młody, wysportowany, szeroki w barkach.

– Catherine?

– Czy może pan odłożyć telefon?

– Czy jest jakiś problem? – to mówił Griff Yates. – Wyszliśmy się przejść i trochę się zgubiliśmy.

– Dzwon do Regent's Park. Możliwy kod „Wrzesień”.

– Proszę pana? Telefon?

Żołnierz podszedł do niego.

– Dziś. Dziś rano.

– Telefon. Już.

Gdy położył na nim swoje łapy, cała noc stresu i strachu znalazła na moment upust. River uderzył żołnierza tak, że jego ręce opadły na boki; potem kopnął go



w kolano, a gdy żołnierz stracił równowagę, ręką, w której nie trzymał telefonu, River dziabnął go w gardło.

– Chryste, człowieku! – krzyknął Griff, gdy z jeepa wyskoczył drugi żołnierz i sięgnął do boku po broń.

– Riverze... – Głos Catherine był bardzo spokojny. – Muszę usłyszeć hasła.

– Odłóż telefon! Ręce w górę! Już! – To był krzyk, nie spokojne słowa; albo uczono ich postępować w taki sposób, albo żołnierz numer dwa był naprawdę wkurwiony.

– Manda...

Wystrzał z broni uciął jego słowa.

– Masz samochód? – zapytał Ho.

– Żartujesz sobie?

Nie żartował. Spojrzał w jedną stronę Aldersgate, szukając taksówki; spojrzął w drugą, a gdy znów odwrócił się w stronę Shirley Dander, ta była już po drugiej stronie ulicy i szybko się poruszała.

O cholera.

Począł jeszcze sekundę, mając nadzieję, że ta sytuacja to jakiś żart, ale gdy Shirley zniknęła za zakrętem, zaakceptował straszliwą prawdę: musieli dotrzeć do The Needle piechotą.

Przeklinając Shirley Dander, przeklinając Catherine Standish, Roderick Ho zaczął biec.

„Manda...”

Mandarynka było pierwszym hasłem Rivera Cartwrighta, pozostałe to „dentysta” i „tygrys”. Ale gdy Catherine oddzwoniła, usłyszała tylko mantrę: „Abonent chwilowo niedostępny”.

Kod „Wrzesień”. To zdążył powiedzieć. „Możliwy kod »Wrzesień«. Dziś. Dziś rano”.

Catherine była sama w Slough House. Lamb jeszcze się nie pojawił. Ho i Shirley Dander właśnie wybiegli w pośpiechu.

Kod „Wrzesień” nie był oficjalnym określeniem, ale często go używano; nawiązywał do wiadomo czego. Kod „Wrzesień” nie oznaczał po prostu ataku terrorystycznego. Oznaczał, że ktoś planuje uderzyć samolotem w budynek.

Ta informacja nadała jej myślom nowy bieg. Możliwe były dwa przebiegi akcji. Mogła założyć, że River postradał zmysły. Albo mogła zainicjować potężną reakcję na ostrzeżenie, którego nie była w stanie potwierdzić.

Zadzwoiła do Regent’s Park.

Protest przybrał teraz formę długiego, wijącego się robaka, przerwa między jego głową a merdającą końcówką tułowia meandrowała przez serce Londynu. Przednia część przeszła wiaduktem przy Holborn; maruderzy byli nadal na Oxford Street. Najwidoczniej im się nie spieszyło. Im było cieplej, tym bardziej prawdziwe było to stwierdzenie.

Przy Centre Point, gdzie barierki budowlane blokowały Charing Cross Road, hałas

z prac przy pobliskich wykopach zagłuszył skandowanie. Gdy protestujący przeciskali się przez zwężone skrzyżowanie, mały chłopiec puścił rękę ojca i wskazał na niebo. Mężczyzna podniósł wzrok, zmrużył oczy i zauważył jakiś błysk – słońce odbijało się od okna położonego w oddali The Needle. Posadził sobie chłopca na barana, rozśmieszył go i ruszyli dalej.

Gdy żołnierz numer dwa wystrzelił, River upuścił telefon. Kula przeleciała nad jego głową, ale ciężko było zgadywać, gdzie miała trafić. Żołnierz numer jeden z trudem stanął na nogi i wymierzył cios w Rivera; robiąc unik, River pośliznął się i upadł na kolana. Jego telefon został zmiażdżony ciężką stopą. Griff Yates krzyczał – ze złości lub by upierać się przy swojej niewinności – a River sięgnął po legitymację.

– Ręce w górę!

– Puszczaj to!

– Kładź się na ziemię! Już!

River rzucił się na ziemię.

– Wypuść to z dłoni! Wypuść z dłoni!

River nie miał nic w rękach.

Żołnierz numer dwa z przerażającą swobodą uderzył kolbą pistoletu w twarz Griffa Yatesa; Yates upadł na kolana, bryzgając wokół krwią.

– Pracuję dla brytyjskiego kontrwywiadu! – krzyknął River. – MI5! Za chwilę dojdzie do sytuacji kryzysowej...

– Zamknij się! – wrzasnął żołnierz numer jeden. – Zamknij się! Już!

– ...i wcale nie pomagacie...

– Morda w kubeł!

River położył dłonie na głowie.

Yates, choć szlochał, nie przestawał krzyczeć.

– Ty pizdo! Dlaczego to zrobiłeś, ty pierdolona...

– Zamknij się!

– ...pizdo!

Zanim River zdołał się odezwać, żołnierz numer dwa znów zamachnął się na Griffa Yatesa.

W Regent's Park telefon odbierała jedna z tych szykowanych, eleganckich i szalenie wydajnych kobiet, które słuchały, kazały rozmówcy czekać i dzwoniły do przeszklonego gabinetu w centrali, gdzie Diana Taverner miała od dwóch godzin ciężki ranek, ponieważ nie była sama. Roger Barrowby, obecnie nadzorujący codzienne wydatki i przychody działu operacyjnego kontrwywiadu, dzielił z nią biuro, jakby robił jej przysługę – ostatnio zaczął się pojawiać w Regent's Park tak wcześnie jak Lady Di. Jego rzadziejące włosy w kolorze piasku postawione tak, by sprawiały wrażenie bardziej gęstych; wydatny podbródek ogolony na gładko i różowo, natarty wodą kolońską; jego ciało w średnim wieku zapakowane w najsubtelniejsze prążki – wszystko to miało najwyraźniej na celu przekazać wiadomość, że ona i on jadą na tym samym wózku; i że mimo problemów pojedą dalej. Taverner zaczęła się martwić, że to rytuał godowy. Barrowby nie martwił się kondycją finansową MI5. Po prostu

chciał zademonstrować, że to on pociąga za wszystkie sznurki tak, że wszyscy skaczą, i jasno pokazywał, że najbardziej podoba mu się ciągnięcie za jej sznurki. Być może dlatego, że stawiała opór.

Dziś bardziej badał, niż zajmował fotel dla gości, z czarnej skóry i chromowanego metalu, który Taverner odziedziczyła po swoim poprzedniku.

– Czy to autentyczny Mies van der Rohe?

– A jak myślisz?

– Są szalenie drogie. Nie chciałbym wiedzieć, że w tych trudnych czasach naciągano budżet kontrwywiadu, by rozpieszczać zadki gości.

„Rozpieszczanie zadków” było bardzo w stylu Barrowby’ego. Miał tak komiczne momenty, że Stephen Fry wypadał przy nim blado.

– Rogerze, to podróba z sieciówki. Jedynym powodem, dla którego ten fotel nie trafił jeszcze do kontenera na śmieci, jest fakt, że w tych „trudnych czasach” nasz budżet nie „naciąga się” na tyle, byśmy mogli kupić nowy fotel.

Zadzwoił jej telefon.

– A teraz wybacz na chwilę.

Usadowił się na przedmiocie, który poddano pod dyskusję. Powstrzymując się od westchnięcia, Taverner odebrała telefon.

– Połącz ją – powiedziała po chwili.

Chodnik pod stopami Shirley Dander dudnił w tym samym rytmie, w którym biło jej serce – będzie musiała wkrótce zwolnić; trochę biec, trochę iść; czy nie tak należało to robić?

Być może tak, w książkach poświęconych bieganiu. Ale nie w podręcznikach tajnych służb.

Zaryzykowała odwrócenie się za siebie. Ho był kilkaset metrów za nią, biegł jak pijak, który skręcił kostkę, nie miał szans, by ją dostrzec. Więc się zatrzymała, przycisnęła lewą rękę do żeber, prawą oparła się o mur. Była w małym parku: drzewa, krzewy, plac zabaw, trawnik. Grupa matek, których potomstwo przypięto do wózków lub zapakowano na huśtawki, piła kawę kupioną na stoisku przy tej stronie alejki wychodzącej na Whitecross Street. Shirley przeszła nią i na jej końcu spojrzała w górę: oto on, wierzchołek The Needle. Widoczny nawet tutaj, w tym zabudowanym kanionie. Coś się tam działo, Shirley nie miała pojęcia co, ale w końcu została w to zaangażowana.

Haust powietrza. Kolejny szybki sprint. Ani śladu Ho, ale to żaden problem. Jeśli nie można było odpalić Windowsa, trzeba się było zwrócić do Ho. W innych przypadkach tylko niepotrzebnie zajmował przestrzeń.

W głowie jej szumiało, ale biegła przed siebie.

Przy wejściu do tego samego parku Roderick Ho chwycił się barierki i zaczął się modlić. Sam nie wiedział o co. Po prostu o coś, co przyniesie ulgę jego płucom. Miał wrażenie, że wypluwa z siebie ogień.

Za nim z piskiem zatrzymał się samochód.

– Stary, wszystko w porządku?

Ho odwrócił się i ujrzał swój cud. Czarną taksówkę. Dużą, piękną, wspaniałą czarną taksówkę bez pasażera.

Opadając na tylne siedzenie, zdołał wykrztusić:

– Do The Needle.

– Już się robi.

I pojechali.

River zamrugał.

Żołnierz numer dwa znów zamachnął się na Griffa Yatesa i ruchem tak płynnym, że wyglądał, jakby był elementem układu choreograficznego, Yates chwycił go za ramię, wykręcił nadgarstek, odebrał mu broń i przycisnął go do ziemi. Z krwią spływającą po twarzy Yates wyglądał jak demon. Przez moment River sądził, że Yates strzeli, ale on odwrócił się w stronę żołnierza numer jeden.

– Rzuć broń! – krzyknął. – Już!

Żołnierz był tylko chłopcem – obaj byli tylko chłopcami. Jego dłonie trzymające broń drżały. River zabrał mu pistolet.

– Ty też – powiedział do Yatesa.

– Ten drań rozwalił mi twarz!

– Griff? Oddaj mi broń.

Griff oddał mu broń.

– Pracuję dla MI5 – oświadczył River.

Tym razem go wysłuchali.

Budynek ożył w ciągu kilku ostatnich godzin, ale na piętrze Molly Doran słychać było tylko bulgotanie w rurach, gdy gorąca woda pokonywała niezgrabne zakręty labiryntu instalacji. Gładkie i błyszczące powierzchnie Regent's Park maskowały stary szkielet zewnętrzny, na którym został zbudowany, i podobnie jak nowe osiedle wzniesione na miejscu dawnego cmentarza, tak i tu odczuwało się czasem dygot niepogrzebanych duchów.

Tak przynajmniej mówiła o tym Molly.

– Dużo czasu spędzasz samotnie, nieprawdaż? – spytał Lamb.

Wykorzystali już wszystkie możliwości związane z nowym odkryciem. Wszystko, co wiedzieli o Nikołaju Katinskim, o Aleksandrze Popowie, mieściło się na jednej kartce. Zestaw połączonych ze sobą kłamstw, pomyślał Lamb, przypominał jedno z tych złudzeń graficznych; zarys wazonu albo dwie rozmawiające ze sobą osoby. Prawda kryła się w samej linii: nie pokazywała jednego ani drugiego. Była tylko śladem ołówka na kartce, a celem było zmylenie patrzącego.

– Co teraz? – spytała Molly.

– Muszę pomyśleć – odpowiedział. – Wracam do domu.

– Do domu?

– Mam na myśli Slough House.

Uniosła brew. W jej makijażu pojawiły się pęknięcia.

– Jeśli potrzebujesz ciszy, mogę znaleźć ci jakiś kącik.

– Nie o kącik mi chodzi. Potrzebuję świeżej pary uszu – rzekł Lamb

z roztargnieniem.

– Jak sobie życzysz – uśmiechnęła się, ale był to uśmiech podszyty goryczą. – Czeka tam na ciebie ktoś wyjątkowy?

Lamb wstał. Taboret wytrzeszczał swoje podziękowanie. Lamb spojrzał na Molly: jej zbyt mocno umalowaną twarz, okrągłe ciało, pustkę pod jej kolanami.

– Czyli – zapytał – wszystko było u ciebie w porządku?

– Kiedy? Przez ostatnie piętnaście lat?

– No. – Postukał stopą w najbliższe koło jej wózka. – Odkąd trafiłaś na to ustrojstwo.

– To ustrojstwo – powiedziała – przeżyło większość moich pozostałych związków.

– Ma funkcję wibrowania?

– Boże, Jacksonie – zaśmiała się. – Jeśli użyjesz tego tekstu na wyższych piętrach, podadzą cię do sądu. – Przechyliła głowę na bok. – Nie obwiniam cię za to, wiesz o tym?

– To dobrze – odrzekł.

– Za moje nogi.

– Ja też się nie obwiniam.

– Ale trzymałeś się na dystans.

– No cóż, tak. Nowa bryka, uznałem, że trzeba ci dać trochę czasu.

– Idź już stąd, Jacksonie – powiedziała. – I zrobisz coś dla mnie? – Lamb czekał. – Wróć, tylko jeśli będziesz czegoś potrzebował. Nawet jeśli będzie to za kolejne piętnaście lat.

– Dbaj o siebie, Molly.

W windzie włożył papierosa do ust w oczekiwaniu na wyjście na zewnątrz. Już odliczał sekundy.

– Dlaczego po mnie wróciłeś? – spytał River Griffa.

Siedzieli na tylnym siedzeniu jeepa; żołnierze byli z przodu. Oddał im obojgu broń. Było to dość ryzykowne posunięcie – istniała możliwość, że chłopcy zastrzelą ich i pochowają w ustronnym miejscu – ale gdy tylko pokazał im swoją legitymację, przeszli w tryb współpracy. Jeden z nich kontaktował się teraz przez radio. Hangar wkrótce zapełni się żołnierzami.

Yates miał ponurą minę. Jego chusteczka wyglądała jak po sprzątaniu u rzeźnika, ale jedyne, co udało mu się osiągnąć, to rozmasować nią krew po całej twarzy.

– Stary, tak jak mówiłem, przepraszam za...

– Nie o to pytam. Dlaczego tak naprawdę po mnie wróciłeś?

– Tommy Moulton... – powiedział Yates.

– Co z nim?

– Spotkałem go w wiosce. Zapytał, czy wróciłeś cały i zdrowy. Zmartwiłem się, że, no wiesz, coś ci się stało. – Że został wysadzony w powietrze, to chciał powiedzieć.

– Cholera – rzucił River. – To był jego pomysł, prawda? Żeby zaprowadzić mnie na poligon? I tam zostawić?

– Jonny...

– To był jego pomysł?

– Być może on to zaproponował.

Jeep nie miał drzwi. Wypchnięcie tego skurwiela zajęłoby tylko sekundę.

– Tommy Moulton, stary – rzekł Yates. – Wie wszystko o tym, co dzieje się w Upshott. Może ci się wydawać, że on tylko sprzedaje nasiona ze swojego roweru, ale on zna wszystkich. Wie wszystko.

River już się tego domyślił.

– On miał pewność, że tam będę – stwierdził. – I że zobaczę to, co zobaczyłem. Miał pewność, że uwolnię się na czas, żeby coś z tym zrobić.

– O czym ty mówisz?

– Gdzie on był? Dziś rano?

– Przy kościele – Yates potarł policzek. – Naprawdę jesteś tajnym agentem?

– Tak.

– Czy to dlatego Kelly...

– Nie – odpowiedział River. – Zrobiła to, bo tego chciała. Pogódź się z tym.

Jeep skręcił, gwałtownie zahamował i oto znaleźli się przy klubie, z jego zabawkowym pasem startowym i pustym hangarem.

River ruszył z kopyta.

Roger Barrowby osiwił, z czego radowało się serce Diany Taverner. Jej poranek zaczął się na nowo. Ingrid Tearney była za granicą; jako przewodniczący komisji Barrowby mógł rościć sobie prawo do objęcia Pierwszego Biurka, ale wyglądało na to, że jedyną szybką decyzją, jaką podejmie, będzie to, gdzie zwymiotować. Żartobliwe komentarze należały już do przeszłości. Powinien był zostać w łóżku.

– Rogerze, masz cztery sekundy – powiedziała.

– Minister spraw wewnętrznych...

– Podejmuje ostateczną decyzję, ale w oparciu o nasze informacje. Którymi teraz dysponujesz ty. Trzy sekundy.

– Agent w terenie? Do tego się to wszystko sprowadza?

– Tak, Rogerze. Jak w czasie wojny.

– Jezu, Diano, jeśli podejmiemy złą decyzję...

– Dwie sekundy.

– Do emerytury będziemy sortować pocztę.

– I właśnie dzięki temu życie w centrali jest interesujące, Rogerze. Jedna sekunda.

Bezradnie podniósł ręce. Taverner nigdy wcześniej nie widziała, żeby ktoś zachowywał się tak stereotypowo.

– Nie wiem, Diano; masz pół wiadomości od kulawego konia w terenie. Nawet nie podał haseł.

– Rogerze, czy wiesz, co oznacza kod „Wrzesień”?

– Wiem, że nie jest to oficjalne określenie – odpowiedział poirytowany.

– Skończyłam odliczanie. Bez względu na to, czy to prawda, czy nie, jeśli choć jeszcze przez sekundę zataisz to przed ministrem spraw wewnętrznych, będziesz poważnie zaniedbywał swoje obowiązki.

„Będziesz”. Podobało się jej to słowo.

– Diano...

– Rogerze.

– Co mam zrobić?

– Możesz zrobić tylko jedno... – odparła i wyjaśniła mu co.

Rozmawiali już od dziesięciu minut, ale nie powiedziano nic znaczącego. Arkady Paszkin trzymał się wielkich tematów: co się działo z euro, w którą stronę pójda Niemcy, gdy któryś z ich partnerów będzie potrzebował pomocy finansowej, ile będzie kosztować Rosję organizacja mistrzostw świata. Spider Webb przypominał gospodarza uroczystej kolacji, który nie mógł się doczekać, aż jego gość przestanie opowiadać o swoich dzieciach.

Marcus wydawał się spokojniejszy, jednak był czujny, swoją uwagę dzielił równo między Kiryła i Piotra. Louisa wspominała Mina – praktycznie wcale nie przestawała go wspominać – i to, jak od pierwszej chwili był wobec nich podejrzliwy. Częściowo dlatego, że na tym polegała jego praca, ale też dlatego, że taki już był Min, zawsze chciał działać. Poczula, że jej oczy zachodzą łzami, przełknęła ślinę. Paszkin zmienił temat na ceny paliwa, czyli pozorny powód ich spotkania, jednak Webb nadal nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Spotkanie nie toczyło się zgodnie z jego planem, pomyślała Louisa. Mówił tylko: „Rozumiem” i „O, tak”. Zaplanował to spotkanie jako ćwiczenie rekrutacyjne, ale nie miał pojęcia, co robi. A Arkady Paszkin miał swój własny plan, który zdawał się polegać na marnowaniu czasu aż do momentu, gdy...

Gdy wysoki, zapętlony pisk rozległ się równocześnie wszędzie: nad nimi, pod nimi, za drzwiami. Nie tyle świdrował, co pulsował, a jego przesłanie było od razu jasne. Trzeba natychmiast wyjść.

Marcus odwrócił się w stronę ogromnego okna, jakby chciał dostrzec zbliżające się niebezpieczeństwo. Webb wstał gwałtownie, przewracając przy tym krzesło.

– Co to jest? – zapytał, a Louisa uznała to za najgłupsze pytanie wszech czasów. Co nie powstrzymało jej od powtórzenia niczym echo:

– Co się dzieje?

Paszkin, nadal siedząc, powiedział:

– To brzmi jak sytuacja kryzysowa, którą wczoraj omawialiśmy.

– Wiedział pan o niej.

Paszkin sięgnął do swojej aktówki i wyciągnął z niej broń, którą podał Piotrowi.

– Tak – odparł. – Obawiam się, że wiedziałem.

Hangar sprawiał wrażenie większego, gdy nie było w nim cenny. Drzwi były otwarte, a słońce oświetlało każdy kąt pomieszczenia i przykuło uwagę do tego, czego brakowało. Na pierwszym miejscu wylądowały torby z nawozem. W miejscu, w którym leżały, pozostał niewielki ślad, jakby jeden z worków lekko się rozpruł, ale nic poza tym.

– Poleciała wcześniej. Widziałem ją – powiadomił stojący z tyłu Yates.

– Wiem.

– Coś jest nie tak, prawda? Z samolotem?

Tylko że ślady nawozu nie były wyłącznie w tym miejscu: River klęknął i pochylił się na tyle, na ile pozwoliło mu jego wymęczone ciało, i z tej pozycji przyjrzał się podłodze.

Na zewnątrz zatrzymał się kolejny jeep i River usłyszał stłumione warczenie oficera. Ktoś zbierał porządną opierdół.

Na betonie mało widoczny ślad grudkowego brązowego kurzu prowadził wężykiem do bocznego wejścia.

River miał wrażenie, że jest przywiązany do końca długiego sznurka. A drań trzymający drugi jego koniec bez przerwy go ciągnie.

– Jeśli Kelly jest w niebezpieczeństwie... – zaczął Yates.

Nie dokończył. Mając na uwadze jego twarz spływającą strużkami krwi, rozwiązanie problemu oznaczałoby walenie w coś tak długo, aż zmieni się w kiesel.

– Co się dzieje?

Zjawił się oficer, w mundurze oficera, i chyba myślał, że ten szczegół jest istotniejszy niż fakt, że przebywa na terenie należącym do cywilów.

– Opowiedz mu! – krzyknął River do Yatesa i ruszył w stronę bocznych drzwi.

– Ty! Zatrzymaj się natychmiast!

Ale River był już na zewnątrz, przy wschodniej ścianie hangaru, z widokiem na ogrodzenie z siatki, które okalało bazę Ministerstwa Obrony; na sam poligon, który był nijakim bezmiarem nakładającej się na siebie zieleni; na wypełniony po brzegi pojemnik na kółkach przywiązany łańcuchem do jednego ze słupków ogrodzeniowych; i na stertę worków z nawozem, na której szczycie był worek rozpruty z boku. Na ziemię cienką strużką spadło trochę nawozu. River kopnął w stertę worków, ale nie zawaliła się ani nie zniknęła.

I wtedy pojawiło się towarzystwo.

– Zaatakowałeś moich ludzi. – Usłyszał. – Mówią, że twierdzisz, iż pracujesz dla wywiadu. Co się dokładnie dzieje?

– Potrzebuję telefonu – odparł River.



Wysoko w przestworzach i wiele mil dalej, na południowy wschód, nad osiedlami graniczącymi z Londynem – zbitymi grupami czerwonych i szarych dachów, połączonych krętymi pasmami obramowanego drzewami asfaltu i przeplatanych polami do gry w golfa – Kelly Tropper czuła, jak narasta w niej podniecenie. To nie był zwykły lot. Ten będzie miał inne zakończenie.

Jakby dla dodatkowego podkreślenia tego faktu z radia dobiegała paplanina. Mieli natychmiast się przedstawić. Jeśli mają problemy, powinni je teraz opisać, a jeżeli tego nie zrobią, mają wrócić na swoją zgłoszoną trasę, w przeciwnym razie poniosą dotkliwe konsekwencje.

– Co one twoim zdaniem oznaczają? Te dotkliwe konsekwencje?

– Nie przejmuj się tym.

– Sądziłem, że uda nam się dolecieć bliżej, zanim nas zauważą – odpowiedział Damien Butterfield.

– To nic takiego. Tommy uprzedzał, że tak się stanie.

– Ale jego tu nie ma, prawda?

Na to pytanie nie warto było odpowiadać.

Podobnie jak pozostali członkowie klubu lotniczego Kelly i Damien dorastali razem; byli dziećmi przybyłych do wioski, ich rodzice przeprowadzili się z większych, bardziej aroganckich miejsc do ślicznego, pustego Upshott. Dzieci zgodnie uznały, że to absolutnie niezrozumiała decyzja, jednak doskonale się tu zadomowily. Dla Kelly pozostanie w Upshott było jedynym sposobem, by mieć dostęp do samolotu, którego właścicielem był Ray Hadley, ale za który ona i reszta znajomych opłacali przeglądy i wynajem. Czasami zastanawiała się, czy nie trzyma jej coś jeszcze; czy to nie tchórzostwo nakazało jej zarzucić kotwicę w rodzinnej wiosce; strach przed nieporadzeniem sobie w wielkim świecie. Choć Tommy powiedział jej...

Śmieszna sprawa z tym Tommym; wszyscy wiedzieli, że on tylko sprzedaje nasiona ze swojego roweru, ale znał wszystkich w Upshott i wiedział o wszystkim, co się tam dzieje, jakby każdy zdawał mu sprawozdanie; jakby Tommy był samym środkiem sieci. Zawsze gdy z nim rozmawiałeś, on wiedział, co się u ciebie dzieje. Sprawdzało się to w jej przypadku, w przypadku jej znajomych, a także jej rodziców. Jej ojciec nigdy nie przepuścił okazji, by pogadać z Tommym w te dni, gdy ten stał przed sklepem lub robił swoje rundki po wiosce, wykonując dorywcze prace, z których się utrzymywał; choć w środku tygodnia znikał i nikomu nie udało się dowiedzieć, gdzie wtedy przebywał. Być może miał gdzieś inną wioskę, w której prowadził podobny żywot, w innym towarzystwie, ale Kelly nigdy z nikim o tym nie rozmawiała, bo nigdy nie rozmawiało się o Tommym Moulcie – był sekretem każdego mieszkańca Upshott. No i tak, śmieszna sprawa z Tommym, ale śmieszna

w sposób, nad którym się już od dawna nie zastanawiała; był po prostu elementem życia w Upshott, i tyle.

Tommy powiedział jej, że istnieją sposoby na udowodnienie sobie swojej odwagi i odcisnięcie śladu w wielkim świecie. Wiele sposobów.

Trudno było sobie teraz przypomnieć, czyj to był pomysł – jej własny czy Tommy’ego Moulta.

Tymczasem siedzący obok niej Damien Butterfield zapytał:

– Czy jesteśmy już prawie na miejscu? – I zaśmiał się ze swojego żartu.

Radio znów zaskrzeczało, a Kelly Tropper też się roześmiała i je wyłączyła.

Gdzieś dalej na północnym zachodzie wystartowały dwa kolejne samoloty: lśniące, mroczne, niebezpieczne, lecące na polowanie.

Taksówkarz wylewał z siebie nieprzerwany strumień inwektyw na temat tych pieprzonych maszerujących, którzy nic nie osiągali poza zgnojeniem ciężko pracujących taksówkarzy, a jeśli ktoś chciałby się dowiedzieć, co naprawdę należy zrobić z bankami, to...

– Tu wysiądę – powiedział Ho.

Rzucił kierowcy banknot i wyskoczył prosto na chodnik, którym poruszała się Shirley Dander.

– Choooolera – zdołała wykrztusić z siebie jedno słowo w postaci przedłużonej czkawki. Ho z radością zauważył, że wyglądała gównianie.

Znajdowali się tuż przy dziedzińcu The Needle, a Ho dostrzegł przez wielkie szklane ściany budynku znajdujący się wewnątrz prawdziwy, żyjący las – ale zanim zdołał wygłosić komentarz na ten temat, wybuchł ostrzał syren, jakby wszystkie alarmy samochodowe w City uruchomiły się w jednym momencie.

– Co?

Przez chwilę Ho sądził, że dotarł tu protest – słyszał go w niewielkiej oddali, dudniące, ruchome skandowanie, które przypominało rozgrywający się poza boiskiem mecz piłkarski. Jednak ludzie wylewający się z budynków na ulice wszędzie dokoła byli ubrani w garnitury i inne eleganckie ubrania: to nie oni protestowali, to przeciwko nim protestowano. Wydostawali się także przez obrotowe drzwi The Needle i wyglądało na to, że nie są pewni, co teraz robić. Większość z nich zatrzymywała się, by odwrócić się i spojrzeć na budynek, z którego właśnie wyszli, po czym rozglądali się, bo stawało się jasne, że cokolwiek się działo, działo się wszędzie.

Shirley wróciła już do pozycji pionowej.

– No dobra, wchodzimy.

– Ale wszyscy wychodzą – zaprotestował Ho.

– Chryste... Masz świadomość tego, że pracujesz dla MI5, prawda?

– Zajmuję się głównie zbieraniem informacji – wyjaśnił, ale Shirley już torowała sobie drogę w rosnącym tłumie.

Broń w dłoni Piotra wyglądała równie naturalnie jak kubek z kawą czy butelka piwa. Wycelował ją w Marcusa.

– Łapy na stół.

Marcus położył dłonie na blacie, wierzchem do góry.

– Wszyscy.

Louisa wykonała polecenie.

Po chwili Webb poszedł w jej ślady.

– Kurwa – powiedział. – Kurwa – dodał po chwili.

Paszkin zatrzasnął aktówkę. Nadal wył alarm, więc Paszkin podniósł głos.

– Zostaniecie zamknięci. Te drzwi są dość wytrzymałe. Najlepiej będzie, jeśli zaczekacie na pomoc.

– Sądziłem, że... – zaczął Webb.

– Zamknij się.

– ...robimy tu coś...

– Robiliście – poprawił go Kirił. – Pomagaliście nam.

– Myślałam, że nie mówisz po angielsku – skomentowała Louisa.

– Oni nie mają zamiaru nas tu tylko zamknąć – uznał Marcus.

– Wiem.

Kirił powiedział coś, co rozśmieszyło Piotra.

Alarm nadal wył, raz głośniejszy, raz ciszszy. Inne piętra ewakuowano; zablokowano windy, a drzwi na klatki schodowe otworzyły się automatycznie, pozwalając na dostęp w obie strony. Tłumy gromadziły się w wyznaczonych miejscach na zewnątrz, a nazwiska odhaczano na listach, które miała ochrona, lub dopasowywano do aktualnie używanych kart dostępu. Jednak żadna z osób znajdujących się obecnie nie siedemdziesiątym siódmym piętrze nie pojawi się na tych listach. Ich obecność nie została nigdzie odnotowana.

– Słuchajcie, nie wiem, dlaczego włączył się ten alarm, ale obiecuję... – powiedział Webb.

Piotr strzelił do niego.

Siedemdziesiąt siedem pięter niżej ludzie wychodzili na ulice; niektórzy z nich mieli ten wkurzony wyraz twarzy, który przybierasz, gdy ktoś ci przeszkodzi; inni z radością odpalali niezaplanowane papierosy; i zmienił się nastrój każdego z nich – gdy zdali sobie sprawę, że nie tylko ich budynek jest ewakuowany, ale i wszystkie pozostałe w zasięgu wzroku, stanęli bez ruchu, wpatrywali się w niebo. Wszyscy byli przyzwyczajeni do próbnych ewakuacji i fałszywych alarmów, ale te zdarzały się pojedynczo. Teraz wszystko działo się równocześnie, a posępne możliwości zakorzeniały się i rozkwitały. City rzuciło się do ucieczki. W różnych kierunkach, jednak cel tego ruchu był jednoznaczny: znaleźć się gdzieś indziej, natychmiast. A ludzie nadal się pojawiali, ponieważ budynki miały dziesięć, piętnaście, dwadzieścia pięter i każde z nich wypełnione było pracownikami. I zarówno ci przy biurkach, w salach konferencyjnych, jak i ci przy stojakach z wodą czy rozmawiający na korytarzu słyszeli ten sam dźwięk: alarm nakazujący opuszczenie budynku. Ci, którzy przystanęli, by wyjrzeć przez okno, zobaczyli rozproszone grupy ludzi na chodnikach. Nie sprzyjało to dobrze zorganizowanej ewakuacji.

Lekkie szturchnięcia zmieniły się w popychanie. Drobne fale paniki przeistoczyły się w tsunami, a głosy rozsądku utonęły we wzburzonym morzu. Nie zdarzyło się to

wszędzie, ale nie było też wyjątkiem. Gdy City ostrzegało swoje pszczoły robotnice przed możliwym atakiem terrorystycznym, niektóre pszczoły zwracały się przeciwko sobie i żądliły. Większość obrażeń, jak obliczono później, miała miejsce wśród pracowników budynków, w których mieściły się banki. Banki i kancelarie prawne. Różnica między nimi była niewielka.

Jackson Lamb znów palił i snuł się po Barbican Highwalk, zmierzając w stronę Slough House. Nad nim górował Shakespeare albo Thomas More, Lamb nigdy nie mógł zapamiętać, która wieża jest która, a przed nim stała znajoma ławka. Kiedyś zasnął na niej, ściskając w ręce papierowy kubek po kawie. Gdy się obudził, znalazł w nim czterdzieści dwa pensy w miedziakach.

Usiadł na ławce, żeby wypalić papierosa.

Nad nim i za nim chmurzyły się lata siedemdziesiąte, uwiecznione w szkłe i betonie, pod nim – średniowiecze w postaci kościoła St Giles Cripplegate, a na wschodzie zupełnie współczesne wycie syren, które rosło w siłę już od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz przedarło się przez jego zamyślenie. Dwa wozy strażackie pędziły z rykiem wzdłuż London Wall, a za nimi jechała policja. Lamb zatrzymał papierosa w połowie drogi do ust. Kolejny wóz strażacki. Upuścił papierosa i sięgnął po telefon.

Taverner, pomyślał, coś ty narobiła?

Webb upadł na podłogę, gdy cienka różowa strużka płynu trysnęła w powietrze i rozbryznięła się na dywanie. Marcus i Louisa padli w tym samym momencie, a drugi wystrzał odłamał fragment blatu, dzieląc go na drzazgi. Ale nie było innego schronienia. Mieli sekundę, może nawet mniej, zanim Piotr ukucnął i strzelił bezpośrednio w stronę ich głów; w rosnącej panice Louisa zobaczyła, jak Marcus odrywa coś od spodu blatu – coś, co pasuje do jego dłoni równie dobrze jak kubek kawy albo butelka piwa. Strzelił, ktoś krzyknął i jakieś ciało upadło na podłogę. Ktoś przeklinał po rosyjsku podniesionym głosem. Marcus podniósł się i strzelił raz jeszcze. Kula trafiła w zamykające się drzwi. Po drugiej stronie stołu leżał Kirył, trzymając się za lewą nogę, która była poważnie rozerwana poniżej kolana.

Louisa sięgnęła po telefon. Marcus ruszył do drzwi z pistoletem w dłoni. Kiedy za nie pociągnął, uchyliły się na tyle, by dostrzegł zapięcie u-lock przełożone przez zewnętrzne uchwyty – kolejny prezent z przeklętej aktówki Paszkina. Pociągnął raz jeszcze za drzwi, po czym odskoczył, bo z drugiej strony wbił się w nie pocisk.

W lobby wył alarm. Mimo tego hałasu Marcus był w stanie usłyszeć, że dwaj mężczyźni wychodzą na klatkę schodową na końcu korytarza.

Gdy protest zbliżał się do City – jego przednia część zawijała się wokół katedry Świętego Pawła, zaś tylna znajdował się za wiaduktem – rozpełzła się nowa wiedza, rezonans morficzny podsycany przez doniesienia z Twittera, pozwalający, by wszyscy protestujący usłyszeli plotki w tym samym czasie: że City runęło, jego budynki pustoszały. Że finansowe pałace drżały w posadach, gdy zbliżał się do nich tłum. Wraz z nadejściem wiadomości zmienił się nastrój protestu, przeradzając się w agresywny triumfalizm, który chce widzieć swoich wrogów rozciągniętych na

chodnikach, z rozłupanymi głowami. Rozległo się nowe skandowanie, głośniejsze niż dotychczas. Marsz nabrał tempa. Choć, w ramach przeciwwagi dla tych sugestii zwycięstwa, kolejny wstrząs kierował się na zachód: stało się coś złego i przed nimi czaiło się niebezpieczeństwo.

Na pierwszy rzut oka przybrało to formę oficjalnego oporu.

„Z powodu nieprzewidzianych okoliczności protest zostaje odwołany. Prosimy o zawrócenie i spokojny powrót w stronę Holborn, gdzie będą państwo mogli się rozejść”.

Czarne opancerzone jednostki, które dotąd były dyskretnymi cieniami, teraz wypłyły z siebie napompowane kształty z tarczami, w kaskach, a barierkami odcięto Cheapside. Gdzieś za nimi stał mężczyzna z megafonem.

„Drogi z przodu trasy są zamknięte. Powtarzam, droga jest zamknięta, a protest został właśnie odwołany”.

Dźwięk wyjących w dali syren wzmocnił ten przekaz.

Przez dwie minuty, które przeciągnęły się do czterech, głowa protestu nie przesunęła się do przodu, ale spuchła do większych rozmiarów, wypełniając skrzyżowanie po wschodniej stronie przy katedrze. I nadal, na całej długości tłumy, przekazywano sobie wiadomości w ten sam sposób, w jaki dżdżownica komunikuje samej sobie, że została rozczłonkowana. Co jakiś czas jednostki taktyczne dzieliły protest na części, kierując grupy na wąskie ulice i place lub odcinając ich trasy. Śpiewy umilkły i przybrały postać złości; nerwy były w strzępach, a później puszczały. Koty i psy, czarownice i czarodzieje trzymali się nóg rodziców, podczas gdy wcześniej pokojowo nastawieni protestujący strzelali śliną w nieruchomych policjantów. Nad ich głowami terkot śmigieł helikoptera pojawiał się i zniknął, czasami zagłuszając pisk alarmów dobiegających z City, czasem stając się dla nich sekcją rytmiczną, podczas gdy z samego City nieco gorzej zorganizowana część pochodu uciekła przed plotkami o katastrofie i wmieszała się w rzędy policji blokujące Cheapside.

„Ulice z przodu są zamknięte, a protest został odwołany”.

Pierwsza butelka poleciała niskim łukiem ze środka tłumy. Zakreśliła się, rozbryzgując na głowy policjantów płyn, który mógł być wodą, mógł być szczykami, po czym rozbiła się na ziemi. W ślad za nią poszły inne.

A wzdłuż trasy protestu, schowani w tym, co było kiedyś tłumem, a teraz zmieniło się w ciąg mniejszych grup, ci, którzy przyszli z maskami w kieszeniach, dostrzegli sygnał i osłonili twarze. Nadszedł czas, by tłuc szkło, podpalać samochody i rzucać kamieniami.

Pierwsze płomienie narodziły się jak wczesne wiosenne kwiaty: z łatwością unosił je wiatr i rozwiewał na przestrzeni wielu kilometrów.

– To jest realne zagrożenie, Lamb.

– Realne? Jakiś niedzielny pilot ma wbić samolot w budynek City? Jesteś tego pewna?

– Na tyle pewna, by nie podejmować ryzyka.

– Zamierzasz go zestrzelić?

– W powietrzu są już harriery. Zrobią, co będzie konieczne.

– Nad centrum Londynu.

– Jeśli będzie to konieczne.

– Oszalałaś?

– Jacksonie, posłuchaj. Właśnie tego się obawialiśmy przez te wszystkie lata.

Tego albo czegoś w tym stylu.

– Czego, jedenastego września w promocji? Sądzisz, że jakiś wycieńczony radziecki szpieg zrobiłby coś takiego? Katinski jest reliktem zimnej wojny, nie barbarzyńcą wspierającym nowy porządek świata, na litość boską!

– I uważasz, że to zbieg okoliczności, że spotkanie z Arkadym Paszkinem...

– Taverner, tu nie chodzi o Paszkina. Gdyby Moskwa wiedziała, że ty i Webb ukartowaliście jakiś plan, żeby go zrekrutować, nie zrobiliby tego. Poczekaliby, aż wróci do domu, i przepuścili przez prasę.

– Lamb...

– Przeprowadzili nas tutaj, krok po kroku. Zabili Dickiego Bowa, poprowadzili ślady do Upshott, podświetlili ścieżkę pieprzonymi racami. Zamordowanie Mina Harpera było jedyną rzeczą, jaką próbowali utrzymać w tajemnicy. Bez względu na to, co się naprawdę dzieje, nie jest tym, czym nam się wydaje. Co z The Needle?

– Powiadomiliśmy ochronę. Straż pożarna już tam jedzie.

– Co się stanie, jeśli odetną budynek? – spytał Lamb.

W siedzibie klubu lotniczego nastąpiły zmiany: lodówka pozostała na swoim miejscu, krzesła również; stare biurko nadal było zasypane papierami, ale sterta kartonów przypominała teraz zniszczoną piramidę, a folia, które je przykrywała, leżała zgnieciona na podłodze. River przyklęknął na jedno kolano i przetrząsnął zawartość kartonów. Zawierały papier, sterty kartek w formacie A4, których parę egzemplarzy przykleiło się do dna jednego z pudeł. Na obu był ten sam nadruk.

Griff Yates nadbiegł, ciężko dysząc. Twarz miał nadal zalana krwią, ale w ręce trzymał telefon.

– Pożyczyłem.

River złapał komórkę i zaczął kciukiem wystukiwać cyfry, zanim jego mózg był w stanie je przetworzyć.

– Catherine? To nie jest bomba.

Przez chwilę nic nie odrzekła.

– Catherine? Powiedziałem...

– To co to w takim razie jest?

– Czy ogłosiłaś alarm?

– Riverze... Użyłeś kodu „Wrzesień”.

– To nawet nie jest...

– Wiem, czym nie jest. Ale wiem, co oznacza. Więc przekazałam to do Regent's Park. Co się dzieje?

– Co zrobił Regent's Park?

– Ogłosił alarm terrorystyczny w City. Zbliżające się niebezpieczeństwo.

– O Jezu.

– Trwa ewakuacja wysokich budynków, zwłaszcza The Needle, z powodu tego rosyjskiego spotkania. Riverze, mów do mnie.

– Nie ma bomby. Ten samolot nie... to nie jest atak terrorystyczny. – Popatrzył na kartki w dłoni. Były to reprodukcje tego samego obrazka: stylizowanego krajobrazu miejskiego, z poszarpaną błyskawicą uderzającą w jego najwyższy budynek. Na dole każdej kartki wydrukowano słowa: „Stop The City”. – Oni zrzucą ulotki na demonstrujących.

– Co, kurwa, zrobią?

– Ulotki, Catherine. Zrzucą ulotki na uczestników protestu. Ale ktoś... ktoś chciał, żebyśmy pomyśleli, że mają bombę. Alarm terrorystyczny, o to chodziło. O ewakuację.

– The Needle – powiedziała Catherine.

Louisa nie miała zasięgu. Marcus również nie. Urządzenie w kształcie mikrofonu zniknęło co prawda ze stołu, zabrali je Paszkin i Piotr, ale nadal było gdzieś w pobliżu, uniemożliwiając korzystanie z telefonów.

Obejrzała Webba. Kula trafiła go w klatkę piersiową, ale żył. Jeszcze. Wypuszczał z siebie z bulgotem płytkie wydechy, po czym ze świstem nabierał powietrza. Louisa zrobiła, co mogła, a mogła niewiele, po czym odwróciła się do Marcusa, który stał przy Kiryle.

– Zostawiłeś ją tam wczoraj?

Chodziło jej o broń. Bo jak inaczej mogła się tam znaleźć? Przyklejona od spodu do blatu stołu.

– Zwiększałem nasze szanse – powiedział Marcus. – Nie idę na ślepo. Zwłaszcza nie w sytuacjach, gdy mamy do czynienia z wrogami.

Kirył był świadomy, jęczał: stanowił pewien kontrast do natarczywego wycia alarmu. Louisa położyła dłoń na jego postrzelonej nodze.

– Boli?

Przeklął o rosyjsku.

– Tak, tak. Nie mówisz po angielsku. Boli? – Przycisnęła mocniej.

– Jezus, kurwa, ja pierdołę.

– Uznaję, że to potwierdzenie. Co się dzieje?

Marcus wyszedł do kuchni.

– Zostawili cię. Myślisz, że wrócą?

– Bydlaki – stwierdził. Być może mówił o swoich nieobecnych kolegach.

– Dokąd poszli?

– Na dół...

Z kuchni dobiegł ją odgłos tłuczonego szkła. Marcus wrócił, trzymając w dłoni toporek strażacki.

Louisa odwróciła się z powrotem do Kiryła.

– Na dół – powtórzyła i nagle zrozumiała. – Rumble? Ich nowy iPhone? O to w tym wszystkim chodzi? Kradniecie pieprzony prototyp?

Marcus zamachnął toporkiem i drzwi się zatrzęsły.

Louisa raz jeszcze położyła dłoń na ranie leżącego mężczyzny.

– Zanim uda mu się to rozwalić – powiedziała – opowiesz mi, dlaczego zginął Min.

Na zewnątrz wiosenne powietrze było ciepłe i pełne pyłków. Poirytowany oficer usłyszał już wystarczająco dużo, by wiedzieć, że cokolwiek się tu zdarzyło, było sprawą znacznie poważniejszą niż wkroczenie na teren Ministerstwa Obrony, i aktualnie rozmawiał przez telefon, ustalając poziom alertu bezpieczeństwa narodowego. Griff Yates poszedł gdzieś umyć twarz. A w pobliżu, przy jeepie, na baczność stał samotnie jeden z dwóch żołnierzy, z którymi wdali się wcześniej w bójkę.

River raz jeszcze pokazał legitymację.

– Muszę gdzieś pojechać.

– Ta, jasne.

– A tobie będzie potrzebny dobry przyjaciel, gdy ten poranek się zakończy – dodał River, myśląc: Mnie również. – Zawieź mnie natychmiast do wioski, a będziemy kumplami.

– Nazywasz się James Bond, tak?

– Ćwiczymy w tej samej siłowni.

– Heh...

Nad ich głowami krążył drapieżny ptak, wydając głośne gwizdy.

– A co tam. Wsiadaj, szybko.

Podczas dwuminutowej podróży River znów zadzwonił do Catherine.

– Czy odwołano już harriery?

– Nie wiem, Riverze. – Jej głos drżał, co nie zdarzało się często. – Zadzwoniłam do Regent's Park, ale... Czy jesteś gdzieś w pobliżu telewizora?

– Niezupełnie.

– W City rozpętuje się piekło. Pół świata próbuje stamtąd uciec, a protestujący próbują tam wejść. Jezu, River... To przez nas.

Przeze mnie, pomyślał.

– A mówili, że nigdy nie przebiję King's Cross – rzekł, ale w jego żołądku uformował się ciasny supeł strachu.

– A teraz jesteś pewien, tak? Że samolot nie kieruje się w The Needle?

– Pogrywali z nami, Catherine. Ze mną, z Lambem, ze wszystkimi. Nie musisz uderzać samolotem w budynek, żeby wywołać chaos. Po prostu musisz sprawić, żebyśmy pomyśleli, że tak się wydarzy.

– Jest coś jeszcze. Ten Rosjanin, Paszkin? On jest nieprawdziwy.

– To kim jest?

– Jeszcze nie wiemy. Telefon Louisy nie odpowiada. Marcusa podobnie. Ale jedźcie tam już Ho. Z Shirley.

– To wszystko elementy jednej sprawy – stwierdził River. – Na pewno tak jest. Nie pozwólcie im zestrzelić tego samolotu. Catherine. Jego pilot został zmanipulowany, tak samo jak my.

– Zrobię, co w mojej mocy.

River z frustracji uderzył w dach jeepa.



– Tutaj – powiedział. – Tutaj.

Przy kościele, powiedział Yates. Tu wcześniej był Tommy Moulton. Na ulicy przy kościele.

Jeep zatrzymał się ze skrzypieniem przy bramie cmentarnej kościoła Świętego Jana od Krzyża i River wybiegł w pośpiechu.

Gdy Marcus zamachnął się siekierą, głośny trzask zatrząsł piętrem, a Louisa zapiszczała:

– Jezu, czy to ty?

Marcus przerwał. Ostrze utknęło w drzwiach.

– Wybuch – powiedział i uwolnił siekierę.

Wybuch. Louisa spojrzała na Kiryła.

– To jest wasz plan? Budynek zostaje objęty alarmem terrorystycznym, a wy włamujecie się do Rumble, używając do tego materiałów wybuchowych?

– Miliony – odparł przez zaciśnięte zęby.

– No raczej. Nikt nie podejmuje takiego wysiłku dla garści drobniaków.

Z dołu rozległo się kolejne tępe trzaśnięcie. Próbowali wybuchem rozwalić drzwi, co nie powinno okazać się czasochłonne. Później jedyne, co musieli zrobić, to przedostać się na parter i wymknąć razem z resztą tłumu. Nikt nie odnotuje ich wyjścia, bo ich wejście nie zostało zarejestrowane. Będzie na nich czekał samochód i zostanie mniej chętnych do podziału zysków.

Bum! Siekierka wbiła się w drzwi, aż prysnęły drzazgi.

Louisa kopnęła Kiryła.

– Min go zobaczył, prawda?

– Moja noga – wyjęczał Rosjanin. – Muszę do lekarza.

– Min zobaczył Paszkina, kimkolwiek on naprawdę jest. W czasie, gdy ten miał być w Moskwie, by odgrywać rolę pierdolonego barona naftowego. Tyle że zamiast tam zadekował się w noclegowni przy Edgware Road, bo hotel Ambassador jest jednak troszeczkę zbyt drogi, jeśli nie trzeba w nim nocować, prawda? Jeśli nie jest się pieprzonym potentatem naftowym, tylko pierdolonym złodziejem. I dlatego Min zginął.

– To się nie miało wydarzyć. Piliśmy drinki, to wszystko... Aaach! Moja noga...

Bum!

– Coś ci powiem, Kirył. Gdy już zapakuję te gnidy do pudła, wrócę i sprawdzę, co da się zrobić z twoją nogą. – Zbliżyła się do niego. – Mamy w końcu tę pierdoloną siekierkę.

Nic nie sugerowało, że Louisa żartuje. Po kolejnym bum nastąpiło łup.

– Przebiłem się – powiedział Marcus.

Louisa ponownie poklepała zranioną nogę Kiryła i ruszyła w stronę drzwi.

Kelly nigdy wcześniej nie leciała z wyłączonym radiem i wzmacniało to jeszcze niezwykłość tego poranka, jakby wszystkie wydarzenia miały miejsce we śnie, w którym elementy doskonale znane – panel sterowania, widok pustego nieba, Damien obok niej – mieszają się z nowymi. Londyn nabierał kształtów, zakrzepł

w niezakłóconą powierzchnię dachów i dróg, jego dzielnice połączono autobusami i autami.

Za nimi ułożono sterty ulotek, które zaprojektowała Kelly; tych ulotek, które miały powiedzieć protestującym, co robią – powstrzymują City, niszczą banki. Szczegóły pozostawały niewyraźne, ale i bez nich wiedziała wystarczająco dużo, by dołączyć do kruczaty. Na świecie istniały chciwość, zachłanność i zepsucie, i prawdopodobnie zawsze będą istnieć, ale nie mogło to stanowić wymówki do powstrzymania się od podjęcia próby, by coś zmienić.

– Powinniśmy włączyć radio – powiedział Damien. – To niebezpieczne. I niezgodne z prawem.

– Nie przejmuj się – odparła. – Lecimy za nisko, żeby znaleźć się na czyjejś trasie.

– Nie sądziłem, że będziemy tak...

– Na litość boską, co twoim zdaniem nam zrobisz? Zestrzelą nas? Myślisz, że nas zestrzelą?

– No, nie, ale...

– Za kilka minut będziemy nad centrum. Zobaczą, co planujemy zrobić, i tak, odeskortują nas do domu, gdzie nas aresztują, ukarzą grzywną i tak dalej. Wiedzieliśmy o tym przed startem. Wyhoduj sobie jaja.

Jednak oprócz szumu silnika skyhawkka słyszała basowy dźwięk, ryk, dwa ryki i w tym momencie Kelly Tropper przyszło na myśl, że przyszłość może okazać się inna: że nie udowodni, że jest radykalną chojraczką, która rozrzuciła zaprojektowane przez siebie ulotki na maszerujący tłum, ale stanie się nauczka na temat tego, do czego jest w stanie posunąć się raz sprowokowany naród, by się obronić. Ale wydawało się to tak odległą wizją, tak bardzo niezgodną ze scenariuszem, który dla siebie napisała, że była w stanie ją odrzucić, nawet gdy Damien zaczął perorować głośniej, a w jego głosie dało się wyczuć strach: że to nie jest taki dobry pomysł, jak im się wydawało podczas omawiania go w *The Downside Man*; że może w sumie wcale nie są tacy niezniszczalni.

Jednak ta ostatnia kwestia z pewnością nie mogła być prawdą, myślała Kelly. Lecieli więc dalej w stronę serca Londynu; jego budynki były coraz bliżej, jego przestrzenie coraz bardziej się od siebie oddalały; nawet gdy hałasy, które nie pochodziły z jej samolotu, stawały się coraz głośniejsze, zajmowały coraz więcej miejsca, aż w końcu pochłonęły wszystko.

Tommy Moulton, a raczej człowiek, który był wcześniej Tommym Moultem, siedział na cmentarzu Świętego Jana, na drewnianej ławce poświęconej pamięci Joe Mordena, „który kochał ten kościół”. Ławka wychodziła na zachodnią ścianę kościoła; po tej stronie stała dzwonnica, a przez różowe szyby witraży słońce ocieplało wnętrze kościoła łagodnym światłem. W tym momencie wnętrze było skryte w cieniu. Moulton zgubił swoją czerwoną czapkę z kępkami włosów, która była w wiosce równie często widywana jak głogi rosnące przy bramie cmentarnej. Był teraz łyсы, przez co wyglądał poważniej. Nie wstał, gdy River do niego podszedł. Wydawało się, że zatracił się w kontemplacji średniowiecznego kościoła, wokół którego wznosiły się i upadały wcześniejsze wersje Upshott. W jednej dłoni ścisnął iPhone’a. Drugą, którą

zwiesił z oparcia ławki, była niewidoczna.

– Pracowity poranek – rzekł River.

– Nie tutaj.

– Nazywasz się Nikołaj Katinski, prawda? Lamb mi o tobie opowiadał.

– Czasami.

– Rozumiem, że w takim razie jesteś też Aleksandrem Popowem – powiedział River. – Albo człowiekiem, który go wymyślił.

– Sam to rozgryzłeś? – Katinski okazał zainteresowanie.

– W tym momencie wydaje się to dość oczywiste. – River usiadł na ławce w odległości trzydziestu centymetrów od mężczyzny. – Chodzi mi o te wszystkie obręcze, przez które kazałeś nam skakać. Nie były dziełem oszusta ze szkoły językowej. Ani nawet specjalisty od szyfrów.

– Nie lekceważ ludzi od szyfrów – odpowiedział Katinski. – Jak we wszystkich rodzajach służb cywilnych, tak i tu całą pracę wykonują ci na dole łańcucha pokarmowego. Wszyscy powyżej tylko chodzą na spotkania.

W cieniu dzwonnicy jego skóra przybrała szary odcień i choć powierzchnia jego głowy była w większości gładka, podbródek i policzki porastała szczecina. Ona też była szara, podobnie jak jego oczy, które wyglądały niczym pokrycie umieszczane na studniach, by zapobiec wypadkom: aby nic do niej nie wpadło, aby nic z niej nie wyszło.

– Siódmy lipca – powiedział River. – Londyn trzymał fason. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że wygramy, bez względu na to, ile ciał pogrzebaliśmy. Ale dziś całe pieprzone City wygląda jak w pierwszym dniu wyprzedaży w Harveyu Nichollsie.

– Tak, widziałem. – Katinski pomachał telefonem.

– To o to w tym wszystkim chodzi?

– Zupełnym przypadkiem. Wasz pan Paszkin, i obawiam się, że to też nie jest jego prawdziwe nazwisko, korzysta z zamieszania, by pozbawić lokatorów The Needle kilku fragmentów ich majątku. – Moulton jeszcze raz zerknął na telefon. – Ale nie zadzwonił. Możliwe, że nie wszystko poszło zgodnie z planem.

– Jego planem. Nie waszym.

– Nasze cele nie są tożsame.

– Ma dostęp do różnych rzeczy, które były mi potrzebne. Do Andrieja Czernickiego, na przykład. Lata temu Andriej i ja porwaliśmy waszego przyjaciela Dickiego Bowa. Budowałem legendę Popowa i chciałem, by jeden z waszych ludzi miał okazję go zobaczyć, lecz by nie był to ktoś na tyle wiarygodny, żebyście mu uwierzyli. Gdy stawiasz stracha na wróble, nie robisz tego na odkrytej przestrzeni, łapiesz?

– Tak, rozumiem.

– No cóż, od tego momentu Andriej, podobnie jak spora liczba godnych pożałowania byłych kolegów, zaczął zarabiać na chleb w sektorze prywatnym. W skrócie, zatrudnił go człowiek, którego najprościej będzie nadal nazywać Arkadym Paszkinem.

– I potrzebowałeś go, by wyznaczyć ścieżkę, którą miał podążać Dickie Bow.

– Dokładnie tak. Paszkin i ja doszliśmy do obustronnie korzystnego porozumienia, z którego on nawet teraz czerpie zyski. Albo próbuje. Jak już mówiłem, jeszcze nie zadzwonił.

River pokręcił głową. Wszystko go bolało, ale pod tym cierpieniem odczuwał podziw. Po raz pierwszy w życiu stał twarzą w twarz z wrogiem. Nie do końca swoim wrogiem, ale wrogiem dziadka i Jacksona Lamba; łączył twarz z historią, z którą wcześniej walczyli szpiedzy, i rozgrywało się to tutaj, przy wiejskim kościółku, a świadkami byli bezstronni nieboszczycy.

– I to wszystko? Z piskiem opon zatrzymujecie City na cały ranek, i to wszystko? Jezu, co za strata czasu. Po paru rozpaczliwych artykułach wszyscy o tym zapomną.

Katinski się zaśmiał.

– Jak się nazywasz? Jak się naprawdę nazywasz?

River pokręcił głową.

– Nie, tak przypuszczałem. Nie masz przypadkiem papierosa, co?

– Papierosy są niezdrowe.

– Czy widzę tu przejawy poczucia humoru? Czyli jest jeszcze dla nas nadzieja.

– To o to w tym chodzi? To dla ciebie jakiś żart?

– Może tak być – odpowiedział Katinski. – Powiedz mi: chcesz usłyszeć jego puente?

To musi być dwudzieste piętro, pomyślał Roderick Ho, ciężko oddychając. Czuł w wydychanym powietrzu krew. Przynajmniej dwudzieste. Przedarł się przez lobby w ślad za Shirley Dander; pomachał swoją legitymacją samotnemu ochroniarzowi, który pozostał na posterunku, choć City drżało w posadach; poszedł w ślad za jego palcem wskazującym, na schody prowadzące w górę bez końca. Teraz znajdował się przynajmniej na dwudziestym piętrze, a Shirley zniknęła mu z pola widzenia. Słyszał jedynie jednostajny huk alarmu, głośniejszy na klatce schodowej, gdzie odbijał się od ścian i sływał po schodach, choć sam dyszał jak pies, idąc na czworakach, opierając czoło o stopień powyżej. Z jego ust pociekła ślina. Świat stał się zamazany. Po co on to w ogóle robił?

Louisa i Marcus wpadli w kłopoty – miał to gdzieś.

Paszkin nie był tym, za kogo się podawał – miał to gdzieś.

Shirley Dander uważała go za mięczaka – miał to gdzieś.

Powinien być z powrotem w biurze, uprawiając nurkowanie głębinowe w internecie.

„Pamiętasz, że pracujesz dla MI5, prawda?”

No. I miał to gdzieś.

Uświadomił sobie, że napisany przezeń program, który miał symulować pracę, już się uruchomił, i wszyscy, którzy chcieliby sprawdzić Ho na odległość, odkryliby, że ciężko się głowi nad archiwum: sortuje i zapisuje, sortuje i zapisuje. Gdyby był w stanie złapać oddech, roześmiałby się. Szkoda, że nie miał z kim podzielić się tym żartem, bo był on, w sumie, całkiem zabawny.

Jak ona miała na imię: Shona? Shana? Ta laska z siłowni, którą planował spotkać,

gdy zniszczy już jej związek. Tylko że, pomyślał sobie, on nigdy by tego nie zrobił, prawda? Zniszczyć jej związek, owszem, a przynajmniej rzucić w niego wirtualną przeszkodę – z tym by sobie poradził, bez problemu. Ale żeby podejść i naprawdę z nią porozmawiać? Nie ma szans. A nawet gdyby to zrobił, to jak wyjaśniłby jej, że pisał program, który symuluje wykonywanie przez niego pracy?

Z drugiej strony była Catherine Standish. Wiedziała o tym programie. I wiecie, Roddy miał wrażenie, że w zasadzie uważała tę sytuację za dość zabawną.

I jakby się tak zastanowić, właśnie dlatego to robił. Zjawił się tutaj, ponieważ Catherine kazała mu tu być. Pomóc Louisie Guy i Marcusowi jakiemuś tam.

Westchnął, zmusił się do wstania i chwiejnym krokiem ruszył w stronę, jak sądził, dwudziestego pierwszego piętra.

Które tak naprawdę było piętnastym.

Marcus pochylił się, by przejść przez drzwi pożarowe, wyciągnął ręce, wycelował broń na wprost, później w lewo, w prawo, w górę. W porządku. Powiedział: „Czysto!”, i Louisa wyszła za nim z klatki schodowej. Byli na sześćdziesiątym ósmym piętrze, smukłe logo Rumble widniało na szklanych drzwiach. W środku paliły się światła, ale nikogo nie dostrzegli. Przy recepcji, za którą wisiała ogromna reprodukcja plakatu *Nienasyconych*, nie było nikogo. Marcus próbował otworzyć drzwi. Nie drgnęły.

– Może zamknęli je, gdy wychodzili.

– Używali materiałów wybuchowych – przypomniał Marcus.

Zrobił krok do tyłu, przygotował się i kopnął. Żadnych efektów. Hałas, jaki przy tym zrobił, został zagłuszony przez alarm. Nikt nie pojawił się w biurze Rumble.

– Masz jakiś pomysł?

– Może przebili się przez ścianę.

– A może...

Marcus uniósł brew.

– Może kłamał – powiedziała Louisa. – Na którym piętrze są goście od diamentów?

Wdech, wydech. Wdech, wydech.

W City odbyły się kiedyś takie zawody, Shirley widziała plakat, który je reklamował: trzeba było wbiec na ostatnie piętro wieżowca, zbiec na dół, wbiec na górę kolejnego i tak dalej. Musieli zbierać pieniądze na jakiś szczytny cel, bo chyba nie robiono tego dla rozrywki.

Zastanawiała się, ile osób zmarło w trakcie tego biegania.

Jej nogi były miękkie jak masło. Tabliczka na drzwiach pożarowych informowała, że to trzydzieste drugie piętro. Od piętra dwudziestego – gdy na klatkę wypadła potargana para i zapytała: „Spóźniliśmy się?”, jakby przegapili zagrożenie – Shirley nie spotkała nikogo. Wskazała im drogę na dół i wspinała się dalej.

Chyba przyzwyczała się już do bezustannego wycia tego pieprzonego alarmu odbijającego się nierówno po klatce schodowej, bo zaczęła rozróżniać też inne odgłosy – kilka minut temu usłyszała jakiś wybuch i nie było to coś, co chcesz

usłyszeć na takiej wysokości.

Nie mogła dodzwonić się do Louisy ani Marcusa, ale rozmawiała z Catherine, która powiedziała jej, że to fałszywy alarm; nie spodziewają się ataku bombowego ze strony terrorystów... Jednak ten huk brzmiał dla niej jak bomba, choć może niewielkich rozmiarów.

Wdech i wydech, z czego przynajmniej jeden był westchnieniem. Arkady Paszkin nie był tym, za kogo się podawał, i miał u boku dwóch bandziorów. Shirley zaś nie miała przy sobie broni, ale przecież słynęła z tego, że gołymi rękoma rozkłada ludzi na łopatki. Właściwie to dokładnie z tego powodu trafiła do Slough House.

Było bez znaczenia, że miała nogi jak z waty oraz że nie jest nawet w połowie drogi. City drżało w posadach i chyba na tym właśnie poległ plan Paszkina. Nie zamierzała więc leżeć tu i dyszeć, gdy Guy i Longridge samodzielnie udaremnił tę akcję. Zwłaszcza jeśli stawką w grze był powrót do Regent's Park.

Zgrzytając zębami, wbiegła na kolejne piętro. Gdzieś wyżej rozległ się kolejny hałas. Być może był to strzał z pistoletu.

Sześćdziesiąte piąte piętro. De Koenig. Handlarze diamentami. Hall urządzono w stylu mającym kojarzyć się z pustynią: na ścianach wisiały jedwabie, a w centrum stała kępka palm, choć te zostały połamane i uszkodzone w wyniku wybuchu, który zatrzęsł dwunastoma piętrami. Pod sufitem nadal unosił się dym, a wszystkie meble nieprzytwierdzone na stałe rozpadły się po prawej stronie pomieszczenia. W połowie ściany naprzeciwko wyleciały z zawiasów metalowe drzwi.

– Już ich nie ma – powiedziała Louisa.

– Nigdy tak nie zakładaj. – Marcus wyszedł metalowymi drzwiami w taki sam sposób, w jaki wszedł do biura: sprawdziwszy wszystkie strony.

Louisa poszła za nim.

Znaleźli się w pomieszczeniu sejfowym – jego ściany pokryte były wąskimi skrzynkami depozytowymi, z których kilkanaście zostało wysadzonych za pomocą materiałów wybuchowych. Na podłodze połyskiwał odłamek rozbitego szkła, który nie był szkłem, jak zauważyła Louisa – Chryste Panie, diament wielkości paznokcia.

Znaleźli też Piotra, z odstrzelonym i rozmazanym na najbliższej ścianie kawałkiem głowy.

– Paszkin nie lubi podróżować z dużym bagażem – ocenił Marcus.

– Musi być teraz na schodach.

– W takim razie chodźmy.

Pobiegli w stronę klatki schodowej, ale przy drzwiach Louisa zatrzymała się.

– Może być na dowolnym piętrze.

– Chce się stąd wydostać. Gdy alarm zostanie odwołany, nie będzie to takie proste. – Musiał nachylić się do jej ucha. Alarm nie został jeszcze odwołany, choć wydawało się, że jego dźwięk słabnie, jakby bateria była bliska wyczerpania.

Louisa sprawdziła telefon.

– Nadal nic – oznajmiła. – A z tego, co wiemy, Webb się wykrwawia. Muszę znaleźć telefon.

– Okej, ja pójdę dalej – stwierdził.

– Strzelaj celnie – powiedziała Louisa.

Marcus ruszył w dół po niekończących się schodach, a Louisa wróciła do biura de Koenig.

– Byłeś mózgiem Kremla.

– Tak. Póki nie zmieniłem się w urzędnika do spraw szyfrów w Moskwie. Dysponującego odpowiednimi informacjami, dzięki którym pozwolono mi wejść do waszej Jerozolimy.

– Wymyśliłeś Popowa, którego uznaliśmy za legendę. Sądziłeś więc, że cykadki również są legendą, a jednak istniały naprawdę. Dlaczego przywiódłeś je do Upshott?

– Gdzieś musiały się ukryć – odparł Katinski – gdy Moskwa upadła. Poza tym były uśpione. Znasz jakieś lepsze miejsce do spania?

– Byli agentami wpływu.

– Byli inteligentnymi, utalentowanymi ludźmi, mieli dostęp do odpowiednich osób i sięgnęli prosto do serca establishmentu. Byłaby z tego ciekawa gra, gdyby nie skończyła się przedwcześnie.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyście nie przegrali, to odnieśliście zwycięstwo – stwierdził River. – Czy oni w ogóle wiedzą? To znaczy o sobie nawzajem?

Katinski roześmiał się. Śmiał się tak bardzo, że zaczął charczeć i musiał podnieść dłoń, jakby po to, by kazać Riverowi przestać, powstrzymać się od wszystkiego. Podniósł dłoń z iPhone’em. Druga nadal pozostawała niewidoczna.

– W zasadzie nie wydaje mi się – odparł po dłuższej przerwie. – Choć być może coś podejrzewali.

– Minęło wiele lat, a ty postanowiłeś wrócić do żywych – stwierdził River. – Musi być ku temu jakiś powód. Umierasz, prawda?

– Rak wątroby.

– To jeden z tych bolesnych. Szkoda.

– Dziękuję. Spodobała ci się ta dziewczyna, prawda? Młoda Kelly Tropper. To znaczy wiem, że się z nią przespałeś, ale tu chodziło o coś więcej, prawda? Szpiedzy sypiają z dziewczynami, gdy sytuacja tego wymaga, a młodzi mężczyźni sypiają z dziewczynami, gdy mają ku temu okazję. Kim byłeś, gdy poszedłeś z nią do łóżka, Walker?

– Nie przeszkadza ci, że wysłałeś ją na śmierć?

– Wysłałem? Ona uznałaby, że to jej pomysł.

– Jestem pewien, że tak myślała. Naprawdę czekasz na telefon?

– Być może. A może czekam na to, by wykonać telefon.

– To już koniec, wiesz o tym.

– Koniec nastąpił już dawno temu – powiedział Katinski. – Ale tak to już jest z umieraniem. Skłania cię do zrobienia porządków.

– Wyrównania rachunków – uzupełnił River.

– Wolę myśleć o tym raczej jako o przywróceniu równowagi. Twoim zdaniem tu nie chodzi o ideologię, prawda?

– Cóż, nie sądzę, że chodzi tu o kradzież. Dlaczego Upshott?

– Już pytałeś.

– Nie odpowiedziałeś. Nic w twoim działaniu nie jest przypadkowe. Zjawiłeś się tu z jakiegoś powodu.

Słońce próbowało przedostać się za dzwonnice, co miało się udać przy odrobinie czasu i cierpliwości. Zawsze się udawało. Nagrobki za nimi ogrzewały się w blasku słońca, ale ławka nadal pozostawała w cieniu. Katinski sprawiał wrażenie, że tu właśnie jest jego miejsce. Choć był prawdziwy, River niemalże spodziewał się, że gdy promienie słońca dotkną Katinskiego, ten wyparuje.

– Jak sądzisz: dlaczego?

Nie, pomyślał River. Mężczyzna nie kojarzył mu się z dziadkiem. Przypominał raczej Jacksona Lamba.

– To Anglia – powiedział.

– Och, daj spokój. Birmingham też jest w Anglii. Crewe również.

– Anglia jak z pocztówki. Średniowieczny kościół, pub w wiosce, zieleń. Chciałeś umieścić swoją sieć w samym sercu sielankowej wizji Anglii.

Katinski skinął głową, jak przystało na nauczyciela oszczędnego w pochwałach.

– Być może. Co jeszcze?

– Gdy wybrałeś Upshott, mieściła się tu baza militarna – dodał River. – Większość miasteczka istniała tylko po to, by ją obsługiwać. Niczego innego tu nie było.

– Małe miasteczko bez prawdziwego życia... Zastanawiam się, dlaczego człowiek, który wymyślił Aleksandra Popowa, wybrał takie miejsce.

Przelotny wiatr poruszył schludnie przyciętą trawę, zatrząsł łodyżkami żonkili w cynowym wazonie przy nagrobku. Bez żadnego wyraźnego powodu River przypomniał sobie, jak S.D., jego dziadek, sięgnął po gałązkę, by zdjąć żuka z płonącego polana w jego kominku; po czym to wspomnienie zniknęło z sykiem, tak samo jak zginął żuk, gdy pochłonął go ogień. Ale skojarzenie pozostało. Tutaj, na cichym cmentarzu, River przypomniał sobie odległą pożogę.

– ZT/53235 – powiedział.

Katinski nie skomentował. Jego oczy potwierdziły jednak przypuszczenia Rivera.

– To stamtąd pochodzisz – rzekł River i gdy to mówił, przyszedł mu do głowy słowa Katinskiego: „Wolę myśleć o tym raczej jako o przywróceniu równowagi”, i pomimo zbliżających się promieni słonecznych na ławce bardzo się ochłodziło.

Louisa znalazła telefon; zadzwoniła pod numer alarmowy, ale nie mogła się połączyć – co się dzieje, do cholery? Przez okno zobaczyła czarny dym rozlewający się po niebie jak atrament. Poniżej Londyn płonął.

Zadzwoniła do Slough House i zdała raport Catherine.

– Żył, gdy go zostawiliście?

– Oddychał. Nie jestem lekarzem.

Miała wątpliwości w kwestii pozostawienia Webba samego. A nawet nie samego – został tam także ten drugi Rosjanin. Który też cierpiał, choć z tego akurat powodu poniesie mniejsze konsekwencje.

– Gdzie jest teraz Paszkin?

– W drodze na dół, jak sądzę. Marcus go ściga.

– Mam nadzieję, że jest ostrożny.



– Ja mam nadzieję, że zabije tego drania.

– A ja mam nadzieję, że ten drań nie zabije jego. Ani pozostałych. – Na miejscu byli też Roderick Ho i Shirley Dander. – Rozpętał się chaos, Louiso. Bóg raczy wiedzieć, kiedy dotrze wsparcie.

– Najważniejsza jest pomoc medyczna.

– Wyślę helikopter.

– O cholera – skomentowała Louisa.

Dach.

– ZT/53235 – powiedział River. – To stamtąd pochodzisz.

– Żadna legenda, która zasłużyła sobie na to miano, nie bierze się znikąd. Historia Popowa pochodziła ode mnie, owszem.

– Czyli... byłeś wówczas dzieckiem.

– Trudno w to uwierzyć, prawda? Ale najwyraźniej pamięć o tym miejscu noszę w sobie. – Skrzywił się. – Nie było to najlepsze miejsce do życia. Nawet przed tym, jak doszczętnie je spaliliście.

– Zniszczył je wasz rząd – oznajmił River. – Ponieważ sądzono, że jest w nim szpieg. Ale szpiega nie było. Nigdy nie było szpiega. Miasto zostało zniszczone bez powodu.

– Zawsze jest jakiś powód – zauważył Rosjanin. – Szpieg nie istniał, ale dowody owszem. Tak działa świat luster, Walker. Wasze służby nie były w stanie umieścić tam szpiega, bo nasza ochrona okazała się zbyt szczelna. Więc zrobiliście to, co mogliście w tej sytuacji, czyli podłożyliście dowody sugerujące istnienie szpiega. A rząd zrobił to, co robią rządy, i zniszczył miasto. Wasz kontrwywiad nazwałby to teraz rezultatem działania. Wówczas określili to mianem zwycięstwa.

– Minęło dużo czasu – rzekł River, jakby miało to znaczenie, teraz czy kiedykolwiek.

– Pochodzę z miasta, które dla Anglików było kwintesencją sowieckiego świata – powiedział Katinski. – Zniszczono je ogniem. I oto jestem tutaj, w miejscu, które dla reszty świata jest kwintesencją Anglii. Powiedz mi. Co się teraz stanie?

River poruszył się dokładnie w chwili, w której Katinski pokazał, co trzyma w prawej ręce. Odsunął się, ale nie na tyle szybko, by Katinski nie przytknął paralizatora do jego łokcia. Siła rażenia wyrzuciła Rivera na ścieżkę.

– Mówiłem ci, że Paszkin miał różne rzeczy, które były mi potrzebne. – Katinski wstał. – Jak myślisz, skąd to mam? – Pochylił się i jeszcze raz poraził Rivera. Trysnęły iskry, a świat zalał się czerwienią i czernią. – Dostęp do materiałów wybuchowych był kolejną z nich. Bycie kryminalistą otwiera różne drzwi. Otwiera granice, można by rzec.

– Nie było żadnej bomby – zdołał wydusić z siebie River.

– Nie. Ten samolot był przynętą, miał pomóc Paszkinowi. Materiały wybuchowe nadal są tutaj. Wszędzie dokoła.

Chodzi mu o nagrobki, pomyślał zamroczony River.

Po chwili: nie.

Chodzi mu o całą wioskę.

– Każda z cykad ma wystarczająco materiału, by zmontować jedną dużą bombę – powiedział Katinski. – I każdą z nich poinformowano, gdzie ma podłożyć ładunek. To polecenie, na które czekali od lat. Teraz już wiedzą, dlaczego zesłano ich do Upshott. Mieli być na miejscu, by móc zniszczyć wroga.

– Jesteś szalony. Nie zrobiliby tego.

– Dałem im wszystko – ciągnął. – Nowe tożsamości, dobry start w życiu. I czekali przez ponad dwadzieścia lat, Walker. Czekali na sygnał, który każe im włączyć się do akcji. To właśnie robią cykady. Budzą się i śpiewają.

– Założmy, że podłożyli te bomby. Co dobrego z tego wyniknie?

– Już ci mówiłem. Przywróci równowagę. I pokaże, że historia nigdy nie wybacza.

– Jesteś totalnie popierdolony.

– Czyli nie jesteś już zupełnie pewien, że tego nie zrobią?

River zbierał siły. Zbierał teraz całą tę energię, która bulgotała w jego ciele, wszystko to, co nie zostało wyczerpane w czasie najdłuższej nocy w jego życiu, i po sekundzie stanął na nogi. Dziwne, ale nadal czuł się niepewny i bezradny.

– Oni nie są tacy, jak ci się wydaje. Już nie. Są tu zbyt długo.

– Zobaczmy. – Podniósł telefon. – Podzwonię.

– Masz zamiar ich zapytać?

Katinski zaśmiał się i cofnął o krok.

– Nie, chłopcze – rzekł. – Porozmawiam z bombami. Myślisz, że mają lonty? Są odpalane zdalnie. O tak.

Wybrał kilka cyfr.

Webb oddychał i poruszył powiekami, gdy Louisa pochyliła się nad nim.

– Nie umieraj – powiedziała. Nie zareagował. – Kutas – dodała. Na to również nie zareagował.

Kiryła nie było. Na szczęście zostawił za sobą ślady krwi.

Nadal dysząc, poszła jego śladem. Dotarł na klatkę schodową, ale udał się w górę, nie na dół. Sądząc po upływie krwi, poruszał się powoli. I jego droga zakończyła się dwa poziomy wyżej, gdzie leżał oparty o ścianę, a jego twarz wykrzywił pełen bólu grymas.

– Uciekasz, co?

– Suka.

Odpowiedział ochrypłym szeptem. Mało prawdopodobne, że miał ostrzec kogoś krzykiem.

– Jest na dachu, prawda? Czeka na helikopter? – Ale Kirył przewrócił oczami i nic nie powiedział.

Nie miał przy sobie broni. Gdyby Paszkin był na dachu, Louisa stałaby się łatwym celem. Starła się więc ostrożnie przejść ostatnimi drzwiami. Zawiał jednak wiatr i otworzył je szeroko.

Trzysta metrów nad poziomem ulic Londynu wiatr wiał całkiem mocno.

Maszt znajdował się na drugim krańcu dachu: smukłe, cienkie ostrze wbijające się w błękit. Po drodze dostrzegła przypominające slumsy zbiorowisko odpowietrzników, osłonek wylotów kanalizacji, piorunochronów i czegoś, co wyglądało jak betonowe

wersje szop ogrodowych, w których znajdowały się pomieszczenia techniczne wind i pozostałych klatek schodowych. Było to zaskakująco obskurne jak na ekskluzywny budynek, jednak większość podejrzanych przybytków miała brudne zaplecza – to właśnie przyszło jej na myśl, gdy pocisk trafił w znajdujące się za nią drzwi.

Louisa przetoczyła się za szyb w kształcie komina statku i usiadła.

– Louiso?!

Paszkin. Musiał krzyczeć, żeby dało się go tu usłyszeć; byli wyżej, niż latały ptaki.

– Nie masz dokąd uciec, Paszkin! – odkrzyknęła. – Nadchodzi odsiecz!

Wyglądało na to, że Paszkin znajdował się za jedną z konstrukcji przypominających szopę stojących wzdłuż zachodniej ściany budynku. Wschodnia ściana opadała o poziom niżej na dużą płaską powierzchnię, na której mógł wylądować helikopter.

Po lewej i prawej stronie nie było widać miasta, tylko niebo, lekko pobrudzone tłustym dymem. Absurdalnie cienka barierka zaznaczała granicę dachu. Jeśli tylko to miało chronić ją od upadku w próżnię, miała nadzieję, że wiatr nie zacznie silniej wiać.

– Tak! – krzyknął w odpowiedzi. – Zarezerwowałem sobie przelot! Masz broń, Louiso?!

– Oczywiście, że mam!

– Może podejść i ci ją zabiorę!

Najwyraźniej jego blokada zasięgu tutaj nie działała, ponieważ zadzwonił telefon Louisy.

– Jestem trochę zajęta.

– Wysłałam helikopter ratunkowy. Mówią, że jest już w drodze. Louiso...

– On go przejmie.

Po co załatwiać własnego pilota, jeśli możesz porwać helikopter ratunkowy?

Paszkin chował się za jedną z tych szop, chyba że go tam nie było. Może nawet stać tuż za najbliższym wywietrznikiem i czołgać się w jej stronę. W pewnym stopniu Louisa miała nadzieję, że tak właśnie jest.

Nie była głupia. Zabrała ze sobą siekierkę strażacką.

– Louiso? Wracaj do środka! Zamknij drzwi! Za kilka minut mnie tu nie będzie. Nic strasznego się nie stanie, czy nie tak mówicie?

– Nie, nie w tym kraju.

Miała nadzieję, że jej głos nie drży. Cienka smużka dymu nad nimi poruszała się tak szybko, że Louisie kręciło się w głowie. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby zatoczyć się w stronę barierki i spaść.

– W przeciwnym razie będę cię musiał zabić.

– Tak jak zabiłeś Mina?

– Cóż, ciebie będę musiał zastrzelić. Ale tak, efekt będzie ten sam.

O Chryste, pomyślała. Kucała oparta plecami o wylot klimatyzacji na dachu najwyższego budynku w City, a elegancko ubrany gangster zgrywał mądrąłę. Jestem w *Szklanej pułapce*.

– Louiso?

Wydawało się, że jest bliżej, ale ciężko było to stwierdzić. Poprzedniego dnia załatwiłaby go gazem pieprzowym i plastikowymi kajdankami i cała sprawa dobiegłaby końca. Ale pieprzony Marcus musiał się wtrącić i w ten oto sposób znalazła się tutaj, wysoko nad Londynem, a Paszkin miał broń.

I co ja sobie myślałam, biegnąc na dach, bez broni?

Odpowiedź była równie blisko jak pamięć o Minie, którego ten drań zamordował dla garści diamentów.

Miała wrażenie, że słyszy helikopter.

Decyzje, decyzje. Mogła zrobić, co jej kazał, i wrócić w bezpieczne miejsce. Co wcale nie oznaczało, że nie strzeli jej w plecy przed uprowadzeniem helikoptera. Ulice na dole pogrzały się w chaosie. Będzie kazał wylądować w Hyde Parku, zniknie w tłumie. Myśl! – nakazała sobie. Ale raczej nie myślała: wstała i rzuciła się biegiem od miejsca, w którym przykucnęła, do następnej kryjówki, masywnego kawałka betonu, który skrywał milczący mechanizm windy.

Padła, spodziewając się ostrzału, ale ten jednak nie nastąpił. Siekiera wymknęła się jej z rąk i upadła jakiś metr dalej.

– Louiso?

– Wciąż tu jestem!

– To była twoja ostatnia szansa!

– Rzuć broń w moją stronę! Dzięki temu skrócisz sobie odsiadkę o parę lat.

Z całą pewnością słysząc było helikopter i z całą pewnością był on coraz bliżej.

– Louiso, nie jesteś uzbrojona. To nie ma prawa się dobrze skończyć!

Zdradziła ją ta siekierka. Nikt, kto miał pistolet, nie przyszedłby tu z obciążeniem w postaci siekiery. Która znajdowała się poza jej kryjówką.

Wyciągnęła po nią dłoń i tym razem Paszkin strzelił: nie trafił w jej dłoń, ale w trzonek siekiery, który zawirował jak szalony. Louisa krzyknęła.

– Louiso? Jesteś ranna?

Nie odpowiedziała. Monotonny terkot śmigieł helikoptera stawał się coraz głośniejszy. Jeśli pilot zobaczy uzbrojonego człowieka, nie wyląduje, odleci... Musiała pokazać mu, że Paszkin ma broń. Gdyby Min tu był, powiedziałaby, że to głupi plan, ale nie było go tutaj, bo został zamordowany, i jeśli ona nic teraz nie robi, to człowiek, który go zabił, odleci. Siekiera może się przydać. Sięgnęła po nią, a wtedy czarny sznurowany but zmiażdżył jej dłoń.

Spojrzała Paszkinowi w oczy. Popatrzył na nią, autentycznie poirytowany faktem, że Louisa przysparza mu tylu problemów. W jednej ręce trzymał materiałową torbę, nabrzmiałą do rozmiarów piłki do nogi. Mnóstwo diamentów.

W drugiej miał pistolet, wycelowany w jej głowę.

– Przykro mi, Louiso – powiedział. – Naprawdę mi przykro.

Wtedy Marcus strzelił i polecieł i Paszkin, i jego broń oraz torba z diamentami, tylko diamenty rozsypały się na wszystkie strony jak małe połyskujące kulki w dziecięcej zabawie; niektóre z nich potoczyły się do krawędzi dachu i z niego spadły.

Louisa mogła sobie tylko wyobrazić, jak to wyglądało: maleńkie szklane kropelki opadały na ulice daleko w dole, podczas gdy ruch śmigieł helikoptera rozcinał powietrze na cieniutkie plasterki.

Po tym jak Katinski wybrał numery, by zdetonować bomby, cisza zawisła nad cmentarzem i nad całą wioską jak plastikowa przykrywka nad tortem. Przestało świecić słońce, wiatr ucichł, kos zdławił śpiew w połowie trelu, a cały ból i cierpienie Rivera zostały zawieszono, gdy czekał na serię wybuchów, które rozerwą niebo niczym błyskawice i sprawią, że Upshott legnie w gruzach. Tygodnie, jakie tu spędził, przypominały mu się niczym obrazki w kalejdoskopie: pomyślał o pubie i sklepie, o dawnym dworze i o tym, jak wszystkie zmieniają się w krater, by zrealizowana została wizja zemsty umierającego szpiega. Byłoby to wiejska strefa zero, pomnik dawno zapomnianego miasteczka, które zginęło w dawno zapomnianym pożarze; ZT/53235, stare ofiary gry luster, do której przystąpili szpiedzy.

Byłoby to bezsensowne i zbyt ciężkie, zostawiłoby jednak za sobą spaloną ziemię.

I wtedy zaświeciło słońce, znów zawiał wiaterek, a kos złapał oddech i wrócił do swych treli.

Nikołaj Katinski był zwykłym staruszkiem, który wpatrywał się w telefon w swojej dłoni, jakby technologia go przerosła.

– Widzisz? – odezwał River, a jego głos zabrzmiał prawie normalnie.

Usta Katinskiego się poruszały, ale River nie rozumiał, co tamten mówi.

Spróbował się podnieść i tym razem mu się udało. Oparł się o ławkę, nogi nadal mu się trzęsły.

– Mieszkają tu od lat – rzekł. – Już nie należą do ciebie. Nie obchodzi ich powód, dla którego tutaj przybyli. Tutaj toczy się ich życie. Tu mieszkają. – Nadjeżdżały auta. Rozpoznał dźwięk silników i poczuł nagły napływ paniki, gdy zaczął zastanawiać się, jak dalej się sprawy potoczą; społeczność wioski odkryje uśpioną komórkę szpiegowską, śpiącą tak mocno, że nie ma ochoty się obudzić. – Mimo wszystko – ciągnął – niezła próba. – I puścił oparcie ławki. No proszę, pomyślał River, możesz stać; i z tą myślą ruszył ścieżką w stronę furtki, którą zaraz tłumnie przejdą żołnierze.

– Walker?

Odwrócił się. Katinski był spowity w promienie słońca, które w tej minucie wzniosło się nad dzwonnice.

– Nie wszystkie bomby były ich. Jedną była moja.

Wybrał kolejny numer na telefonie.

Wybuch, który zniszczył zachodnią ścianę kościoła Świętego Jana, natychmiast zabił Katinskiego, który był w samym centrum pola rażenia. Później, w koszmarach, River widział, jak fragment kamiennej elewacji rozłupuje starego szpiega na pół, jednak tak naprawdę zmiotła go fala uderzeniowa, a w momencie, gdy na ziemię spadały gruzy, River kulił się pod zadaszoną furtką, chowając głowę między kolanami. Więc słyszał i czuł – bardziej niż widział – powolniejszą śmierć, która nastąpiła po śmierci Katinskiego, gdy dzwonnica zakołysała się i zawahała, zanim przestała utrzymywać pozycję pionową. Zawalając się, upadła w stronę przeciwną niż kryjówka Rivera, w przeciwnym razie dołączyłby do staruszka w miejscu, które

czekało na nich po śmierci. Tymczasem upadek wieży na cmentarz i ścieżkę zdawał się trwać całe minuty, wielkie połączenie czasu, czego należałoby się spodziewać po brutalnym usunięciu dzwonnicy z panoramy, którą całowała od czterystu lat; i zdawało się to ciągnąć jeszcze przez długie godziny, gdy szok odbijał się echem po nagle opustoszałej przestrzeni, tworząc nowe kształty z ciszy i pyłu.

Marcus upewnił się, że Paszkin nie żyje, i pomógł Louisie wstać.

– Spotkałem na schodach Shirley – powiedział. – Nie minęła się z Paszkinem, więc pomyślałem, że może wyszedł na dach.

– Dzięki – odparła.

– Tak jak ci mówiłem: trafiłem do kulawych koni z powodu hazardu. Nie dlatego, że jestem zjebem.

Helikopter wylądował, Marcus zbliżył się do niego.

W dniu odwołanego protestu spłonęła część Londynu.

Podpalano samochody, podłożono ogień w autobusie, a jankel – jedna z policyjnych jednostek opancerzonych – został ochrzczony koktajlem Mołotowa przy Newgate Street. Zdjęcie katedry Świętego Pawła spowitej oleistym dymem, jak można się było spodziewać, pojawiło się na pierwszych stronach gazet. Jednak zanim zapadł zmrok, protest, który zamienił się w zamieszki, stał się pogromem: policjanci, świadomi krytyki za zbyt pobłażliwe podejście do ostatnich awantur, ostro ruszyli, walili po łbach i dokonywali aresztowań. Idący swobodnie tłum był rozganiany, przywódcy pakowani do radiowozów, a ci, którzy spędzili dzień, gotując się w zaułkach, do których ich zapędzono, mogli wrócić do domu.

Był to, jak oznajmił później dowodzący tego dnia policjant na nieuniknionej konferencji prasowej, skuteczny pokaz praktycznych działań policji. Co nie zmieniło faktu, że tego dnia City zostało skutecznie sparaliżowane.

Płomienie podsyciła plotka. Okazało się, że tamtego ranka na Twitterze rozeszła się wieść, że RAF zestrzelił wypełniony bombami samolot, i szybko wzięto ją za fakt; mniej prowokacyjna prawda, że przechwycono cessnę skyhawk i odeskortowano ją do bazy RAF-u, gdzie okazało się, że wiezie ładunek składający się z amatorskich ulotek, przedarła się do wiadomości publicznej dopiero kolejnego dnia. Mniej więcej w tym samym czasie odpowiedzialność za nieprzemyślaną ewakuację dzielnicy finansowej została zdecydowanie złożona na karb służb bezpieczeństwa, a konkretnie przewodniczącego komisji MI5, który pełnił wówczas funkcję Pierwszego Biurka i za którego radą Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ogłosiło alarm w City. Roger Barrowby zaimponował wielu swoją gotowością do przyjęcia na siebie winy; komentowano, że sprawiał wrażenie człowieka, który wie, kiedy dokonano rozszady jego osobą. Jego rezygnacja była dyskretna; mówiono, że wrzucił go pożegnalny prezent: fotel inspirowany projektem Miesa van der Rohe.

W następstwie tych wydarzeń wiele sklepów i firm w centrum Londynu pozostało zamkniętych, a na ulicach panował mniejszy ruch niż zwykle. Nastąpiło gremialne wstrzymanie oddechu i wszyscy postanowili położyć się wcześniej spać. Nawet na niektórych głównych ulicach nie było widać żywego ducha. Ani myszy.

A gdyby mysz chciała, z łatwością weszłaby do Slough House. Żadna mysz, która zaślugała na swoje wąsiki, nie miałaby problemu z przeciśnięciem się pod tymi od dawna zamkniętymi drzwiami ani z przemknięciem po niewyłożonych dywanem schodach, gdzie – gdyby zatrzymała się na progu biura – mogła rozważyć urok chwiejącej się wieży z pudełek po pizzy i ciągu nadal lepkich puszek i przeciwstawić go czynnikowi odstrasżającemu w postaci kichającego Rodericka Ho, który, wyczerpany wysiłkiem, do jakiego nie jest przyzwyczajony, leży z policzkiem przyklejonym do blatu biurka, z przekrzywionymi okularami. Możliwe nawet, że ślina

splývająca z jego otwartych ust stanowi trzecią opcję lunchu dla naszej myszy, ale nagły hałas, coś pomiędzy chrapaniem a głośnym pierdnięciem, rozstrzyga decyzję. Mysz odwraca się...

...i nasza malutka przyjaciółka pędzi do gabinetu obok, gdzie jej wtargnięcie nie jest postrzegane tak, jakby to było dawniej: jako potencjalny test, lecz po prostu jako działanie wroga, ponieważ atmosfera paranoi skaziła teraz to pomieszczenie, ściekając ze ścian i wsiąkając w dywan. Zarówno Shirley Dander, jak i Marcus Longridge wiedzą, że jedno z nich uważane jest za marionetkę Diany Taverner, a ponieważ oboje zdają sobie sprawę, że to nie o nich samych chodzi, to zarazem oboje wierzą, że chodzi o tę drugą osobę. Jedyne słowa, jakie dziś ze sobą zamienili, to: „Zamknij drzwi”, a ich raporty dotyczące wydarzeń w The Needle nie zostały omówione. Gdyby wymienili się informacjami, które każdemu z nich udało się zebrać, być może wyciągnęliby wnioski dotyczące prawdopodobnego oficjalnego wyroku: że James Webb zastawił pułapkę na gangstera udającego Arkadego Paszkina i operacja się opłaciła, jednak jej efekty zostały spalone przez to, że wzięły w niej udział kulawe konie – niewiele zostanie wygłoszonych pochwał za odwagę i jeszcze mniej zasług przypisanych Regent's Park.

Jednak nie poprawiłyby to za bardzo atmosfery; taką możliwość miałyby jedynie Jackson Lamb, gdyby miał świadomość, że Diana Taverner powiedziała mu, że jeden z jego żółtodziobów donosi jej tylko po to, by namącić Lambowi w głowie. Taverner jest w pewnym sensie ekspertką w tej dziedzinie, co może potwierdzić Roger Barrowby, jednak za każdym razem, gdy wydaje się jej, że przechytryła Jacksona Lamba, powinna przeliczyć drobne w swojej kieszeni, jak uważa Jackson Lamb. Gdyby miała wtyczkę w Slough House, wiedziałyby, że Webb oddelegował dwójkę kulawych koni, zanim Lamb jej o tym powiedział. A poza tym Lady Di w notesiku Lamba ma już czarną krechę przy swoim nazwisku, ponieważ to z jej polecenia Nick Duffy tak dokumentnie spieprzył zbadanie śmierci Mina Harpera. Za to osiągnie ją kara. Tymczasem w tym gabinecie czuć mocno zdradę, czymś, czego żadna dobrodusznna myszka długo nie wytrzyma, więc znów wychodzi i kieruje się na górę, w poszukiwaniu nowych możliwości.

Które znajduje w postaci Rivera Cartwrighta. River również się nie odzywa, gdyż przed chwilą zakończył rozmowę z przedstawicielem Szpitala Świętej Marii, do którego zabrano Jamesa Webba, czekającego na ratunek po postrzale nieco dłużej, niż zalecają na oddziale ratunkowym. Być może River kontempluje teraz informacje o stanie zdrowia swojego dawnego przyjaciela, a nasza mysz nie jest w stanie stwierdzić, czy są one źródłem cierpienia, czy przyjemności; choć River może być też pochłonięty innymi emocjami; na przykład podejrzeniem, że nazwa ZT/53235 tak dobrze utkwiała w pamięci jego dziadka, ponieważ od dawna zajmowała w niej miejsce, bo to sam S.D. był odpowiedzialny za przekonanie władz sowieckich, iż w tym zamkniętym mieście wyhodowano zdrajcę. ZT/53235 spłonęło w 1951 roku, pochłaniając tysiące ofiar; David Cartwright miał tyle lat, ile jego wnuk liczy sobie obecnie, co sprawiło, że River zaczął się zastanawiać, czy jest zdolny do tego, by grać w grę luster tak, jakby stawką były wypalone zapalki, a nie ludzkie życie.



I zastanawiał się też nad tym, czy te myśli powrócą przy okazji następnej wizyty u dziadka, czy może schowa je głęboko, jak szpiegdy chowają wszystkie swoje sekrety, i przywita dziadka z taką czułością jak zawsze.

A ponieważ nie jest to problem, który nasza mysz potrafiłaby rozwiązać, więc wycofuje się, by odkryć w gabinecie Louisy Guy inny rodzaj ciszy; takiej, jakiej używa się, by stłumić ciche dźwięki. Nie ma tu echa i nie ma nikogo, kto mógłby powtarzać jak echo, bo puste biurko jest jedynie pustym biurkiem: puste, niezajęte, zbyteczne. Za jakiś czas pojawi się nowe ciało, które przejmie dowodzenie meblem – jak przypomniawszy Lamb, załoga Slough House to nieudacznicy, a takich nigdy nie brakuje – i być może to myśl o przyszłym użytkowniku sprawia, że Louisa teraz cicho szlocha, a może powoduje to pustka, jaka czeka teraz na nią w mieszkaniu, które niegdyś wydawało się za małe dla dwóch osób, a teraz jest za duże dla jednej; tego bólu nie ukoił jej ostatni nabytek – aktualnie wtulony w nową, niezbyt praktyczną, zupełnie teraz niepotrzebną bieliznę – w postaci diamentu wielkości paznokcia, o wadze mniejszej niż waga pączka i wartości, która pozostała dla niej tajemnicą. Oszacowanie owej wartości będzie następnym krokiem za granicą, której nigdy nie zamierzała przekraczać, na razie więc diament jest zawinięty i schowany; obiecuje jedynie ucieczkę z jednego pustego miejsca do następnego, bo wygląda na to, że tylko to może zaoferować Louisie przyszłość; jedna pustka po drugiej, jak nieskończona ilość luster sięgająca donikąd.

Nic dziwnego, że Louisa szlocha; jeszcze mniej dziwi to, że mysz dyskretnie, na paluszkach oddała się od smutku, którego nie potrafi ukoić. Idąc wyżej, na ostatnie piętro, składa krótką wizytę Catherine Standish, która nie obawia się myszy, pod warunkiem że są one prawdziwe. Catherine widziała w swoim życiu sporo myszy zjaw, malutkich kształtów, które uciekały z pola widzenia, gdy chciała się im przyjrzeć, jednak te dni minęły, a jedyny dzień, jaki się liczy, to ten, który ma tuż przed sobą.

I poradzi sobie z nim równie spokojnie, jak radzi sobie z większością spraw; ten talent rozwinęła dzięki codziennym kontaktom z irytującym Jacksonem Lambem, który obecnie przebywa w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami, stanowiącymi równie dużą przeszkodę dla naszej podróżniczki z rodziny gryzoni, co nieelegancko ułożone w stertę książki telefoniczne, na której szczycie w końcu zatrzymuje się gryzoń, strzygąc wąsikami i ruszając noskiem. Jackson Lamb trzyma stopy na biurku, ma zamknięte oczy. Na jego kolanach leży gazeta, otwarta na dziwnym artykuliku o lokalnym trzęsieniu ziemi w Cotswolds, na litość boską; sejsmicznym drzeniu, które sprawiło, że uwielbiany kościółek zawalił się, powodując – na szczęście – śmierć tylko jednej osoby. I w ten oto sposób, myśli Lamb, duch niejakiego Aleksandra Popowa, zamieszkujący Nikołaja Katinskiego, rozplywa się w nicość w sercu wioski, w żaden sposób nieprzypominającej miasteczka, z którego Popow ocalał jako dziecko – z wyjątkiem metody zniszczenia, jakie miał nadzieję tu wywołać. Jeśli chodzi o cykady – tę grupę uspionych od dawna szpiegów, którzy spali tak głęboko, że ich fałszywe życiorysy zajęły miejsce prawdziwych – u nich nie nastąpiło przebudzenie, ani gwałtowne, ani żadne inne, gdyż rząd uznał, że najlepiej będzie

pozwolić uśpionym szpiegom leżeć\* bez przeszkód. W końcu to właśnie szpiedzy robią najlepiej.

Myśląc o tym, Jackson Lamb na oślep sięga po coś, prawdopodobnie po papierosa, a gdy jego poszukiwania spełzają na niczym, otwiera oczy. I wtedy odkrywa, że tuż przed nim siedzi mysz, poruszająca noskiem, strzygąca wąsikami. Przez chwilę Lamb czuje się nieswojo, bo ma wrażenie, że ta mysz przygląda się jego przeszłości, tej, którą starał się ukryć, lub wygląda w przyszłość, o której prędzej czy później zapomni. Po czym Lamb mruga, a mysz znika, jeśli w ogóle tam była.

– Przydałby się tutaj kot – utyskuje Lamb, nikt jednak go nie słyszy.

---

\* Gra słów: z ang. *lie* – leżeć, ale też: kłamać.

Już wkrótce  
naszym nakładem  
kolejna część serii...



...oraz serial z udziałem  
zdobywcy Oscara  
Gary'ego Oldmana  
w roli Jacksona Lamba!